

Daphne du Maurier

DZIECI METRESY



Przełożyła

Ewa Kieruzalska-Gewartowska

Wydawnictwo ALFA
Warszawa 1999

CZĘŚĆ
PIERWSZA



1

Pewnego chłodnego wiosennego dnia 1810 roku mała, dwunastoletnia dziewczynka o ziemistej cerze klęczała z nosem przyciśniętym do szyby w domu przy Westbourne Place. Znajdowała się w sypialni dla służby, ponieważ pozostałe pokoje ogołococono już z mebli. Obcy ludzie, których nigdy przedtem nie widziała, kręcili się po obu salonach, oglądając krzesła i stoły, obmacywali nóżki małej pozłacanej buduarowej kanapy brudnymi, szorstkimi rękami i dotykali bogato zdobionych brokatem zasłon. Obserwowała ich już wcześniej, w ciągu dnia, nie zauważona przez nikogo; gdy swobodnie wędrowała po pokojach i korytarzach, przyglądając się, jak dżentelmen o surowym wyglądzie, w ciemnym płaszczu, przyczepia karteczki z numerkami do krzeseł w jadalni. Wyszedł, aby wrócić po kilku minutach z dwoma robotnikami w roboczych fartuchach i rękawami koszul podwiniętymi do łokci. Kazał im wynieść krzesła.

Teraz, gdy zniknęły krzesła, pokój nabrał dziwnego wyglądu. Potem przyszedł jakiś inny człowiek i wyłożył wszystkie szkła i porcelanę na mały stolik, a kiedy już to zrobił, ku swemu wyraźnemu zadowoleniu, powynosił je do salonu, a stolik przysunął do ściany. Tutaj krzesła stały zwrócone do siebie oparciami w długim rzędzie, a pozejmowane ze ściany obrazy leżały jeden na drugim na podłodze.

Gruboskórna obojętność, z jaką ci ludzie odnosili się do

rzeczy matki, była dla dziewczynki niczym ukłucie bólu. Wiedziała już od pewnego czasu, że Westbourne Place zostało sprzedane, a ona wraz z matką przeniesie się do innego domu, ale nie mogła pojąć, że te krzesła i stoły, szkło i porcelana, każdy talerz, z którego jadły, nie będą już do nich należały. Obce dłonie wyciągały i badały ich rodzinne przedmioty, jeden po drugim. Niczym rząd żałobników na pogrzebie formowała się długa procesja ludzi, którzy wynosili z domu cały majątek jak małe zwłoki, którym nie można nawet powiedzieć „żegnaj”.

Kiedy zdjęto złoty czasomierz z jego miejsca nad schodami, dziewczynka nie mogła już tego dłużej znieść. Odwróciła się ze łzami w oczach i weszła na górę do sypialni dla służby na szczycie domu.

Ten zegar był jej przyjacielem w godzinach samotności. Co kwadrans wydzwaniał kuranty, których nasłuchiwała, leżąc bezsennie w swoim łóżku, i ta uspokajająca nutka jeszcze nigdy jej nie zawiodła. Teraz już jej więcej nie usłyszy. Zapewne zegar trafi w ręce ludzi, którzy nie będą o niego dbać, nie zechcą pamiętać, żeby wytrzeć z kurzu jego uśmiechniętą tarczę, pozwolą, by zardzewiał i dzwonił fałszywie. Klęcząc tak, z nosem i podbródkiem rozpląszczonym na szybie, poczuła po raz pierwszy cień żalu do matki, że pozwoliła, aby tak się stało.

Od ubiegłego roku świat się zmienił i przestał być bezpieczny. Nagle skończyła się owa codzienność, o której każde dziecko sądzi, że będzie trwała w nieskończoność. Już nie jeździła tak jak dawniej faetonem po Hyde Parku każdego ranka, z matką u boku, w procesji innych powozów, ani też jak czasami, do Richmond, napić się portera z lordem Folkestone, który zwykł był mierzyć ją swym biczem, by przekonać się, czy urosła. I podczas gdy matka śmiała się i paplała, dokuczając lordowi w sposób sobie tylko właściwy, nie do naśladowania, szepcząc mu do ucha tajemnicze żarciki, na co odpowiadał rykiem śmiechu — Ellen siedziała w milczeniu, niczym mała szara myszka, obserwując ową grę z wrodzonym sobie poczuciem dezaprobaty.

Ten sposób spędzania czasu przez dorosłych uważała za mało przydatny, wolała książki i muzykę. Ellen czuła głód wie-

dzy wszelkiego rodzaju, co jej matka uznawała stanowczo za zbyt męczące dla dziecka, które jeszcze nie skończyło trzynastu lat.

— Widzicie — mawiała Mary Anne do przyjaciół z ledwie widocznym wzruszeniem ramion i cieniem kpiny w oczach, udając rozpacz. — Moje dzieci mnie przerosły. To potworne. Jestem dla nich za młoda. Uważają mnie za lekkomyślną i roztrzepaną. Panicz George poucza mnie niby stary belfer, a Ellen, klaszcząc z namaszczeniem w ręce, pyta: „Mamusiu, czy mogę oprócz francuskiego uczyć się jeszcze włoskiego?”

Wywoływało to ogólną wesołość kosztem Ellen, a dziewczynka rumieniła się zawstydzona, dopóki o niej nie zapomniano.

Jednak przejażdżka po parku albo do Richmond stanowiła przyjemność; tyle było rzeczy do obejrzenia, tylu ludzi do obserwowania. Właśnie w wieku dziesięciu czy dwunastu lat Ellen uważała się za badaczkę natury ludzkiej. Była dojrzała nad swój wiek, ponieważ nigdy nie przebywała w towarzystwie innych dzieci. George, jej jedyny brat i bożyszcze zarazem, wcześniej został posłany do szkoły. Tak pochłono go teraz nowe towarzystwo, konie — na których uczył się jeździć, i opowiadanie o swej przyszłej karierze wojskowej, że rozmowa z małą siostrzyczką budziła w nim zniecierpliwienie.

Ellen mogła więc liczyć tylko na siebie. Jej przyjaciółmi stały się książki i muzyka, jeśli matka miała dość pieniędzy na nauczyciela.

„Ellen musi zrozumieć, mawiała matka, że eleganckie życie, jakie prowadzą, wystawne przyjęcia, powozy i konie — to sprawy ważniejsze niż takie kaprysy, jak lekcje muzyki i nauczyciel włoskiego. Zobaczmy, co się da zrobić”, odpowiadała, niezdecydowanie machnąwszy ręką. Olśniewający uśmiech świadczył, że myśli o czymś innym; pociągała za dzwonek dla służby, by wydać dyspozycje co do wieczornego przyjęcia.

Na stole znajdowało się tyle smacznych rzeczy, taka obfitość owoców, ciast i wina; błyszcząły szkła i białe, gładkie obrusy — zdawało się, że nie warto było wydawać jeszcze funta czy dwa, niezbędne na lekcje muzyki, na dodatkową kiść wino-

gron. W naturze dziecka leży akceptacja tego, co nieuchronne. Później, wieczorem, dziewczynka nasłuchiwała w zaciszu swego pokoju odgłosów przyjęcia na dole — tego specyficznego papuziego krzyku, przenikliwego i pełnego napięcia, będącego zniekształconym ludzkim głosem, gdy kobiety i mężczyźni zjeżdżają się razem.

Taki był jej dom. Była z niego dumna, nie widziała niczego innego prócz tego śmiesznego powierzchownego blichtru, jak daleko sięgała pamięcią. Sezon czy dwa w Weymouth i Brighton, a potem Londyn — Park Lane, Gloucester Place, Bedford Place, Westbourne Place. I szereg domów, jeden po drugim. Wszystko to było puste i ciche, wszystko stanowiło rozrywkę, i paradę. Jej matka wchodzi z nowym pierścieniem na palcu, zadowolona jak kot z kłębka wełny; śmieje się przez ramię do oficera o niezbyt mądrej twarzy, w szkarłatnym mundurze. Ten idzie za nią krok w krok, a jego powolny umysł nie nadąży za jej lotnymi myślami.

— To moja córeczka, kapitanie Venning, moja malutka Ellen, taka nieśmiała i poważna, nie to, co jej niemądra mama.

I z wibrującym śmiechem przechodzi do salonu, najpierw dając córce znak oczami, że może biec do swego pokoju. A Ellen wspina się statecznie po schodach, z zasznurowanymi ustami, obserwuje własne odbicie w wysokim lustrze i waha się przez chwilę, patrząc na siebie, uderzona słowami matki.

Zastanawia się, czy ma to duże znaczenie, jeżeli komuś brak urody. W lustrze widzi swą twarz — jest szczupła i kanciasta, w przeciwieństwie do zaokrąglonych policzków matki i jej dołeczków w brodzie. Podbródek ma spiczasty, a wydatny nos zakrzywia się ku wąskim ustom, dodając jeszcze surowości jej powadze. „Zupełnie jak dziadek do orzechów”, mówiło sobie dziecko i stukało palcem w wystający garbek, porównując go z zadartym noskiem matki — ten prowokujący nos stanowił chyba jeden z jej największych uroków. Ich oczy i włosy miały zbliżony kolor — łagodny i ciepły brąz — ale na tym kończyło się całe podobieństwo, bo oczy dziecka były głęboko osadzone, bez blasku, a kędzierzawe loki nie dawały się ułożyć.

Oczy matki zmieniały się wraz z nastrojem. Iskrzyły się we-

sołocścią, jasne i czyste, jak oszlifowany bursztyn zwrócony do światła, w chwilę później zaś stawały się głębokie i chmurne, jeszcze bardziej wabiące, uroczo niewidzące, co jest cechą krótkowidza. Jej włosy w miękkich puklach nad czołem, zaczesane — jak to było wówczas w modzie — za uszy i zebrane nad karkiem, odsłaniały białą kolumnę szyi, opadając na przepyszne ramiona.

Ręce Ellen przesunęły się wolno z nosa na blade, ziemiste policzki i zwieszono ramiona. Kiedyś pokojówka w przypływie złego humoru nazwała ją garbuską. Dziewczynka nigdy tego nie zapomniała i nawet teraz zaczerwieniła się na samo wspomnienie. Potem wzruszyła owymi pogardzanymi ramionami, odwróciła się od lustra i weszła do swego pokoju, dokąd z salonu dochodził głos matki — porywczy i namiętny.

No cóż, tamte dni się skończyły. Przyjąć nie było już od ponad roku, nie przychodzili już oficerowie w szkarłatnych mundurach. Nawet lord Folkestone wyjechał za granicę. I oczywiście Jego Królewska Wysokość, który zwykł był tak często ich odwiedzać, kiedy mieszkali przy Park Lane — nie pojawił się u nich od czterech lat. Ellen prawie o nim zapomniała.

Inni ludzie przychodzili teraz do ich domu — ubrani jak na niedzielę, w ciemne ubrania, a kiedy matka nie chciała się z nimi zobaczyć, krzyczeli grubiańsko na służącego, jakby to była jego wina.

Któregoś dnia cały tłum zebrał się pod drzwiami. Ludzie wdarli się do środka i stanęli przed obliczem matki. Nie pozostali tam długo. Matka wysłuchiwała ich skarg, potrząsając łagodnie głową, pozwalając im się wygadać, a potem kiedy prowodyr, tapicer z sąsiedniej Lamb Street, zaczerpnął tchu, spodziewając się, że teraz będzie mu jadała z ręki — obsypała ich stekiem rynsztokowych wyzwisk, celnie wybranych, co wprawiło zgromadzonych mężczyzn w takie zakłopotanie, że nie potrafili się nawet bronić.

Gapili się na nią z otwartymi ustami; nim zdążyli dojść do siebie, wymiotła ich z pokoju i pozostała sama na placu boju, z płonącymi policzkami i oczami miotającymi błyskawice.

Potem przyszły dni i tygodnie niepewności, kiedy to matki

nigdy nie było w domu, a jeśli nawet była, to nie miała dla Ellen czasu, tylko zniecierpliwiony uścisk i: „Biegnij do służącej, dziecko, nie mam ani chwili”. Zamykała się też zaraz z dziwnym gościem; całe godziny mogli przegadać w buduarze, skąd dochodził cichy pomruk ich głosów.

W domu panowała napięta atmosfera — niepokojąca i złowieszcza dla dziecka, które przywykło do normalnego biegu życia. Dziewczynka łaknęła wyjaśnień, których jej nikt nie udzielał. Kiedy wchodziła do kuchni, służba przerywała rozmowę na jej widok, a ten bałwan lokaj chichotał w kułak, wciśkając do kieszeni spodni jakiś pamflet.

George pozostał w szkole na Wielkanoc. Kiedy Ellen napisała do niego, nie odpowiedział. Dziewczynka dręczyła się obawą, że może jest chory i że to rozstanie potrwa długo. Matka odpowiadała jej półsłówkami. Pewnego ranka przed wyjściem z domu zauważyła, że córka chodzi za nią jak cień.

— Przestań, dziecko — powiedziała zniecierpliwiona. — Mówiłam ci już setki razy, że twojemu bratu nic nie jest.

— To dlaczego nie wraca do domu? — spytała Ellen, zaciskając wąskie usta.

— Bo tak jest najlepiej dla niego — padła odpowiedź.

— Jaki jest powód tych wszystkich zmian? — Pewnie jestem jeszcze za mała, żeby to wiedzieć? Nie jestem dzieckiem, które można uspokoić bajeczkami. Służba plotkuje po kątach, ludzie z ulicy przychodzą i gapią się na nasz dom, a wczoraj jakiś chłopak rzucił we mnie kamieniem, kiedy wyglądałam z okna. Możesz zobaczyć, że szyba jest zbita. Dlaczego, kiedy spaceruję po parku, ludzie łożą za mną i pokazują mnie sobie palcami jak małpę w klatce? Dlaczego jakiś dziwny człowiek mrugnął do swego przyjaciela, a potem zatrzymał mnie na schodach i spytał: „Kim jest twój tatuś, panienko, księciem czy śmieciarzem?”

Mówiła z pasją, oczy jej płonęły, malutka twarzyczka była blada i napięta.

Matka spojrzała na nią niepewnie, nerwowo, skubiąc skórzaną rękawiczkę. Jej spokój został zmacony przez te pytania, rzucane z gniewem przez małą, dwunastoletnią dziewczynkę.

— Słuchaj, Ellen — powiedziała szybko. — Mamusia ma wrogów, nieważne dlaczego. Ludzie, którzy przychodzą nas oglądać, są biedni jak bezdomne psy. Chcieliby mnie widzieć czołgającą się i zebrzącą w rynsztoku o chleb. Kiedyś jadali przy moim stole, ale to się już skończyło. Muszę z nimi walczyć o naszą przyszłość: twoją, moją i George'a. Nie mam pieniędzy ani przyjaciół, tylko własny spryt. Pomagał mi wcześniej, pomoże i teraz. Cokolwiek się stanie i jakiegokolwiek brudy będą na mnie wylewać, pamiętaj o jednym: robię to dla waszego dobra, dla ciebie i dla George'a, więc do diabła z tym wszystkim!

Czekała chwilę, jakby miała jeszcze coś powiedzieć, ale po chwili zastanowienia przyłożyła tylko palec do policzka dziewczynki, uśmiechnęła się i odeszła, zostawiając po sobie delikatny zapach perfum, które były jakby częścią niej samej. Na podłożu leżał kawałek papieru, przedarty na pół; mama musiała bezwiednie wypuścić go z ręki.

Ellen podniosła arkusik, żeby wyrzucić go do śmieci. Był to paszkwil, pobazgrany i wulgarny, sprzedawany przez jakiegoś straganiarza na ulicy. Matka przedarła go w poprzek, ale Ellen mogła przeczytać ostatnie cztery linijki, złośliwie drwiąc:

Wierszem opiewać chciałem panią Clarke.
Rymu szukałem, żaden nie pasuje,
W ciemnościach błędząc, wreszcie odnajduję:
Że Clarke to dziwka, a dziwka to Clarke.

Dziewczynka cisnęła papier do kominka i szybko ruszyła w stronę drzwi. Ale na widok lokaja z głupawą, bezmyślną twarzą, wróciła i klękawszy obok paleniska, wyjęła kartkę i podarła ją na strzępy.

2

Minął już rok od tego dnia, kiedy Ellen Clarke znalazła paszkwil dotyczący matki. Teraz już wiedziała o wiele więcej. Stare numery *Gazette*, pozostawione przez służbę, objawiły jej zuchwałym, czarnym drukiem to, czego nie wiedziała wcześniej. Wiernie i żarliwie stawała w obronie Mary Anne przeciwko światu, który ją oczerniał, ale była tylko dzieckiem — bezsilną, komiczną figurką, zamkniętą na szczycie domu niczym mały ptaszek w klatce. Toczył się jakiś wielki proces — tyle rozumiała — a jej matka była głównym świadkiem oskarżenia przeciwko Jego Wysokości Diukowi Yorku, który jeszcze kilka lat temu był ich najdroższym przyjacielem. Jakie to było oskarżenie, tego Ellen nie wiedziała. Ale z powodu tego procesu cały świat zwrócił się przeciwko Mary Anne Clarke. Wszystkie obelżywe plotki dochodziły do uszu dziewczynki i zamieniały się w truciznę. W wieku dwunastu lat miała oczy szeroko otwarte na podłość i niegodziwość nikczemnego świata. Zaczęła rozumieć, jakie wiodły dotąd życie.

Przytyk tu, słówko tam, pamflet rzucony pod drzwi, pokątne rozmowy służby, jej własne wspomnienia z wczesnego dzieciństwa — wszystko układało się w logiczną całość, której nie można było lekceważyć. Pamiętała, że nigdy nie mieszkali długo w jednym domu; że wraz ze zmianą pozycji matki zmieniał się krąg jej przyjaciół. Fragmenty zapomnianych scen znowu napłynęły teraz do umysłu Ellen. Ujrzała siebie jako racz-

kujące dziecko i George'a, o kilka lat starszego od niej, jak wyglądają przez balustradę na brudny zaułek Fiask Walk w Hampstead. Jak uciekają w środku nocy do Worthing, by zatrzymać się u sir Charlesa Milnera; sir Charles daje George'owi szczeniaka, spaniela, a jej porcelanową lalkę. Potem miała lukę we wspomnieniach, zatarł się obraz sir Charlesa — i oto nagle mieszkają w wielkim domu przy Tavistock Place, a jakiś pan, zwany wujkiem Harrym, odwiedza ich codziennie. Pewnego wieczoru matka widocznie z nim się posprzeczała, bo Ellen usłyszała podniesiony głos mężczyzny w salonie i spoglądając przez szparę w drzwiach dostrzegła matkę, jak spokojna i opanowana słucha go z podbródkiem wspartym na ręce i ziewa mu w dość sfatygowaną twarz.

W tydzień później wyprowadzili się z Tavistock Place i spędzili lato w Brighton. Ellen i George jeździli małym powozikiem ciągniętym przez dwa szare kuce. Kolejnej zimy mieli piękny dom przy Park Lane, a matka wydawała przyjęcia cztery razy na tydzień. Ellen pamięta, jak wchodzili ręką w rękę z George'em do salonu, aby powitać Jego Wysokość stojącego na dywanie przed kominkiem. Wydawał się mężczyzną olbrzymiego wzrostu; miał dużą, prostoduszną, czerwoną twarz i wypukłe oczy. Nachylał się nad nimi i obejmował ich ramieniem: „A zatem zostaniesz żołnierzem, czyż nie tak?” — pytał George'a, pociągając go za ucho. „Pojedziesz bić się do Francji? Tak, będziesz żołnierzem!” — Śmiał się, odwracając się do Mary Anne, i z ozdobnej olbrzymiej chusteczki do nosa robił dla Ellen królika z uszami.

W ciągu następnych kolejnych trzech lat Jego Wysokość przychodził do ich domu każdego wieczoru, kiedy był w mieście. Wybierał dla George'a szkołę, kupił mu kuca. Zamknawszy oczy, Ellen widziała go, jak zmierza wielkimi krokami w stronę ich domu i woła matkę, a wielki brzuch kołysze się przed nim. Jak zażywa tabakę, zatykając kciukiem lewe nozdrze wydatnego nosa. A teraz diuk został pokonany, okryty hańbą, ponieważ matka Ellen zeznaje przeciwko niemu na rozprawie.

— Cokolwiek robię, robię to dla ciebie i George'a — mówiła Mary Anne. Z poczuciem wstydu za swą nielojalność Ellen

zastanawiała się, czy ktokolwiek tak naprawdę znał jej matkę; czy wiedział, co kryje się w owych zmiennych brązowych oczach.

W listopadzie tamtego roku ulicznicy palili jej kukłę zamiast Guya Fawkesa. Z okna swej sypialni Ellen słyszała, jak śpiewają tuż za rogiem ulicy:

Mary Annie, Mary Annie
Smaż się, flądno, na patelni!

Biegali z pochodniami w mglistą listopadową noc, z nasadzoną na pikę okrągłą rzepą w koronkowym czepku z różową wstążką.

Teraz znów nadeszła wiosna, a te ohydne wspomnienia są już za nimi, ale stary porządek się skończył i nic już nie będzie takie jak dawniej. Z twarzą rozpląszczoną na szybie Ellen widziała, jak pod drzwiami domu podjeżdża powóz, z którego wysiadają matka i jej przyjaciel lord Chichester. Przyszli pewnie zobaczyć, jak postępuje sprzedaż mebli. Ciekawość, niemal chorobliwa, kazała Ellen obserwować zachowanie matki. Znów skradała się po schodach do pokoju przyjęć i okazało się, że tłum wścibskich obcych już zniknął, podłogi i ściany są puste, a pośrodku małego, ogołoczonego z mebli pokoju stoją lord Chichester i Mary Anne, ustalając ceny z urzędnikiem o zgorzkniałej twarzy.

— Sto cztery gwinee za komplet z salonu! Przecież mówiłam panu, że te krzesła są warte pięćdziesiąt funtów za sztukę.

— Tak, ale nigdy za nie nie zapłaciłaś — zauważył Jego Lordowska Mość sucho.

— To nie ma nic do rzeczy. Moja kanapa z buduaru — czterdzieści dziewięć gwinei! Zrobili niezły interes. Zapłaciłam dziewięćdziesiąt gwinei za tę kanapę zaledwie cztery lata temu, a oni mi dają tylko pięćdziesiąt!

— Dobra cena, zważywszy jej stan, proszę pani — wtrącił urzędnik. — Pokrycie jest wytarte i poplamione, a jedna nóżka porysowana.

— Ta kanapa nieźle się wysłużyła — mruknął lord Chichester.

Spojrzała na niego ironicznie, trzepocząc rzęsami.

— To może tylko podwoić jej wartość dla nabywcy — powiedziała. — Kieliszeczek wina, trochę wyobraźni, dyskretne światło... Mój drogi, powinieneś sam ją kupić. To mogłoby podsyć płomień, który dzisiaj już tak rzadko w tobie płonie.

— Oboje już nie jesteśmy tacy młodzi jak kiedyś.

— Właśnie, dlatego ta kanapa by ci się przydała. Sto osiemnaście gwinei za moje szkło! Nieźle. Pięćdziesiąt funtów za zegar z kurantem! Jak często przywracał mi przytomność, kiedy już było za późno! Wcale mi nie żal z nim się rozstawać. Był zbyt natarczywy. Pięć gwinei za miniaturkę księcia!? Ellen, co ty tu robisz? To dziecko z każdym dniem coraz bardziej upodabnia się do gнома.

— Ile masz lat, Ellen? — zapytał Chichester.

— Zaledwie osiem — uprzedziła ją matka.

— Dwanaście i pół — odpowiedziało dziecko.

Jej Lordowska Mość wybuchnął śmiechem.

— Nie uda ci się okpić własnej córki!

Przypomniał sobie określenie, jakiego użyła na rozprawie. „Moje maleństwa, powiedziała. Moja maleńka córeczka ledwie co wyszła z kołyski.” Ujrzał żałosne drżenie jej ust, łzy na rzęsach, bezradne wzruszenie cudownych ramion. Cóż za aktorka z tej kobiety! Całkowicie pozbawiona skrupułów, sprzedaby najlepszego przyjaciela i własną duszę na dodatek. Ale nie porzuciła dzieci. Tak jak lisica nie pozostawi w norze swych małych...

Przyszłość syna była już zapewniona. Zadbał o to. Czesne za jego naukę zapłacono z góry i kupiony został patent oficerski w pułku liniowym. Co zaś się tyczy córki, to dostanie dożycie po śmierci matki. Lord Chichester zastanawiał się, jaki ta mała zrobi z owych pieniędzy użytek; z tymi ostrymi rysami i okrągłymi plecami nie pójdzie w ślady matki. Nie ma wszak wdzięku ani uroku dziewczyny z ulicy: zuchwałej, prowokującej, ponętnej, bo źle wychowanej.

Mary Anne, rozpustna i podstępna, stawiła czoło życiu, jak ulicznik grając mu na nosie. Nie wiodło jej się najgorzej od czasu rozstania z diukiem, mimo całego rzekomego ubóstwa.

Folkestone dbał o wszystko i płacił jej długi. To był główny problem pani Clarke — pieniądze przeciekały jej przez palce. Musi ograniczyć wydatki i obniżyć swój poziom życia, jeśli zamierza pozostać na utrzymaniu diuka. I tysiąc franków byłoby dla niej za mało!

Podszedł do buduaru, ogołoczonego z mebli; w miejscu, gdzie przedtem wisały obrazy, pozostały na ścianach pociemniałe plamy. W pokoju panowała atmosfera rozpusty i niechlujstwa. Na pół zapakowane kufry z rzeczami stały jeden za drugim na podłodze. Szkatułka z błyskotkami poniewierała się na jednonogim stołku, częściowo przykryta wyszywaniem szalem, tu i tam leżały rozsypane paciorki z zerwanej nitki jedwabnej z supełkami, jedna czy dwie książki, miniatura, arkusz nut. Pośród całego tego bałaganu czekał i parsknął śliną na ich widok zasapany, pocieszny piesek salonowy, w złotej obroży otaczającej tłuste gardło. W pomieszczeniu unosiła się ciężka woń psa i zwietrzałych perfum. Okna były szczelnie zamknięte.

Lord Chichester uniósł brwi i przyłożył do nosa batystową chusteczkę. Pokój zdradzał swą właścicielkę. Przypominał otoczenie, w jakim wyrosła: pospolite rudery z czasów jej młodości, brudne i zaniedbane, nigdy nie zasłane łóżka, nie dojedzone resztki śniadania gnijące na niedomytym talerzu, krzyki wiecznie pijanego ojca, rynsztokowe słownictwo z ulicy.

Ujrzał Mary Anne taką, jaką musiała być w wieku dwunastu lat, tym samym co ta mała: zuchwałą, o pełnych piersiach, z falującymi włosami i przedwcześnie dojrzałą wulgarnością. Z czerwonymi ustami, dobrze umiejacymi liczyć. Jak obserwuje mężczyzn spod oka, odnotowując ich głupotę; jak w pełni świadoma swego zgubnego czaru rzuca się z wyrachowaną deprawacją w wir takiego życia, jakie jej odpowiada.

Żadne słówko z tamtego okresu nie umknęło jej pamięci. Mogła być aktorką i prostytutką, a także, w wieku siedemnastu lat, żoną jakiegoś nieszczęsnego kupca w Hoxton, jak niosła wieść, ale przy aktualnej pozycji kochanki diuka Yorku dociekanie przeszłości było dla niej niepożądane.

Lord Chichester uśmiechnął się znowu na myśl o jej ostrym języku i lotnym dowcipie. Przypomniał sobie, jak wywołała na

rozprawie ataki śmiechu swymi bystrymi odpowiedziami na pytania sędziego. I gdy bawiła się teraz swymi błyskotkami i głaśkała tłustego psa, Chichester zmrużył oczy i wyczarował w pamięci jej obraz jako świadka oskarżenia: zjawiskowa postać w błękitnej jedwabnej sukni, ubrana jak na wieczorne przyjęcie, z białą woalką nad czołem. Mała rączka bawi się niedbale gro-nostajową mufką.

Ujrzał znów ów afektowanie skromny wyraz twarzy, czemu zadawał kłam zuchwały, zadarty nos. Mary Anne pochyła lekko głowę na bok, gdy sędzia zwraca się do niej z nadmierną łaskawością. Chwilę się wahając, rzuca przelotne spojrzenie na audytorium, jakby chciał uprzedzić, że może ją zawstydzić, i pyta: „Pod czyją opieką znajduje się pani teraz, pani Clarke?” I jej szybka, niczym pchnięcie rapierem odpowiedź: „Myślałam, mi-lordzie, że pod pańską”. Przez salę przelatuje chichot, a szacowny sędzia czerwienieje i skubiąc pióro, szuka czegoś po omacku w swych papierach. Tymczasem ona, chłodna i nieporuszona, czeka na kolejne pytanie.

Każdy, kto chciał przechytrzyć Mary Anne, mógł zostać wystrychnięty na dudka! Stosowała wszystkie podle sztuczki swojej płci, wszystkie te niskie zagrywki, nie wstydząc się własnej chciwości, skapstwa, niewierności i fałszu. Odnosiła jeden drobny triumf po drugim, używając kabzy swych kochanków do osiągnięcia dobrobytu...

Chichester spojrział na nią znowu — na białą szyję, zarys podbródka, rozpustne, wrażliwe usta. Wzruszył ramionami i wybaczył jej wszystko.

— Jakie masz plany? — zapytał lakonicznie.

Mary Anne spojrzała na niego błędnym wzrokiem, przebie-rając palcami po bransolecie na nadgarstku.

— Plany? — powtórzyła. — Nigdy nie robię planów dalszych niż na następny dzień. Czy kiedykolwiek było inaczej? Posłuchałam twjej rady, zamierzam opuścić ten kraj. W sobotę udajemy się z Ellen do Francji. A później, kto wie? Przyszłość pokaże.

Dziewczynka, która obserwowała ją uważnie, teraz skwapliwie podchwyciła jej słowa:

— Wyjeżdżamy z Anglii?

Matka z udawanym wzruszeniem przyciągnęła ją do siebie i okryła pocałunkami.

— Moje biedne maleństwo, wyganiają nas z domu. Jesteśmy skazane na banicję i poniewierkę w obcym kraju, opuszczone, niepotrzebne. Będziemy się tak tułać po świecie, szukając schronienia...

— Z tysiącem funtów w banku poza twoimi uskładanymi pieniędzmi od Folkestone'a oraz klejnotami i srebrem — przerwał Chichester. — Będziesz żyła jak królowa, o ile powstrzymasz się od hazardu. Nie zapomniałaś warunków kontraktu?

— Czyż mogłabym?

— Jesteś zdolna do każdej podłości, jeśli uznasz, że to ci się opłaca. Daj mi kontrakt, przeczytam ci go jeszcze raz.

— Chyba Ellen powinna wyjść z pokoju.

— Nonsens, powinna zostać. Tu przecież chodzi o jej przyszłość.

Matka machnęła obojętnie ręką. Wstała i podeszła do jednej ze skrzyń w kącie pokoju, grzebała w niej przez chwilę i wróciła z arkuszem pergaminu.

Lord Chichester wziął od niej dokument.

— Wiesz, że to tylko kopia? Oryginał ma diuk.

Kiwnęła głową, obserwując mężczyznę z rozbawieniem. Zmarszczył brwi na jej brak powagi i zaczął czytać:

— „Przyjmując zaproponowane warunki, ja, Mary Anne Clarke, przyrzekam oddać wszystkie przechowywane przeze mnie i znajdujące się w moim posiadaniu listy, dokumenty i notatki dotyczące Diuka Yorku oraz innych członków Rodziny Królewskiej, a zwłaszcza listy, dokumenty i notatki pisane i podpisane przez rzeczonego diuka.

Przyrzekam także wystarać się o wszystkie listy przechowywane przez inne osoby i dostarczyć je przyjacielowi diuka.

Wyrażam również zgodę na złożenie w stosownym czasie uroczystej przysięgi, że wydałam wszystkie znajdujące się w moim posiadaniu i pod moją pieczę listy oraz inne pisma Diuka Yorku, o których mi wiadomo.

Dalej obiecuję nie pisać i nie publikować żadnego artykułu dotyczącego mojego związku z diukiem ani też nie puszczać w obieg słownie lub na piśmie żadnych zasłyszanych od diuka anegdot.

Następnie wyrażam zgodę, żeby w razie mojego niezastosowania się do wymienionych wyżej warunków przyznane mi dożywocie (dziedziczone następnie przez moją córkę) zostało bezpowrotnie wstrzymane.

Zobowiązuję się przekazać wszystkie listy, natomiast rękopisy i te ich fragmenty, które zostały już wydrukowane, będą spalone w obecności wyznaczonej do tego celu osoby. Przyrzekam także nie zatrzymać ani jednej kopii żadnego z listów diuka Yorku ani żadnego rękopisu czy też jego części.

Datowano: 1 kwietnia 1809

Podpisano: Mary Anne Clarke"

Zatem widzisz, moja droga Ellen — ciągnął lord Chichester, składając papier i zwracając go pani Clarke — że cała twoja przyszłość zależy od dotrzymania przez matkę zobowiązania, rozumiesz?

Dziewczynka pokiwała uroczyście głową. Usta miała zaciśnięte, oczy chłodne. Wyglądała na zmęczoną i starszą nad swój wiek.

— Jeśli matka pokłóciła się z diukiem, to dlaczego Jego Wysokość daje nam pieniądze? — zapytała. — Dlaczego w ogóle interesuje się nami? Czemu płaci za szkołę George'a? To chyba wielkoduszne z jego strony, że w ogóle się o nas troszczy.

Chichester rozważał w myślach te słowa. Ciężki uśmiech pojawił się na jego ustach. Uknuł małą złośliwość:

— Popatrz na siebie w lustrze.

Dziewczynka posłuchała go z powagą; pchnięta ciekawością podeszła do porysowanego lustra, jedyne, jakie nie zostało sprzedane, i oglądała swą małą postać z zainteresowaniem.

— Widzisz podobieństwo? — spytał mężczyzna, mrugając do Mary Anne.

Ellen popatrzyła na swe wystające kości policzkowe, wydatny haczykowany nos, stanowcze wąskie usta — i nagle dotarł

do niej sens słów Chicheстера. Na chwile oniemiała, niepewna i zakłopotana, a po chwili to ziarnko zakiełkowało w dziecięcym, nieukształtowanym umyśle. Puściła wodze fantazji, w jej pamięci ożyły historyczne sceny. Przyprawiająca o zawrót głowy procesja królów i królowych Anglii w przepychu srebra i złota przesunęła się w jej myślach.

Dziewczynka wyprostowała swe okrągłe plecy, podniosła wysoko spiczasty podbródek i bez słowa, z godnością wyszła z pokoju.

Chichester postukał w tabakierkę i westchnął.

— To niecne z mojej strony — przyznał. — Teraz już zawsze będzie wierzyła, że ma w żyłach królewską krew i to zatruje jej życie. Ziarno przetrwa aż do trzeciego czy czwartego pokolenia... Czy widziałś wyraz jej oczu? Do licha, pycha to nieodłączna wada ludzkości. Zaspokój przynajmniej moją ciekawość, kto jest jej ojcem?

Mary Anne ziewnęła zaraźliwie. Podniosła ręce nad głowę i przebierała palcami w puklach swych rozpuszczonych brązowych włosów. Wyglądała jak wcielenie niewinności, jak rozczochrane, zaspane dziecko. Potem zmarszczyła nos i roześmiała się tym swoim miękkim, szczerym, nieco wulgarnym śmiechem, tak zaraźliwym i ujmującym, że stanowił jakby jej integralną część.

— Tylu jest ludzi w Brighton — mruknęła. — Nie mam pamięci do twarzy.

3

Morze w Dover pokryte było białą pianą. Statek pocztowy kołysał się niespokojnie obok nabrzeża, a garstka pasażerów stała zbита w małą gromadkę na brzegu, odwlekając, ile się da moment rozstania. Wapienne skały Anglii pochylały się nad podróżnymi, jakby chroniąc ich przed groźnym szarym niebem. Mewy śmigały nad lśniąca wodą z niespokojnym krzykiem. W wilgotnym powietrzu unosiła się woń ryb, stęchłej żywności i ów nie dający się opisać zapach łodzi: smolisty i skwaśniały, drażniący wrażliwe nozdrza tych, co mieli wsiąść na statek nie z własnej woli.

Za portem zielone wody kanału chwiały się w pijackim rytmie, fale goniły jedna drugą i biegły na oślep w kompletnym chaosie ku dalekiemu horyzontowi. Nawet najśmielszy z podróżnych wiedział, czego się można spodziewać, gdy opuszczający port statek wykonywał swój pierwszy ukłon w stronę morza. Podniesie się znieznacka i przez ułamek sekundy będzie się unosił powoli i dostojnie na grzbiecie fali, a potem opadnie gwałtownie i przechylony, drżąc cały od rufy do burty, zacznie jęczeć i sapać jak zadyszana kobieta. Wypowiedziano słowa pożegnania, uściśnięto dłonie, wykrzyczano ostatnie polecenia do uszu nieuważnych słuchaczy.

Ellen, w swym najlepszym płaszczyku i czapce przybranej futerkiem, przechyliła się przez balustradę, by obserwować zamieszanie na dolnym pokładzie. Biedniejsi pasażerowie mio-

tali się to tu, to tam, jak zwierzęta w zagrodzie, rozpaczliwie próbując zapewnić sobie wolną przestrzeń. Niektórzy, pogodzeni z tym, co nieuniknione, kulili się na pokładzie z chusteczkami przy ustach i tępym wzrokiem patrzyli w udręce na wzburzone morze.

Dzieci płakały, kobiety uspokajały je histerycznie, wpychając im przemocą w usta ciasto i owoce. Mężczyźni krzyczeli bez powodu; gubiono bagaże. Trajkotanie i jałowe dyskusje powiększały tylko ogólny zamęt.

Na pokładzie, gdzie stała Ellen, było stosunkowo spokojnie. Kilko pasażerów pierwszej klasy siedziało, starannie opatulonych i okręconych szalami, trzymając w rękach sole trzeźwiące albo książki — zależnie od stopnia wytrzymałości ich żołądków.

Matka Ellen ze zwykłym sobie zuchwalstwem, dzięki uśmiechom albo przekupstwu, zajęła małą kabinę, zastawioną teraz dokładnie ich rzeczami. Pośród czepków, futer, tobołów i kufrów siedział jej piesek, wypielęgnowany i naperfumowany; ślina spływała mu z pyszczka.

Fladgate, adwokat, który przybył w Londynu, by sprawdzić, czy są bezpiecznie zaokrętowane, patrzył na bagaże z pojęciem w oczach. Taki styl podróży powodował niepotrzebne wydatki i źle wróżył na przyszłość. Było dlań oczywiste, że jego klientka nie zamierza ograniczyć swych wydatków do poziomu dochodów.

Po raz ostatni rozpoczął mały wykład o potrzebie roztropności i zalecił oszczędność. Wykład ten ilustrował potknięciami językowymi, a Mary Anne słuchała go cierpliwie z uśmiechem na ustach, podczas gdy oczy jej biegły nieustannie ku stojącemu nieopodal nieznanemu, z rondem kapelusza nasuniętym na czoło, jednocześnie zadowolonemu i zażenowanemu z racji tak jawnego zainteresowania damy.

Wyglądała uroczo i zarazem absurdalnie, przesadnie wystrojona, z różem na policzkach harmonizującym z atłasową kokardą jej peleryny i odcieniem piórka na berecie.

Jaki kontrast stanowi, pomyślała Ellen, z bezbarwnie i statecznie ubraną Francuzką z dolnego pokładu, z jej zmęczoną, pobrużdżoną twarzą i zniszczonymi rękami oraz czarną suknią

i wełnianym szalem, Tej kobiecie z gromadką dzieci udało się wreszcie znaleźć miejsce w kącie pokładu. Usadowiwszy chłopczyka i małą płaczącą dziewczynkę na kolanach ich starszej siostry, odwróciła się do najstarszego syna i ze łzami w oczach przygotowywała się do pożegnania. Rozumiejąc piąte przez dziesiąte z ich francuszczyzny, Ellen dowiedziała się, że chłopak pozostaje w Anglii, skąd będzie przysyłał tak często, jak tylko się da, wiadomości o swym zdrowiu i o tym, jak mu się wiedzie. Tymczasem jego matka, prawdopodobnie samotna wdowa, wracała do Francji. Na widok jej łez chłopak stracił całe swe męstwo i ten wielki, osiemnastoletni albo też starszy chłop rozmazał się jak dzieciak.

— Maman, maman! — Wyciągał do niej rękę.

Ellen obserwując ową scenę, czuła się zażenowana, a także zazdrosna o ich miłość. Ten chłopak czule obejmował swą matkę, podczas gdy George niedbale i obojętnie przysłał im lakoniczne pożegnanie. Mary Anne ucałowała gorąco list, a potem odłożyła na bok.

— Jak tylko się osiedlimy, przyjedziesz do nas, Robercie — zapewniała kobieta.

Te słowa powinna była powiedzieć jej matka, a nie robiła tego, pomyślała Ellen. Nie mając braci ani sióstr, dzieliła kłopoty z ową biedną francuską rodziną z dolnego pokładu. Francuzka uśmiechnęła się teraz przez łzy i wygładziła swój szal.

— Wracamy do domu, Robercie, musisz o tym pamiętać. Z powrotem do domu, po dziewiętnastu latach. Z powrotem tam, gdzie przynależymy. Do swoich!

Chłopak uśmiechnął się żałośnie i rozłożył ręce.

— To twój dom, mamusiu, nie nasz. Jak może być nasz, skoro go nigdy nie widzieliśmy?

Potrząsnęła głową i zacisnęła usta w uporze.

— Kiedy przyjedziesz, zrozumiesz. To takie proste i naturalne być Francuzem. Nie można się wyrzec więzów krwi, Robercie. Wiem, co mówię. Zbyt długo mieszkałam w obcym kraju. To staje się trucizną.

Pocałowała znowu syna, a potem odsunęła go od siebie;

chłopak odwrócił się, poruszając bezgłośnie ustami. Wyciągnął ręce do braci i siostr, przekazując im ostatnie słowa:

— Do widzenia, Jacques. Jesteś teraz najstarszy, musisz się troszczyć o wszystkich. — Te słowa skierował do swego młodszego o rok czy dwa brata o bladej twarzy, który z niepokojem zerkał przez ramię na wznoszące się morze; jego chłopięce barki wydawały się zbyt wątłe, by udźwignąć ciężar odpowiedzialności. — Louise, najdroższa siostrzyczko, będziesz często pisała, prawda?

Dziewczyna potwierdziła obietnicę, zarzucając mu ręce na szyję: jej długie włosy muskały mu policzki. Jaka szlachetna, śliczna twarz, pomyślała Ellen, jaka dobra i czuła. Ta panienka pewnie nigdy się nie złości.

Robert nachylił się teraz do małego braciszka i malutkiej siostrzyczki na kolanach Louise.

— Bądź grzeczny, Guillaume. Pamiętaj o pacierzu, Adelaïdo.

Dzieci zaczęły płakać, trąc oczy piąstkami. Robert musiał się już wymknąć niepostrzeżenie i wydostać na nabrzeże.

— A gdzie jest Louis-Mathurin? — zawołała nagle matka z nutą paniki w głosie.

Zapanowało poruszenie i zamieszanie. Głowy odwracały się to tu, to tam, a nad głosem matki górował przejmujący, pełen niepokoju krzyk Louise:

— Louis-Mathurin, gdzie jesteś?

Ellen przechyliła się przez balustradę, złączona z nimi w niepokoju o zaginione dziecko. Nagle usłyszała za sobą cichy śmiech — ów charakterystyczny miękki chichot matki, gdy była zadowolona — i odwróciwszy się, ujrzała Mary Anne stojącą z lekkim uśmiechem na ustach, a u jej boku wysokiego, śniadego mężczyznę.

— Co tu robisz, Ellen? Przyglądasz się tym pospolitym ludziom? Jeszcze cię obleżą jakieś pchły. Chodź no tutaj i przywitaj się z tym dżentelmenem, który był tak uprzejmy i zaprosił nas, byśmy zjadły z nim obiad.

Nieznajomy przymilał się do Ellen i głaskał ją po głowie dłonią z wielkim pierścieniem na palcu.

— Jak się masz, panienko?

Dziewczynka przyjrzała mu się ponuro, a potem odwróciła się doń plecami i złapała matkę za rękaw.

— Ci biedni Francuzi, popatrz, zgubili jedno ze swoich dzieci. Może wypadło za burtę!

Nieznajomy zaśmiał się i razem z nią przechylił się przez balustradę.

— Zawsze jest tyle zamieszania na dolnym pokładzie. W dzisiejszych czasach, gdy ci wszyscy emigranci wracają do domu, jest jeszcze gorzej niż kiedyś. Tej zimy to już prawdziwe tłumy; płyną z powrotem, mając nadzieję na odzyskanie swych utraconych włości i dobytku. Ta kobieta na dole jest z Bretonii, sądząc po akcencie. Proszę popatrzeć na jej płaską twarz i brązowe oczy. One wszystkie wyglądają tak samo.

— A pan, sir, z jakiej części Francji ma zaszczyt pochodzić?
— Ton Mary Anne był prowokujący, w jej głosie słychać było wyzwanie.

Nieznajomy uśmiechnął się do niej.

— Pochodzę z południa — mruknął — gdzie uczucia się silne i gorące, a kobiety i mężczyźni mają nienasycony apetyt na rozkosze.

Ellen odwróciła się od nich zirytowana i znów podeszła do balustrady. Przyjaciele jej matki byli zawsze tacy sami — afektowani i nieszczerzy; w ich rozmowach dominowała nieustanna kpina z ludzi i rzeczy. Biedna rodzina z dolnego pokładu nie zasługiwała na ich współczucie.

I wtedy nagle go ujrzała — tego zaginionego chłopca, którego wszyscy szukali: stał niepewnie na burcie, z jedną nogą wiszącą w powietrzu, prawą ręką zaś ścisnął linę. Był to chłopak mniej więcej w jej wieku, nieco od niej wyższy, z okrągłą twarzą, zadartym nosem i kędzierzawymi kasztanowatymi włosami. Twarz miał zwróconą ku niebu, jasnoniebieskie oczy obserwowały śmigającą mewę. Wisząc tak pomiędzy niebem a morzem, nieświadomy tłumowi w dole, śpiewał sobie chłopięcym, melodyjnym, czystym głosem, wznoszącym się lekko i swobodnie jak ptak, którego podziwiał.

— Louis, zejźdź na dół natychmiast, bo spadniesz! — wołała

matka, ale chłopiec wciąż kołysał się na jednej nodze, patrząc w smagane wiatrem niebo, pochłonięty śpiewem.

Ellen śledziła go zafascynowana. Nawet jej matka przerwała na chwilę swój flirt z nieznanym i słuchała pieśni z uśmiechem na ustach.

— Ten chłopak śpiewa jak anioł — powiedziała.

I wtedy nagle głos umilkł, a śpiewak, uprzytomniwszy sobie, że na niego patrzą, poczerwieniał i ześlizgnął się na pokład. Czar prysł. Pozostał tylko mały chłopak z zadartym nosem i zuchwałymi niebieskimi oczyma.

— Chodź, Ellen — powiedziała matka. — Schodzimy na dół na obiad. Zostawmy tych emigrantów z ich chlebem i serem.

Statek zanurzył dziób ociężale w płytkiej wodzie kanału, a siekący deszcz zmieszany z pyłem wodnym, drażniący i chłodny, ziębił ręce i nogi.

Obiad nie był udany. Twarze podróżnych wyraźnie pobrały, szmer głosów osłabł. Śniady nieznanemu, który z taką galanterią proponował wino, nagle zapadł w milczenie po opróżnieniu swego kielicha. Uśmiech miał wymuszony i pokasywał z zakłopotaniem. Wreszcie wymruczał coś na przeprosiny i zniknął.

Mary Anne zmarszczyła nos i wybuchnęła wesołym śmiechem. Kołysanie statku nie przeszkodziło jej wcale. Kroiła z apetytem stek, z którego krew spływała na talerz, i nadziewała kawałki tłuszczu na widelec, by oddawać je psu, który obliżywał się i połykał każdy skrawek w całości. Ellen przewracała się na swej koi z kolanami pod brodą, wyobrażając sobie sypialnię przy Westbourne Place.

Kiedy Mary Anne zjadła obiad, otuliła się płaszczem i wyszła na pokład. Deszcz i wiatr wciskały się pod jej czepek i nawiewały włosy na twarz. Podeszła do balustrady, gdzie przed obiadem stała jej córka, i patrzyła w dół na emigrantów.

Francuska rodzina przechodziła chorobę morską. Kobieta, z rękami złożonymi do modlitwy, kołysała się na boki wraz z pokładem, trzymając między palcami różaniec. Co jakiś czas jęczała głośno, gdy statek wznosił się na zawrotną wysokość, a potem znów opadał.

Jej jasnowłosa córka trzymała młodsze rodzeństwo na kolanach. Zmizerowany Jacques leżał plackiem na pokładzie. Nawet śpiewający anioł stracił swą werwę i obserwował morze z wyrazem udręki w jasnoniebieskich oczach.

— Biedny mały! — zaśmiała się Mary Anne. — Nie znasz wód kanału pomiędzy Anglią i Francją. — I, otworzywszy sakiewkę, rzuciła mu monetę na dół, na pokład.

Zdziwiony chłopak podniósł wzrok, a kiedy pani Clarke kiwnęła głową i uśmiechnęła się do niego, wskazując na monetę, poczerwieniał z dumy i wstydu i odwrócił głowę. Mary Anne zaśmiała się znowu i już miała na niego zawołać, gdy jakiś marynarz krzyczący nad jej głową odwrócił jej uwagę. Spojrzała w górę i hen, w oddali, ponad dziobem statku ujrzała zarysy Francji.

Chłopak obserwował nieznaną damę przez chwilę, a widząc, że o nim zapomniała i patrzy na horyzont, ukradkiem zerknął na chorującą rodzinę. Nie widziany przez nikogo, wyciągnął rękę i moneta znalazła się w jego kieszeni. Potem znowu odchylił się do tyłu, udając, że śpi. Tymczasem siostra, zaniepokojona jego poruszeniem, pochyliła się nad nim, aby go ułożyć. Przebierała palcami w jego kędzierzawych włosach.

Mary Anne nuciła pod nosem, przytupując zabawnie małą stopką. Pomyślała, że jej włóczęgowskie życie się skończyło i teraz będzie mogła wreszcie pozwolić sobie na przyjemności, zamiast stale dogadzać mężczyznom. Ostatnie lata i jej rola porzuconej kochanki były nie do zniesienia. Nie mogło dojść do większego poniżenia. Najpierw pani Clarke nadskakiwano, schlebiano i serdecznie witano ją w każdym domu. Miała przyjaciół i służbę na usługi oraz rozległe możliwości. A potem została zlekceważona, odstawiona na bok. Ziewano otwarcie w jej obecności, była znieważana przez służących, zaszczuta przez sklepikarzy i dostawców. Pogardzali nią przyjaciele, którzy poprzednio całowali jej ręce — nie, tego nie można wybaczyć. Nigdy, nigdy, jak długo przyjdzie jej żyć. Udało jej się już sprawić, że przez nią cierpiał, ale będzie cierpiał jeszcze bardziej. Jakże go teraz nienawidzi — tej czerwonej krostowatej twarzy, opastego brzucha, purpurowego, bulwiastego nosa! Nienawidzi

jego braci i całej rodziny — ich wulgarnej mowy, prostackich manier, sposobu jedzenia, picia i spania...

Och, Boże w niebiosach, co ona musiała znieść! Ale teraz już się skończyło, wszystko jest poza nią. A przed nią — nowy kraj, nowy świat.

Będzie mogła zabawić się i odprężyć — po raz pierwszy w życiu. Ma, czego chciała: dożywocie dla siebie i Ellen, patent oficerski dla George'a. Jej długi popłacono, meble sprzedano. Umowa została podpisana i poświadczona. Cox i Greenwood pilnują jej interesów, a Chichester zostanie już przy niej do końca. Cokolwiek się stanie, Mary Anne ma w rękach kartę atutową.

Uśmiechnęła się i pogłaskała podbicie swej mufki. Tak, są tu, przemyślnie i sprytnie schowane; aż dziw, że taki gruby zwitek udało się tak dobrze ukryć. A jakże rewelacyjna jest jego zawartość! Jak obciąża reputację autora! Pieściła paczkę prawie czule przez podszewkę mufki. Znała na pamięć ów czerpany papier, herb na kopercie oraz brzydkie, rozlazłe pismo. To może przynieść jej niemały dochód, gdy zajdzie potrzeba: tuzin listów diuka, które wskutek kaprysu losu uniknęły płomieni.

CZĘŚĆ
DRUGA



4

La Maison d'Education przy rue Neuve St. Etienne w Paryżu był to stateczny, ponury budynek, wciśnięty pomiędzy stare domy, kiedyś gwarne, teraz zaś nie zamieszkałe, ponieważ ich właściciele uciekli przed rewolucją i nigdy nie powrócili.

Dawniej w tych salonach rozbrzmiewał śmiech, dźwięczała muzyka i pieśni; w pokojach słyszało się szelest jedwabnych sukni i stukanie wąskich obcasików, i długo w noc lokaje biegali po brukowanej ulicy, z latarniami i pochodniami, oświetlając dom Madame la Comtesse. Wesoło było w owe dni przed burzą; słyszało się dźwięki altówki i szpinetu, zachwycające, choć nie zawsze szczere komplementy; prowadzono konwersacje znaczące wszystko albo nic. Królowała podniecająca atmosfera pudru, masek, przylepianych muszek i skrywanych za wachlarzem uśmiechów.

Bańka mydlana przysła wraz z nadejściem rewolucji. Cała ta powierzchowna i czcza słodycz zniknęła bez śladu. Nawet ściany starych domów pociemniały od podejrzeń; okna pozostały zasłonięte i nie oświetlone, jakby krył się za nimi jakiś szpieg, z uchem przy ścianie, lękający się własnego cienia.

Na domach tych była plama hańby, ślady krwi pozostały na ulicach. Ból i udręka czasów terroru owiały zimnym oddechem kamienie, mroząc biedne, zagubione dusze.

Kiedy bito w werble na cześć Napoleona, a flagi zmieniały

się w sztandary, w domach tych zapanowało poruszenie, jakby znowu budziły się do życia. Otwierano okna, by schwytać uchem dźwięk; nowy przeciąg, zrodzony przez nowy wiatr, powiewał w korytarzach. Alarm okazał się jednak fałszywy i domy znowu zaczynały obumierać. Już nigdy nie miała wrócić dawna wesołość; skończył się wiek XVIII. Burboni, którzy zastąpili imperatora, przypomina maskaradowych królów w sztucznych koronach na głowie. Było coś niegodnego w owym dążeniu do ponownego wzniesienia zdeptanego ognia, próbie wskrzeszenia trupa, przedłużaniu szaleństw Trianon i przepychu Wersalu aż po stateczny burżuazyjny rok 1820 — jak fałszywa nuta na przyjęciu, zmuszająca niechętnych gości do grania w szarady. Kostiumy okazały się już znoszone i niemodne, nikt nie miał talentu ani ognia, nikt nie chciał grać.

Tak więc domy przy rue St. Etienne stały zniszczone i opustoszałe. Niektóre zamieniły się w biura, inne w magazyny, a numer 8 stał się Maison d'Education pod zwierzchnictwem Madame Pousard.

Tu właśnie córki nowej socjety uczyły się mówić po niemiecku, włosku i angielsku, paprać się w akwarelach, z wysiłkiem haftować jedwab, tłuc albo brzęczeć na pianinie (zależnie od zwinności ich palców), a w zaciszu pokojów trajkotać i chichotać, jak to zawsze czynią młode dziewczyny. Przełożona uważała się za szczęściarę, kiedy udało jej się pozyskać pannę Louise Busson du Maurier jako nauczycielkę angielskiego. Młoda dama mówiła tym językiem płynnie, jako że dzieciństwo spędziła w Londynie. Do Francji przyjechała mając piętnaście lat i podobnie jak większość owych powracających *emigres* była po trosze dumna i po trosze skłonna zaliczać się do grupy odchodzących *noblesse*. Łatwo jej to jednak wybaczone — miała tak czułe serce, była taka łagodna i lubiana przez uczennice. Posiadała ogromne wyczucie form towarzyskich, zgodnie z jej pozycją nauczycielki, i na dodatek okazała się bardzo religijna.

— Jeśli to tylko będzie możliwe — wyjaśniła przełożonej na wstępie — przystąpię do zgromadzenia *Sacre Coeur*. Wiem, że jedyne prawdziwe szczęście w życiu to służba Panu. Może wkrótce będę mogła to uczynić. Na razie chcę zarabiać na swo-

je utrzymanie i pomagać rodzinie. Muszę się przyznać, że dotąd nie potrzebowałam pracować i nigdy nie przypuszczałam, iż to będzie konieczne.

— Czy mogłabym poznać bliższe okoliczności, *mademoiselle*?

Panna Busson du Maurier (ten dodatek „du Maurier” jest nieco cudaczny w dzisiejszych czasach, kiedy pochodzenie nic nie znaczy, pomyślała przełożona) westchnęła i potrząsnęła głową.

— Byliśmy bardzo zawiedzeni po powrocie do Francji — wyznała. — Mój ojciec spodziewał się, że znacznie więcej dla nas uzyska. Fabryka szkła, którą postawił mój dziadek, została zniszczona, a nasz *chateau* obróciło się w ruinę! Nikt nie chciał nas przyjąć, nikt o nas nie pamiętał. To złamało mu serce.

— Dwadzieścia lat to szmat czasu na wygnaniu, *mademoiselle* — zauważyła chłodno przełożona. Jej mąż był komisarzem w St. Denis, a ona pozostała wierną republikanką. Niewiele miała sympatii dla tych emigrantów, którzy opuścili kraj w chwili niebezpieczeństwa, a teraz spodziewają się przyjęcia z otwartymi rękami.

— Zatem nie otrzymała pani odszkodowania? — spytała.

Nauczycielka angielskiego wydobyła arkusz pergaminu.

— Jedyne to — powiedziała z goryczą. — A my mamy się jeszcze uśmiechać i być wdzięczni. Jest nas sześcioro, Madame Pousard, oprócz mojej matki, i to wszystko, co nam zostało po śmierci ojca.

Przełożona wzięła od niej papier i przeczytała:

Mam zaszczyt powiadomić Panią, że Król, chcąc dać dowód swej łaski i wyrazić wdzięczność za wierność i przysługi, jakie oddała Mu Wasza rodzina, uznał za stosowne przyznać Pannie LOUISE BUSSON DU MAURIER, rentę w wysokości dwustu franków rocznie. Wymieniona renta będzie wpłacana do Skarbu na listę cywilną (w Tuileries) co kwartał od dnia, w którym niniejszy list zostanie tam zarejestrowany, na dowód potwierdzenia owego zobowiązania wobec Pani osoby.

Mam zaszczyt pozostać Pani skromnym i bardzo posłusznym sługą.

*Zarządzający Departamentem Rent
KSIAŻĘ DE PRADELY.*

Paryż, 10 maja, 1816 roku.

— Dwieście franków to dwieście franków — zauważyła przełożona, zwracając dokument. — To lepsze niż stracić głowę pod gilotyną. Wydaje mi się, że emigrantom nie powodzi się tak źle.

Panna Busson milczała. Myślała o ojcu wygnanym do Anglii, który sercem pozostał w Sarthe, a następnie powracającym do domu, aby przekonać się, że wszystko zostało zniszczone. Zmuszony oszczędzać i ciuć pieniądze, by jego dzieci miały z czego żyć, załamał się i umarł jako przełożony szkoły w Tours.

— A reszta pani rodziny czym się zajmuje?

— Najstarszy brat, Robert, pozostał w Londynie, *madame*. Jest urzędnikiem w City. Jacques pracuje w Hamburgu w banku. Dwoje młodszych mieszka w Paryżu z matką przy rue de la Lunę i to właśnie przez wzgląd na nich chcę uczyć angielskiego na pani pensji.

— A szósty? Czy nie wspominała pani o jeszcze jednym bracie?

Cień przesunął się po twarzy nauczycielki.

— Tak, mam jeszcze jednego brata: Louisa-Mathurina. Niestety, odszedł od nas i wbrew życzeniom rodziny kształci się na zawodowego śpiewaka.

— Zapewne robi fortunę!

— To mało prawdopodobne. Jest roztrzepany, niekonsekwentny i zawsze w długach. Proszę zrozumieć, jaki to dla nas ciężar widzieć, że traci czas, poświęcając się karierze, która prowadzi donikąd. To nieprawdopodobny wybór. Busson du Maurier zarabiający na chleb śpiewaniem!

Przełożona spojrzała w zamyśleniu na młodą nauczycielkę. Pan Peret starzeje się i głuchnie, niedługo trzeba będzie go kimś zastąpić. Gdyby udało jej się pozyskać brata nauczycielki

angielskiego... Kilka franków za lekcje — bez wątpienia artysta byłby zadowolony z zapłaty. A ona sama by sporo zaoszczędziła.

— Nie może pani znieść tego, że brat miałby występować na scenie — powiedziała z zadowoleniem. — Dla osoby tak dobrze wychowanej jak pani i prawdziwej katoliczki prawdziwa to hańba. Nie ma jednak nic uwłaczającego w uczeniu, jak sama pani stwierdziła. Gdyby pani wspomniała swemu bratu, że szukam nauczyciela śpiewu... No, oczywiście, pensja byłaby niewielka.

Panna Busson zarumieniła się lekko.

— To bardzo uprzejme z pani strony — powiedziała. — Kiedy zobaczę się z Louisem następnym razem, zaproponuję mu to. Ale mam wątpliwości, on jest taki niezależny.

Przełożona wzruszyła ramionami.

— Jak pani uważa. Mogę mieć setki nauczycieli. Chciałam wyświadczyć pani przysługę. Dobrego dnia, mademoiselle. Mam nadzieję, że pani uczennice będą się dobrze sprawować. — I nauczycielka została odprawiona ruchem ręki.

Niełatwo jest, rozważała panna Louise, stojąc przed szeregiem błyszczących twarzyczek i otwierając podręcznik gramatyki angielskiego na dziewiątej stronie, dawać lekcje, by nie umrzeć z głodu na ulicy, podczas gdy inne kobiety mojego stanu i z moją pozycją wiodą beczynne życie we własnych *chateaux*, szykując się do poślubienia markiza lub księcia. A Louis-Mathurin zamiast być dyrektorem we własnej fabryce szkła, musi szminkować sobie twarz i sprzedawać swój talent za garść srebra. Muszę nauczyć się skromności, muszę pokonać pychę. *Pere pardonnez-les; ils ne savent pas ce qu'ils font.* Bądźcie łaskawe otworzyć książki. *Je ferme la porte* — ja zamknę drzwi. *Tu fermes la porte* — ty zamkniesz drzwi.

Wymawiała poszczególne wyrazy dobitnie, starannie. Zaciśkała swe, dość dziecinne, wargi po każdym słowie. Jej miękkie, jasne włosy były ciasno ściągnięte w koczek. Dziedziczka dwustu franków panna Busson du Maurier — której jedyną spuściznę stanowił zakurzony szklany kubek, wydmuchany kiedyś

przez jej dziadka w nie istniejącej już fabryce — zaczęła swą karierę nauczycielki w Maison d'Education.

I odniosła sukces. Nie dlatego, żeby była szczególnie wykształcona w niuansach angielskiej gramatyki czy specjalnie obeznana z tajnikami rzeczowników i czasowników, ale ponieważ posiadała szczególną zdolność wzbudzania miłości u swych uczennic. Miała dar zrozumienia i sympatii, co stanowiło dla jej podopiecznych nieodparty urok. Nawet jeśli była zbyt religijna i zbyt surowa — wybaczały jej to ze względu na słodki wyraz twarzy, jasne włosy oraz łagodne niebieskie oczy.

Kiedy miało się kłopoty, należało tylko powiedzieć o tym pannie Busson. Ból, strapienie, wyrzuty sumienia — najdroższa Louise brała cię za rękę, mamrotała modlitwy nad twoją głową, uroniła łzę i patrzcie: już czułaś się rozgrzeszona, niemal święta.

Mała Eugenie St. Just zawarła z *mademoiselle* pakt o dozgonnej przyjaźni, który umacniały wspólne zainteresowania i szczerze wzajemne przywiązanie. Dzieliły się książkami, idealami i nadziejami. To prawdziwa przyjemność mieć bliską przyjaciółkę. Sytuacja w domu była dość niepewna, atmosfera napięta — brak pieniędzy i dwoje młodszego rodzeństwa na utrzymaniu. A Louis-Mathurin zachowywał się jak komediant.

— Nie chodzi o to, że mamy coś przeciwko jego śpiewaniu — wyjaśniała Louise nowej przyjaciółce. — Powinien dziękować niebiosom za taki głos; to dar od Boga. Ale zadawać się z takim towarzystwem... Ludzie opery, aktorzy i aktoreczki. Mama jest niemal w rozpacz. Robert napisał do niego z Londynu, a Jacques z Hamburga. Wszystko na nic! I wiesz, Eugenie, jest jeszcze coś znacznie gorszego, o czym nie wie moja matka.

Mała uczennica otworzyła szeroko wielkie, ciemne oczy.

— Och, *mademoiselle!*

— Powiem ci, jeśli mi obiecasz, że nie piśniesz nikomu ani słowa. Mój brat jest ateistą!

Patrzyły jedna na drugą z przerażeniem, młodszej odjęło mowę. Nauczycielka angielskiego pokiwała głową.

— Tak — powiedziała wolno. — To prawda. Louis-Mathurin nie wierzy w Boga.

Patrzyła przez okno na białe, zachmurzone niebo dziwiąc się, jak to w ogóle możliwe, że mały braciszek, który uczył się modlitwy na jej kolanach, przystąpił do pierwszej komunii u jej boku, mógł teraz tak zbłądzić, iż wyrzekł się wiary, wyznawanej od kołyski. Zadrżała na myśl o piekle, jakie czeka nieszczęśników, którzy odeszli od Boga.

Przeszkodziło im stukanie do drzwi. Nauczycielka odłożyła na bok haft.

— Kto tam? — zawołała.

— Panna Busson jest proszona do salonu.

Louise przygładziła włosy i zbiegła na dół w asyście służącego. Przełożona wyszła jej na spotkanie i stała w drzwiach pokoju.

— Mamy nową uczennicę — wyjaśniła szybko — młodą Angielkę mniej więcej w twoim wieku. Chciałaby brać lekcje francuskiej literatury przez dwa lub trzy miesiące. Powiedziałam jej, że masz czas wolny na prywatne lekcje we wtorki wieczorem. Mówi dość biegle po francusku, ale jej matka, która jest tu także, nalega. Akcent ma okropny!

Gdy Louise weszła do pokoju, uderzył ją ostry zapach mocnych perfum i usłyszała donośny, stanowczy głos:

— Herbata? Nie, dzięki. Nigdy jej nie biorę do ust! Szklanczkę porteru, jeśli łaska.

Szmer przeprosin ze strony przełożonej i propozycja lekkiego aperitif. Louise przygotowała się na najgorsze.

Właścicielka tego głosu siedziała na wygodnym fotelu w salonie Madame Pousard, odchylona do tyłu, jakby to miejsce do niej należało. Była niska, w średnim wieku, nieprawdopodobnie wystrojona. Olbrzymi kapelusz, odpowiedni dla dziewczyny siedemnastoletniej, przykrywał jej kręcone farbowane włosy, a spod futrzanej peleryny ukazywała się biała satynowa suknia.

Kobieta nosiła wieczorowe pantofle ze szkarłatnymi obcasami; siedziała z założonymi nogami jak mężczyzna, bujając małą stopą w powietrzu. Twarz miała mocno umalowaną i upudrowaną, co zamiast tuszować kurze łapki, jeszcze je uwydatniało. Piękne, dość bezwstydne piwne oczy patrzyły spod sztucznych rzęs. Na każdym palcu miała pierścień założony na ręk-

kawiczki. Głaskała filigranowego pieska, uperfumowanego jak ona sama, który trząsał się na jej kolanach.

— Pozwoli pani, że jej przedstawię nauczycielkę angielskiego, pani Clarke — powiedziała przełożona.

Louise nerwowo ścisnęła podaną sobie dłoń. Nieznajoma Angielka prostacko czknęła rozlewając aperitif, a potem — okropność! — mrugnęła do niej.

— Zbierają mi się wiatry pod sercem — mruknęła. — Nie unikniesz tego, gdy będziesz w moim wieku. Lekarze mówili, że nie wolno mi popijać jedzenia. Popijać? Bzdura. Jak się pani miewa, panno Buss? Wie pani, co to znaczy po angielsku? — Zanosła się perlстым śmiechem i znów mrugnęła, szturchając Louise w żebro.

— Mamo! — dał się słyszeć cichy, ostrzegawczy głos u jej boku.

— Do licha, Ellen, co znów takiego powiedziałam?

Pani Clarke poczerwieniała i odwróciła się na krześle, dotknięta. Jej olbrzymi kapelusz przekrzywił się odrobinę.

— *Bonjour, mademoiselle. J'espere que vous trouvez en bonne sante.*

Jej córka, jak domyśliła się zakłopotana Louise, mówiła szybko, dość koturnową francuszczyzną, ignorując matkę, która wzruszyła ramionami i zajęła się karmieniem psa cukierkami. Dziewczyna stanowiła całkowite przeciwieństwo matki: była bardzo skromnie ubrana w stonowane barwy, a jej ziemistej cery nie ożywiał sztuczny rumieniec. Zamiast powitać Louise szerokim uśmiechem, jak pani Clarke, zmierzyła ją tylko krytycznym wzrokiem od góry do dołu, ocenę odkładając na potem.

— Byłyśmy przez kilka lat we Włoszech — wyjaśniła — i na południu Francji. Teraz na jakiś czas osiedliłyśmy się w Paryżu. Chcę sprawdzić, co umiem, i jak najwięcej się nauczyć. Może byśmy coś razem poczytały z literatury, sztuki Corneille'a i Racine'a, Moliera już znam, trochę wcześniejszych poetów: Ronsarda i Villona na przykład, żebyśmy mogły ich porównać z wczesną poezją włoską. Czy mogłaby mi pani pokazać obrazy w galeriach? Kiedy byłyśmy w Rzymie i Pizie, studiowałam malarstwo prymitywistów. Jestem raczej ignorantką

w dziedzinie sztuki francuskiej i chciałabym naprawić to zaniedbanie. Czy przypadkiem pani sama maluje?

— Troszeczkę. Raczej dla rozrywki. Lubię malować kwiaty, moi braci mi mówią, że mam do tego talent.

— Cudownie. To wielka przyjemność poznać kogoś wykształconego. Moja matka i ja żyjemy w ostatnich czasach dość spokojnie. Znajduję oparcie w książkach i muzyce.

— Czy pani gra?

— Tak, gram na harfie. We Włoszech miałam bardzo dobrego nauczyciela. Ostatnio musimy trochę oszczędzać, tak więc muszę się bez tego obyć.

Wzdrygnęła się, gdy dobiegła jej uszu wypowiedź Mary Anne:

— Powiem pani, że w dzisiejszych czasach wszystkie dziewczęta są hipokrytkami — perorowała matka. — Czerwienią się po uszy, kiedy napotkają na swej drodze parę spodni, i zawracają. Nie są wcale ciekawe, co jest w środku. Po co są więc spodnie, pytam. Trzeba pozwolić pannom wyjść młodo za męża, żeby się same o tym przekonały!

Przełożona, zbyt osłupiała, by coś odpowiedzieć, twarz miała bez wyrazu; ręka, w której trzymała filiżankę z herbatą, zastęła w powietrzu.

Louise zaczerwieniła się, współczując dziewczynie; wzrok utkwiała w podłozie, żeby nie napotkać jej oczu.

— Wielu jest świetnych nauczycieli w Paryżu — usłyszała własny głos. — Studenci konserwatorium chętnie poświęcą swój czas w zamian za niewielkie wynagrodzenie. Jeśli chce pani, żebym zasięgnęła informacji, nie będzie to trudne.

Mówiła szybko, by pokryć zmieszanie, ale dźwięk jej głosu ściągnął na nią uwagę i mała czarownica na fotelu natychmiast odwróciła się i spojrzała na nią; umalowane usta rozchyliły się w uśmiechu, a farbowane loki podrygiwały wokół twarzy.

— Wiesz co, moja droga — powiedziała, kiwając palcem — jesteś za ładna, żeby być nauczycielką. Powinnaś znaleźć sobie męża! Jest wielu młodych mężczyzn, jeśli się tylko wie, jak ich szukać. Ellen zabierze cię któregoś dnia do naszego domu, a kiedy już znudzi was oglądanie obrazków i granie na harfie,

utniemy sobie małą pogawędkę. Wiem o mężczyznach wszystko, zostałam mężatką mając siedemnaście lat, i mogę ci o nich opowiedzieć wszystko... nie ma sensu pytać o to *madame*; ona i tak nic ci nie powie, prawda, proszę pani? — Zachichotała jak pensjonarka, wskazując oskarżycielsko palcem na przełożoną.

Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Panna Clarke wstała i odezwała się ostro do matki:

— Zajęłyśmy już paniom dość czasu, Mademoiselle Busson z pewnością powinna już iść na lekcje. Musimy już iść... Czy mogę przyjść w następny wtorek? A zatem wszystko załatwione, *mademoiselle*. To wielka przyjemność przebywać w towarzystwie kogoś tak wykształconego, jak pani.

Po raz pierwszy dziewczyna wyprostowała się i mówiła z uczuciem. Jej ciemne oczy wołały: „Jestem samotna; pragnę, byś została moją przyjaciółką. Czuję, że się zrozumiemy nawzajem”.

Skłoniła głowę i wyszła z pokoju, a za nią podażyła matka, stukając swymi wysokimi, spiczastymi obcasami, z peleryną zsuwającą się z ramion i bezwłosym psem pod pachą.

— Ellen zawsze mnie zabiera, kiedy zaczynam się dobrze bawić — poskarżyła się. — To dobre dziecko, ale *entre nous*, zupełnie brak jej poczucia humoru. Powinna pani poznać mojego syna, *mamzelle*. To wspaniały chłopak; jest podoficerem. Kobiety go uwielbiają... Nie ma teraz czasu dla starej matki! — Mrugnęła znowu, a potem, zasłaniając usta, szepnęła do ucha Louise: — Nie bądź zbyt długo nauczycielką, to nie wpływa dobrze na cerę. Radzę ci, weź sobie kochanka. Nic tak nie dodaje urody.

Wyszła, zanosząc się śmiechem, otulona obłokiem perfum. Pies ślinił się z miłości i gryzł ją w ucho.

Tak zaczęła się przyjaźń między Ellen Jocelyn Clarke i Louise Busson du Maurier, które spotkały się już kiedyś, chociaż o tym nie wiedziały. Przyjaźń ta przetrwała przeszkody bliskiego powinowactwa i dziwne koleje losu. Więż ową umocniły pewne podobieństwa między nimi: obie urodziły się u schyłku XVIII wieku i dlatego nie przynależały doń absolut-

nie; obie wpojone miały poczucie prawości i przyzwoitości, co było niechybnie skutkiem oddziaływania nowej epoki. Cechował je także dość widoczny wrodzony snobizm. Ellen wierzyła, że w jej żyłach płynie królewska krew i nosiła wysoko głowę, nieświadoma swego niskiego pochodzenia, a Louise snuła opowieści o starym zamku w Chenu w Sarthe, którego na oczy nie widziała, biorąc za dobrą monetę wspomnienia o arystokratycznym pochodzeniu swego biednego, zmarłego ojca, który mimo całych rojalistycznych sympatii skończył jako przełożony szkoły w Tours.

Błękitna krew obu przyjaciółek była mitem i możliwe, że w najskrytszych zakamarkach duszy wiedziały o tym i ubolewały z tego powodu, a ziarnko goryczy pojawiały się od czasu do czasu w ich rozmowie. Byłoby to zupełnie zbyteczne, gdyby tylko uświadomiły sobie, że ich uczciwa mieszczańska krew stanowiła najlepszy kapitał, wydając potomków zdolnych do pracy i wielkiego czynu, ludzi uczciwych i energicznych — ta błękitna zaś obracała się w wodę, wydając wałkoni, nierobów i bezpłodnych marzycieli.

Eugenie St. Just była troszkę zazdrosna o nową przyjaciółkę Mademoiselle Busson, która poświęcała jej tyle czasu. Z natury jednak łagodna, szybko pocieszyła się myślą, że przecież panna Clarke to nie pensjonarka, bo jest już za stara, a ze wszystkich młodych dziewcząt na pensji ona właśnie, Eugenie, była nadal przez nauczycielkę wyróżniana.

Jedyną chmurą na horyzoncie Louise pozostała zawsze trośka o brata, Louisa-Mathurina, który porzucił swą karierę śpiewaka tak nagle, jak ją zaczął, i nie myślał teraz o niczym innym, tylko o poświęceniu się nauce i podróży do gwiazd.

Kiedy Louise wróciła na niedzielę do domu — do małego, dusznego mieszkania przy rue de la Lune — zastała matkę we łzach, zaś Adelajdę i Guillaumea patrzących z otwartymi ustami na Louisa-Mathurina, który chodził wielkimi krokami po pokoju i bluźnił świętym:

— To tylko banda epileptyków! — wykrzykiwał. — Zajmowałem się studiami na temat epilepsji i dowody są wystarczające: wytrzeszczone oczy, piana na ustach, niewrażliwość na

ból, bezładna mowa, wielogodzinny bezruch — to wszystko są objawy padaczki. Dobry wieczór, Louise. Widzisz, wrócił utracjusz. Opera straciła największego śpiewaka naszych czasów. Nie będę już więcej śpiewał, zamierzam się poświęcić nauce!

Stał pośrodku pokoju, wymachując rękami. Niebieskie oczy patrzyły na nią nieuważnie z góry; kasztanowe loki opadały na czoło.

Louise pocałowała czule brata i przytrzymała jego rękę w dłoniach.

— Cieszę się, że nabrałeś rozsądku, jeśli chodzi o scenę — powiedziała. — Ale co znów za głupstwa wygadujesz? Louis, bądź rozsądny, uspokój się! Przestraszyłeś matkę, a pozostali patrzą na ciebie, jakby ujrzeli ducha.

— Bzdury? Ośmielasz się twierdzić, że wygaduję bzdury?! — wykrzyknął, odpychając ją od siebie. — To jedyna prawda w tym przeklętym świecie, w którym nam przyszło żyć, a prawda ta została odkryta przez naukę. Wasz Bóg nie istnieje, wasza religia to błazeństwo! Czy wiesz, że kiedy składasz ręce i modlisz się do niebios, to modlisz się do biliona bilionów słońc, które wirują w przestrzeni i są częścią nieskończonego wszechświata? I że cały ten świat był kiedyś ognistą kulą i albo obróci się w ogień, albo też stopniowo oziębi, aż stanie się martwy jak księżyc?

— To absurdalne i bez sensu — powiedziała stanowczo Louise. — Bóg nigdy by na to nie pozwolił!

— Ależ moja biedna mała siostrzyczko, próbuję ci uświadomić, że nigdy nie było i nie będzie żadnego Boga. To tylko wymysł człowieka, pewien ochłap dla uczuć. Tak bardzo brakuje nam odwagi, że musimy sobie stworzyć jakąś iluzję...

— Dość! — przerwała mu matka. — Ani słowa więcej. Nie będziesz bluźnić w tym domu. Urodziłeś się i wychowałeś jako katolik, tak jak twoi bracia i siostry. Jeśli chcesz porzucić wiarę, to sprawa twojego sumienia, ale nie będziemy tego słuchać. Skoro masz takie przekonania, lepiej żebyś opuścił ten dom.

Louis-Mathurin przebierał palcami we włosach i jęczał:

— Żadnego zrozumienia, żadnego współczucia. Wyrzucony z własnego domu na ulicę! Oto piękny przykład chrześcijan-

skiego miłosierdzia: matka odmawia kromki chleba synowi, którego urodziła. Trudno, mam swą dumę i nie zaprę się własnych przekonań. Obrałem ostateczny cel i zamierzam go osiągnąć. Pewnego dnia moje imię znajdzie się na ustach całego świata, a wielcy uczeni okrzykną mnie swym mistrzem. Mam już plan urządzenia, które wyniesie ludzi na Księżyc. Louise, jesteś jedyną osobą w tym domu, która okazała mi odrobinę zrozumienia. Czy ty także mnie wypędzasz?

Gdy tak bronił przed nią swej sprawy, wyglądał jak przerośnięty sztabak, ze swymi długimi nogami i kręconymi włosami. Z jasnoniebieskich oczu spłynęła mu wyciśnięta chytrze łza.

Twarz Louise skurczyła się, gdy spojrzała na brata. Kiedy był dzieckiem, ratowała go z tysięcy tarapatów. Przypomniała sobie teraz jego absurdalne przygody, te wszystkie samotne włóczęgi, opieszałość i roztargnienie. Parszywa owca w rodzinie! Ujęła go pod rękę i wyprowadziła na korytarz pod schodami.

— Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć — powiedziała. — Tylko nie rób awantur i nie bredź o ateizmie i diable. Matka tyle już w życiu przecierpiała, starzeje się, pamiętaj o tym. Mnie także ranisz, jako że kocham i ciebie, i Boga. Nie mogę patrzeć, jak sam siebie gubisz.

Nie słuchał jej wcale. Widziała, że nieobecny wzrokiem patrzy przez nią, pochłonięty własną fantazją. Zaciskając jego dłonie w swoich, modliła się za Louisa w duchu, owładnięta nagle dziwnym przeświadczeniem, że ma do czynienia z geniuszem, z wybitną indywidualnością. I że pewnego dnia jego imię rzeczywiście znajdzie się na ustach świata.

Być może dokona jakiegoś odkrycia dla dobra ludzkości, a kiedy ona będzie już stara, w Ogrodach Królewskich podczas spaceru zobaczy jego pomnik.

— O, Panie! — wyszeptwała. — Pozwól mu się wybić i zgodnie z Twą wolą myśleć jedynie o rzeczach szlachtetnych.

Zdawało jej się, że widzi na jego twarzy jasność, której wcześniej nie było. Po oczach młodzieńca poznała, że teraz znalazł się już bardzo daleko — tam, dokąd ona nigdy nie dotrze. Jest tylko kobietą i skromną nauczycielką, on zaś geniuszem.

Nagle odwrócił się do Louise z głębokim westchnieniem, i uśmiechając się swym pełnym zadumy i ufności uśmiechem, pocałował ją w rękę.

— Siostrzyczko — zaczął — chodzi o jedną drobną rzecz. Nie lubię cię martwić, ale znów mam długi. Nic takiego, zaledwie jakieś pięćdziesiąt franków czy coś koło tego. Gdybyś mogła mi pożyczyć pieniędzy teraz, zanim odejdę...

5

Kiedy mała Eugenie St. Just zaręczyła się z diukiem de Palmella, na pensji zapanowało ogromne podniecenie. Spotkała go latem w Lizbonie i zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Taki przystojny, taki obiecujący młodzieniec, znany w dyplomatycznych kręgach. To rzeczywiście cudowna partia, bo chociaż sama Eugenie pochodziła ze starego francuskiego rodu, nie była jednak dziedziczką fortuny. A teraz poślubi jednego z najbogatszych ludzi w Portugalii!

Louise była prawie tak samo uradowana jak jej uczennica. Fakt, że przyjaciółka miała wejść do tak dobrej rodziny (Palmellowie byli ortodoksyjnymi katolikami; starannie wykształceni — nie to co portugalscy Żydzi, których spotykało się w uboższych dzielnicach Paryża), odbierała jako hołd dla swej własnej roztropności, gdyż to ona przekonywała Eugenie, że wyjazd do Portugalii poszerzy jej horyzonty umysłowe, zatem powinna skorzystać z zaproszenia kuzynki.

Zostało ustalone, że ślub odbędzie się w styczniu, a najdroższa Mademoiselle Busson, jak oświadczyła Eugenie, będzie honorowym gościem na przyjęciu weselnym.

— Kiedy tylko znudzi ci się Paryż — mówiła Eugenie — przyjeżdżaj do Lizbony. Będzie tam zawsze na ciebie czekał przygotowany pokój. Czasem zastanawiam się, czy potrafię żyć bez twojego towarzystwa. Przypuszczam, że kiedy mój małżonek będzie zbyt zajęty, by ze mną rozmawiać, zacznę wdychać za rue Neuve St. Etienne i naszymi rozmowami.

— Zapomnisz o mnie całkiem w Portugalii — uśmiechała się Louise. — Staniesz się wielka diuszesa, będziesz mieć służbę na swe rozkazy oraz bale i biesiady co wieczór. Nie znajdziesz nawet czasu, żeby pomyśleć o biednej, starej nauczycielce.

— Znajdę, znajdę — protestowała Eugenie. — Jak możesz mnie uważać za taką niewdzięcznicę po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłaś! Panna Clarke będzie świadkiem moich słów: Ja, Eugenie de Palmella, ślubuję tu i teraz, że będę pielęgnować naszą przyjaźń z Louise Busson du Maurier aż do śmierci.

Ellen podniosła wzrok znad nut, które składała.

— Żadne przysięgi świata, nie pomogą utrzymać przyjaźni — oświadczyła. — Widziałam już wiele takich przypadków. Kiedy napodróżujesz się Eugenie, po świecie tyle, co ja, i poznasz, co to pochlebstwo i fałsz, nie będziesz rzucała przysięg na wiatr.

Eugenie milczała. Panna Clarke była taka cyniczna, zawsze potrafiła zdusić każdy entuzjazm. Patrzyła na ciebie swymi ciemnymi oczami tak podejrzliwie; zawsze w defensywie, jakby spodziewała się jakiejś nieprzyjemności i chciała być na to przygotowana, sama zadawała pierwszy cios. W jej rysach malowała się agresywność: wydatny nos, spiczasty podbródek. Zdawała się czerpać przyjemność z mówienia przykrych rzeczy.

— Pewnie uważasz mnie za głuptasa, bo się zakochałam? — spytała Eugenie. — Powiesz mi, że to nie może trwać wiecznie i że mój mąż się mną znudzi?

Ellen wzruszyła swymi przygarbionymi ramionami i roześmiała się lekko. Ów śmiech zmąciła jednak cierpka nutka.

— Uważam, że postępujesz bardzo roztropnie, zabezpieczając się na przyszłość — powiedziała. — Nie każdemu trafia się okazja poznania portugalskiego arystokraty.

Jej słowa rzucały pewien cień, jakby małżeństwo było jakąś brudną transakcją, jedynie formalną ugodą między dwiema zainteresowanymi stronami. Biedna strapiona Eugenie, wykręcała sobie palce ze zdenerwowania, oglądając się na drogą Mademoiselle Busson, by rozpedziła te chmury.

— Miłość między mężem i żoną, jeśli jest oparta na religijnym porozumieniu, może być bardzo piękną rzeczą — oznaj-

mila uroczyście Louise. — Nie wyobrażam sobie większego szczęścia niż przystąpienie do mszy u boku wybranego. Wszystkie ziemskie uciechy bledną wobec wspólnej modlitwy.

Eugenie pokiwała głową ze zrozumieniem, pocieszona od razu, ale Ellen Clarke przygładziła włosy przed lustrem, waha-
jąc się chwilę z odpowiedzią.

— To dobre dla ciebie — uznała w końcu. — Mnie nigdy nie uczono się modlić. Teraz jestem już za stara, żeby nabrać tego obyczaju.

— Nikt nie jest za stary na modlitwę! — zauważyła łagodnie Louise,

Ellen znów wzruszyła ramionami.

— Nie rozumiesz tego, bo i skąd? Wiara we Wszechmogącego jest dla ciebie czymś naturalnym, wysłałaś ją z mlekiem matki. Ja oddychałam inną atmosferą; zła wola, pochlebstwa, kłamstwo — oto wartości, które poznałam. Nikt mi nie mówił o Bogu. To słowo było używane jako przekleństwo. To wszystko. Jedyna religia, jakiej mnie nauczono, to troszczyć się o siebie.

Louise i Eugenie popatrzyły na siebie. Wszystko to wydawało im się szokujące, ale także bardzo smutne. Między nimi a Ellen Clarke znajdowała się jakaś przepaść.

— Musiałaś czuć się ogromnie samotna — powiedziała Eugenie nieśmiało.

— Samotna? Dlaczego miałabym być samotna? Mam swoje książki, swoją harfę. Wolę już raczej być sama niż w towarzystwie ludzi, jakich spotykałam.

Spokojnie chowała instrument. Louise zrobiło się przykro za przyjaciółkę. To straszne, to tak ogromnie bolesne mieć taką chłodną, surową postawę wobec życia! Jakże pusta przyszłość czeka Ellen! Postanowiła, że zapali na jej intencję świecę w Eglise St. Etienne, kiedy pójdzie do benedyktynów. A drugą — w intencji Louisa-Mathurina. Będzie się modliła, aby serca tych dwojga zmiękły i aby nauczyli się kochać Boga. Zapali także świecę dziękczynną świętemu Antoniemu z Padwy za znalezienie męża dla Eugenie. Jedną z owych długich, kosztownych świec, które płoną dzień i noc. Jakby nie było, to przecież diuk de Palmella...

Miesiące mijały szybko i zostało już niewiele czasu do chwili, gdy mała Eugenie oprze się na ramieniu męża, a dzwony Notre Dame zabrzmia uroczyście w chłodnym powietrzu styczniowym.

Była to imponująca ceremonia. Zaszczyciła ją połowa arystokracji paryskiej: ambasadorowie, dyplomaci, urzędnicy z ambasady portugalskiej, nawet odpryski z samego dworu. Louise, zgodnie z obietnicą Eugenie, była honorowym gościem: stała u boku panny młodej, podczas gdy wysocy urzędnicy i wojskowi w mundurach, księżęta i księżne kłaniali się i dygali przed nią. Są oczarowani, zapewniali, mogąc poznać Mademoiselle Louise Busson du Maurier, najbliższą przyjaciółkę diuszesy de Palmella. I wielu z nich unosiło brwi ze zdziwienia, gdy dowiadawali się, że jest nauczycielką angielskiego na niewielkiej pensji.

Było to cudowne przeżycie, i Louise, której z obojętnością podchodziła do chwały doczesnej, nie mogła powstrzymać rumieńców z zadowolenia, gdy usłyszała jakiś głos za swymi plecami:

— Stanowczo muszę być przedstawiony przyjaciółce diuszesy. To najładniejsza dama ze wszystkich tu obecnych.

Głos był sympatyczny. Odwróciła się, trochę onieśmielona, i ujrzała wysokiego, pięknego młodzieńca, który patrzył na nią ze szczerym podziwem.

— Chciałbym prosić o pozwolenie przedstawienia się pani — powiedział. — Palmella mi powiedział, że mogę to zrobić. Nazywam się Godfrey Wallace, jestem sekretarzem ambasady. Słyszałem, że pani świetnie mówi po angielsku.

— Urodziłam się w Londynie i spędziłam tam piętnaście lat — odrzekła Louise z uśmiechem. — Musiałabym być bardzo tępa, gdybym nie rozumiała tego języka.

— Ależ ja jestem Szkotem, Mademoiselle Busson, a my, Szkoci, mówimy w Ayr o wiele czystszą angielszczyzną niż londyński slang. Mogę pogratulować pani akcentu, jest bez zarzutu. Pewnie pani słyszała o moim ojcu, sir Thomasie Wallace? Do niedawna jeszcze mieszkał w Londynie.

— Nie byłam w Londynie, odkąd skończyłam piętnaście lat,

panie Wallace, a to było dawno temu — o wiele dawniej, niż bym chciała...

— Nonsens, próbuje mi pani wmówić, że ma więcej niż dwadzieścia trzy lata, w co nie wierzę. Mówiono mi, że pani ojciec, który niestety nie żyje, posiadał majątek w Sarthe. Czy pani matka przebywa teraz w zamku?

Louise poczuła się zakłopotana. Ten przystojny mężczyzna najwyraźniej nie ma pojęcia o jej pozycji społecznej. Jest taki sympatyczny i taki dystyngowany. Szkoda by było niepotrzebnie go oświecać w tym względzie...

— Nie, my... mieszkamy zimą w Paryżu — wybąkała. — Moja matka ma niewielki apartament przy rue de la Lune. Może pan nie wiedzieć... przy Ogrodach Królewskich.

— Czy życie w mieście dobrze wpływa na pani zdrowie, *mademoiselle*? Wygląda pani wspaniale, ale nie wątpię, że tak jest zawsze! Spodziewam się, że wkrótce złoży pani wizytę diu-szesie w jej nowym domu w Portugalii. Co to znaczy być młodą, nie pracującą damą! My, biedni sekretarze ambasady, musimy ciężko harować.

Gawędził z Louise w tak zabawny sposób, obsypując ją czarującymi komplementami i doprawdy nie było czasu na wyjaśnianie nieporozumienia, że nie jest wcale damą z towarzystwa, jak on przypuszcza.

Wyraził chęć zobaczenia jej matki i mogła mu powiedzieć zgodnie z prawdą, że Madame Busson nie uznałaby tego za odpowiedni moment; przygotowuje się właśnie do wizyty w Hamburgu, gdzie zamierza odwiedzić drugiego syna, Jacquesa, który prowadzi tam interesy. To od razu sprowadziło rozmowę na temat jej braci — Roberta w Londynie i Guillaume'a, także udającego się do Hamburga. Pogratulował jej rodzinie przedsiębiorczości i deklarował żywe zainteresowanie dla nauki oraz zdecydowaną chęć poznania Louisa-Mathurina.

— Czy nie sprawiłoby to pani bratu dużego kłopotu, aby wpadł do mnie do hotelu któregoś wieczoru? — zaproponował. — Obiady jadam o piątej i byłbym niezmiernie rad go ujrzeć, jeśliby mu to odpowiadało.

Louise obiecała przekazać zaproszenie przy najbliższym spotkaniu z bratem.

— Jeśli ma pani jakiś przyjaciół w Anglii, proszę mi dać swoje listy do przesłania — ciągnął dalej. — Będzie to dla mnie sprawa najłatwiejsza pod słońcem. Naszą pocztę do Anglii ekspedujemy co piątek.

Louise podziękowała i odmówiła. Jest naprawdę zbyt uprzejmy, powiedziała.

Popołudnie minęło zbyt szybko. Zdawało się, że przed chwilą zaczęli rozmawiać, a już wypadało się żegnać, goście wychodzili, a mała Eugenie de Palmella u boku swego wysokiego męża, machała z powozu i po raz ostatni słała pocałunki szkolnej przyjaciółce.

— Jakie to wzruszające! — wykrzyknął czarujący pan Wallace. — Czas płynie, ale szczere uczucie pozostaje na zawsze. Prawdziwej, głębokiej miłości czas nie pokona. Mam zamiar przyjąć taką dewizę. Czy pani to pochwała?

Jak mogłoby być inaczej, pomyślała Louise. Zdawał się tak dobrze rozumieć jej smutek z powodu rozstania z Eugenie. Przyłożyła do oczu chusteczkę.

— Okazuje się, że mam pani tyle do powiedzenia — szepnął, żegnając się z nią. — Chciałbym bliżej się z panią zaznajomić. Czy pozwoli mi pani do siebie napisać?

Louise poczuła, że się czerwieni jak młoda dziewczyna. Kiwnęła głową. To doprawdy absurdalne, pomyślała. Pan Wallace przecież chyba musi sobie zdawać sprawę, że jestem od niego starsza.

Tak była podniecona całym tym spotkaniem i rozmową, że w ogóle nie mogła spać tej nocy; musiała wstać o trzeciej nad ranem i zażyć syrop uspokajający.

Po trzech dniach otrzymała list, napisany śmiałym, zamaszystym pismem. Otworzyła go drżącymi rękami, z mocno bijącym sercem.

Droga Panno Busson — pisał. — Zaadresowałem ten list do domu Pani matki, ale po zasięgnięciu języka dowiedziałem się, że w Paryżu jest więcej ulic de la Lune, i obawiam się, że może

Pani tego listu nie dostać. Nie jest Pani w stanie uświadomić sobie tego, droga Panno Busson, jak bardzo chciałbym otrzymać jakąś wiadomość od Pani, a raczej jak bardzo chciałbym Panią zobaczyć. Jestem pewien, że nie pozbawi mnie Pani tej przyjemności.

Wszystkie moje myśli poświęcone są mej nowej Przyjaciółce, ale tego, co chciałbym powiedzieć, nie da się wyrazić piórem! Błagam, napisz do mnie zaraz po otrzymaniu tego listu. Postaraj się usmierzyć mój niepokój i powiedz, kiedy będę mógł Cię zobaczyć. Jeśli otrzymam Twoją zgodę, wpadnę z wizytą do Twego brata, o ile on nie będzie mnie mógł odwiedzić. Będę miał wreszcie przyjemność porozmawiania o pannie Busson i poznania Jej bliskiego krewnego. Muszę wyznać, że bardzo żałuję, iż Twojej matki nie ma w Paryżu i że jej nieobecność stanie na przeszkodzie naszemu spotkaniu. Ale dlaczegożby, droga Panno Busson, nie miałyby Pani pozwolić mi towarzyszyć swemu bratu i złożyć Ci wizytę? Z pewnością nie będzie w tym nic niestosownego? Jeśli pogoda dopisze, moglibyśmy wybrać się na spacer do Ogrodów Królewskich. Byłoby to dla mnie nowe przeżycie, ponieważ widziałem je tylko raz.

Nie będę jednak nalegał na nic, co mogłoby się spotkać z dezaprobatą mej nowej Przyjaciółki. Błagam, napisz wkrótce i przedstaw mi swe życzenia w tym względzie.

Przyjmij moje najszczerze życzenia zdrowia i szczęścia i pozwól mi się podpisać jako szczerze i prawdziwie Ci oddany
Godfrey Wallace.

*Hotel de Paris
 Boulevard de la Madeleine*

Louise przeczytała ów list jakieś pięć czy sześć razy i z wypiekami na twarzy złożyła go wreszcie i schowała za stanik. Z powodu krzątania wokół wyjazdu matki do Hamburga nie miała czasu odpisać, ale zaraz po jej wyjeździe pośpieszyła do apartamentów Clarke'ów w Auteuil, by zasięgnąć rady Ellen.

Jak zwykle zastała przyjaciółkę w salonie, siedzącą przy harfie; plecy miała jeszcze bardziej okrągłe niż zazwyczaj i gdy tak przyklękała przy instrumencie, ta — młoda przecież — kobieta

wyglądała jak czarownica — z długim nosem i spiczastym podbródkiem. Wilgotne włosy opadały jej na ziemistą twarz jak u karzełka, jednak ręce miały czarodziejską moc. Gdy Louise weszła do pokoju, przystanęła na chwilę, by, przejęta jak zawsze, posłuchać tych niesamowicie pięknych tonów, jakie brzmiały w powietrzu. Ellen ma chyba jakąś magię w palcach, pomyślała o przyjaciółce. Jakie to dziwne, że dotknięcie strun może wyzwolić taki strumień dźwięków. Że można się w tej muzyce tak zatracić.

Podczas gry rysy Ellen łagodniały; podniosła głowę i ujrzała Louise. Jej skryte, brązowe oczy nabrały ciepła, a wąskie usta rozchyliły się w uśmiechu, i już nie wyglądała jak wiedźma warząca czarodziejskie zioła na iskrzącym się ogniu, ale jak młoda kobieta, która byłaby nawet ładna, gdyby częściej się uśmiechała — i pełna wdzięku, gdyby się wyprostowała. Mimo iż zwykle zachowywała się jak osoba cyniczna i nieczuła, wyciągnęła ręce do przyjaciółki i powitała ją tkliwym pocałunkiem.

— Mama śpi — uprzedziła, zerkając na kanapę przy kominku. — Rozmawiajmy cicho, żeby jej nie przeszkadzać. Zawsze zasypia po wypiciu portera, kiedy pogram dla niej kilka minut. Nie mówi o niczym innym, tylko o weselu. Teraz, gdy spotykamy tak niewielu ludzi i nie urządzamy przyjęć, nic jej tak nie podnieca, jak taka uroczystość.

Louise ścisnęła rękę przyjaciółki ze zrozumieniem. Miała żywo w pamięci obraz pani Clarke na przyjęciu przy rue St. Honore, ubranej jeszcze cudaczniej niż zazwyczaj w jasnozieloną satynową suknię, w towarzystwie podstarzałych bawidamków: eks-ambasadora, generała armii francuskiej i siwowłosego markiza z monoklem, opierającego się na lasce. Ich głośny śmiech zwracał ogólną uwagę. Nagle stary markiz zdał sobie z tego sprawę i poczerwieniał, podczas gdy Madame Clarke, za nic sobie mając sensację, jaką wywołuje, kontynuowała przenikliwym głosem, z okropnym akcentem, opowiadanie o tym, co upierała się nazywać *une petite histoire, mon cher marquis, d'une premiere nuit de noce*.

— Chciałam porozmawiać z tobą, Ellen, na temat wesela — zaczęła Louise z wielkim wahaniem i bąknęła coś nieśmiało

o poznaniu Godfrey'a Wallace'a. Aż wreszcie, zmieszana, zebrała się na odwagę i pokazała jego list przyjaciółce. — Widzisz — powiedziała — wygląda na to, że on naprawdę chce się ze mną znowu spotkać. Zupełnie nie wiem, jak mu odmówić, on wyraża się takim językiem...

— Czy wiesz coś na temat jego sytuacji materialnej? — przerwała jej Ellen. — Przede wszystkim to się liczy. Sekretarz ambasady nie może mieć więcej jak trzysta, czterysta rocznie.

— Nie widzę możliwości, żeby się tego dowiedzieć — powiedziała Louise.

— Ale powinnaś wiedzieć, to konieczne, jeśli masz zamiar kontynuować waszą znajomość. Oczywiście ów młodzieniec może mieć jeszcze prywatne dochody. Mówisz, że jego ojcem jest sir Thomas Wallace z Ayrshire? A zatem mają tam majątek. Czy rozważałaś możliwość zamieszkania w Szkocji?

— Ależ, moja droga, taka myśl nie powstała nawet w mojej głowie! Widziałam się z nim zaledwie jeden raz!

— Ten list napisany jest w dość zdecydowanej formie jak na jedno spotkanie. Jedno wesele zawsze pociąga za sobą następne. Poznałaś go u Palmellów. Jeśli jest osobistym przyjacielem diuka, a tak chyba przypuszczam, już samo to stanowi gwarancję. Jednakże na twoim miejscu postępowałabym ostrożnie. Sam fakt bycia synem baroneta wcale nie oznacza, że się jest bogatym.

— Muszę ci wyznać, że nie dbam o to. Nie jestem łowczynią fortuny, jak wiesz, droga Ellen. Znajduję się w takim położeniu, że nie mogę się spodziewać zbyt wiele od życia. On ma ujmujące maniery i jest pełen szacunku. Nie będę przed tobą ukrywać, iż chciałabym go znowu zobaczyć.

— Nie mam wątpliwości, że sobie poradzisz. Ja bym postępowała ostrożniej, ale jestem powściągliwa z natury i z reguły podejrzliwa. Każdy mężczyzna przy przedstawianiu się musiałby mi zaprezentować swoje dossier: nazwisko rodowe, tytuł, majątek... i tak dalej. W ten sposób ludzie naszej klasy nie byłiby zmuszani przez parweniuszy do zawierania z nimi znajomości i nie musielibyśmy znosić ich w naszym towarzystwie.

— Niestety, jest to niemożliwe, jako że żyjemy w czasach złych manier. Moja matka opowiadała o Francji sprzed rewolucji, porównując ją z obecnym reżimem. Wszystko teraz wydaje się jej takie wulgarne i tak inne niż w czasach, gdy była młoda. Cały problem w tym, że tak naprawdę to obecnie nie ma już dobrego towarzystwa. Ludzie utytułowani otrzymali swe godności w okresie cesarstwa, przedtem zaś byli sklepikarzami. Czego się można po nich spodziewać, jak nie złych manier i wulgarności?

— To wielka przyjemność spotkać czasami kogoś takiego, jak diuk Palmella — zauważyła Ellen. — Przypuszczam, że jego ród liczy sobie w Portugalii setki lat. Na weselu jednak pokazywał się w towarzystwie mało znaczącej szlachty. W Paryżu nie ma już w ogóle arystokracji.

— To pewnie dlatego tak mnie oczarował pan Wallace. Szkoci mają coś takiego nieuchwytnego, czego nie można nazwać... Zawsze tak uważałam. Ich przeszłość, ich historia jest taka... no taka... bardzo romantyczna. Te kobzy i kilty! Słyszeliśmy ich raz w Londynie i nigdy tego nie zapomnę. Od tamtej chwili mam bzika na punkcie Szkocji. Jaka szkoda, że na angielskim tronie nie ma już Stuartów. Jakże wulgarna jest ta waza obecna rodzina królewska!

— Nie sędzę — ucięła zimno Ellen.

— Ależ z pewnością. Słyszysz się przecież niejedno; opilstwo i rozwiązłość tych okropnych braci budzi wstręt, a ich morale jest nie do opisania.

— Osoby wysokiego stanu zawsze padają ofiarą plotek, Louise. Osobiście nigdy nie słyszałam niczego gorszego o Domu Brunswickim.

Louise spojrzała na Ellen zdziwiona. Jej przyjaciółka siedziała sztywno na krześle, z zaciśniętymi ustami i uniesionym podbródkiem. Wyglądała na urażoną. Louise pożałowała własnych słów. Jacy dziwni są ci Anglicy! Uwagi krytyczne pod adresem rodziny królewskiej Ellen potraktowała jako osobistą zniewagę.

— No oczywiście — wycofała się taktownie — że pozycja króla jest wyjątkowa. Taka odpowiedzialność. Bardzo łatwo jest stracić głowę.

— Z pewnością tak samo myślał Ludwik XVI — odezwał się zaspany głos z kanapy. — I stracił ją w koszyku, czego nie potrafiła ta cała reszta.

Przyjaciółki spojrzały na siebie zdziwione. Ellen podniosła się szybko.

— Mamo, myślałam, że śpisz! — zawołała. — Dawno się obudziłaś?

Jedwabna kołdra została odrzucona na bok małą stópką, którą pani Clarke pomachała na powitanie Louise.

— Jak się masz, moja droga? Zawsze chętnie cię widzę. Wyglądasz bardzo ładnie. O co chodzi z tym upodobaniem do kiltów i Szkotów? Znam zabawną historyjkę na temat kiltu, ale nie osmielię się opowiedzieć w obecności mojej córki. Zdaje się, że oset* też ma coś z tym wspólnego. Rusz wyobraźnią, Ellen. Każ Gustawowi przynieść lampy. Chcę wstać.

— Za krótko wypoczywałaś — zaprotestowała córka.

— Odpoczynek? Bzdury. Męczy mnie leżenie na plecach. Posadź mnie i popraw poduszki. O, teraz lepiej, mogę widzieć was obie. Czemu jesteście takie uroczyste? Z wyrazu waszych twarzy można by raczej sądzić, że cytujecie Biblię, a nie rozmawiacie o młodym mężczyźnie i jego kilcie. Zgadzam się z wami, że kilty są bardzo twarzowe. Nie rozumiem dlaczego wszyscy ich nie noszą. Oszczędziłoby to nam mnóstwa kłopotów.

Zatrzęsa się od śmiechu, a jej mały piesek, wyrwany nagle z drzemki, stanął na dwóch łapkach i zaszczekał.

— Cicho bądź, Lulu, bo nie dostaniesz cukierka... Ona wciąż szczeka na Boneya**, chociaż biedak już od lat leży w grobie... Opowiedz mi o swym młodzieńcu, Louise. Jestem naprawdę zaintrygowana.

Ellen, dała oczami znak przyjaciółce: „Trzymaj język za zębami! — zdawało się mówić spojrzenie panny Clarke. Inaczej ona już nigdy nie da ci spokoju”.

Louise uśmiechnęła się promiennie do pani Clarke. Okropna staruszka zdecydowanie była dobrym humorem.

* Godło Szkocji (przyp. tłum.).

** Pogardliwe przezwisko nadane przez Anglików Napoleonowi Bonaparte (przyp. red.).

— Gawędziłyśmy o weselu Palmelli — powiedziała. — Ellen zgodziła się ze mną, że towarzystwo zmienia się na gorsze. Wspomniałam jej o ujmujących manierach pana Godfrey'a Wallace'a którego poznałam. To takie pokrzepiające spotkać kogoś dobrze wychowanego.

— Bardzo pokrzepiające, zwłaszcza jeśli nosi kilt, oczywiście! Czy skarżył się na przeciągi w Notre-Dame?

— Mamo, ty opacznie zrozumiałaś Louise — wtrąciła Ellen z irytacją. — Pan Wallace wcale nie nosi kiltu. Jest sekretarzem ambasady i synem baroneta... zdaje się sir Thomasa Wallace'a, który ma majątek w Ayr.

— No cóż, o ile znam Szkotów — podchwyciła Madame Clarke — to prawdopodobnie ów majątek składa się z obory i kamieniołomów. Szkoci to ubogi naród. Kto, mówiłaś, jest jego ojcem?

— Sir Thomas Wallace, aktualnie mieszkający w Londynie.

— Nigdy o nim nie słyszałam. Mogę zasięgnąć języka, jeśli trzeba, już mój adwokat Fladgate postara się o to. Mam nadal swoich szpiegów w Londynie, jak wiesz. Nic się przede mną nie ukryje.

— Dziękuję, ale naprawdę nie ma potrzeby. Prawdopodobnie nigdy więcej nie spotkam pana Wallace'a.

— Szkoda tracić kawalera, jeśli ci się spodobał. Pamiętam, jak w Gloucester Place — gdzie dom pełen był oficerów od rana do nocy, a żaden z nich nie miał grosza przy duszy — śmialiśmy się i żartowali, zamieniając się ubraniami! Mój brat, kapitan Thompson, to był dopiero kawalarz i lekkoduch! Nigdy nie zapomnę, jak we trzech — on i jego dwóch przyjaciół z pułku — wdziali na siebie moje spódnice i czepki i spacerowali po Vauxhall, a ja włożyłam jego mundur i robiłam do nich perskie oko! Nikt nie domyślił się maskarady. Omal nie umarliśmy ze śmiechu. Wyobrażasz sobie George'a w takiej roli, Ellen? Wolałyby się zabić!

— Też tak myślę.

— Och, fe! Ty i George jesteście zbyt stateczni. Lepiej, żebyście się czasem zapomnieli. Nie słuchaj jej, Louise. Baw się z tym swoim Szkotem, jeśli chcesz, tylko trzymaj w garści jego

sakiewkę. Gdy będzie pusta, pozwól mu odejść. Nie ma pożytku ze śniętej ryby.

Cóż za niezdolna kobieta, pomyślała Louise. Gada jak nąjęta. Biedna Ellen!

— Pan Wallace nie potrzebuje brać sakiewki — powiedziała głośno. — Jeśli się spotkamy, to na spacerze w Ogrodach Królewskich w którąś niedzielę.

— Po co chcesz tam iść? To zbyt eksponowane miejsce, same krzewy, żadnych drzew. Jedźcie do Wersalu. Tam jest jak w lesie.

— Droga mamo, jak Louise mogłaby jechać do Wersalu w towarzystwie nieznanego mężczyzny? Ogrody Królewskie są zaledwie o kilka minut od jej domu, przy rue de la Lune.

— No tak, bardzo dogodnie. Dom tuż za rogiem. Poczujesz się słabo, będziesz musiała się położyć. Młody Szkot zaferuje ci swe towarzystwo. Dom pusty, służba ma wychodne. Wygodna kanapa. Reszty dokona natura... Do licha, Louise, ładny z ciebie numer!

Madame Clarke zachichotała, wskazując oskarżycielsko palcem na przyjaciółkę swej córki. Louise uznała, że pora się żegnać. Ellen, jak zwykle w towarzystwie matki, manifestowała swą dezaprobatę. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce, usta miała zaciśnięte. Louise głęboko jej współczuła. Wstała, tłumacząc się późną porą, ale wiedziała, że przyjaciółka nie da się oszukać. Zbyt wielu znajomych wychodziło wcześniej z powodu pani Clarke. Opuściwszy pokój, Louise wciąż słyszała chichot z głębi kanapy i wulgarny głos, który mruczał do siebie jakieś okropności na temat kultu i ostu.

Wróciła do domu, już zdecydowana. Tego samego wieczoru napisała list do pana Godfrey'a Wallace'a do Hotel de Paris.

W trzy dni później, w niedzielę po południu, kiedy Louise zamierzała spędzić swój sobotnio-niedzielny czas wolny w domu na lekturze *Żywota świętego Franciszka*, a jej młodsza siostra Adelajda zajęta była szyciem — drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł nie zapowiedziany Louis-Mathurin, a tuż za nim sekretarz ambasady. Dziewczęta wydały ciche okrzyki zakłopotania, gdy tymczasem ich brat — najwyraźniej w podnio-

słym nastroju — w lot opanował sytuację i uspokoił je podniesieniem ręki.

— Przedstawiam wam mojego nowego przyjaciela Godfrey'a Wallace'a — oświadczył. — Odtąd będziemy dzielili mieszkanie i wikt. Poznaliśmy się zaledwie wczoraj, a już zaprzyęgliśmy sobie dozgonną przyjaźń. Wallace wierzy wraz ze mną, że nie ma innej prawdy prócz bogini nauki. Dyskutowaliśmy o gwiazdach do czwartej nad ranem. Drogi mój przyjacielu, siadaj. Mieszkamy skromnie, ale godnie. Ludzie dobrze urodzeni nigdy nie narzekają na swą biedę.

Widać było, że jest w podniosłym nastroju; rękę trzymał na sercu, głowę odrzucił do tyłu i wcale nie potrzebował zachęty, by zaśpiewać. Jego spontaniczne zachowanie pozwalało wszystkim czuć się swobodnie. Już po chwili Wallace znalazł się u boku Louise i z zachwytem w oczach kartkował książkę, którą odłożyła.

— Poważam świętych — zapewnił od razu. — Gdybym miał tylko odwagę, poszedłbym śladami świętego Franciszka, ale niestety! Ciało jest słabe. Wpadłem z wizytą do pani brata, tak jak sobie tego życzyłaś, i muszę pani pogratulować. Ma on tak zachwycające poczucie humoru, tak radosne usposobienie! A pani siostra — cóż za skromność! To doprawdy czarujące poznać rodzinę, która pozbawiona jest fałszywej dumy i kiedy przyjeżdża do Paryża, żyje skromnie jak zwykli Paryżanie — prości ludzie, tak to można określić. Przystałbym, że ten kontrast z chateau Maurierów ogromnie cię bawi.

Louise uśmiechnęła się niepewnie, w głowie miała zamęt. Czy to możliwe, że spędził kilkanaście godzin w towarzystwie Louisa i nadal nie jest zorientowany w ich prawdziwym położeniu?

— Obawiam się, że widzi pan w nas jakąś wielkość, której wcale nie posiadamy — powiedziała nerwowo. — Jesteśmy naprawdę skromnymi ludźmi.

Potrząsnął głową żartobliwie.

— A pani przyjaciółka diusza de Palmella też żyje skromnie? Nie, Mademoiselle Busson, jest pani jedną z owych najśodszych kobiet, które nie chcą onieśmielać takiego jak ja biednego

sekretarza. Zdaję sobie sprawę, że zachowywałaby się pani tak samo, gdybym był diukiem. Louis-Mathurin mówił, że to pani właśnie zawdzięcza swe najlepsze cechy. Co za charakter!

Louise zarumieniła się i roześmiała. Naprawdę było niemożliwe wyperswadować coś panu Wallace. Czwórka nowych przyjaciół postanowiła udać się na spacer do Ogrodów Królewskich; dwoje z nich szło przodem, a Louise i Wallace tuż za nimi. Louis-Mathurin stawiał ogromne kroki, których Adelajda, jako skromna młoda panienska nie chciała naśladować.

Wallace ofiarował ramię Louise, a ona przyjęła je z leciutkim dreszczem podniecenia, uświadomiwszy sobie, że nigdy dotąd nie szła tak z żadnym mężczyzną prócz brata.

— Pani rodzina musiała wiele przecierpieć w czasach Terroru — zaczął Wallace tonem pełnym współczucia. — Brat pani opowiadał mi, jak wasi rodzice zmuszeni byli uciekać do Anglii, by ocalić życie. I że pani się tam urodziła, na wygnaniu. Bardzo pani współczuję.

— Tak, z pewnością był to dla rodziców trudny okres — powiedziała Louise — ale ja się nie skarżę. Anglia wydawała mi się domem. Ja, moi bracia i siostry byliśmy tam szczęśliwi.

— Brat pani mówił mi, że po powrocie do Francji Jego Wysokość Ludwik XVIII przyznał wam wszystkim w dowód uznania pieniężną rekompensatę?

— Och, tak, ale to drobiazg, bez większego znaczenia.

— Może dla pani, panno Busson, jednak nie dla takiego biednego Szkota, jak ja!

— Doprawdy, nie wiem, co powiedzieć. Nie znam pańskiej sytuacji materialnej.

— Och, jakże chciałbym pani pokazać swój dom w środkowej Szkocji. Tamtejsze dzikie, tajemnicze krajobrazy z pewnością przemówiłyby do tak wrażliwej wyobraźni, jak twoja.

— Czy sir Thomas dzieli swój pobyt między Szkocję i Londyn?

— Hm, właściwie nie... Cóż, stan jego zdrowia nie jest najlepszy. Klimat w Szkocji jest bardzo wilgotny. On... hm... jak sądzę, głównie przebywa w Londynie.

— Widział się pan z nim ostatnio?

— Ach, nie! Niestety. Jestem niewolnikiem mojego urzędu. Nie jesteśmy tak niezależni jak pani, droga panno Busson.

— Ja także nie jestem niezależna — ośmieliła się wreszcie wyjawić Louise. — Czy Louis nie wyjaśnił panu, że uczę na pensji?

— Tak, owszem. Co za ekscentryczność! Ubawiło mnie to. Brat dał mi do zrozumienia, że nie możesz znieść próżniactwa. Jaka szkoda, że nie jestem twoim uczniem! Byłbym naprawdę bardzo sumienny.

Louise westchnęła. Nic nie mogło go zniechęcić. Słyszała, że upór to narodowa cecha Szkotów. Rozumiała jednak, że Louis-Mathurin, podobnie jak ona sama, fałszywie przedstawił ich położenie i teraz trudno było rozplatać ów węzeł małych kłamstw.

Godfrey Wallace sprawiał wrażenie zainteresowanego Louise — było to oczywiście nawet dla przechodniów. Nie odstępował jej ani na krok, oczy miał zawsze na nią zwrócone, od czasu do czasu wzdychał, jakby w udręce. Mówił do niej „droga przyjaciółko”, co było dla Louise bardzo ekscytujące, nadal wyrażał chęć częstego widywania się z nią — dwa lub trzy razy w tygodniu, jeśli pozwoli. Było to z pewnością wspaniałe, ale też nieco kłopotliwe. Wyglądało niemal na to, że ów kawaler ma wobec niej określone zamiary; nigdy dotąd nie miała okazji rozważać kwestii małżeństwa.

Kiedy wreszcie po kolacji wyszedł, wielokrotnie nalegając, żeby do niego napisała, w głowie miała taki zamęt, że była prawie chora. Nawet Louis-Mathurin, zazwyczaj bujający w obłokach i niepomny niczego prócz własnych spraw, zrobił uwagę na temat jej kolorów.

— Martwię się — wyznała Louise — że pan Wallace ma błędne wyobrażenie o naszej sytuacji materialnej. Co mu powiedziałeś?

Brat ziewnął — był to znak, że czuje się nieswojo.

— Dlaczego tak przypuszczasz? — zapytał. — Nic mu nie sugerowałem. Wspomniałem jedynie, że moja rodzina zawsze była wierna królowi i że mamy *chateau* w Sarthe i temu podobne rzeczy. Prawda, że *chateau* już nie istnieje i miałem mu to

zamiar powiedzieć, ale zaczął rozmawiać o czym innym, więc zapomniałem. Zdaje się, że to dobry chłopak i zna wielu wpływowych ludzi. Pomyślałem, że mógłby mnie komuś przedstawić... Ciężko pracuję nad wynalazkiem, jak wiesz, a Wallace twierdzi, że jest tym zainteresowany. Sądziłem, że to nic złego podsycić jeszcze owo zainteresowanie. Dlaczego kręcisz na niego nosem, Louise?

— Wprost przeciwnie, lubię go. Bardzo mi się podoba. Obawiam się tylko, że będzie rozczarowany.

— Moja kochana siostrzyczko, kiedy już skończę swój wynalazek, nie będziemy musieli się o nic martwić. Wszyscy będziemy sławni. A ty pierwsza polecisz ze mną rakieta na Księżyc.

Pociągnął Louise na kolana i pocałował, śmiejąc się z jej strapionej miny. Potem wstał, wyprostował się, odrzucając do tyłu swe kędzierzawe włosy i wymachując w powietrzu długimi rękami. Zaczął śpiewać, manifestując czystą radość życia, że jest młody, ubogi, ale wesoły. Głębokie nuty wznosiły się bez wysiłku w powietrze, coraz wyżej i wyżej, aż ucichły do szeptu, niewypowiedziane słodkie i tklive. Serce Louise ścisnęło się z bólu bez powodu. Potem brat pomachał jej ręką, wcisnął na głowę kapelusz i wymaszerował z pokoju. Wyszedłszy na ulicę, natychmiast wyrzucił ze swych myśli siostrę, zapomniał też o własnych długach i kłamstwach, i danej od Boga urodzie, zatopiony w myślach o gorejących światach w przestworzach i szalonych gwiazdach.

Następnej niedzieli Godfrey Wallace ponownie zjawił się z wizytą i ledwie wszedł do pokoju, rzucił się na kolana przed Louise i zażądał jej ręki. Panna Busson, ledwie świadoma tego, co robi, wyjąkała swe przyzwolenie i po chwili półprzytomny z radości młodzieniec przypadł do niej, przycisnął ją do serca i okrywając pocałunkami, mamrotał, że uczyniła go najszcześniejszym człowiekiem na ziemi i odtąd jego życie jest w jej rękach.

Upierał się, by ślub odbył się natychmiast, bo czekanie stanowi dlań torturę. Ale pod tym względem Louise okazała się stanowcza. Muszę poczekać na właściwą porę, oświadczyła, aż jej

matka wróci z Hamburga i wyrazi zgodę. Tygodnie, jakie potem nastąpiły, przypominały senne marzenia. Louise nie mogła uwierzyć, że oto ona, której nikt w życiu się nie oświadczył, już po trzydziestce, jest adorowana i uwielbiana przez czarującego przystojnego mężczyznę, o kilka lat od niej młodszego, i że już wkrótce będzie panną młodą, tak jak Eugenie de Palmella.

Rozgorączkowana napisała do najstarszego brata mieszkającego w Londynie, do matki do Hamburga, i do Lizbony do Eugenie. W marzeniach przygotowywała wyprawę ślubną.

Nadal jednak pozostawała między nią a jej przyszłym mężem kwestia pieniędzy — szczęśliwa narzeczona odsuwała ów cień od siebie. Ta sprawa może poczekać do powrotu matki.

Kiedys pan Wallace spróbował poruszyć drażliwy temat; wspomniała o swym niewielkim posagu i dożywociu dla rodziny od ostatniego króla. Oczywiście wszystko, co posiada, należyć będzie do Godfrea. Narzeczony uśmiechnął się i położył jej rękę na ustach ze słowami: „Chyba nie myślisz, że spodziewam się czegoś więcej?” Po takim zapewnieniu Louise uspokoiła się i odetchnęła z ulgą. Widać jednak orientował się w sytuacji rodziny.

Była tak oszołomiona i zafascynowana swym przyszłym mężem, że nawet nie martwiła się perspektywą ślubu w kościele protestanckim. Ellen Clarke nie wiedziała, co ma robić ze swą przyjaciółką. Była przekonana, że ona sama nigdy by się nie zatraciła do tego stopnia. To takie nierozsądne, prawie bez godności. Obawiała się, że biedna Louise będzie przykro rozczarowana po kilku tygodniach małżeństwa. Wszyscy mężczyźni są tacy sami w tych sprawach — wystarczająco nasłuchiwała się od matki. Pan Wallace miał dobrą prezencję i wyszukane maniere, ale ona sama nie tego szukałaby u męża. Był za mało wylewny i — według niej w każdym razie — owa galanteria nie wydawała się całkiem szczerą.

Oczywiście nie zamierzała powiedzieć przyjaciółce o swych spostrzeżeniach; Louise była jak ślepa i nie przyjmowała żadnych rad. Jej Godfrey jest bez wad. Jej Godfrey jest doskonałością w każdym calu. Ciekawe, czy to samo powie za rok!

Jeśli zaś chodzi o panią Clarke, to była nim oczarowana.

— Co za prezencja! — mówiła. A te zielony oczy... jakie intrygujące! Przypomina mi zupełnie Folkestone'a. Nie pamiętasz go, Ellen. Ma ten sam sposób podnoszenia brwi i uśmiecha się kąciakiem ust. Powiedz swej przyjaciółce, że nie powinna go spuszczać z oka, dopóki nie będzie miała obrączki na palcu. Znam tych zielonookich amantów, lubią zwodzić i chociaż ni-by to kochają, lecz zawsze starają się wykręcić sianem. Sądzę, że Louise postarała się o kontrakt. Co Wallace jej obiecał?

— O ile wiem, nie było żadnego kontraktu.

— Żadnego kontraktu? Czy ona oszalała? — Pani Clarke wyglądała na zdumioną. — Chyba nie chcesz powiedzieć, że ta dziewczyna zgodziła się na wszystko, nie zadbawszy o własne interesy. Bez kontraktu Louise nie ma nad nim żadnej władzy. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie słyszałam!

— Sądzę, że postępuje dość niemądrze — przytaknęła Ellen — ale jest tak podekscytowana zamażpójściem, że nie chce słuchać nikogo poza tym swoim cudownym panem Wallace'em.

— Parę miesięcy w związku małżeńskim wyleczy ją z tego — stwierdziła Mary Anne. — Nic tak nie uzdrowia. Skuteczne jak środek na przeczyszczenie. Zrób i ty coś dla siebie, Ellen. Dlaczego nie miałabyś znaleźć sobie młodego człowieka, który by cię pokochał?

— Jestem całkowicie zadowolona ze swej sytuacji, dziękuję bardzo, *maman*.

— Ty i George jesteście zbyt zrównoważeni. Idę o zakład, że mój syn prowadzi żywot hinduskiego mnicha. Bóg z nim!

Posłała ręką pocałunek miniaturce George'a i uśmiechnęła się doń tkliwie, a potem zaraz o nim zapomniała i schyliła się, by przekarmiać psiego ulubieńca.

Na dwa dni przed zaplanowanym powrotem Madame Busson przyszedł od niej list z Hamburga. Pisała, że Jacques dostał ospy, wobec czego nie może go zostawić, póki nie wydobrzeje. Powstrzymuje ją także obawa, że również Guillaume, który z nią przyjechał, mógł już złapać tę chorobę.

Louise natychmiast pomyślała o odłożeniu ślubu, ale Wallace nawet nie chciał o tym słyszeć. Na nieśmiałą sugestię narzeczonej pobladł i był wyraźnie podenerwowany. Oświadczył,

że dalsza zwłoka byłaby dla niego nie do zniesienia i jeśli musiałby czekać jeszcze tydzień na swą anielską Louise, nie odpowiada za siebie. Zwiedziona i mile połączana owym tak niepohamowanym uczuciem, przystała na jego propozycje i 14 kwietnia 1830 roku w kościele ewangelickim zostało zawarte ich małżeństwo.

Do rejestru kościelnego wpisano, co następuje:

Poniedziałek, 14 kwietnia 1830 roku GODFREY WALLACE sekretarz ambasady, urodzony w Craigie w hrabstwie Ayr w Szkocji, starszy syn sir Thomasa Wallace'a, baroneta, i Rosiny Raisne, jego małżonki; oraz LOUISE BUSSON DU MAURIER, urodzona w Londynie, starsza córka Roberta Bussona du Maurier a i Marie-Francoise Bruere, jego małżonki; otrzymali sakrament małżeński od wielbnego Jeana Monoda, proboszcza St. Evangile, i jednego z pastorów Kościoła Reformowanego konsystorza departamentu Seine, z siedzibą w Paryżu.

(Podpisano) J. MONOD, Pr.

Louise odpowiadała jak we śnie. Czy to się dzieje na jawie? — zastanawiała się przez cały czas. Czy to możliwe, że została panią Wallace? Poczowała na palcu obrączkę — jakże błyszcząca i nowa — i spojrzała w górę na swego wysokiego męża, który teraz, podczas ceremonii, był zupełnie opanowany i spokojny.

— Kochany chłopak, nie był mnie całkiem pewny — powiedziała sobie Louise. Widząc w lustrze własne odbicie, nie mogła nie zauważyć, jak ładnie wygląda: złote włosy rozpuszczone w luźnych puklach, biały welon odrzucony do tyłu. Jednak nie jak panna młoda — a raczej jak zakonnica składająca wieczyste śluby. Zastanawiała się, jak by się czuła, gdyby naprawdę, zamiast być szczęśliwą mężatką, poświęciła się Kościołowi.

Przyjęcie, częściowo wskutek nieobecności Madame Busson, a częściowo na prośbę Louise, było skromne. Nawet pani Clarke nie miała czasu ani sposobności zbulwersować obecnych swym zachowaniem. Gdy tylko wypito zdrowie państwa mło-

dych, udali się oni do Hotelu de Paris w Madeleine, który miał być ich tymczasowym domem.

Szczęśliwa para zjadła samotnie kolację o piątej. Już podczas posiłku Louise zauważyła, że mąż znów jest zdenerwowany. Nie miał apetytu i spoglądał od czasu do czasu przez ramię, jakby się spodziewał, że ktoś im przeszkodzi.

— Źle się czujesz, kochanie? — zapytała małżonka.

Od razu ją uspokoił przyznając się do lekkiego bólu głowy wywołanego ekscytującymi wydarzeniami tego dnia.

Kolacja dobiegła końca i oboje poszli na górę. Louise, oczywiście zatruwiona perspektywą małżeńskiego łoża, udawała, że się rozpakowuje i układa swe ubrania w garderobie po to, by dodać sobie odwagi. Jej małżonek chodził tam i z powrotem po pokoju, głęboko zamyślony, z rękami splecionymi z tyłu.

Wreszcie podszedł do Louise i ściskając jej dłonie, rozpoczął przemowę, bardzo zmieszany:

— Moja najdroższa żono — wybąkał. — Doprawdy nie wiem, jak ci to powiedzieć... Jestem bardzo podekscytowany i pełen obaw. Nie wiem, co sobie o mnie pomyślisz. Chodzi o to, że ja... ja znalazłem się przejściowo w kłopotach finansowych. Nieudane spekulacje... to i owo... moje życie w ambasadzie... Pokróćce... cóż, rozumiesz, brakuje mi środków na nasze utrzymanie. W tej chwili mam około stu franków.

Louise patrzyła na niego nie rozumiejąc. Czy to znaczy, że Godfrey nie jest w stanie zapłacić za wynajęcie pokoju i kolację?

— Nie bardzo rozumiem — odezwała się wreszcie. — Chcesz powiedzieć, że nie masz dość pieniędzy na nasz pobyt w hotelu? Czy nam tu nie zaufają, jeśli nie dasz im gotówki?

Zaczerwienił się i uśmiechnął, jeszcze bardziej zakłopotany niż dotychczas.

— Ależ właśnie o to chodzi, że nie mam skąd wziąć gotówki. Moja głęboka miłość do ciebie, najdroższa, zmusiła mnie to tego małego podstępu. Tak bardzo się bałem ciebie stracić; lękałem się, że jeśli poznasz prawdę, to mnie odtrącisz. Drogi mój aniele, lepiej to wyznać tu i teraz: jestem biedakiem bez grosza przy duszy. Mój ojciec wydziedziczył mnie pięć czy

sześć lat temu. Nie mam ani grosza i polecam się twemu miłosierdziu.

Louise patrzyła nań wielce strapiona.

— Ależ, Godfreyu, jak mam ci pomóc? Za moje skromne dożywocie nie utrzymamy się oboje.

— Och, wszak potrafisz robić cuda. Nie mam zbyt kosztownych wymagań. Będziemy żyli całkiem nieźle. Tyle tylko, że jestem nieszczęśnikiem, który całkowicie zależy od ciebie. Nie wątpię, że kiedy wasz *chateau* zostanie całkowicie odbudowany, twój brat poczyni jakieś ustalenia wobec nas — spodziewam się, że da mi posadę nadzorcy w swej fabryce. Tymczasem twoje odszkodowanie od rządu...

Młoda żona zbladła. Usiadła na krześle, w zakłopotaniu splatając i rozplatając dłonie.

— Obawiam się, że zaszła straszna pomyłka — powiedziała. — Nie chodzi o odbudowanie *chateau*; tylko że pałac przeszedł w inne ręce, kiedy wróciliśmy do Francji. Zresztą nawet nie wiem, gdzie się znajduje. Mój ojciec, nie mógł go odzyskać... Umarł w biedzie, w Tours. Moja matka ma pewien skromny dochód od znajomych z Bretonii, i z tego się utrzymuje. Staram się jej pomóc, pracując jako nauczycielka angielskiego na pensji, to wszystko.

Wallace zrobił się tak blady jak jego małżonka. Patrzył na nią przerażony.

— A twoje dożywocie od Ludwika XVIII? — zapytał.

— Usiłowałam ci to wyjaśnić! — zawołała z udreką w głosie. — To była tylko forma grzecznościowa, nie więcej niż dwieście franków rocznie.

— Dwieście franków rocznie?! — wrzasnęła.

Kiwnęła głową, przerażona wyrazem jego twarzy.

— A ja sądziłem, że jesteś dziedziczką! — wykrzyknął. — Mademoiselle Busson du Maurier, z majątkiem w Sarthe i pensją od ostatniego króla. To samo mówił mi twój brat. On nigdy się tego nie wypierał. A twoja przyjaźń z diuszesa de Palmella, jak to wytłumaczysz?

— Była moją uczennicą na pensji, uczyłam ją angielskiego i po prostu mnie polubiła.

Wallace zachwiał się na nogach, jakby go ktoś uderzył w twarz.

— O, mój Boże! Mój Boże! — wykrzyknął i zaczął szlochać jak małe dziecko. Usiadł na łóżku, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Louise przycupnęła obok męża, bez słowa przełykając łzy. Wilgotne i napięte ręce złożyła na kolanach.

Niebawem Godfrey wstał i wyszedł z pokoju. Myślała, że poszedł po szklankę wody i czekała, spodziewając się, że przyjdzie lada moment.

Nie wrócił. Louise słyszała kuranty o północy, potem o pierwszej, drugiej i trzeciej. Wciąż siedziała sztywno, jakby kij połknęła, ze złożonymi rękami i twarzą zwróconą ku drzwiom.

Bezskutecznie próbowała przywołać w pamięci wygląd męża. Jego rysy były już niewyraźne, jego postać zamglona. Jedy-ny obraz, jaki pojawił się nieproszony, była to twarz jej brata Louisa-Mathurina. Śmiał się z siostry w ciemnościach, bezmyślny i beztroski, z gęstymi kasztanowymi lokami i zuchwałymi niebieskimi oczami.

6

Przez trzy dni Louise ukrywała się w pokoju, nie mówiąc nic rodzinie ani przyjaciołom i rozpaczliwie wmawiając sobie, że Godfrey Wallace do niej wróci. Czwartego dnia dyrektor hotelu zaczął coś podejrzewać; nigdy jeszcze nie widział, żeby panna młoda spędzała samotnie pierwsze dni miodowego miesiąca — i zażądał zapłaty. Jego zachowanie, przedtem służalcze, teraz zmieniło się gwałtownie. Najpierw aluzjami, a potem bez ogródek oznajmił Louise, że została porzucona i że taki jest los wszystkich kobiet, które poślubiają mężczyzn młodszych od siebie. Biedaczka, bliska załamania, zebrała się wreszcie na odwagę i zaczęła pakować ubrania, których jeszcze na szczęście nie zdążyła rozwiesić przed czterema dniami. Nie mogła dać się obrażać. Zjadliwe uwagi dyrektora hotelu trafiły jej do serca i zapuściły tam korzenie. Zastanawiała się tylko, ile jest prawdy w owych słowach. Cała tragedia wynikła z jej grzesznej dumy. Godfrey uwierzył, iż panna Busson ma pieniądze i majątek, że zaś sam był bez grosza, złapał w lot okazję i postarał się pozyskać jej względy chytrymi pochlebstwami — na co nigdy nie powinna była pozwolić.

Nigdy jej nie kochał, to przynajmniej było oczywiste. Sądził, że jest bogata i pożądał jej pieniędzy. Gdyby żywił dla Louise choć odrobinę uczucia, nie opuściłby jej w noc poślubną. Mogła mu darować wszystkie kłamstwa i podstępny, mogła wybaczyć mu wyraz twarzy, gdy się dowiedział, że jest tak sa-

mo biedna, jak on; ale tej zniewagi — nigdy. Panna młoda porzucona w noc poślubną! Nigdy już nie będzie mogła chodzić z podniesioną głową. Jak będą się na nią gapiły dziewczęta z pensji, jak będzie z niej drwiła przełożona! A pani Clarke! Louise już słyszała jej lubieżny śmiech i grubiańskie kpiny. Widziała, jak Mary Anne kiwa palcem i potrząsa głową. Wyobraziła sobie litość w oczach Ellen, jej zaciśnięte usta i słowa: „A nie mówiłam?” Co za hańba! Udręka i gorycz pozostaną jej aż do śmierci!

Gdy szykowała się do opuszczenia hotelu, dyrektor przedstawił jej sześciostronicowy rachunek — zaległą opłatę za pokój pana Wallace'a. Louise, żeby się z nim nie spierać, sięgnęła po swe skromne oszczędności i uregulowała należność. Następnie wynajęła fiakra i pojechała do klasztoru w Wersalu, gdzie miała przyjaciółki wśród zakonnicy i gdzie często się chroniła, gdy zapragnęła samotności.

Przyjęły ją z życzliwością, nie zadając pytań. W ich gronie leczyła więc swe zranione, przepełnione goryczą serce, modląc się o radę i błagając o dość odwagi, by móc znowu stawić czoło światu. Napisała do rodziny i do Ellen krótkie wyjaśnienie o tym, co się stało, prosząc, aby niczego nie robili we jej sprawie; nie próbowali się z nią kontaktować ani jej nie szukali, dopóki nie poczuje się na tyle silna, by z nimi rozmawiać. Co zaś się tyczy jej męża, to niech go nie ścigają. Jeśli ją kocha, to wróci. Jeśli nie — Louise nie chce go więcej widzieć.

Jej list był dla rodziny niczym grom z jasnego nieba.

Madame Busson w Hamburgu jak oszalała obiegała domy swych niemieckich przyjaciół, ogłaszając wszem i wobec, że jej córka została uwiedziona i porzucona. Uspokoiło ją dopiero wyjaśnienie, jakie przysłała Adelajda, że Louise przynajmniej jest mężatką, na dowód czego nosi na palcu obrączkę. Sprawdzono kościelny rejestr i wybadano pastora — wszystko było w największym porządku i zgodnie z prawem. Zatem nawet jeśli mąż Louise okazał się łajdakiem i oszustem, to ona pozostanie panią Wallace o nieposzlakowanej reputacji.

W Londynie Robert rozpoczął śledztwo dotyczące rodziny Wallace'a i odkrył, że sir Thomas jest zubożałym, starszym

dżentelmenem, bez żadnej pozycji w Szkocji. Nie widział swego syna od lat.

Zrozpaczony Louis-Mathurin, który obwinał się o zachęcanie sekretarza, pospieszył do Wersalu i ze łzami w oczach błagał siostrę o posłuchanie. Zostało mu udzielone. Louise przysłała do małej poczekalni, bardzo błada i spokojna, ale gdy tylko zobaczyła brata, opuściło ją całe opanowanie, jakie zdobyła w ciągu ostatnich tygodni, i załała się łzami.

— A to łajdak, niktzemnik! Pozna, co to sprawiedliwość! — zaklinał się Louis-Mathurin, zaciskając pięści i kipiąc gniewem, częściowo dlatego, iż wreszcie zrozumiał, że był tak samo naiwny, jak siostra — jego wynalazek wciąż nie miał patentu, a on sam nie zyskał wpływowych przyjaciół.

Pomimo uporu Louise i jej wciąż powtarzanych zaleceń, że nie życzy sobie, aby ścigano jej męża, sprawy szybko posuwały się naprzód. Wkrótce odkryto, iż Godfrey'a Wallace poszukiwano za oszustwo i kradzież; że ma sfałszowane papiery z ambasady. Krótko mówiąc: był łobuzem.

Nawet jego domniemana przyjaźń z diukiem de Palmella okazała się kłamstwem. Diuk napisał z Portugalii, zaprzeczając znajomości z człowiekiem, którego raz jeden spotkał w kawiarni. Wallace został wpuszczony na wesele dzięki pewności siebie i przekupieniu służącego stojącego w drzwiach.

— Mówiłam ci, że nigdy nie należy wierzyć zielonym oczom — mówiła pani Clarke do Ellen. — Gdyby Louise mnie posłuchała, miałyby nad nim władzę dzięki kontraktowi ślubnemu i teraz śmiałyby się z niego. Ale wychodzić za mąż bez żadnego poręczenia, a potem nie dostać ani grosza, nie mieć nawet nocy poślubnej... No, cóż, miałam mnóstwo rozmaitych doświadczeń, kiedy byłam młoda, ale takiego — nigdy!

— Nie dowierzałam mu od samego początku — stwierdziła Ellen. — Tak chytrze patrzył spod rzęs; to było wyjątkowo niemiłe. I miał zwyczaj gładzić bokobrody tymi swoimi długimi palcami. Okropność!

— Okropność! — powtórzyła jej matka. — Mógł być hultajem, ale założę się, że wiedział, co zrobić z rękami. Przysięgłabym, że lepiej niż Louise. On był wypisz, wymaluj jak Fol-

kestone, zawsze to będę twierdziła. Ci zielonoocy mężczyźni mają podły charakter, ale i zabawne obyczaje.

Westchnęła na to wspomnienie, z ustami pełnymi cukierków, a potem głośno zażądała pióra i papieru i zabrała się do pisania listu do swego adwokata, Fladgate'a, domagając się w ostrych i obelżywych słowach wyjaśnień, dlaczego jej renta od Diuka Yorku jest tak opóźniona.

Tymczasem biedna Louise, usychająca z tęsknoty w klasztorze, spędzała większość czasu na kolanach przed krucyfiksem. Ósmego lipca łagodna zakonnica o okrągłych oczach przyniosła do jej małej, nagiej celi list.

Napisano go zamasztyłym, ozdobnym pismem, które Louise znała tak dobrze. Znaczek miał pieczęć z Calais. Louise odczekała chwilę, podniecona była prawie nie do zniesienia. Wreszcie zdobyła się na odwagę i złamała pieczęć. Oto, co przeczytała:

Ach, Louise, Twojego nieszczęśliwego męża spotkało to, na co zasłużył. Po przybyciu do Calais zostałem za sprawą Twego brata aresztowany i osadzony w więzieniu za ni mniej, ni więcej, tylko oszukanie i porzucenie żony. Jakkolwiek popełniłem błędy, to w tym względzie sumienie mam czyste. Wzywam Boga na świadka mej niewinności; nie porzuciłem żony. Nasze rozstanie jest chwilowe po to, by uniknąć hańby za roztrwonienie nie należących do mnie pieniędzy przy fatalnym zielonym stoliku. Nadzieja zdobycia funduszy na spłacenie długu była powodem, który mnie skłonił do podjęcia owego nierozważnego kroku. Jeśli Twe serce nie jest wolne od litości, na miłość Boską napisz do mnie i postaraj się wpłynąć na uwolnienie mnie z tej nikczemnej celi.

Przyjmę z pokorą sprawiedliwy wyrok sądu i będę żył tylko dla Tej, która mnie kiedyś kochała i której obraz jest na zawsze wryty w moim sercu. Jedno słówko diuka de Palmella mogłoby mi zapewnić amnestię, moja najdroższa Louise. Postaram się odpokutować za swój nikczemny uczynek. Och, przebacz albo choć zlituj się nad swym kiedyś kochanym mężem.

Napisz do mnie i powiedz, że nie jesteś tak nieszczęśliwa jak

ja. *Potem spotka mnie albo śmierć, albo jakaś inna kara, którą mi sąd wymierzy.*

Nie mogę już dłużej pisać. Jeszcze raz błagam Cię choć o jedno słówko.

Zawsze Twój

Mąż

GODFREY WALLACE

Nadal mnie kocha, było pierwszą myślą Louise. Pozostał mi wierny, mimo wszystko. Trzeba mu tylko wysłać pieniądze, a znów będziemy razem. Moje małżeństwo przestanie być już czczym kłamstwem.

Jak w gorączce założyła swoje wyjściowe ubranie i po raz pierwszy od wielu tygodni udała się do Paryża. Kiedy znalazła się w mieszkaniu przy rue de la Lune, zastała tam swą matkę, która wróciła właśnie z Hamburga i szykowała się do odwiedzenia córki w Wersalu. Tak, to wszystko prawda, Godfrey Wallace został odnaleziony. List od Louisa-Mathurina nadszedł właśnie tego ranka. Brat udał się do Calais i ten niegodziwiec został uwięziony za jego sprawą.

— Natychmiast trzeba go uwolnić! — zawołała Louise. — Nie mogę znieść tego, że cierpi poniżenie w celi więziennej. Nie ma teraz czasu na pisanie do Portugalii, chociaż wiem, że Eugenie by mi pomogła. Muszę sama zdobyć pieniądze i wysłać je natychmiast. Mój mąż postąpił nierozważnie, nawet niegodziwie, przyznaję, ale wciąż mnie kocha i chce być ze mną.

Znów pozostała głucha na głos rozsądku. Trzeźwa mądrość bretońskiej matki nie trafiała do jej uszu. Młoda kobieta nie chciała nawet niczego słuchać.

— Zawiódł cię już raz i znowu to uczyni — ostrzegała ją Madame Busson. — To, co chcesz teraz zrobić, to czyste szaleństwo. On nigdy do ciebie nie wróci.

— Musi! Wróci! — wrzeszczała Louise; jej dotychczasowa łagodność zniknęła na skutek hamowanego gniewu i tęsknoty. — Jego list świadczy, że mnie kocha. Jak tylko będzie mógł, wróci do mnie!

Oblatywała wąski krąg swych przyjaciół jak ślepa ćma. Zebrała o pięć franków od jednego, o pięć od drugiego. Uzyskała osiemdziesiąt od pani Clarke, która w przypływie szczodrości podarowała jej do sprzedania pierścionek z rubinem, twierdząc, że nie potrafi odmówić pomocy kobiecie tak wzniośle i namiętnie zakochanej, jak Louise, nawet jeśli jest ona najgłupszą istotą we Francji.

Tak więc pieniądze zostały zebrane i wysłane, pomimo listownych protestów Louisa-Mathurina. Wtedy pani Wallace zagroziła, że sama przyjedzie do Calais, jeśli jej mąż nie zostanie natychmiast wypuszczony na wolność. Potem zapanowała cisza, wszyscy z napięciem czekali na odpowiedź. Louise siedziała od rana do wieczora z oczami utkwionymi w drzwiach, spodziewając się, że nagle się otworzą, a niegodziwy, lecz uwielbiany mąż rzuci jej się w ramiona.

22 lipca Adelajda, która wyglądała przez okno na ulicę, zbiegła ze schodów do konsjerżki i wróciła z listem ze znacznikiem z Calais. Louise porwała kopertę, złamała pieczęć i przeczytała na głos:

Moja zawsze mi droga Louise,

Właśnie w tej chwili mam zamiar wsiąść na statek płynący do Anglii. Właśnie dzisiejszego ranka, to znaczy 19., zostałem zwolniony dzięki Twoim staraniom i pieniądzom, jakie mi przesałaś. O trzeciej opuszczam ten przeklęty francuski kraj na zawsze. Możesz być pewna, że wkrótce uwolnię Cię od wszystkich obaw. Spodziewam się, że niebawem już będę mógł wziąć w objęcia Panią mego serca, a ty otrzymasz pieniądze na pokrycie wszelkich niezbędnych wydatków.

Twój zawsze Cię kochający Mąż nie ma nic innego na względzie, jak tylko Twoje szczęście. Wyobraź sobie, jak cierpiełem z Twego powodu; słowa nie potrafią wyrazić mych uczuć. Spróbuj wybaczyć swemu nieszczęśliwemu mężowi.

Napiszę zaraz po przyjeździe do Londynu. Niebawem zdobędę środki, by móc uściśnąć Panią mego serca.

Twój oddany Ci na zawsze kochanek i mąż
G. Wallace

Niewielkie grono słuchało w milczeniu, a kiedy Louise skończyła, zaczęła jeszcze raz od nowa, po cichu. Potem podniosła wzrok i spojrzała na matkę.

— Widzisz — powiedziała powoli. — On myśli jedynie o moim szczęściu. Za dwa lub trzy tygodnie pośle po mnie, byśmy się spotkali w Anglii.

Matka nic nie odpowiedziała. Adelajda wstała i cicho wyszła z pokoju. Louise siedziała nadal, z listem na kolanach.

Było to bardzo roztropnie ze strony Eugenie de Palmella, że napisała w takim momencie z Lizbony: spodziewa się dziecka w październiku i sama nie dałaby rady stawić czoła tej ciężkiej próbie, jeśli jej najdroższa Louise nie będzie u jej boku.

Madame Wallace postanowiła od razu opuścić Francję i udać się do Portugalii. Będzie z dala od Paryża i wszystkiego, co przypomina jej niegodziwe postęпки męża. Mogła dać Eugenie i jej dzieciom całą miłość, jaką przepełnione było jej serce. Może zrobić więcej dobrego, służąc innym, perswadowała sobie, niż zamykając się w klasztorze, co było jej pierwotnym zamiarem.

Wskutek zrzędzenia losu — pisała do przyjaciółki, zapowiadając swój przyjazd — *nie mogę być w tym błogosławionym stanie, co Ty, i nie możemy razem oczekiwać macierzyństwa. Dlatego, droga Eugenie, korzystam z okazji, by się poświęcić Tobie i Twojej rodzinie, a Ty możesz mną rozporządzać do woli. Stanę się niańką, towarzyszką, guwernantką, jeśli sobie tego zażyczysz. Jako świadek małżeńskiego szczęścia Twojego, Eugenie, i Twego męża, będę się w jakiejś mierze czuła zrekompensowana za to, co straciłam.*

Tak więc biedna, porzucona Louise udała się do Portugalii. Romans jej życia się skończył, a chwilowy splendor przeminął na zawsze. Miała trzydzieści pięć lat, a wyglądała starzej. W jej włosach pojawiły się srebrne nitki i zmarszczki rozczarowania wokół ust. Louis-Mathurin, młodszy zaledwie o kilka lat, wyglądał przy niej jak chłopiec. Ucałowała go z wielką czułością

na pożegnanie. Był wciąż dla niej jak dziecko, a fakt iż przyczynił się do owego niefortunnego małżeństwa, stanowił raczej łącznik między nimi zamiast bariery.

— Pamiętaj, że spodziewam się po tobie wielkich rzeczy — powiedziała. — Wkrótce Eugenie i ja przeczytamy o twoim nowym wspaniałym wynalazku, a każdy w Lizbonie będzie mi zazdrościł tak sławnego brata.

— Za dziesięć lat będziemy podróżowali na inne planety — powiedział z zapałem. — Będziesz mogła wyjechać rano z Lizbony i pojechać na Księżyc, żeby napić się herbaty. Potrzebuję jeszcze tylko paru miesięcy, a mój wynalazek zmieni oblicze świata. Życie stanie się pełniejsze, nieskończenie więcej warte. Wszechświat stanie przed nami otworem! Jeszcze tylko kilka miesięcy, Louise.

— Nie możesz się tak przemęczać. Za ciężko pracujesz.

— Przemęczać? Nigdy nie czuję się zmęczony. Moja energia jest nieograniczona. Piję eliksir życia, jestem jednym z bogów!

Zaśmiała się lekko z entuzjazmu brata, a potem objęła po raz ostatni, szepcząc do ucha słowa pożegnania.

— To może wcale nie być przedwczesne — powiedział. — Gdybyś wspomniała słówko swemu przyjacielowi diukowi, że twój brat jest na tropie wielkiego odkrycia, a na przeszkodzie stoi mu jedynie godny ubolewania brak pieniędzy... Diuk mógłby się tym zainteresować, mógłby nawet... No, cóż, rozumiesz, Louise... po prostu mu o tym napomknij. Jedno małe słówko w odpowiednim momencie.

Siostra spojrzała na niego groźnie.

— Nie chcę, żeby Eugenie myślała, że jej przyjaźń liczy się dla mnie jedynie z powodu pozycji jej męża — oświadczyła. — Kocham ją dla niej samej, a nie za jej bogactwo czy tytuły.

— No tak — zgodził się szybko Louis-Mathurin. — Moje intencje są czyste i jestem jak najdalszy od tego, by cię namawiać do handlowania swymi uczuciami. Na pewno nie. Jestem zbyt dumny, by prosić kogoś o łaskę. Busson nigdy nie będzie żebrał! *Bon sang ne sait mentir*, jak zawsze powtarzam. Ale trudno jest żyć z przeświadczeniem, że tych nędznych kilka

franków stoi mi na przeszkodzie w zdobyciu fortuny. Garść drobnych w kieszeni wielkiego pana, który nawet by nie zauważył tak nikłego uszczerbku. Oto cała różnica pomiędzy głodowaniem a sławą. Świat i przyszłe pokolenia zostaną pozbawione wielkiego wynalazku z powodu marnych skrupułów! Nie szkodzi. Może to nawet i lepiej, że świat się cofnie, zamiast iść naprzód. Co mnie to obchodzi.

— Już dobrze, Louis, nie denerwuj się tak, nie chciałam ranić twoich uczuć. Spróbuję zainteresować diuka tym, co robisz, obiecuję. Bądź zadowolony.

Od razu się rozpromienił, a jego niebieskie oczy zrobiły się zuchwałe jak u dziecka. Pomachał siostrze na pożegnanie — i ten widok Louise zabrała ze sobą do Portugalii: wysoka, chuda postać z długimi rękami i nogami, z zadartym nosem oraz kasztanowymi lokami rozwiewanymi przez letni wiatr.

Tymczasem pani Clarke w swych apartamentach w Auteuil korespondowała z adwokatem Fladgate'em na temat możliwości pochwylenia Godfrey'a Wallace'a. Mary Anne z satysfakcją myślała, że ma jeszcze pewne wpływy w Londynie i że wystarczy jedynie poruszyć owych „szpiegów”, jak to określała, a niebawem wpadną na świeży trop.

Wtrącanie się w sprawy innych zawsze było największą radością Mary Anne, o czym świadczyła cała jej działalność w okresie minionej świetności. Teraz, gdy już porzuciła dawną profesję, której poświęciła najlepsze lata życia — jako że podeszły wiek i odchodząca uroda wymagały wycofania się z interesów — głęboką przyjemność czerpała z wtrącania się w małe niepowodzenia niewielu pozostałych przy niej przyjaciół. Tu rzucała rady, tam dawała sugestie, ufając swemu zadartemu, wścibskiemu nosowi, co do spraw, które w większości absolutnie jej nie dotyczyły. Poza zdradzeniem poufnych informacji, zniszczeniem zaufania pomiędzy przyjaciółmi i rozbiciem jednego czy dwóch małżeństw, nie udało jej się wyrządzić wielkiej szkody. Jej bystry dowcip i cięty język były zawsze na usługi tych, co tego potrzebowali. Tak więc życie Madame Clarke nie było tak puste, jak można by przypuszczać.

Smutna historia Louise Busson i jej męża-szaławiły, który do tego stopnia zaniedbywał obowiązki, że opuścił żonę w noc poślubną, bardzo przypadła jej do gustu. W obecności córki litowała się nad biedną panną młodą, kręcąc głową z mądrą miną i tłumacząc, co by zrobiła na jej miejscu. W obecności mężczyzn zachowywała się jednak zupełnie inaczej. W ciągu paru wieczorów, kiedy gościła przedstawicieli zgniłej *noblesse*, opowieść o tym, wydarzeniu była *piece de resistance* wieczoru. Podstarzali książęta i siwowłosi hrabiowie, którzy nie śmiali się tak serdecznie od czasu, gdy po alejach Wersalu rozrzucano paszkwile o Marii Antoninie, szli do swych łóżek zataczając się ze śmiechu, ze łzami na policzkach. „Ta pani Clarke jest po prostu wspaniała!” — sapali, biorąc się pod boki i wyobrażając sobie siebie znów jako chwatów, drobiących nóżkami przez sprośny wiek XVIII. Zaś Mary Anne, z twarzą mocno uszminowaną i przyciemnionymi rzęsami, trzęsła się z uciechy na wspomnienie udanego wieczoru: stary du Croissant opluł winem gors koszuli, a le Remilly czknął zupą na obrus.

Dobrze, że Ellen siedziała na drugim końcu stołu i nie obserwowała ich ani nie słuchała. „Biedna Louise, co za okropny wstyd, ale ów incydent z nocą poślubną tak się nadaje do wykorzystania” — wzdychała Mary Anne, ocierając łzy śmiechu z uczernionych rzęs. Dzięki tej historyjce ona i Ellen zostały zaproszone na obiad do markiza. Już tak niewielu zabawnych ludzi pozostało w dzisiejszych czasach. Tak brak jest dowcipu. W tej klasie średniej wszyscy są tacy afektowani i przyzwoici. Nazywają ich burżuazją.

Mary Anne przypomniała sobie dawne przyjęcia przy Park Lane i Gloucester Place. Na podłodze stłuczone szkło i rozlane wino. Nikt nie był w stanie o własnych siłach dojść do powozu; trzeba było posyłać po służącego, żeby zaniósł gości. Och, Boże! Te skapujące świece i soczyste mięsiwo pływające w sosie, czerwone wino, mocne perfumy, piękni młodzi oficerowie — ich przysięgi, gorące dłonie, niestosowne propozycje w kącie salonu. A teraz jest starszą, ponad pięćdziesięcioletnią kobietą z reumatyzmem w lewej nodze i wiatrami pod sercem. Jednak czuje jeszcze takie podniecenie, kiedy du Croissant upuszcza

chusteczkę pod stół, a potem gramoli się po nią, dotykając jej kolana pod spódnicą.

Biedna Louise, wcale nie wie, jakiej uciechy im dostarcza. Pani Clarke miała wyrzuty sumienia i zdręzczała nieszczęsnego Fladgate'a żądaniem, by nie ustawał w poszukiwaniach męża panny Busson.

Misja częściowo się powiodła. O mężu Louise słyszano w Chatham, gdzie zaciągnął się na służbę w Kompanii Wschodnioindyjskiej, ale w jakiej randze — nie udało się tego ustalić.

Fladgate otrzymał polecenie aby pojechał do Chatham, do biura Kompanii i dowiedział się czegoś na temat delikwenta. Ale czy nie zrobił tego zbyt późno, nie wiadomo. Dość że kiedy już tam przybył, okazało się, że zbieg zniknął. Z Grawesend pod koniec miesiąca wypłynął do Indii statek; prawdopodobnie Wallace znajdował się na pokładzie.

Tropienie niebieskiego ptaka na Wschodzie — to było więcej, niż pani Clarke mogła sobie pozwolić. Napisała do swego syna George'a, którego pułk stacjonował w Indiach, z poleceniem, aby miał oko na młodego, zielonookiego mężczyznę z bokobrodami — ale nie mogła liczyć na sukces.

W Portugalii Louise, szyjąc dziecięce ubranka i dokonując nieuniknionych porównań między sytuacją własną a Eugenie, zniosła owe wieści z zimną krwią. Cóż, przynajmniej Godfrey żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Skoro chce ukryć swą hańbę w dżunglach Indii, żona nie może go od tego powstrzymać. Jedyne, co mogła zrobić, to modlić się do Wszechmogącego, żeby jej małżonek zrozumiał wreszcie swoje błędy i okazał skruchę, zanim zasłuży na wieczne potępienie.

Napisała do brata, prosząc, aby złożył wizytę pani Clarke i podziękował jej za wszystkie starania, a także przekazał wiadomość dla Ellen. Louis-Mathurin niewiele wiedział o Clarke'ach poza tym, co usłyszał od siostry, a także zachował w pamięci niewyraźny obraz uszminkowanej, przesadnie wystrojonej starszej damy, będącej gościem na owym niefortunnym weselu — wybrał się jednak, aby wypełnić swą misję, dość nią znudzony. W ogóle nie pamiętał natomiast córki, panny Clarke.

Gdy przybył na miejsce, poinformowany został przez konserjera, że *Madame* zajmuje apartamenty na drugim piętrze. Udał się na górę wąskimi schodami. Myślni był o setki mil stąd.

Znalazłszy się na miejscu, usłyszał jakąś muzykę, dochodzącą z półpiętra powyżej. Dźwięk był stłumiony, prawie nierozpoznawalny, jak we śnie. Louis-Mathurin przystanął, by posłuchać, i wówczas usłyszał melodię bliżej, za drzwiami: miękkie dźwięki harfy, tak słodkie i niespodziewane w ów szary wrześniowy dzień. Ktoś grał „Serenadę” Schuberta. Dziwny wybór jak na harfę, pomyślał Louis-Mathurin. Czekał, uśmiechnięty, chcąc się przekonać, jak nieznany harfista poradzi sobie z akompaniamentem, który towarzyszy tej melodii. Obracając gałkę w drzwiach, na w pół świadomie zaczął nucić pod nosem. A kiedy drzwi się otworzyły, wszedł od razu do środka, bez namysłu, nie czekając, aż służąca go zaanonsuje, poddając się smętnemu pięknu serenady — jego ulubionej pieśni, która teraz przysłała doń tak nieoczekiwanie.

Jego wizyty także nie oczekiwano, wszak dla pani domu — był obcą osobą, co nie miało najmniejszego znaczenia dla Louisa-Mathurina, który słyszał wyłącznie Schuberta.

Jak lunatyk wszedł do salonu, idąc śladem muzyki do jej źródła. Ellen, zadumana nad harfą, podniosła nagle wzrok i ujrzała młodego mężczyznę, sunącego ku niej jak widmo. Wysoki, chudy nieznanomy o niebieskich oczach i płomiennych włosach śpiewał „Serenadę” tak, jak jeszcze nigdy nie słyszała tego utworu. Czarodziejskie palce Ellen zawahały się i przez chwilę pozostawały bezczynne; przemknęło jej przez myśl, że widać służąca straciła rozum, skoro wpuściła gościa bez pozwolenia.

Nieznanomy przybysz nie zauważył jej wahania; był teraz całkowicie pod wpływem własnego śpiewu i ustanie muzyki nie wyzwoliło go.

Ellen również poddała się nastrojowi, stając się ofiarą zaczarowanego głosu śpiewaka. Zapomniała o formalnościach i konwenansach, zazwyczaj jej bliskich z racji powagi oraz surowości charakteru, i dalej ciągnęła melodię pieśni, zmuszona iść jego śladem, tak jak przedtem on jej towarzyszył.

Harmonia była zatem doskonała: żadne z nich nie przeskoczyło drugiemu i tak, stopiwszy się w jedność, tych dwoje, nie znając się, nieświadomie posłuszni jakiemuś ślepemu instyktowi, poświęcili swe talenty Bogu. Było to jakby chwilowe zawieszenie w czasie, bez przeszłości czy przyszłości; codzienny znój, pożywienie czy praca ich nie dotyczyły. Zniknęła wszelka małostkowość ich natur; jego kłamstwa, pozy i nieuczciwość rozwiały się wraz z jej nietolerancją i pychą. Opadły z nich małe grzeszki i w swym umiłowaniu piękna byli jak nagie dzieci.

Wówczas pieśń się skończyła. Ostatni akord harfy rozplynął się w nicłość, głos śpiewaka opadł i zamarł. A chociaż magia przestała działać i pozostali tylko mężczyzna i kobieta, uśmiechający się do siebie trochę niemądrze, połączyła ich jakaś niewidoczna więź, która miała trwać aż po wieczność.

— Jesteś Ellen Clarke — odezwał się Busson. — Louise nigdy mi nie mówiła, że grasz na harfie. Ile czasu straciłem, nim się dowiedziałem!

— Widziałam cię na weselu — odrzekła — ale wtedy wyglądałeś inaczej, zupełnie nie ten sam człowiek. Nie miałam ochoty z tobą rozmawiać.

— To cudownie, że się odnaleźliśmy — powiedział Louis-Mathurin. — Muzyka oszczędziła nam wszystkich absurdalnych formalności. Gdybym wszedł do tego pokoju za służącą, skłonił się przed tobą i przekazał list od mojej siostry, rozmawialibyśmy o głupstwach przez pięć minut, potem znów bym się ukłonił, a ty podałaśbyś mi rękę. I nigdy więcej byśmy się nie spotkali.

— A ponieważ stało się inaczej, co powinniśmy robić?

— No cóż, będziemy dyskutowali o życiu i śmierci, o tym, jacy jesteśmy nieszczęśliwi, dlaczego nie wierzymy w Boga i że Euklides był największym geniuszem, jaki kiedykolwiek istniał. A kiedy już się znudzimy, znów siądziesz do harfy, a ja dla ciebie zaśpiewam.

— Przypominam już sobie, co Louise mówiła na twój temat. Jesteś naukowcem, czego ona nie pochwała, i ateistą, co ją przeraża.

— Louise powinna była zostać zakonnica. Ona nie żyje na tym świecie, nigdy nie słyszała o Galileuszu, o Giordano Bruno czy Koperniku. Modli się do świętych (którzy, nawiasem mówiąc, byli po prostu epileptykami) i spowiada się ze swoich małych, biednych grzeszków tłustemu księdzu, ten zaś jej nawet nie słucha, a jeśli słucha, nic go to nie obchodzi.

— Nie byłeś wychowany w wierze katolickiej?

— Oczywiście, że tak i dlatego właśnie stałem się ateistą. Czytałem o Inkwizycji, mając dziesięć lat i oglądałem obraz o masakrze w Noc Świętego Bartłomieja, mając lat dwanaście. Od tej pory nienawidzę katolicyzmu. Katolicy prześladują myślicieli i filozofów od samego początku. Gdybym mógł, wieszalbym każdego księdza na najbliższym drzewie.

— Skłonna bym była przyznać ci rację, ale ja nie poznałam żadnej religii.

— Zgadzamy się ze sobą znakomicie. Jesteśmy oboje wolnomyślicielami i kochamy muzykę. Nie ma lepszych podstaw do przyjaźni. Co wiesz na temat nauki?

— Bardzo niewiele, a chciałabym wiedzieć więcej. Historia była zawsze moim ulubionym przedmiotem. Przeczytałam więcej książek, niż można zliczyć.

— Będziemy czytać razem, a raczej to ja będę czytała, a ty posłuchasz. Cieszę się, że jesteś inna od zwykłych młodych kobiet, które ukrywają sztuczne uśmiechy za wachlarzami i domagają się komplementów.

— Nigdy w życiu nie spodziewałam się ani nie usłyszałam komplementu.

— A za co? Nie jesteś piękna. Widzisz, to pierwszy komplement, mówię ci szczerą prawdę! Nie, nie jesteś piękna, ale masz bardzo interesujące rysy. Masz rzymski profil, powinnaś być na monecie.

— Dziadek do orzechów, jak zwykł był mówić mój brat.

— Nie, to zbyt surowe, prawdziwie braterska ocena. Masz pełne wyrazu oczy. Ciekawe, ile masz lat?

— Jestem o dwa lata młodsza od Louise.

— Zatem jesteśmy w tym samym wieku. Okazuje się, że jesteśmy coraz bardziej do siebie podobni. Spędziłaś dziecin-

stwo w Anglii, a wyrastałaś we Francji, tak jak ja. Może nawet płynęliśmy tym samym statkiem?

— To całkiem prawdopodobne. Opuściliśmy Anglię w marcu 1810 roku.

— To tak jak my! Zastanawiające, dlaczego Louise nigdy mi o tym nie mówiła?

— Nigdy nie rozmawiałyśmy o tych sprawach.

— Jak długo się znacie? Dwa lata, prawda? A ja znam cię dopiero od dziesięciu minut i już rozumiem cię o wiele lepiej. Będę cię często odwiedzał, zgoda? Teraz gdy Louise wyjechała do Portugalii, nie ma nikogo, kto by tak chętnie słuchał, kiedy mówię o sobie. Duszę się na rue de la Lune. Moja matka mnie nie rozumie, a Adelajda jest za młoda. Czuję, że ty mnie wysłuchasz.

— Sama też mam o czym mówić. Trzymałam język za zębami przez trzydzieści lat i już mi się znudziło to milczenie. Moja matka jest gadułą, a dwie gaduły w rodzinie nie zawsze tworzą harmonię.

— Siedzisz przy harfie i słuchasz, co ona mówi?

— Wprost przeciwnie, gram i nie słucham. Poza graniem nie mam innych talentów, ledwie potrafię szyć.

— Coraz lepiej. Nie znoszę kobiet domatorek. To dlatego się nie ożeniłem. Zupa na obiad, niemowlęce pieluchy i dyskusje o ospie w sąsiedztwie — to nie dla mnie.

— Ani dla mnie! Nie cierpię błahych rozmów. To dlatego nie robię furory w towarzystwie. Ale spierać się o jakąś książkę czy ganić polityka — o tym mogę mówić aż do rana. Mojej matki takie dyskusje nie interesują, ona musi być zabawiana.

— Z pewnością jesteś obowiązkową córką... Ale zaraz, zapomniałem, z czym przychodzę. Mam list od Louise dla pani Clarke. Czy go otworzysz?

— Nie, ona uwielbia listy. Ostatnio dostaje ich tak niewiele.

— Jesteś pozbawiona egoizmu, a także obowiązkowa. Louise kazała mi przekazać ci wiele rzeczy, ale wszystko zapomniałem. Może sobie przypomnę wieczorem i przyjdę tu jutro rano, zanim znów wszystko pozapominam. O Boże! Czy to twoja matka?

Patrzył z niedowierzaniem w otwarte drzwi, w których stała dziwna postać w bieli. Pani Clarke, z włosami ufarbowanymi i ufryzowanymi, zebranymi według najnowszej mody na czubku głowy, sunęła na jego powitanie, ubrana jak na prezentację u dworu — w jedwabnej sukni, zaprojektowanej dla dziewczyny siedemnastoletniej.

Jej ramiona, pobielone na odcień alabastrowy, były dobrze zachowane, ale cały puder świata nie mógłby ukryć zmarszczek na szyi i rękach, które przypominały łapki małpki.

— Wiem, kim jesteś — powiedziała figlarnie. — Jesteś bratem Louise. Uderzające rodzinne podobieństwo. Ale gdzie się ukrywałeś przez cały ten czas? Dlaczego nigdy przedtem cię nie widziałyśmy?

Louis-Mathurin skłonił się grzecznie.

— *Madame*, strata jest po mojej stronie. Siostra, opowiadając o swych przyjaciółkach paniach Clarke, zapomniała mi powiedzieć, że panna Ellen ma siostrę. Wnoszę, że pani jest ową siostrą, prawda?

— Och, bzdury! Nonsens, panie Busson. Jestem mężatką i zostałam matką, zanim ty wydałeś pierwsze tchnienie. Kpisz sobie ze mnie.

— Nie ośmieliłbym się, *madame*, za nic w świecie.

— Och, przestań udawać. Aż za dobrze znam mężczyzn. Żyłam z nimi i oszukiwałam ich, ledwie skończyłam siedemnaście lat. Jak ci się podoba moja suknia?

— Nawet jej nie zauważyłem, całą moją uwagę pochłonęła właścicielka.

— Do licha, co za kłamczuch! Widziałam wyraz twojej twarzy, gdy wchodziłam do pokoju. Wiem, jestem starą kobietą, ale nic na to nie poradzę. Tak niewiele pozostało mi przyjemności. Boże drogi, jakże ja ubóstwiam nowe suknie! Ellen nic a nic nie obchodzi takie rzeczy. O czym przed chwilą rozmawialiście?

— Odkryliśmy, *madame*, że mamy pokrewne dusze. Urodziliśmy się tego samego roku, mamy te same upodobania; nie ma prawie kwestii, w której byśmy się nie zgadzali.

— Chyba nie powiesz mi, że Ellen spotkała bliźniaka! Nie

uwierzę w to ani przez chwilę. Sir, czy sądzisz, że zrobiłabym to samo głupstwo dwa razy?

— Z pewnością panna Clarke nie była pomyłką.

— Mam wrażenie, że właśnie była. Zresztą to tak dawno temu, że już naprawdę nie pamiętam. Bez wątpienia byłam roztargniona tak jak teraz. Nigdy nie zwracałam uwagi na szczegóły... Biedna Ellen, jaką ma niecną matkę! Ona jest taką dobrą córką, panie Busson, nie rozstałabym się z nią za nic w świecie. No, może tylko dla bogatego męża z kilkunastoma tysiącami rocznie.

— Może panna Clarke ma coś w tej sprawie do powiedzenia?

— Panna Clarke w ogóle nie będzie o tym dyskutowała — odparła Ellen stanowczo.

Śmiech był ogólny, a potem wszyscy troje udali się do salonu.

— O, jest moja Lulu, moja nadzwyczajna Lulu! — wykrzyknęła pani Clarke, sięgając po swego miniaturowego, szkaradnego psa, który z miejsca zaczął komicznie ujadać na widok nieznanego. — Czyż to nie najśłodsza istota pod słońcem? Pocałuj pana, Lulu. Dzielny człowiek, dobrze to zniósł! Jej oddech jest nie do wytrzymania. Ma nie w porządku ząbki. Ellen, każ podać herbatę. Biedny pan Busson jest zmęczony.

Usiadła na kanapie i klepiąc miejsce obok siebie, wskazywała je biednemu Louisowi-Mathurinowi który, wzruszywszy ramionami, pogodził się z faktem, że ucieczka jest niemożliwa.

— Miło gościć u siebie w domu dobrze prezentującego się młodego człowieka — westchnęła pani Clarke. — Niestety, tu wszędzie wokół jest hołota. Niezbyt to zabawne dla Ellen, ale i starsi mężczyźni są nie dla niej. Nie jest dość ładna ani czarująca, nie potrafi flirtować. Żadne z moich dzieci nie potrafi flirtować, panie Busson. Całą robotę zostawiły biednej matce!

— Przekazały ją we właściwe ręce, *madame*.

— O fe! Pewnie myślisz, że mam zamiar flirtować z tobą? Gdybym miała o dwadzieścia lat mniej, założyłabym się, że to by ci się spodobało. Szatyni zawsze mają gorącą krew.

— Moja krew jest zimna niczym lód, pani Clarke.

— Nie wierzę. Ale skoro tak, to nie ma o czym mówić. Co się dzisiaj dzieje z tymi młodymi ludźmi! Mój kochany George nawet nie spojrzy na kobietę, tak mi przynajmniej mówi. Oto jego portret. Czyż nie jest to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałeś?

— Z pewnością w mundurze wygląda bardzo korzystnie.

— W mundurze, bzdury! Mój George jest piękny i bez niego. Powinno się człowieka oglądać nagiego, żeby w pełni ocenić jego urodę.

— Jest pani koneserką, pani Clarke?

— Byłam, mój drogi chłopcze, byłam. Nic nie mów o tym Ellen, łatwo ją zgorszyć. Gdybyś przyjmował w swoim domu pół angielskiej armii, wiedziałbyś coś na temat żołnierzy — ubranych i rozebranych!

— Musiała być pani wielką pomocą dla armii?

— Pomocą to mało, panie Busson. Armia mogła polegać na mnie całkowicie. Dwadzieścia pięć lat temu nie za sztandar, ale dzięki mnie dostawało się patent oficerski. A kiedy patent miał jeszcze piękną prezencję, dostawał coś jeszcze ode mnie na do-datek. Drodzy chłopcy, zawsze tacy wdzięczni za tę maleńką rzecz. Nie było prawie żołnierza w armii, o którym bym czegoś nie wiedziała — począwszy od Diuka Yorku, a na doboszu skończywszy.

— Doprawdy, *madame*? To chwalebne! Zawsze słyszałem, że bitwa pod Waterloo została wygrana na placu zabaw w Eton College. Czy to możliwe, że zaszła pomyłka i tak naprawdę została wygrana w alkowie pani Clarke?

Starsza dama zatrzęsała się od śmiechu, szturchając w bok swego rozmówcę.

— Cudownie! Znakomite! Dlaczego ja sama na to nie wpadłam? Powiem ci coś, masz cięty dowcip, w Londynie będą cię za to kochali. Umiesz też śpiewać jak anioł, powinieneś śpiewać w operze!

— Miałem taki zamiar. Ale cóż, sprzeciwy rodziny, *mada-me*, uprzedzenia i temu podobne.

— Bzdury! Z twoją aparycją zarobiłbyś fortunę. Bywałam

kiedyś w teatrach i wiem na ten temat wszystko. Mówię ci, słyszałam najlepszych śpiewaków w Londynie i na kontynencie, i nigdy nie spotkałam kogoś z tak pięknym, naturalnym głosem jak twój.

— To dla mnie honor.

— Mówię prawdę. Czym się zatem zajmujesz?

— Param się nauką, *madame*. Robię wynalazki. Pewnego dnia moje imię znajdzie się na ustach całego świata.

— Och, to interesujące! A jakie to wynalazki?

— Aktualnie pracuję nad cudowną machiną, która wyniesie nas na Księżyc.

— Ależ mój drogi, czy znajdzie się ktoś chętny do lotu na Księżyc? Ja z pewnością mam zamiar latać w powietrzu. A co tam będziemy robić?

— Muszę przyznać, *madame*, iż nad tym się nie zastanawiałem. Nie wątpię, że przeprowadzimy tam badania, natrafimy na jakieś nieznane stwory, nawet dziwaczne istoty ludzkie...

— Dziwaczne istoty ludzkie! Jeśli zostali zrobieni w inny sposób, to mnie z pewnością nie zainteresują. Nie wiedziałabym, co z nimi począć.

— Ależ, pani Clarke, jaka to byłaby radość ich spotkać!

— Tak myślisz? Chyba już jestem za stara. Nie mogę wszystkiego zaczynać od nowa w tym wieku! Sza, idzie Ellen z herbatą! Musimy zachowywać się przyzwoicie, ona jest taka pruderyjna. Ellen, moje złotko, czuję wielką sympatię do tego młodego człowieka, jest bardzo dowcipny. O wiele zabawniejszy niż jego siostra. Biedna Louise! Bardzo ją wszyscy lubimy, panie Busson, ale ona nigdy mnie nie rozśmieszyła.

— Traktuje życie zbyt poważnie, *madame*, zawsze taka była. Zastanawiam się, czy teraz, po tym niefortunnym małżeństwie, znów kiedykolwiek się uśmiechnie.

— Co za okropne wydarzenie! Wstrząsające! Martwiłam się tym okropnie. Ten młody człowiek wyglądał tak sympatycznie, że wszyscy dali się zwieść. A potem zostawił ją w taki sposób, w noc poślubną! Przypuszczam, że nikt nie zna prawdy o tym małym epizodzie.

— Sądzę, że lepiej o to nie pytać, *madame*.

— Och, masz racje. O wiele lepiej. Ale też nikt nie może w to uwierzyć. Twoja biedna, droga siostra, taka niedoświadczona. Gdyby tylko miała... Nigdy nie chciała przyjąć ode mnie rady.

— Co by jej pani poradziła?

— Powiem ci innym razem, kiedy Ellen nie będzie. Teraz ty mi powiedz, co byś zrobił, gdyby żona uciekła od ciebie w noc poślubną?

— Sądzę, że spałbym sam.

— Och, fe! I to ma być wynalazca! Ellen, jestem pewna, że zapomniałaś o herbacie dla Lulu. Trzy kostki cukru i najpierw ją ostudź.

— Lulu już dostała herbatę, mamusiu.

— To daj jej jeszcze jedną filiżankę. O czym to, panie Busson, rozmawialiśmy?

— O filozofii, *madame*.

— Czyżby? To chyba jednak było coś bardziej zabawnego. Jestem taka roztargniona, wszystko ucieka mi z pamięci. Proszę, kontynuuj.

Louis-Mathurin uśmiechnął się do Ellen znad filiżanki, a ona niedostrzegalnie kiwnęła głową. Zaczął cytować jakieś powieście Marka Aureliusza. Podczas gdy pani Clarke patrzyła na niego bezmyślnie, ziewając i głaszcząc swego psa, córka słuchała, podparłszy podbródek rękami; jej oczy były ciemne i zamglone.

Jest podobna do czarownicy, pomyślał Louis-Mathurin. Młodej, posępnej czarownicy, warzącej czarodziejskie zioła w półmroku. Jako dziecko musiała przypominać elfa z tym swoim spiczastym podbródkiem. Ciekawe, o czym teraz myśli.

Ciągnął swój temat dalej. Ellen słuchała go, zaś pani Clarke stając się coraz bardziej *distracte*, dłubała broszką w zębach.

— Dobry Boże — westchnęła w końcu — jakie to rozwlekle. Panie Busson, może by pan coś dla nas zaśpiewał?

— Jeśli pani córka zechce mi akompaniować na harfie.

— Ellen, siadaj do harfy, na litość boską. Jeśli już mam zaśpiewać, to wolę przy muzyce niż przy filozofii.

Znów grali i śpiewali razem, szczęśliwi i spokojni w swym towarzystwie: Louis-Mathurin, z głową odrzuconą do tyłu i z ręk-

kami splecionymi za sobą; Ellen, pochylona nad instrumentem, z oczami utkwionymi w twarzy nowego przyjaciela. Słodka muzyka niemiecka, piosenki ludowe z Prowansji i angielskie ballady, których słuchał jako dziecko — wszystko było jej tak dobrze znane. A kiedy zatracili się w muzyce, pani Clarke odpoczywała na kanapie, machając stopą i obserwując cienie wkradające się do pokoju; jej myśli zmacone były dawnymi wspomnieniami — starych piosenek, świąteł i śmiechu, turkotu kół powozu na Mall, w owe jesienne dni dwadzieścia pięć lat temu, kiedy Diuk Yorku podjeżdżał pod dom przy Park Lane.

Louis-Mathurin stał się częstym gościem w apartamentach pań Clarke w Auteuil. Teraz, gdy Louise była w Portugalii, rue de la Lune nie miała mu już nic do oferowania. Matka była mu otwarcie nieprzychylna, zresztą planowała już powrót do Hamburga, do starszego syna Jacquesa; Adelajda zaś pełniła funkcję damy do towarzystwa u zaprzyjaźnionej rodziny w Tours.

W Londynie Robert całkiem się zasymilował — był teraz Anglikiem. Louis-Mathurin nie miał zamiaru iść w jego ślady: nosić wysokiego kapelusza i siedzieć w City za biurkiem od dziewiętej do szóstej. Louis żył — jak lubił myśleć — inaczej niż reszta jego rodziny. Z powodu swego niezdecydowania i gwałtowności charakteru, a po trosze także geniuszu, musiał mieć wokół siebie życzliwych przyjaciół, którzy by akceptowali jego zmienne nastroje i słuchali ze zrozumieniem, gdy opowiadał o swych wynalazkach; nie mogli też być zbyt pobożni i zasadniczy, kiedy — jak wszyscy mędrcy i artyści — co pewien czas popadał w długi.

Pani Clarke szczerze go podziwiała i zapewniała, że odda mu ostatni grosz, jeśli tylko o to poprosi. Na szczęście wskutek niepewnego stanu finansów nie zrobiła tego, ale sądząc po jej przesadnych opowiadaniach, wyglądało na to, że ma w banku miliony, a tysiące ważnych osób w Anglii tylko czeka na jej rozkazy. Czy była to prawda, Louis-Mathurin nigdy się tego nie dowiedział, ale doszła doń ta interesująca wiadomość, że Mary Anne ma dożywocie od pewnej osobistości z rodziny kró-

lewskiej w Londynie, a według jej tajemniczych aluzji i szeptów suma owa przejdzie po śmierci matki na Ellen.

Fortuna jak zwykle toczy się kołem, a wiedza jest wymagającą panią. To niesłychane, jak powoli świat poznawał się na wartości wynalazków Louisa-Mathurina. W Paryżu spotykał ludzi rzekomo wpływowych, którzy wydawali się zainteresowani jego planami, kiedy siedzieli w kawiarni nad kieliszkiem likieru, ale gdy przychodziło do podpisania właściwych papierów w ich gabinetach, entuzjazm ulatniał się z miejsca i wynajdywano najbardziej absurdalne wymówki: a to czasy są nieodpowiednie dla wszelkich przedsięwzięć, a to ryzyko zbyt duże. Nikt nie miał dość pieniędzy. Ociągali się i byli przerażeni ryzykiem. Dobry Boże, myślał Louis-Mathurin, gdybym miał choć połowę tych pieniędzy, co niektórzy, wstydziłbym się pozwolić im leżeć w banku, tak jak oni to robią. Gdybym sam nie chciał ich wydać, rozdałbym wszystko. Ale chować złoto, które mogłoby pomóc ubogim wynalazcom, takim jak ja, to wstyd dla kraju!

Narzekał na swój los przed paniami Clarke. Biegał po pokoju tam i z powrotem, wściekając się na ignorancję ludzi interesu, nie wiedzących nic na temat kwasów, węglowodanów i azotanów, bez których nie mogliby istnieć, i myślących jedynie o tym, aby wypchać swe tłuste brzuchy *bauf a la mode*. Tymczasem on głodował na mansardzie, z jedną kapiącą świecą, pracując od rana do świtu nad wynalazkiem, który mógłby zmienić oblicze świata!

Wyglądał niezwykle romantycznie i malowniczo z tymi ognistymi lokami w nieładzie, wymachując długimi rękami we wszystkich kierunkach i patrząc jasnyniebieskimi oczami na nie obie w taki sposób, że budziło to obawy pani Clarke, która zastanawiała się, czy młody zapaleniec nie zacznie nagle tłuc bibelotów, drzeć zasłon albo może spróbuje wyrzucać porcelanę przez okno.

— Coś trzeba zrobić, napiszę do Fladgate'a — deklarowała, jakby jej adwokat był magikiem, który wyciąga złote jajka z koszyka.

W każdym razie, myślała, czas już poruszyć rodzinę kró-

lewską, przypominając o swoim istnieniu. Dywidenda Mary Anne była ostatnio zaniżona, i to bez żadnych przeprosin.

— Fladgate zamieni słówko z jednym czy dwoma przyjaciółmi w Londynie — powiedziała znacząco. — To okropne, że twoje wynalazki nie są doceniane we Francji. Założę się, że zupełnie inaczej będą przyjęte w Anglii. Już mnie to zostaw!

Napisała zjadliwy list do nieszczęsnego adwokata, zarzucając mu, że nie dba o jej interesy; podejrzewa, że ktoś umyślnie obniża jej dywidendę, więc jeśli on się nie zajmie tą sprawą natychmiast, Mary Anne opublikuje pewien dokument szkodzący reputacji Pewnej Osoby, co byłoby (tego jest pewna) ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył obecnie ktokolwiek w Anglii.

Chcę udzielić protekcji pewnemu młodemu, genialnemu francuskiemu wynalazcy — dodała — a tego nie będę mogła uczynić, dopóki nie dojdę do niewielkiego kapitału. Możesz przypomnieć lordowi Folkestone'owi, że dużo już czasu upłynęło, kiedy był uprzejmy przesłać mi ostatnie wiadomości. I możesz także napomknąć, że w moim posiadaniu jest bardzo niedyskretny list od niego. Wątpię, żeby chciał, by ujrzęła go jego żona.

Podpisała list ozdobnie: „Mary Anne Clarke”, swym mocnym, wyraźnym pismem.

Spoglądając przez ramię, widziała, że Louis-Mathurin już się uspokoił i śłeczy nad nutami wraz z Ellen; ich głowy znalazły się blisko siebie. Ciekawe, czy córka się wreszcie zakochała, przeszło jej przez myśl. On jest naprawdę czarujący, śpiewa wybornie. Ale bez grosza, dopóki nie powie mu się z tymi wynalazkami. Cóż, Ellen ma już ponad trzydziestkę, o wyglądzie nie warto wspominać. Trudno się spodziewać, żeby poślubiła kogoś znaczącego. Mogłabym jej coś dać... Ale byłabym bardzo samotna, dopóki George nie wróci z Indii.

— Spróbujmy „Nussbaum” — zaproponowała Ellen. — Akompaniament na pianino jest cudowny, ale ośmielam się twierdzić, że potrafiłabym go zagrać na harfie. A ty możesz pokryć moje pomyłki śpiewając trochę głośniej. To ma być

wesoła, dźwięczna pieśń, ale ty masz taki smutek w głosie, że prawdopodobnie oboje skończymy płacząc.

Jej brązowe loki przynajmniej raz opadały wdzięcznie na ramiona, otaczając kanciastą twarzyczkę; na policzkach wykwitły rumieńce zadowolenia i podniecenia.

Ellen jest dzisiaj prawie piękna, pomyślał Louis-Mathurin. W jasnej sukience jest jej do twarzy. Nie powinna nigdy nosić burych kolorów. I ma niezaprzeczalny dar rozpoznawania, które pieśni lubię najbardziej. Może ma zaokrąglone plecy od tego ciągłego ślęczenia nad harfą. Lubię z nią przebywać, ma bystry umysł i potrafi, gdy chce, być dowcipna. Ciekawa, ile prawdy jest w tej historii o dożywociu...

Uśmiechnął się do niej, biorąc nuty, i zaczął śpiewać balladę „Der Nussbaum” w ten swój szczególny, niepowtarzalny sposób: z początku bardzo cicho, prawie szeptem, nadając prostej, bezpretensjonalnej piosence o leszczynie prawie nieznośną nutę patosu. Ellen czuła ściskanie w gardle i leciutki smutek, bez przyczyny.

Dlaczego on tak musi śpiewać, zastanawiała się. Wszak po jego oczach widać, że nie jest nieszczęśliwy. Teraz właśnie uśmiecha się do mnie. Tkwi w nim jakiś nieuświadomiony smutek, z którego nie zdaje sobie sprawy... Mam nadzieję, że jego wynalazki będą udane. Kiedy się złości, jest jak zawiedzione dziecko. Potrzebuje kogoś, kto by się o niego troszczył...

I tak, prawie bezwiednie, rozwijali to wzajemne uzależnienie, tworząc między sobą więź, która była niezbędna do życia. Louis-Mathurin przychodził prawie codziennie, rozmawiali razem, grali i śpiewali, a wskutek owej obopólnej miłości do muzyki rosło między nimi uczucie i stawało się z każdym dniem coraz silniejsze. Na wiele spraw mieli podobne poglądy, a jeśli się nie zgadzali, mieli na to argumenty. Dyskusja działała jako podnieta dla ich umysłów; oboje lubili tę walkę bez złości.

Ellen nagle zrozumiała, jak bardzo była dotąd samotna i że marnowała czas, siedząc samotnie nad harfą albo dumając nad książką. Żaden mężczyzna wcześniej nie okazał jej zainteresowania i nie miał ochoty z nią rozmawiać. Przychodzili do tego

domu, by zabawiała ich matka; nieładną córką nie zajmowali się wcale.

Louis-Mathurin wprowadził element wesołości w ich życie. Jego optymizm był zaraźliwy. Ellen, która dotąd lekceważyła śmiech jako płytki i nieszczerzy, dziwiła się, że śmieje się teraz tak często i nuci beztrąsko. Była wesoła jak dziecko, czego jeszcze nigdy dotąd nie doświadczyła. On absurdalnie polubił jej matkę, która podawała, że jest o piętnaście lat młodsza niż naprawdę i w jego obecności zapominała nawet o swej ulubienicy, ohydnej Lulu, a kiedy jesień przechodziła w zimę i nastały długie, ciemne wieczory, zaciągano wcześniej zasłony i tych troje zbierało się w salonie, rozmawiając albo grając, a pani Clarke obserwowała młodych z kanapy przy kominku, robiąc do nich perskie oko.

Nie padło ani jedno słowo na ów temat, ale instynktownie przeczuwali, że tego rodzaju zażyłość musi dokądś prowadzić. Nie może tak być wiecznie. Na wiosnę George miał przyjechać z Indii. Napisał do matki, występując z propozycją, by zamieszkała z nim w Anglii, gdzie jego pułk miał stacjonować przez pewien czas. Ale Ellen zdawała się wcale nie myśleć o opuszczeniu Francji. Była to zatem właściwa pora na propozycję małżeństwa.

Pani Clarke wypłacałaby Ellen pensję albo zawarłaby jakieś porozumienie z Fladgate'em w kwestii dochodów dla córki. I tak, z wynalazkami z jednej strony i pensją z drugiej, jakoś sobie poradzą.

— Wiesz, kiedy umrę, wszystkie pieniądze przejdą na Ellen — rzekła pewnego dnia Louisowi.

Popatrzył na nią nieobecny wzrokiem, jakby nigdy w życiu nie tknął pieniędzy, ale w jakiś miesiąc później Ellen weszła do pokoju spłoniona i podekscytowana, mówiąc, że Louis-Mathurin jej się oświadczył.

Pani Clarke załała się łzami, wielce poruszona. Narzeczony wszedł za Ellen w podniosłym nastroju, jak pływak, który narzeczcie dał nurka i wynurzył się, zadowolony z wrażenia, jakie wywarł. Rzuciła mu się na szyję, nazywając „synem” i „drogim, pięknym chłopcem”. Oznajmiła, że uczynił ją najszcześniejszą kobietą we Francji.

— Będziemy żyli wspólnie — oznajmiła, na co Ellen i Louis popatrzyli trochę zmieszani. — Mój piękny George do nas dołączy, może też się ożeni, a ja będę miała mnóstwo wnucząt i będziesz mnie rozweselał od rana do wieczora.

Przedyskutowano setki planów na przyszłość, aż wreszcie zdecydowano, że o niczym nie można decydować pod nieobecność George'a.

— On ma taką głowę — mówiła Mary Anne. — Rozwiąże wszystkie nasze problemy.

Louis-Mathurin pocałował ją w oba policzki i powiedział, że jest cudowna. Pomyślał z powątpiewaniem, że pensja młodego oficera na ogół nie bywa duża, a jeśli George Clarke jest taki głupi, na jakiego wygląda na fotografii, to niemożliwe, żeby nagle wystąpił z genialnym pomysłem.

George przybył do Anglii wraz ze swym pułkiem. Do Francji wyprawił się przy pierwszej sposobności. Okazał się przystojnym, dobrze prezentującym się młodzieńcem, bardzo zgrabnym i starannie ubranym, o doskonałych manierach i miłym usposobieniu. Czasem zachowywał się odrobinę zbyt pompatycznie, ale nie do tego stopnia, by było to przykre. Louis-Mathurin polubił go od razu.

Postanowiono, że ślub odbędzie się w Paryżu jak najszybciej, a Louis i Ellen na razie tam pozostaną. George zaś wróci do Anglii, zabierając matkę ze sobą, co było o wiele lepszym rozwiązaniem niż pomysł zamieszkania wszystkich razem — rzecz bardzo uciążliwa dla młodej pary.

George spodziewał się, że jego pułk będzie stacjonował przynajmniej cztery czy pięć lat w ojczyźnie; w tym czasie mógł służyć towarzystwem matce — zamieszkają przez rok czy dwa lata w Dover, skąd łatwo będzie jechać do Francji w odwiedziny do Ellen.

Pani Clarke czuła się ogromnie usatysfakcjonowana tymi ustaleniami; myśl o wspólnym mieszkaniu ze swym pięknym synem i prowadzeniu domu otwartego dla jego przyjaciół z wojska wydawała jej się nadzwyczaj pociągająca. To prawie tak jak dawniej: znowu czerwone mundury wokół niej, będzie wydawała obiady i przyjęcia i wtykała nos w miłosne przygody

młodych ludzi i udzielała im rad. To będzie zachwycające. Chyba wcale nie poczuje nawet tęsknoty za córką.

Co się zaś tyczy Ellen, to ponad trzydzieści lat spędziła ona w cieniu matki i tęskniła za wolnością. Zamieniała matkę na męża, to prawda, ale Louis-Mathurin nie będzie nigdy tak wyimagający, jaki pani Clarke. Poza tym był ocytany, miał wiele zainteresowań (nauka i muzyka), i nie sprawiał wrażenia nudziarza.

Ellen popatrzyła wstecz na lata spędzone u boku matki: ich wspólne podróże po Europie, nieustanna pogoń Mary Anne za rozrywką — nigdy nie potrafiła żyć sama, zawsze musiała być zabawiana, zawsze musiała znaleźć sobie temat do plotek. Wędrowały z miasta do miasta, nigdzie nie osiedlając się na dłużej; wiodły tę niespokojną egzystencję nomadów jedynie po to, aby matka się nie nudziła. Paryż zdawał się ją zadowalać. „Hołota” w mieście, jak zwykła nazywać swój mały krąg przyjaciół, służyła jej jako rozrywka. Ellen mogła chodzić do muzeów, studiować malarstwo i uczyć się grać.

Ostatnio matka ziewała coraz częściej i tupała niecierpliwie nogą, a Ellen, znając te symptomy, odgadła, że matka znów chce gdzieś wyruszyć.

Louis-Mathurin stał się tymczasową rozrywką, ale po weselu, gdy już nie będzie nic ekscytującego, pani Clarke zacznie domagać się zmiany.

Była oczywiście pochłonięta George'em, którego nie widziała od pięciu lat — i ta nowa możliwość przebywania z nim ponownie uszczęśliwi ją na rok czy dwa lata. Potem wszakże... no cóż, zobaczymy.

Jeśli chodzi o rodzinę Louisa-Mathurina, to jej członkowie wydawali się pogodzeni z losem, to znaczy z przyjęciem jeszcze jednego heretyka do swego grona. Drogę utorowała Louise swym niefortunnym związkiem i jedyną nadzieją Bussonów było, że nowe małżeństwo nie skończy się tak samo. Ellen Clarke wyglądała na zrównoważoną, zającą, wykształconą młodą kobietą, nawet jeśli jej matka nie należała do osób pożądaných w towarzystwie. Nie każdy może być kimś w obecnych czasach, wdychała pani Busson. Wszystko się zmieniło na gor-

sze. Ludzie tak się wymieszali; obecni diukowie są synami dawnych rzeźników. Wszystko się zmieniło, od kiedy ona była dzieckiem. Prawda, że ocalała głowę, ale za to musi ciućać i oszczędzać każdy grosz. To nie do zniesienia.

Louise napisała z Lizbony, iż jej modlitwy zostały wysłuchane i dwoje najdroższych przyjaciół na świecie — Ellen i brat — zostało złączonych przez Boga świętymi więzami miłości. Od dawna było to jej skrytym pragnieniem, pisała. Ich szczęście jest także jej szczęściem. Modli się za nich nieustannie, zamówiła nawet specjalną mszę. W katedrze świece płonęły dla nich cały dzień i noc. Mała Eugenie, która urodziwszy szczęśliwie jedno dziecko, już oczekiwała następnego, przyłączyła się do modlitw. Szczęśliwa para została zasypana życzeniami na przyszłość, co było aż krępujące.

Pobrali się w ambasadzie brytyjskiej, w rok po nieszczęsnym ślubie Louise w kościele protestanckim, i od razu wyjechali do Bretanii, by spędzić tam miesiąc miodowy. Pani Clarke pojechała do Anglii, wspierając się na ramieniu uprzedzającego grzecznego George'a, ku zaniepokojeniu znękanego adwokata Fladgate'a, który obawiał się jej ponownego zjawienia się w londyńskim towarzystwie po tych wszystkich latach.

Ellen i ja wędrujemy w górach, słuchamy smutnego szumu fal, czując wiatr na twarzach — pisał Louis-Mathurin do swej siostry w Portugalii — Czasami czytamy sobie na głos Chateaubrianda, czasami ja śpiewam, a ona kiwa z aprobatą głową. Ale cokolwiek robimy, jesteśmy w najwyższym stopniu zadowoleni z własnego towarzystwa i patrzymy w przyszłość bez obawy.

Wszystko, co kiedykolwiek powiedziałem przeciwko małżeństwu, było niewypowiedziane głupie i nieprawdziwe. Ubolewam jedynie, że Ty nie miałaś tyle szczęścia, co ja. Przypomnij o mnie diukowi i diuszesie, mając na uwadze, że Twój brat jest wciąż ubogim wynalazcą, bez wpływowych znajomości...

— Zawsze musimy pamiętać, moja droga — mówił Louis do żony — że pokrewieństwo jest sprawą przypadku, ale przynajmniej przyjaciół możemy sobie wybierać. Palmellowie zrobi-

liby coś dla Louise, a ona dla mnie. Czy widzisz związek? W świecie tak niepewnym, jak dzisiejszy błędem byłoby kłaść wszystkie jajka do jednego koszyka. Jestem nieuleczalnym optymistą. Jeśli mi się nie powiedzie w jednej sprawie, odniosę sukces w innej. Wypijmy za sławę i bogactwo, i co najważniejsze — za nas!

Uśmiechnął się do niej ponad stołem, dobroduszny i przy stojny w swej nowej dwurzędowej marynarce z aksamitnym kołnierzem. Jego bokobrody były starannie wypielęgowane, gęste kasztanowe włosy otaczały czoło. Ostre rysy Ellen złągodniały, a wiecznie zmarszczone czoło się wygładziło. Uśmiechnęła się do męża w odpowiedzi i podnosząc kieliszek, wypita za ową wątpliwą przyszłość, która może — kto wie? — została zaplanowana na długo przed ich przyjściem na świat i której żadne nadzieje ani obawy, ani oczekiwania nie mogą zmienić.

CZĘŚĆ
TRZECIA



7

W połowie marca 1834 roku Louise Busson otrzymała dwa listy z Paryża. Jeden napisany był ręką brata, i ten na razie odłożyła; drugi został wysłany z dawnego mieszkania przy rue de la Lune i miał zagraniczny znaczek. Przyjrzała się bliżej, obracając list w rękach, a potem z nagłym złym przeczuciem zdała sobie sprawę, że to znaczek z Indii. Pismo było jej nieznane, ale wiedziała, że to wiadomość od Godfrey'a.

Louise była w pokoju sama. Eugenie wyjechała gdzieś z dziećmi, a diuka w domu nie było. Cokolwiek zawierał list, musiała temu stawić czoło w pojedynkę. Wahała się przez chwilę, spoglądając na figurkę Błogosławionej Dziewicy na małym ołtarzyku i szepcząc pacierze. W końcu złamała pieczęć i otworzyła kopertę. Jeśli Godfrey ma zamiar do niej wrócić i list zapowiada jego przybycie — zastanie ją przygotowaną.

List był krótki; podpis należał do kogoś obcego.

Madame,

Przypadł mi w udziale niemiły obowiązek poinformowania Pani, że Pan Godfrey Wallace zmarł w tym miejscu, w końcu września ubiegłego roku. Jego ostatnim życzeniem było, aby Panią o tym zawiadomić. Zaistniały pewne okoliczności, które uniemożliwiały mi do tej pory wypełnienie tego obowiązku.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

H. Elgan

Kancelista, Kompania Wschodnioindyjska Bombaj

To było wszystko. Żadnego wyjaśnienia, żadnej wzmianki o tym, jak żył w Indiach, o jego pracy, jak zarabiał na chleb. Tylko tyle, że zmarł. Czy bardzo cierpiał, a może znosił niedostatek, czy żałował za swe grzechy, nim oddał ducha Bogu — nikt się tego nigdy nie dowie. Jedyne, co jej teraz pozostało, to zamawiać msze za jego duszę i modlić się, by spotkali się w raju. Będzie nosiła wdowę żałobę do końca swych dni.

Zaczęła cicho płakać, myśląc o straszliwej ostateczności śmierci. Zawsze żywiła ukrytą głęboko w sercu nadzieję, że Godfrey do niej wróci — oczywiście odmieniony, może na gorsze, jako nałogowy pijak czy też nieuleczalnie chory. W każdym razie jednak będzie jej mężem i w końcu zaczną żyć razem.

Wyobrażała sobie, jak pochyla się nad nim litościwie, wygładzając zmarszczone czoło biedaka. Byłby od niej całkowicie zależny. Teraz nawet nie mogła odwiedzić jego grobu. Okruch pociechy zawierały słowa nieznanego: „Było jego ostatnim życzeniem, by zawiadomić Panią o tym”. A więc o niej nie zapomni!

Zastanawiała się, co akurat robiła w momencie jego śmierci. Koniec września? Dnia nie podano. Piętnastego była wielka feta w Lizbonie: wielka procesja na ulicy, udekorowane powozy. Powiewały sztandary, ludzie rzucali kwiaty.

Jechała za procesją, w powozie, w towarzystwie portugalskiego dżentelmena, szacownego oczywiście, ale jakież to było okropne i bezduszne, gdyby właśnie owego dnia zmarł Godfrey. Nie mogła znieść myśli o tym. Odruchowo wzięła do ręki drugi list i otworzyła go. Znajome pismo brata nie poruszyło jej serca; myślami była wciąż przy zmarłym mężu.

...zamierzamy nadać mu imię George po bracie Ellen, Louis po mnie, i Palmella w dowód szacunku dla mego przyjaciela i protektora.

Co to miało być, u Boga? Louise szybko przeczytała początek listu:

Ucieszysz się, najdroższa Louise, że wczoraj, 6 marca, Ellen urodziła syna. Przeszła tę próbę dobrze, a dziecko jest silne i piękne. Postanowiłem, że będzie naukowcem. Może spełni nasze oczekiwania. Matka Ellen przyjechała z Anglii, aby z nią być w takiej chwili. Jest pochłonięta pierwszym wnukiem, którego uważa za swój wizerunek. Wszyscy troje dyskutujemy o jego przyszłości, doceniając rangę inicjałów przed jego nazwiskiem...

Drodzy Ellen i Louis! Bardzo się ucieszyła, że ich związek został pobłogosławiony dzieckiem. Jakie to samolubne z jej strony, że pochłonięta własnym bólem, czytała list, nie rozumiejąc treści.

George Louis Palmella Busson du Maurier — jak to godnie brzmi. Z tak znakomitymi imionami dziecko ma przynajmniej zapewniony dobry start w życiu. Diuk będzie bez wątpienia zadowolony z tej oznaki atencji wobec jego rodziny. Tak życzliwie interesował się wszystkim, co dotyczyło Bussonów. Louise otarła łzy, które uroniła nad swym mężem, i zapaliwszy świecę na swym ołtarzyku uklękła, by pomodlić się za małego siostrzeńca.

Tymczasem niemowlę leżało uśpione w kołysce, w błogiej nieświadomości, jakie wywołuje podniecenie. Ciasno owinięte, spało w tej rozkosznej, poporodowej ciemności, za którą tęskni każdy człowiek w najsamotniejszych chwilach swego życia.

Bussonowie mieli apartament na pierwszym piętrze, pod numerem osiemdziesiątym, na Champs Elysees, blisko poprzedniego mieszkania pani Clarke. Z pensji Ellen od matki i okazjonalnych zarobków Louisa-Mathurina żyli, jeśli nie bez-trosko, to we względnym komforcie.

Ellen była dobrą i rozważną gospodynią. Ta druga cecha okazała się niezbędna, ponieważ już po kilku miesiącach małżeństwa przekonała się, że Louis-Mathurin ma nie większe pojęcie o oszczędzaniu niż małe dziecko. Zupełnie jakby pozbawiony był zmysłu pieniądza, jednym danego w pełni, innym z umiarem.

Rankiem wybierał się "do pracy", jak to określał, w swym

laboratorium, w słonecznym, pogodnym humorze, śpiewając na cały głos, z pięcioma frankami w kieszeni. Wracał w południe na lunch wciąż w tym samym dokonałym nastroju, ale bez pieniędzy.

— Daj mi parę groszy z pieniędzy na utrzymanie, moja droga — mówił do żony, całując ją czule. — Zwrócę ci, jak tylko Dupont odda mi dług. On jest taki zapominalski.

— Nie powinienes pożyczać pieniędzy przyjaciołom — wypominała mu Ellen. — To bardzo zły zwyczaj.

— Wiem, kochanie, ale nie potrafię odmówić. Mam za miękkie serce i nie potrafię ranić niczyich uczuć. Kiedy mój wynalazek zostanie uznany, już nie będziemy musieli troszczyć się o pieniądze. Cały świat na tym skorzysta.

— Nie wiem, czy chciałabym mieć na głowie cały świat — mówiła Ellen.

— Problem polega na tym — wzdychał jej mąż — że urodziłem się, żeby być bogaty. Gdyby Francją nie wstrząsnęła rewolucja i gdyby mego ojca nagrodzono odpowiednio za jego lojalność, żylibyśmy sobie dzisiaj w naszym *chateau* z całymi hektarami ziemi, mając mnóstwo służby na swe rozkazy. Nie robiłabyś nic całymi dniami, tylko grała na harfie. Och, jak by to było wspaniale! Wieśniacy kłanialiby się nam w pas, kiedy przejeżdżalibyśmy obok nich powozem, a ja rzucałbym im złoto. Charlotte, czy ci nie szkoda, że nie jestem wielkim panem?

Odchyłał się na krześle, zwracając się do służącej, która czekała przy stole. Ta chichotała i opuszczała głowę.

— Och, proszę pana... — jąkała i miętosiła fartuch w rękach.

— Zrobiłbym z ciebie gospodynię, Charlotte — wspaniałomyślnie deklarował Louis — miałabyś prawo ścinać głowy podwładnej ci służbie, gdyby biedacy czymś ci się narazili.

Louis-Mathurin nadziewał mięso na widelec jak myśliwy przeszywający dzidą zwierzynę, a mała służąca znowu chichotała. Busson ubóstwiał publiczność. Ellen marszczyła brwi z niezadowolaniem, gdyż nie aprobowała pogawędek ze służbą. Nie należy się spoufalać. To się zawsze mści na dłuższą metę.

— Jak twoje interesy? — pytała męża, aby zmienić temat.

— Wcale mi nie idą — odpowiadał pogodnie. — Już przywykłem do tego i zdziwiłoby mnie, gdyby było inaczej. Ale spodziewam się, że za miesiąc lub dwa wszystko się odmieni. Spotkałem dziś rano pewnego człowieka — poszliśmy się poprzepić do kawiarni — i wygląda na to, że on ma wujka, który ma wpływowego przyjaciela, a ten mógłby się właśnie praktycznie zainteresować moim wynalazkiem. Spotykam się z tym człowiekiem jutro, by przedyskutować dalej całą tę sprawę.

— Spędzasz tyle czasu w kawiarniach — wymawiała mu Ellen — nic dziwnego, że nic innego nie robisz.

— Ależ wcale nie masz racji — zapewniał ją. — Więcej można dokonać w kawiarni niż w biurze, wszyscy to wiedzą. Jestem tak zadowolony ze swej porannej pracy, że proponuję zrobić sobie święto dziś po południu. Pojedziemy do St. Cloud.

— A wydatki? Wynajęcie powozu?

— Phi! Nie martw się o to, Bussonowie są ponad tak przyziemnymi sprawami, jak pieniądze. Stary *pere* Jean zza rogu zabierze nas. Zapłacę mu pod koniec tygodnia.

Ellen kręciła głową na taką ekstrawagancję. W głębi serca jednak wybaczała mężowi, bo uśmiechał się do niej tak miło, prowadząc ją do fiakra, jakby była królową, a wóz złotą kareta. Jednak w skrytości ducha martwiła się jego całkowitym brakiem odpowiedzialności i dziecinnym odkładaniem na później spraw, które należało załatwić dzisiaj.

Kiedy urodził im się syn, miała nadzieję, że Louis, będąc ojcem ustatkuje się i zacznie poważnie myśleć o pilnej konieczności zarabiania pieniędzy. Jednak chociaż mąż wydawał się wprawdzie zadowolony z syna — pieścił go, całował i czasem śpiewał mu do snu — nie zmienił swego obojętnego stosunku do kwestii finansowania domu.

Ellen nie przyznawała się sama przed sobą, że czuje się nim rozczarowana, była na to za dumna i zbyt powściągliwa. Ukrywała więc żal i cierpiała w cichości ducha. Louis-Mathurin był jak ów konik polny z bajki La Fontaine'a; ten, który śpiewał i bawił się latem, nie robiąc żadnych zapasów na zimę. A jednak nikt nie czuł się bardziej zdziwiony i zraniony niż Louis,

gdy Ellen krytykowała jego postępowanie. Uważał, że w swym własnym przekonaniu pracował bardzo ciężko, bawiąc się owymi dziwnie pachnącymi chemikaliami w małym, śmieszonym laboratorium. Ellen czasami przychodziła tam również i obserwowała pełną skupienia minę Louisa, nucącego pod nosem piosenkę, z jasnoniebieskimi oczami utkwionymi w butelkach o nieznannej zawartości. Zainteresowania męża wydawały jej się zarazem doniosłe i dziecinne. Odczuwała wtedy ból i musiała odwracać wzrok.

Gdyby tylko miał jakieś stałe zajęcie, myślała, a chemię traktował jako hobby. I planowała, że jej przyszły syn, ten, którego się spodziewała — bo oczywiście miał to być syn — będzie obdarzony tymi wszystkimi cechami, jakich brakowało mężowi.

Doznawszy rozczarowania jako żona, od samego początku miała rozwinięte uczucia macierzyńskie, połączone z dość prymitywną, egoistyczną dumą każdej kobiety, która daje życie. Kiedy wychodziła za mąż, nie była już dziewczyną; miała ponad trzydzieści sześć lat, gdy urodziła pierwsze dziecko — dlatego też do owego wydarzenia przywiązywała większą wagę, niż gdyby była bardzo młoda, kiedy to ciążę nosi się względnie łatwo. Nigdy nie spodziewała się, że wyjdzie za mąż; nie sądziła także, że będzie matką, i akt wydania na świat dziecka wydał jej się zdumiewającym dowodem własnej potęgi oraz prawdziwym przykładem dobrej roboty.

Chłopiec był piękny. Nie miał okragłych pleców ani rysów dziadka do orzechów, tylko zadarty nos i loki, o jakich sama kiedyś marzyła. To oczywiście, że nie było drugiego takiego na świecie. Był nie tylko dziesięć razy ładniejszy od innych dzieci (Ellen współczuła Madame Paine z sąsiedztwa, że jej synek wygląda tak pospolicie, ma ziemistą cerę i na dodatek jest całkiem łyśy), ale również o wiele lepiej rozwinięty. Wcześniej wyrzynały mu się ząbki, siedział sztywniej, zaczął się wcześniej uśmiechać, chociaż lekarz twierdził, że to tylko grymas. Ten człowiek jest całkiem pozbawiony uczuć, pomyślała o nim Ellen. Tak jakby nie potrafiła rozpoznać uśmiechu własnego dziecka! Z pewnością nie zepsuje małego — na to jest za rozważna —

ale dopilnuje, aby wyposażyć go we wszystko, co niezbędne dla szczęśliwej przyszłości.

Ona sama jako dziecko była pozostawiona pod opieką służby i musiała piąć się do góry w pojedynkę, o własnych siłach. Z jej synem będzie inaczej. Już teraz Ellen zaczęła obmyślać plan jego przyszłej edukacji: jakie książki powinien czytać, jakich się uczyć języków, tak aby w młodym wieku mógł być wzorem kultury, wykształcenia i dobrych manier — olśniewającym przykładem tego, co matka może zrobić dla swojego dziecka.

Dziecko zdawało się odziedziczyć po swoim ojcu pogodne usposobienie nad którym — podobnie jak nad posepnym charakterem trudno jest pracować. Ellen gorąco wierzyła, że syn nie będzie miał wad swego ojca: jego niefrasobliwości, nieprzekładania wagi do pieniędzy i zwyczaju wpadania w długi. W teorii „niepraktyczny marzyciel” brzmi dobrze: ale z tymi cechami nie odnosi się sukcesu w świecie, uważała Ellen. Dobrze też byłoby, gdyby dziecko miało jej upór i zdecydowanie.

Tymczasem matka po powrocie do Anglii wciąż pisała do niej, proponując, aby Ellen wraz z mężem złożyła jej wizytę i zabrała dziecko ze sobą. Dlaczegożby nie urządzić chrztu tutaj; nie znajdą wszak bardziej odpowiedniego ojca chrzestnego niż George Clarke.

Bussonowie zastanawiali się nad tym pomysłem przez rok, aż wreszcie w kwietniu 1835 roku, kiedy mały miał trzynaście miesięcy, wyprawili się do Anglii i zatrzymali w Rotherfield, w Sussex, gdzie pani Clarke wynajęła dom. Tam właśnie George Louis Palmella otrzymał swe wielkie imiona na chrzcie. Jego wuj George właśnie awansował i wszyscy byli zgodni co do tego, że „kapitan Clarke” brzmi imponująco. Jego matka twierdziła wszakże, że w minionych czasach, kiedy to miała znaczne wpływy, dawno już byłby pułkownikiem. Został znów przydzielony do służby za granicą i na nowo problem „co z matką?” był z niepokojem rozważany przez brata i siostrę.

— Dlaczego byś nie miała z nią zamieszkać? — nakłaniał George Ellen. — Wiejskie powietrze jest bardzo korzystne dla dziecka. Mogłabyś też znaleźć angielską niańkę. Muszę przyznać, że nie chciałbym, aby mój siostrzeniec wyrósł na Francuza.

— Jak mamy zamieszkać w Anglii, skoro Louis-Mathurin pracuje w Paryżu? — spytała zniecierpliwiona Ellen.

— Kochana siostrzyczko, nie chce ranić twych uczuć i żywię najgłębszy szacunek dla twego męża, ale na czym właściwie polega ta jego praca?

— Przeprowadza doświadczenia w swym laboratorium — odparła siostra, nieco zmieszana obcesowością tego pytania. — Ma zasługi dla nauki i... i pracuje teraz nad nowym wynalazkiem.

— Rakieta na Księżyc — uściślił kapitan Clarke. — Nie słyszałem, żeby wspominał o tym ostatnio.

— Widać musiał ten pomysł zarzucić na pewien czas — odrzekła Ellen krótko. — Wystąpiły pewne trudności natury technicznej... no i oczywiście wciąż ten sam problem: brak kapitału, brak poparcia.

— Czy uważasz, że poradzicie sobie, otrzymując jedynie pensję od matki? — spytał brat.

Zaczerwieniła się, unikając jego wzroku.

— Czasem trochę mi ciężko — przyznała. — Louis jest jak dziecko; on zdaje się nie doceniać wagi pieniądza.

— A ja sądzę, że docenia — powiedział oschle George. — Podczas pobytu tutaj pożyczył już ode mnie dwadzieścia funtów.

Od razu pożałował swych słów. Zrozumiał, że jest to dotkliwy cios dla Ellen, ale z powodu lojalności wobec męża nie okazała tego. Tylko jej usta bardziej się zacisnęły, a oczy stały się ciemniejsze niż zazwyczaj.

— Przepraszam cię za to — odezwała się cicho. — Oddam ci te pieniądze pod koniec miesiąca, gdy dostanę pensję.

— Nonsens. — Czuł się nieswojo. — Nie chcę żadnego zwrotu, mogę się obejść bez tych pieniędzy. Nie zamierzam ranić twych uczuć ani mówić nic przeciwko Louisowi, jednak matka daje pensję tobie, a to nie jest bez znaczenia. Nawet dureń by zauważył, że nie wydajesz nic na siebie...

— Oczywiście przyjdzie na świat dziecka zmieniło całą sytuację — przyznała Ellen, opierając się plecami o ścianę. — Ubranka, jedzenie, różne drobiazgi. Jako kawaler nie masz pojęcia, jakie to wydatki.

— Przykro mi, Ellen, ale mnie znasz: zawsze mówię szczerze to, co myślę. Żyjąc oszczędnie jak dotąd, utrzymasz się za swoją pensję całkiem nieźle. Jednakże jeśli będziesz finansować swego męża, to zupełnie co innego. Ale nie mówmy już o tym więcej, temat jest krępujący dla nas obojga. Jeżeli będziesz kiedykolwiek w potrzebie, moja droga, napisz do mnie.

Ellen milczała, czuła w sercu ciężar. Z ulgą odwróciła się do synka, który właśnie wszedł do pokoju, chwając się niepewnie na małych nóżkach. Nieudolnie posuwał się naprzód, nie widząc jej i patrzył nieobecny wzrokiem, zupełnie jak jego ojciec. Kiedy matka schyliła się doń, okrywając go pocałunkami, mały zawołał: „Papa, papa!” i obejrzał się przez ramię, czym — niedorzecznie — poczuła się dotknięta. Louis-Mathurin wpadł do pokoju, w podnieceniu wymachując listem.

I — Palmella został mianowany ambasadorem Portugalii w Brukseli! — zawołał. — Wraz z rodziną opuszcza w czerwcu Lizbonę, by objąć swe stanowisko. To dla niego wspaniałe, musi być zadowolony. Właśnie przyszedł list od Louise; pisze o ich planach.

Gdy tak biegł przez pokój ku Ellen, wyglądał jak rozradowany uczeń. Zmusiła się do uśmiechu, myśląc o dwudziestu funtach, które pożyczył od George'a, ale mąż nawet nie zauważył jej zażenowania. Usiadł przy niej i zaczął na głos czytać list.

— Bruksela, Bruksela, kto mówi o Brukseli? — zapytała pani Clarke, która wracała właśnie z ogrodu, wymachując groteskowo dziewczęcym kapeluszem z jedwabną wstążką.

Od kiedy zamieszkała w Sussex, stała się żarliwą miłośniczką wsi i ku wielkiemu zakłopotaniu swej rodziny ubierała się jak pasterki Watteau.

— Uwielbiam Brukselę — oznajmiła, wpychając wnukowi na siłę cukierek do buzi, kiedy córka nie patrzyła w tę stronę. — Pamiętasz, Ellen, byliśmy tam w roku 1818. Obchodziłaś w Brukseli dwudzieste pierwsze urodziny. Czarujący ludzie, bardzo gościnni! Ciągłe wydają jakieś przyjęcia. Nie mogę zrozumieć, dlaczego stamtąd wyjechałyśmy. Pewnie przegrałam pieniądze w ruletkę i nie miałam czym zapłacić rachunku za mieszkanie, a ten brutal Fladgate nie przysłał na czas pensji.

Towarzyszył mi tam wszędzie taki niesamowity jegomość, nazywał się Francois de Burgh.

— Nie pamiętam tych ludzi — odrzekła Ellen. — Większość czasu spędzałam w galeriach na oglądaniu obrazów. Nikt mi nie towarzyszył.

— Miło mi to słyszeć, kochanie — rzekł jej mąż.

— Widać mam pecha — westchnęła pani Clarke. — Mężczyźni zawsze mnie prześladowali, od kiedy skończyłam dziecięć czy dwanaście lat. Nie dalej jak wczoraj tu, w wiosce, gdy spacerowałam, by odetchnąć świeżym powietrzem, ubrana całkiem prosto, tak jak widzicie, zaraz koło mnie znalazło się z pół tuzina ludzi. Trochę mnie to zaniepokoiło. Można by pomyśleć, że jestem małą, biedną Lulu!

— Och, mamo, cóż za porównanie! — zmarszczył brwi jej syn. — Wolałbym, żebyś uważała na to co mówisz. Na litość Boską, nie zrób mi tego w obecności pułkownika Greville'a, bo musiałbym się podać do dymisji.

— Ależ mój drogi chłopcze, co ja takiego powiedziałam? — zapytała matka z niewinną miną. — Ty i Ellen jesteście dla mnie tacy surowi. Louis, odwołuję się do ciebie.

— *Madame* — Louis-Mathurin skłonił się — będę pani bronił do ostatka. Wszakże, jeśli mogę cokolwiek sugerować, to czasami pani słownictwo jest trafne, ale może niezbyt fortunate.

— Przesadzacie wszyscy — zaprotestowała Mary Anne. — Wkrótce nawet nie będę mogła otworzyć ust. Wielka szkoda, że nie słyszeliście, jakie konwersacje prowadziło się w moich czasach. Pamiętam raz w Tavistock Place, powiedziałam do sir Charlesa Milnera, właściciela wielkiej stadniny wyścigowej: słuchaj, Charles, mówię...

— Już dobrze, mamo. Pozwól Louisowi przeczytać list — przerwał jej syn stanowczo. — Powiesz nam, co mówiłaś do sir Charlesa Milnera innym razem.

Dłuższe obcowanie z matką nauczyło go, że jej opowiadki nie są pożądane. Robiło mu się gorąco na wspomnienie jednej z takich historyjek, wygłaszanych przenikliwym szeptem na przyjęciu wydanym przez komendanta.

— Nominacja Palmelli — szepnął Louis do Ellen — nastąpiła w najbardziej dogodnej chwili. Musimy skorzystać z tej okazji.

— Uważasz, że znów powinniśmy być w bliskich kontaktach z Louise? — zapytała żona.

— Hm... no tak, w pewnym sensie — odrzekł. — Chodzi o to, moja droga, że ostatnio nie idą mi dobrze interesy w Paryżu. Mam trochę długów, zresztą nie z własnej winy. Przyszło mi do głowy, że Palmella mógłby użyć swych wpływów, by pomóc nam w tych ciężkich czasach.

Ellen milczała. Przekonała się już o tym, co w skrytości ducha podejrzewała od dawna: jej mąż nie miał żadnych skrupułów moralnych, gdy chodziło o pieniądze. Mógł pożyczać od niej, od jej brata, od diuka — w gruncie rzeczy od każdego — bez wahania i nadziei, że kiedykolwiek pożyczkę zwróci.

— Nie chciałabym sprawić jakiegokolwiek kłopotu Louise — odparła. — Palmellowie są jej przyjaciółmi, nie naszymi. Mam nadzieję, że nie uczynisz niczego, co mogłoby ich do niej uprzedzić.

Uśmiechnął się niewyraźnie i wydawało się, że jej nie słyszy. Zaczął śpiewać cicho swemu małemu synkowi, kołysząc go na kolanach.

Bussonowie wrócili do Francji pod koniec maja. Louis-Mathurin z miejsca napisał do siostry, proponując, że odwiedzi ją w Brukseli, Ellen była jednak stanowcza: nie zamierza udawać się w następną podróż. Nie byłoby to wygodne dla dziecka, a ona sama cierpiała ostatnio na migrenę. Jeśli mąż chce, niech jedzie sam.

Louise wydawała się zadowolona z perspektywy ponownego ujżenia brata. Pisała, że jej drodzy przyjaciele z przyjemnością oferują mu gościnę. Tak więc Louis-Mathurin udał się w podróż do Brukseli we wspaniałym nastroju, a w głowie miał mnóstwo projektów, które zamierzał przedłożyć ambasadorowi portugalskiemu.

Ellen pozostała w domu. Z powodu ataku żółtaczką cerę miała jeszcze bardziej ziemistą niż zazwyczaj i w związku

z tym częściej traciła opanowanie. Podczas nieobecności męża postanowiła oszczędzać; naprawdę aż dziw, jak dobrze potrafiła wykorzystać swe dochody, kiedy od niej nie pożyczał. Niczego sobie nie żałowała, miała wszystko, co potrzebne, malec także. „Po powrocie Louisa będę bardziej stanowcza, przyrzekała sobie. Powiem mu, że nie może już być tak, jak dawniej”. Zastanawiała się, co on robi w Brukseli. Wbrew samej sobie bardzo tęskniła za mężem: za jego śpiewem, śmiechem i zaraźliwym entuzjazmem.

Czerwiec w Paryżu był bardzo ciepły i Ellen nie czuła się dobrze. Przypuszczała, że to skutki żółtaczki, ale kiedy wreszcie udała się do lekarza, ten stwierdził, że oznaki są nieomyłne: będzie miała drugie dziecko. Ellen przyjęła tę wiadomość ze złością. To ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła! Nie była już młoda i nie chciała tego przechodzić ponownie. Nie mogła sobie na to pozwolić. Całe jej zainteresowanie skoncentrowało się na pierworodnym — w pełni zaspokajał jej instynkt macierzyński. Teraz już nie będzie mogła poświęcać mu całej uwagi; synek będzie musiał dzielić się nią drugim dzieckiem. Czuła niemal nienawiść do tego nie chcianego, nie narodzonego jeszcze rywala. Nigdy nie będzie go tak kochała, to oczywiste.

Zaraz też napisała do Louisa list pełen wyrzutów, jakby jej nieszczęsny mąż popełnił przestępstwo. Omal nie umarła ze zmartwienia. Nie wiedziała, jak zdołają uniknąć nowych wydatków związanych z nadchodzącym wydarzeniem. Ku jej zdziwieniu, mąż odpisał z zimną krwią. Dla George'a to doskonała rzecz mieć towarzysza: nie stanie się rozpuszczonym jedyakiem. Poza tym nie ma najmniejszego powodu do obaw o finanse. Rozmawiał o swej sytuacji z Palmellami, którzy okazali mu szczególne względy. Zaproponowali, żeby Bussonowie opuścili mieszkanie przy Champs Elysees i przyjechali do Brukseli, gdzie diuk Palmella da Louisowi posadę w ambasadzie. Wreszcie mają szansę żyć w dostatku. Dziecko urodzi się w Belgii, a flamandzka niańka będzie doglądać obojga maluchów. Louise ucieszy się z towarzystwa bratowej. Ich przyśłość zdawała się usłana różami.

Z początku Ellen chciała się sprzeciwić. Nie podobały jej

się te plany, robione za jej plecami; Louis nie powinien był decydować sam, bez zasięgnięcia jej rady. Już miała odpisać, że nie chce o tym słyszeć, ale pomyślała, że właściwie to przyjemnie byłoby znowu ujrzeć drogą Louise i przebywać w towarzystwie ludzi dobrze wychowanych, jak Palmellowie. Wreszcie nie musiałyby martwić się o pieniądze i miałyby niańkę dla synka. Może mimo wszystko ten pomysł nie jest najgorszy? Bruksela to cudowne miasto, poznaliby interesujących ludzi. A zatem postanowione. Louis-Mathurin wrócił, żeby się spakować, i pod koniec lata Bussonowie przenieśli się do Belgii.

Jakiego to rodzaju usługi wyświadczał Louis-Mathurin diukowi Palmelli w ciągu owych tych trzech lat spędzonych w Brukseli — trudno powiedzieć. W *entourage* każdego ambasadora były jedna czy dwie osoby, czasem więcej, które otrzymywały hojne wynagrodzenie za nic. Pracownicy ci pisali kilka listów, składali kilka oficjalnych wizyt; widziano ich spieszącymi korytarzami z dokumentami pod pachą, ze zmarszczką skupienia na czole; wysuwali się naprzód w czasie uroczystości państwowych, starając się zająć pierwsze miejsca dla swych rodzin; nosili także wstążki w klapach na przyjęciach i balach, żeby odróżniać się od pospolitego tłumu. Oni pierwsi gorliwie kiwali tajemniczo głowami i szeptali na stronie, gdy w grę wchodziły sprawy państwowe bądź dworska intryga.

W dzisiejszych czasach owi szczęśliwcy byliby niezbyt nieuprzejmie określane jako pieczeniarze. Dość wątpliwe jednak, żeby to słowo istniało w roku 1836 na dworze Jego Wysokości króla Belgii Leopolda. W każdym razie Louis-Mathurin wypełniał swą funkcję najlepiej, jak umiał. Jego protektor, ambasador Portugalii, jeśli nawet nie spełniał funkcji najwyższej wagi dla polityki międzynarodowej, był przynajmniej kulturalnym i czarującym dżentelmenem, a jego żona Eugenie St. Just — przeziębłą i łaskawą kobietą. Palmellowie okazali się rzeczywiście tak wspaniałomyślni, że Louis-Mathurin mógł żyć przez wiele miesięcy bez pożyczania pieniędzy od swej żony.

Dla Ellen pobyt w Belgii stanowił przyjemną odmianę. Mieli wygodny apartament na przedmieściu, dwoje służących oraz flamandzką niańkę, która z miejsca zdobyła sobie przychyłność

chlebobawczyni, ponieważ zapałała gwałtownym uczuciem do drogiego chłopca. Nazywała go „mannikin” (chłopaczek), co mały, borykając się z pierwszymi słowami, przekształcił na „Kicky”. I tak, na ironię losu, ponieważ trudno mu było zapamiętać „George Louis Palmella Busson du Maurier”, pozostał „Kickym” do końca swych dni.

Jego brat, Alexandre Eugene, który urodził się 9 lutego, miał również pecha, gdyż został od razu przezwany „Gyggy” przez pierworodnego, który — bynajmniej nie zazdrosny — zachwycony był pojawieniem się małego braciszka.

Ellen, trzymając po raz pierwszy niemowlę w ramionach, pogodziła się już nieco z istnieniem drugiego synka, ale nie był on taki jak Kicky. W dodatku odziedziczył jej wydatny nos. Diuk i diuczesa byli jego rodzicami chrzestnymi, a także Louise, bo Alexandre Eugene miał być ochrzczony i wychowany w wierze katolickiej. Ellen nie pochwałała tego i nie mogła zrozumieć, czemu Louis-ateista, wyraził zgodę na ową katolicką indoktrynację. Spowodowało to również pewne trudności, gdy chłopcy urosli i chodzili do różnych kościołów.

— O co ci chodzi? — mówił beztróska mąż. — W przyszłości, jako dorośli ludzie, będą wierzyli w to, co będą chcieli. Teraz jednak absurdem byłoby rezygnować z korzyści posiadania diuka jako ojca chrzestnego. Jeśli coś się stanie ze mną, chłopiec będzie miał przynajmniej zapewnioną przyszłość.

— A co z biednym Kickym? — spytała oburzona matka.

— Jego ojcem chrzestnym jest twój brat George. Chyba mi nie powiesz, że nie stać go, by zaopiekować się chrześniakiem. Nasi synowie nie muszą się niczego obawiać, będzie im się dobrze powodziło.

— Nie apróbuję wiary rzymskokatolickiej — stwierdziła Ellen nieustępliwie.

— Ja nie apróbuję żadnej religii — odparł Louis-Mathurin. — Nieważne, czy Eugene będzie się modlił do słupa soli, o ile postępuje właściwie, jest dobry dla zwierząt i liczy się z innymi.

Wyjechał więc do Brukseli, nucąc pod nosem piosenkę, z głową pełną nowych pomysłów, które chciał przedstawić diukowi, a które zostały już odrzucone przez wszystkich naukowców w Belgii.

Zatem maleńki Gyggy został ochrzczony strugą wody święconej i łaciny, a dzięki oddanej ciotce Louise, modlącej się zań nieustannie, w jego intencji paliły się dzień i noc świece. By okazać jej wdzięczność i może w rewanżu za owe wszystkie imiona, jakie nadano mu na chrzcie, już w kołysce okazał się całkowicie i skrajnie zbuntowany.

Kicky pił mleko bez szemrania, Gyggy wypluwał je w twarz matce. Kicky robił swój mały interes tam, gdzie mu kazano, Gyggy na podłodze w salonie. Kicky był przygnębiony, kiedy go karcono. Gyggy chichotał i puszczał bąbelki. Kicky był dzieckiem spokojnym, całymi godzinami siedział z buzią podpartą rączkami, słuchając muzyki; jego mała postać wprost pulsowała, starając się dostroić do taktu matczynej harfy. Gyggy, z płamą na nosie i w podartym fartuszk, przecinał struny nożyczkami.

Trudno zatem winić Ellen za to, że starszy syn pozostał jej ulubieńcem, skoro młodszy dawał się jej we znaki od rana do wieczora. Gdyby знаła się na psychologii, winiłaby samą siebie.

Na szczęście bracia byli do siebie przywiązani. Łagodność jednego równoważyła niesforność drugiego.

Ellen z niejaką przykrością zauważyła, że młodszy prześcignął jej faworyta wzrostem i siłą. W wieku dwóch lat Gyggy miał taki sam wzrost, co czteroletni Kicky. Rzucał prosto piłką, biegał szybciej, wspinał się po drzewach jak małpa, podczas gdy Kicky dumał na niższych gałęziach. Gyggy był komikiem od pierwszych chwil swego życia i wystarczyło, by zrobił minę, a służba zataczała się ze śmiechu. Starszy brat próbował go naśladować ale efekty były tragiczne; Kicky potrafił tylko wyglądać poważnie. Było coś wzruszającego w jego twarzy i osobowości; coś niemożliwego do wyjaśnienia — bez żadnego powodu ludzie pragnęli go chronić. Czuli, że tego dziecka nie wolno zranić; gdyż jego cierpienie byłoby nie do zniesienia. Natomiast wiadomo było, że Gyggy nie przejąłby się niczym: ot, gwizdnie beztrosko i ucieknie.

Kicky był pełen wzniosłości w ten sam sposób, co jego ojciec, gdy śpiewał. Obaj mieli ową irracjonalną cechę tragiczków, tak jakby w nich obu tkwiła uwieczniona dusza, tęskniąca do wolności.

Kiedy Louis-Mathurin śpiewał, to tak jakby płakał anioł; anioł wypędzony z raju, do którego pragnie powrócić. Jakby życie było balastem, który trzeba odrzucić. „Jestem samotny, płakał, samotnością nie do zniesienia. Jestem zagubiony i przygnębiony, nie mam w sobie męstwa.”

O tym właśnie mówiła piosenka „Nussbaum”, zaśpiewana od niechcenia dla przyjaciół po kolacji albo jego ulubiona „Serenada”. Gdy tylko nieco podnosił głos powyżej szepotu, słychać było ową poruszającą modlitwę człowieka, który nigdy się nie modli; lament duszy, która nie ma Boga. Louis-Mathurin stał tak z rękami założonymi z tyłu, z piękną głową odrzuconą, wielce rad z występu i zupełnie nieświadomy owego daru, który wydawał mu się czymś naturalnym — i ta nieświadomość była właśnie jego tragedią.

Na górze, w łóeczku, Kicky słuchał rączkami obejmując kolana, i łzy mu spływały po policzkach. Kiedy przychodziła doń matka, całowała go i pytała o coś, nie odpowiadał. Tylko w głębi swej małej duszyczki czuł, że on i ojciec to jedno: cierpią i wytrwale znoszą cierpienie; są jak ślepcy walczący w ciemnościach.

Ból i piękno to cechy pokrewne, nie ma między nimi ostrej linii granicznej. I właśnie owo intensywne piękno, to czyste piękno głosu ojca było tak trudne do zniesienia. Zarumieniony Gyggy spał obok z kciukiem w buzi, uśmiechając się we śnie na wspomnienie kradzionych śliwek, ale muzyka do niego nie trafiała. Tak samo pewnie uśmiechała się Mary Anne, kiedy czytała pierwszy list od Diuka Yorku.

Ileż cieniutkich, niewidzialnych nitek prowadzi do powstania ludzkiej istoty. Jakaż skomplikowaną mieszaniną cech dziedzicznych byli mali Kicky i Gyggy! Czy Gyggy był czarującym nicponiem przez całe swe życie dlatego, że jego babka żyła bez zasad moralnych? Czy był buntownikiem dlatego, iż jego matka nie chciała, by się urodził? A Kicky? Czy był sumiennym i precyzyjnym rysownikiem w wieku dojrzałym, ponieważ jego ojciec cenił naukową ścisłość, a matka miała zręczne palce? Czy jego pragnienie ucieczki od codzienności spowodowała prawie nie do zniesienia tęsknota za przeszłością, ponieważ ojciec jego

ojca, Robert Mathurin Busson, opuścił swój kraj i przebywał na wygnaniu przez ponad dwadzieścia lat? Jakiego rodzaju dziedzictwo, w podświadomości i we krwi, mógł ów nieszczęsny wygnaniec przekazać swym dzieciom, urodzonym w obcym kraju, gdy już miał ponad pięćdziesiątkę — jeśli nie nostalgię i frustrację, pragnienie powrotu, tęsknotę za rzeczami znanymi i doświadczonymi?

Na granicy Bretonii i Anjou, gdzie narodziło się ich potomstwo, żyją marzyciele i mistycy, ludzie przesadni, z dziedzictwem starych legend. Klimat jest tu łagodny i lekko melancholijny; padają często deszcze, a nad ziemią unosi się mgła. Wygnanie z tego kraju, brutalne wyrwanie z tej ziemi i przesiedlenie na ruchliwe ulice Londynu, było bolesnym wstrząsem. Robert nigdy się już nie pozbiarał, a korzenie, które tu zapaścił, wyrosły skrzywione i zdeformowane.

Niektórzy cierpieli udręki duchowe, innych przepełniała wciąż jakaś dzika, nieuzasadniona wesołość, ale wszyscy czuli tę samą niespokojną tęsknotę za przeszłością; szukali na oślep bezpieczeństwa, niczym samotne dzieci, które nieświadomie tęsknią za błogim spokojem prenatalnych ciemności.

Kicky był synem swego ojca i ojca swego ojca. Był artystą i marzycielem większym jeszcze niż oni, ale mężczyzn i kobiety swej epoki oceniał ostro, satyrycznie, ze ścisłością i precyzją, z jaką jego ojciec przeprowadzał analizy chemiczne.

A jego zdolność koncentracji, determinacja w dążeniu do powodzenia, jego walka z ubóstwem i ślepotą, jego nieugięta wola? Louis-Mathurin nie miał żadnej z tych cech, tak jak i jego ojciec. Mili, pogodni, melancholijni Bussonowie z Sarthe nie wykształcili w sobie owego hartu ducha; zostać mu przekazany przez kobietę bez zasad moralnych, bez honoru, bez prawości; kobietę, która dobrze wiedziała, czego chce, już w wieku piętnastu lat; urodzoną i wychowaną w rynsztoku, depcząca wrażliwość i uprzejmość swą rozkoszną stopką; kobietę, która osiągała w życiu, co chciała, śmiejąc się i grając na nosie.

8

S pokojne życie Bussonów mogłoby tak trwać bez końca gdyby nie fakt, że jesienią 1838 roku ambasador portugalski został odwołany do Lizbony. Okazało się, że jego obecność bardziej niezbędna jest we własnym kraju niż w Belgii. Czy tak było rzeczywiście, czy stanowiło to jedynie manewr dyplomatyczny, trudno ustalić. W każdym razie dla rodziny Bussonów rezultat w obu przypadkach był taki sam, ich obecność w korpusie dyplomatycznym stała się zbędna. Nie padła też żadna propozycja ze strony diuka czy też jego żony, żeby protegowani udali się wraz z nimi do Portugalii.

Louise, jako nauczycielka małych Palmellów, pojechała oczywiście do Lizbony. Możliwe, że Louis-Mathurin pełnił swą rolę wynalazcy przy ambasadorze, czy też jakąkolwiek oficjalną funkcję, przesadnie gorliwie; w życiu każdego protektora przychodzi taki czas, kiedy patronat przestaje być przyjemnością, a okazuje się ciężarem. Z początku może to nawet i zabawne — rozważać możliwości lotu na Księżyc, przemiany piasku w złoto czy wytwarzania diamentów z tłuczonego szkła, zwłaszcza gdy cały proces opisywany jest na żywo i przekonująco przez niebieskookiego czarodzieja o płomiennych włosach, który tak zachwycająco śpiewa po obiedzie dla gości. Ale kiedy ów czarodziej wciąż bierze pożyczki, a nie ma nawet śladu rzekomo konstruowanej rakiety, worki piasku pozostają workami piasku, a potłuczone szkło nie nosi nawet śladu metamorfozy w diamenty — przestaje to być zabawne.

Panna Busson ma tak prawy charakter, że nie można ranić jej uczuć, ale jeśli jej brat istotnie jest geniuszem, jak zdawała się mniemać, to z pewnością powinien był już osiągnąć w życiu jakiś sukces. Artystyczna natura zbyt często bywa usprawiedliwieniem dla niedołęstwa. Poeta, który czeka na natchnienie, nigdy nie postawi słówka na papierze. Artysta, który wini atmosferę za swe puste płótna, lepiej niech sadi kartofle; więcej z tego będzie pożytek.

Diuk Palmella był już nieco znudzony Louisem-Mathurinem i jego zmiennymi nastrojami. Spodziewał się, że wynalazcy są jak magicy i wymachują magiczną różdżką. Skoro *monsieur* Busson nie posiada magicznej różdżki, nie może się uważać za wynalazcę. Niech zabiera swe worki piasku gdzie indziej, w Portugalii nie ma dla niego laboratorium.

Pożegnanie było uprzejme i z obu stron nie padły żadne słowa żalu. Diuszesa uściskała małego chrześniaka i nakazała mu być grzecznym. Wymieniono życzliwe, szczerze słowa pożegnania, siostra i szwagierka objęły się ze łzami w oczach — Palmellowie i Bussonowie się rozstali.

Nie było już sensu pozostawać dłużej w Belgii. Louisowi-Mathurinowi przyszło jednak do głowy, że jedną z niewielu osób, którym się nigdy nie naprzykrzał, jest starszy brat Robert — jedyny członek ich rodziny, który pozostał w Londynie i tam się zadomowił. Prowadzi interesy w City, jest kawalerem i niewątpliwie będzie zachwycony przybyciem Louisa wraz z żoną i dwoma synami. Bussonowie udali się więc do Londynu.

Nie wiadomo, czy Robert okazał zachwyt w związku z ich przybyciem, czy nie. Był to człowiek dziwny, melancholijny, o ponurych nastrojach, które odziedziczył po Bussonach. Przeznaczone mu było do końca dni spędzić życie w domu wariatów. W każdym razie musiał mieć dobry nastrój, kiedy odwiedził go brat, gdyż wyznaczył mu rentę — nic nadzwyczajnego oczywiście, bo nie był bogaty, ale wystarczyło na to, by Louis-Mathurin, korzystając z pierwszej wypłaty, mógł spędzić rok w Londynie. Bussonowie więc wynajęli dom w Marylebone, przy Devonshire Terrace, i tu urodziło się ich najmłodsze dziecko — córka Isabella — w roku 1839.

I co dziwne, Ellen nie oburzała się na fakt przyjscia na świat trzeciego dziecka. Oboje z Louisem-Mathurinem byli zachwyceni, że mają dziewczynkę. Zostanie z nimi, kiedy starsi chłopcy pójdą w świat. Była ślicznym dzieckiem — ze złotymi lokami, takimi jakie miała Louise, zdaniem jej brata. Ellen dbała o to, by mała ładnie wyglądała i żeby się nią zachwycano.

Nieszczęsny Gyggy pozostał jedynym jej dzieckiem, do którego czuła wrogość, a chłopiec nieświadomie zachowywał się tak, jak tego po nim się spodziewano: był nieposłuszny kiedy się dało, hałasował, drażniąc matkę, gdy była zmęczona — słowem popełniał wszelkie drobne grzechy zazwyczaj irytujące rodziców, a Ellen i tak łatwo było wyprowadzić z równowagi.

Miała teraz czterdzieści dwa lata i wydanie na świat w tym wieku trzeciego dziecka, zwłaszcza wówczas — w epoce wczesnowiktoriańskiej — nie było bynajmniej rozrywką. Mimo że ciężko przeszła ową próbę, wykazała niezwykłą siłę ducha i wytrzymałość.

Gdzieś w linii Clarke'ów znajdowała się taka cecha, jak hart ducha i Ellen w pełni ją posiadała. Wysunięta szczeka i rzymski nos nie są wcale takie złe.

Wprawdzie macierzyństwo nie nadwerężyło jej zdrowia, warło jednak pewien wpływ na stan nerwów. Nigdy nie miała zbyt łagodnego usposobienia, teraz zaś zrobiło się jeszcze gorzej niż przedtem. Była przewrażliwiona albo — jak wówczas się mówiło — łatwo się irytowała. Niepokoiły ją drobiazgi, codzienne domowe sprawy, takie jak utrzymanie domu, zdrowie dzieci oraz nieuleczalny optymizm męża w obliczu ich oczywistego ubóstwa. Z miesiąca na miesiąc stawało się coraz bardziej oczywiste, że Louis-Mathurin nigdy nie odniesie sukcesu jako wynalazca, a wielka fortuna pozostanie w sferze marzeń.

Robert Busson robił dla nich, co mógł. Był i tak wystarczająco hojny i nie mógł już uczynić nic więcej. Ellen nie lubiła Londynu; zbyt długo mieszkała we Francji, by zaaprobować angielskie zwyczaje. Poza tym życie w Anglii okazało się o wiele droższe i nadwerężyło w widoczny sposób jej skromne środki finansowe.

George został znów wysłany do Indii, a pani Clarke wciąż

pisała z Dover, gdzie stacjonował jego pułk, proponując córce, Louisowi i dzieciom, aby z nią zamieszkali, przynajmniej na pewien czas, pod nieobecność syna. Raz czy dwa wybrała się do Boulogne i nie miała słów dla tego miasta: jakie tanie, pisała, malownicze, pełne rozrywek. Naprawdę Mary Anne czuła to samo, co Ellen: była już znudzona Anglią — wieczne mgły, deszcze, sztywni i nudni ludzie, wszystko takie inne od tego, co znała w młodości. Zasmucało ją, że kiedy otwierała poranną gazetę, okazywało się, że jej rówieśnicy albo nie żyją, albo są umierający; wkrótce nie zostanie już nikt z dawnych dobrych czasów. Miała zamiar osiedlić się w Boulogne — teraz, kiedy George wyjechał do Indii; chciała wynająć wygodny apartament w najlepszej dzielnicy. Rodzina Bussonów mogłaby więc przyjechać i zamieszkać z nią razem, dopóki statek Louisa nie dopłynie do portu, co z pewnością kiedyś nastąpi; wciąż pisała listy do znajomych o nim i o jego wynalazkach, ale dzisiejsi ludzie są źle wychowani i niedbali: nie odpowiadają na listy. Można by pomyśleć, że pani Clarke nie ma już żadnych wpływów!

Ellen nie była taka pewna, czy chciałaby mieszkać na stałe z matką, ale mijały tygodnie i wyglądało na to, że nie ma innego wyboru. Louis-Mathurin zmarnował wszelkie swe szanse wskutek sprzeczki z bratem. Robert wyraźnie dziwaczał, a jego napady głębokiej depresji, kiedy to nie odzywał się ani słowem, gwałtownie się nasiliły. Już raz próbował popełnić samobójstwo, o czym wiedział jedynie młodszy brat. Pewnie dlatego starszy pielęgnował w sobie silną urazę do Louisa, zwracając się nagle przeciwko niemu. Ten zaś stracił opanowanie i nietaktownie powiedział Robertowi, że chyba zwariował.

Człowiek, dla którego obłąd jest straszliwą groźbą, nie ma zbyt dużego poczucia humoru, jeśli chodzi o niego samego. Robert nigdy nie wybaczył Louisowi-Mathurinowi i przestał mu wypłacać pensję — tak samo nieoczekiwanie, jak zaczął. Biedny Robert, pierwsza prawdziwa ofiara Terroru w rodzinie Bussonów, poczęty podczas ucieczki do Anglii przed prawie pięćdziesięcioma laty, pogrzyżył się w mroku, pozostawiony sam sobie, na pastwę lęków i ciemności.

Louis-Mathurin, ze swym nieodłącznym wzruszeniem ra-

mion i pogodnym, beztroskim nastrojem, niewiele różniącym się od obłądu, udał się do Boulogne, by tam zamieszkać ze swą teściową, wraz z żoną i dziećmi. Głowę miał wciąż pełną projektów nowych wynalazków, a kieszeń pustą. Doprawdy szczęśliwie się złożyło dla Kicky'ego, Gygy'ego i malutkiej Isabelli, a także dla przyszlých pokoleń Bussonów, że ich łaskawa babka odniosła niegdyś takie powodzenie w swej profesji i teraz, przeszedłszy w stan spoczynku, mogła ich ubrać i wyżywić. Gdyby nie ta jej hojność i pensja wypłacana córce, Bussonowie du Maurierowie znaleźliby się naprawdę w ciężkim położeniu. Wątpliwe nawet, czy by przeżyli.

Nie każda kobieta wznosi się na takie wyżyny w swej karierze i może się pochwalić rentą od Diuka Yorku.

Prawdę mówiąc, Mary Anne Clarke była niepoprawna. Nigdy nie nabrała całkowitej pewności co do tego, czy nie lepiej byłoby dla jej własnej korzyści i dobra jej dzieci zrezygnować z dożywocia i zdać się na szantaż.

Dożywocie to coś pewnego, bezpiecznego i nudnego, a szantaż zawiera pewien element ryzyka, które dodaje życiu pikanterii. Cóż to za przyjemność przeglądać owe stare, niedyskretne listy i wyobrażać sobie czerwieniejącą nagle twarz odbiorcy podczas czytania kopii. Pieniądze „za dyskrecję” mogą być większe niż owa skąpa renta z szalenie małą dywidendą co kwartał.

Teraz, gdy Diuk Yorku odszedł już do cieni swych ojców, dokąd — jak należy się spodziewać — nie dochodzą żadne listy, Mary Anne przyszło do głowy, żeby ubić interes z jego bratem, Diukiem Cambridge.

No, oczywiście nie w ten sam sposób, co kiedyś. Wszak ona liczyła sobie już ponad sześćdziesiąt lat i dawno przeszła w stan spoczynku, to nie ulega kwestii. Ma jeden czy dwa niemal zażytkowe już listy od jego świętej pamięci nieodżałowanego brata, bardzo zabawne w lekturze, które oczywiście włączy do pamiętników, jeśli je wyda. Pewien wydawca z małej oficyny w Londynie proponuje jej olbrzymią sumę za wyłączne prawa do opublikowania tych pamiętników w Anglii. Mary Anne prowadziła z nim tajne pertraktacje jeszcze przed wyjazdem do

Boulogne, chyba nie trzeba nadmieniać, że za plecami George'a. Drogi chłopak wpadłby w furję, gdyby się o czymś takim dowiedział. I teraz wszystko to ma pójść na marne tylko z powodu świstka papieru, który podpisała jakieś trzydzieści lat temu?

Obecnie, gdy Diuk Yorku zmarł, nadarzyła się idealna okazja, by złamać tę umowę. Książka cieszyłaby się wielkim powodzeniem, jak utrzymywał wydawca. Wszyscy by o niej mówili, a portret autorki zamieszczono by w gazetach. Rozgłos, którego — prawdę mówiąc — tak Mary Anne brakowało, znów by jej towarzyszył. Zrobiłaby rodzinie prezenty: pianino dla Ellen i laboratorium dla Louisa-Mathurina, kucyki dla chłopców — Kicky'ego i tego hultaja Gyggy'ego, woskowe lalki dla Isabelli, a dla siebie samej kupiłaby kilka nowych sukni i powóz, a także przyjęłaby stajennego. Ale prawdziwą przyjemność sprawiłoby jej siedzenie w wygodnym fotelu z ustami pełnymi cukierków i czytanie skandalizujących recenzji w angielskich gazetach. I wyobrażanie sobie rumieńców i furii tych wszystkich osób, których uczucia uraziłaby jej niezawodna pamięć.

Tak więc Mary Anne zamieszkała w przestronnych, wygodnych apartamentach na Grande Rue w Boulogne i uśmiechała się do siebie, gdy potok owej kwiecistej retoryki spływał z jej pióra na papier. Pisała z niezwykłą łatwością. W drugim kącie pokoju Louis-Mathurin chodził tam i z powrotem, nucąc sobie pod nosem, gdy tymczasem Ellen pracowicie szyła bluzeczki dla dzieci.

— Drewniane palce — kpiła z niej matka, spoglądając na córkę przez ramię. — Na harfie grasz jak anioł, a nie potrafisz uszyć nic innego prócz bluzeczek dla dzieci. Kiedy pomyślę o haftowanych ubrankach, jakie ty i George nosiliście w Tavistock Place! A teraz ty siedzisz jak szwaczka i szyjesz, szyjesz, cały tydzień jeden rękaw.

— Protestuję! — odezwał się Louis-Mathurin, zatrzymując się nagle. — Ellen szyje dobrze. Nasze dzieci są o całe niebo lepiej ubrane od tych, które się widzi w Boulogne. Prostota jest podstawą dobrego smaku. *Bon sang ne sak mentir.*

Skłonił się przed żoną z wyszukaną kurtuazją, z ręką na sercu, co było oznaką, że znów jest bez pieniędzy i przyjdzie

do niej później, spoglądając niewinnie swymi niebieskimi oczami, i poprosi o niewielką sumkę, by przebrnąć przez parę następnych dni.

Oczywiście nosiłam haftowane sukienki, kiedy byłam mała, pomyślała Ellen z goryczą, ale nie byłam z tego powodu szczęśliwa. Biedne, samotne dziecko, pozostawione pod opieką służby na poddaszu domu, podczas gdy matka balowała na dole. W każdym razie moje dzieci nie będą się skarżyć, gdy dorosną. Nie zaniedbałam ani ich zdrowia, ani edukacji.

Ostro krzyknęła na Gyggy'ego, który walił kijem w bęben, żeby przestał hałasować i poprosił swego brata, bo już pora na lekcję ortografii. Dzisiejsza miała trwać dłużej, bo wczorajszego dnia Kicky opuścił dziesięć minut, żeby iść z ojcem do portu, popatrzeć na wpływające statki.

— Czy mogę iść znowu z tatą? — błagał Kicky; jego brązowa główka wychyliła się zza sofy. — Wolę statki od lekcji.

Ale matka zdecydowanie potrząsnęła głową i odkładając na bok szycie, sięgnęła po podręcznik ortografii. Jak dobrze znała tę nudną brązową okładkę i czarne pismo bez obrazków! Ellen przyciągnęła do siebie chłopca i zaczęła cicho literować wyrazy, patrząc mu w oczy. Ze smutkiem powtarzał po niej, słowa z rączkami na jej kolanach, za dobrze wychowany, żeby się wiercić i płakać, gdy ojciec, nucąc niefrasobliwie, wyszedł z pokoju po kapelusz, by udać się do portu, gdzie rozchodziła się woń ryb i słychać stukot kół na kocich łbach.

— Nie możesz wyrosnąć na nieuka jak ci chłopcy, co biegają boso — powiedziała Ellen. — Noszą łachmany, nie mają co jeść i śpią w rynsztoku, a mamusie nie uczą ich czytać.

Kicky nie odpowiedział. Pomyślał, że wolałby być chłopcem z portu, ale był zbyt dobroduszny, by to powiedzieć.

*Maitre Corbecu, sur un arbre perche
Tenait en son bec un fromage...*

Matka recytowała, a chłopiec z powagą powtarzał za nią tekst jak papuga, beznadziejnie niwecząc efekt satyryczny. Gyggy, bezpiecznie schowany za spódnicą babki, oderwał wszystkie guziki od swej bluzy, nie przejmując się w ogóle la-

niem, jakie go czekało. Czerpał radość z samego faktu, że może być niegrzeczny.

Bez wątpienia babka doszłaby z nim do porozumienia: ona też uwielbiała być niegrzeczna. Doskonale wiedziała, że opublikowanie pamiętników jest niezgodne z postanowieniami umowy. Ale diuk umarł, więc cóż to teraz ma za znaczenie? Poza tym chciała się usprawiedliwić w oczach świata. W roku 1810 potraktowano ją nikiemnie. Nie zapomniała o paszkwiłach na swój temat, o błocie, jakim ją obrzucono, mimo że zarzuty dotyczyły nie tylko jej. Potrafiła pielęgnować w sobie urazę i gniew przez ponad trzydzieści lat — teraz mogłaby się zrewanżować i tym samym błotem obrzucić innych.

Niestety — a może na szczęście dla rodziny Bussonów — których przyszłość zależała od stałej renty Mary Anne — zjadliwa odpowiedź adwokata Fladgate'a ukazała całą sprawę w zupełnie innym świetle.

Oto jego list, pisany w kancelarii przy Craven Street w marcu 1841 roku:

Droga Pani,

W związku z listem skierowanym przez Panią do Jego Królewskiej Mości doradca prawny Diuka Cambridge zwrócił się do panów Coxa i Co. o informację w kwestii umowy powierniczej, zgodnie z którą wypłacane jest Pani dożywocie. Panowie Cox i Co. skierowali owego dżentelmena do nas.

Zdaje się, że zamysła Pani ujawnić pewien materiał, którym, jak sądzisz, zainteresowana jest Rodzina Królewska i którego nabycie proponujesz diukowi, żeby nie dopuścić do publikacji.

Wyrażano pod moim adresem życzenie, abym upewnił się, czy konsekwencją owej publikacji byłaby utrata renty — co jest bezsporne i oczywiste.

W takich okolicznościach nie mogę dopuścić do kryzysu, nie błagając cię o zaprzestanie owych zabiegów, zanim stracisz swój dochód i zabezpieczenie dla córki.

Nie mam na razie pewności, czy renta rzeczywiście nie przepadła, na podstawie faktów podanych w Twoich listach, ale nie sądzę, aby celem zainteresowanej osoby było bezprawne wywie-

ranie na Ciebie nacisku. Uważam, że na razie nie ma się czego obawiać. Jednakże spełnienie groźby publikacji oznaczałoby natychmiastowe wstrzymanie wypłaty renty, której — to nie ulega najmniejszej wątpliwości — nie udałoby się już nigdy odzyskać.

Co zaś do Diuka i jego doradców, to jestem przeświadczony, że nie otrzyma Pani odpowiedzi na żaden ze swoich listów i kwestia, czy kiedykolwiek dokonano by jakichś opłat, pozostaje bez dyskusji.

Nie potrzebuję Ci przypominać, że warunkiem przyznania renty było żądanie, żeby wszystkie dokumenty związane z omawianą sprawą zostały zniszczone. Z Pani listu wynika, że tak nie jest.

Błagam Cię, Pani, dla dobra Twojego i Twojej córki (bo nikt inny nie żywi żadnych obaw w związku z tą sprawą), abyś pozwoliła swych zamiarów.

Pozostaję Twym uniżonym sługą
W. M. Fladgate

Oprócz całkowitego zignorowania jej *żądań* było coś jeszcze, co zgasiło entuzjazm pani Clarke. Ironia tego listu nie przeszła niezauważona; końcowe zdanie „nikt inny nie żywi żadnych obaw w związku z tą sprawą” było jak smagnięcie biczem dla Mary Anne, która lubiła sobie wyobrazać, że poruszy całą angielską socjetę.

Czyżby Fladgate miał czelność insynuować, że pani Clarke nie odgrywa już i w ogóle nigdy nie odgrywała żadnej roli? Do diabła z rentą! Pamiętniki zostaną wydane, kiedy ich autorka zechce. Teraz już nie można dłużej tego trzymać w sekrecie. Była zbyt rozgniewana, by powstrzymać swój język. Mary Anne w gniewie to sama Mary Anne co dawniej, nawet jeśli ma sześćdziesiąt trzy lata. Cały dom został postawiony na nogi. Potłuczone talerze, podarte poduszki, służba przeklinana i zwalniana jednym tchem. Potok słów, jakie płynęły z umalowanych ust, starszej damy, przyniosłoby zaszczyt najprymitywniejszemu osiłkowi w Billingsgate, gdzie najprawdopodobniej brała pierwsze lekcje.

Dzieci odesłano do sypialni, gdy tymczasem ich babcia ciskała

porcelaną po salonie — szkoda że nie można było wziąć udziału w tej zabawie. Ellen, wstrząśnięta, z ustami mocno zaciśniętymi, zażądała wyjaśnień. Myśl, że jej matka rozważała ewentualność opublikowania pamiętników, była dostatecznie przerażająca.

Wszystkie dawne obrzydliwe skandale znowu odgrzebane, nadany im ponownie rozgłos — to okropne! George musiałyby się podać do dymisji; utraciliby rentę, która miała przejść na Ellen po śmierci matki — to nie tylko straszne, ale i niegodziwe, perfidne i niewybaczalne. Z czego by żyli, pytała, za co miałyby ubierać i żywić dzieci? Jak może nazywać rentę „swoimi pieniędzmi”, skoro miały być przekazane Ellen i dzieciom? Czy matka zdaje sobie sprawę, że utrata dożywocia oznacza dla nich niemożność dalszej egzystencji?

Dla Mary Anne tak wielkim zaskoczeniem był widok córki, która straciła panowanie nad sobą, że podziałało to niczym antidotum na jej własną złość. Zaczęła wołać na służbę, którą pozwalniała jeszcze przed dziesięcioma minutami, by zaraz przyniesiono brandy — Madame Busson nie czuje się dobrze.

Ellen naprawdę wyglądała na chorą. Jej ziemista z natury cera stała się zielona. Bóg jeden wie, myślała, że nie potrzebuję tych pieniędzy dla siebie. Nigdy nie wydałam ani grosza ze swej pensji na nic niepotrzebnego. Gdyby Louis podjął choć najmniejszy wysiłek, aby znaleźć jakąś stałą posadę, nie musiałabym się tak poniżać. Ale widzieć, jak dożywocie — nasz jedyny ratunek przed kompletnym ubóstwem — przepada wskutek przyływu złego humoru i zranionej dumy... Nie, tego już za wiele, to nieludzkie.

Pomyślała o chłopcach i Isabelli — tych niewinnych istotach, których los zależał od jej starań i roztropności — o ich małych, ufnych buziach, a zwłaszcza o wyrazie tego ślepego zaufania w oczach Kicky'ego! Czuła się jak samica strzegąca swych młodych — z rozczapierzonymi pazurami i obnażonymi kłami.

Matka przejęła się ogromnie jej stanem, składała wszelkiego rodzaju obietnice, by uspokoić córkę. Chociaż powietrze było przejmująco zimne — sam środek szczególnie nieprzyjemnego

marca — otwarto wszystkie okna i stała w przeciagu, głęboko oddychając, tak było jej gorąco i duszno. Burza przeszła, wydanie pamiętników odłożono ad acta — na razie.

Jednakże atmosfera w Boulogne już nigdy nie uspokoiła się na dobre; było w niej coś niemiłego, coś sztucznego. Ellen zawsze odnosiła wrażenie, iż matka podpisuje jakieś papiery za jej plecami, wchodząc w podejrzane układy z wydawcą. Pewnego dnia zostanie bez grosza przy duszy. Psuła teraz dzieci, które wymykały się spod kontroli Ellen. Nawet Kicky naśladował swego brata: bywał hałaśliwy i gburowaty. Do domu przychodzili teraz wszelkiego autoramentu niepożądani goście; matka miała szczególny talent do zawierania znajomości i serdecznych przyjaźni na jakiś miesiąc, a potem nagle czuła się nimi znudzona. I takiej właśnie atmosfery płytkiej nieszczerości Ellen nigdy nie znosiła. Martwiła się, że dzieci w niej wyrastają. Zaczęła nienawidzić Boulogne i tęsknić za własnym domem, choćby nawet małym i skromnym.

Louis-Mathurin wrócił z Paryża z głową pełną planów i projektów dotyczących nowej, przenośnej lampy, którą właśnie skonstruował. Postanowił wreszcie zdobyć fortunę. Lampą była zainteresowana cała grupa ludzi, utworzono kompanię i zgłoszono patent. Louis wyposażył swą sypialnię i laboratorium w Faubourg Poissonniere, gdzie mógł pracować bez przeszkód. Teraz kiedy jego perspektywy pod każdym względem rysowały się jaśniej, zapragnął mieć żonę z dziećmi przy sobie. Już krzątał się, aby wynająć mieszkanie w Passy.

Ellen tak ucieszyła perspektywa opuszczenia Boulogne, że zgodziłaby się nawet zamieszkać w kostnicy. Szczęściem dla niej i dzieci, fortuna Bussonów nie została jeszcze zbyt uszczuplona i oto pewnego czerwcowego ranka cała rodzina znalazła się w dylizansie z wypakowanymi kuframi i tobołami. Dzieci pomachały wesoło małymi rączkami babci i pojechały do Paryża.

Mieszkanie, które wynajął Louis-Mathurin na rue de Passy, było bardzo przyjemne. Znajdowało się na pierwszym piętrze, *au dessus de l'entresol*, a wszystkie okna prócz tych w salonie miały kamienne balkony wychodzące na ulicę, zwrócone zaś by-

ły w przeciwnym kierunku, ku rue de la Pompe, bo dom stał na rogu. Ten szczególny apartament zwany był *Le Cabinet de Physique*, bo *Louis Seize*, jak mówiono, używał go jako warsztatu kowalskiego: robienie zamków i kluczy było jego hobby. W każdym razie ta właśnie nazwa skłoniła Louisa-Mathurina do wynajęcia owego mieszkania. Odmówił wzięcia pod uwagę wszystkich pozostałych w tym domu.

Za domem był ogród — radość dla dzieci — z zieloną bramą w murze, która prowadziła do prywatnej alejki, zarosniętej i tajemniczej. A dalej było już Bois — zaczarowany las, ciągnący się stąd do wieczności, jak sądziły dzieci: raj bez początku i końca.

Tamte lata w Passy, 1842-1847, zostały opisane w jakieś pięćdziesiąt lat później w powieści *Peter Ibbetson*. Oczywiście fabuła jest fikcyjna: w rzeczywistości nie było małej, bladej Mimsey Seraskier, która bawiła się z Peterem koło Mare d'Auteuil ani wielkiego psa Medora, biegającego z nimi po opadłych kasztanach. Jednak stary, żółty dom z krużgankiem i zielonymi okiennicami stał tam naprawdę. Louis-Mathurin śpiewa na pierwszych stronach jako *beau Pasquier*, a Ellen gra na harfie jako *Madame*, chociaż Kicky przedstawia ją czułą ręką oddanego syna jako młodą kobietę ze złotymi lokami. Wszystkie znajome dźwięki i zapachy Paryża czasów Ludwika Filipa — miłego, burżuazyjnego Paryża — które wypełniały uszy i nozdrza Kicky'ego w młodzieńczych latach, zostały odtworzone z dziwną tęsknotą, z tą prawie nie do zniesienia nostalgią w pół wieku później.

Jest tu *maison de sante* i właścicielka Madame Pane, chociaż Kicky nazwał ją „Pete”; i major Duguesne (z „ois” na końcu prawdziwego nazwiska), i kapitan Alladenise, i pułkownik Voisin, i doktor Lombard — nazwani bohaterami napoleońskimi. I Madame Liard, żona właściciela sklepu spożywczego na rogu rue de la Pompe, na wprost rue de la Tour, chociaż jej wasy to wymysł. Pięćdziesiąt lat później Kicky zastanawiał się, czy ona żyje i czy nie uważa tego za potwarz, jako że w roku 1842 była bardzo piękną kobietą.

Wszyscy oni byli przyjaciółmi Kicky'ego, Gyggy'ego i Isa-

belli: owocarz Guenier i rzeźnik Bouchez, obaj z rue de Passy, i stary doktor Larchez, który dożył późnego wieku.

Kicky nie namalował portretu swego zabawnego, marnotrawnego brata. I babki Clarke, która pozostała w Boulogne, boleśnie samotna. A ciotka Louise i Palmellowie? Dziwne przeoczenie zważywszy, w jak zażyłych pozostawali stosunkach z rodziną Bussonów. Czarny charakter w jego książce — niegodziwy wujek Ibbetson — nie mógł być w żaden sposób utożsamiany z prawdziwym wujem George'em. Również to nie uprzejmy, choć dość chłodny diuk Palmella został przeniesiony z Lizbony i zrobiony kozłem ofiarnym. Przykro powiedzieć, ale wuj Ibbetson był wytworem fantazji. Ellen Clarke zaś czułaby się z pewnością zaszokowana (gdyby żyła), poznawszy swoją kreację.

Kiedy Kicky pisał *Petera Ibbetsona* pięćdziesiąt lat później, zamknął oczy i wyśnił przeszłość, tak jak Peter w książce. Ujrzał tamte wydarzenia poprzez pryzmat własnego dzieciństwa. Jadł *soupe aux choux* i *vinaigrette de boeuf bouillo* i pił *claret* po franka za butelkę. Łowił kijanki w Mare d'Auteuil; udało mu się przecisnąć swe małe taczki przez ogrodową bramę wiodącą ku tajemniczej, zarośniętej alejce; był znów dzieckiem i z dziecięcą niekonsekwencją próżnował dzień po dniu. Wszystko było radosne i świat wydawał się pełen barw, jak sam powiedział.

Ale nie dostrzegął, bo nie zauważał tego jako dziecko, jak ta słoneczna, błoga egzystencja była materialnie niepewna i chwiejna, nie zabezpieczona — od czasu jego pierwszych kroków. Nie widział, z jaką pełną niepokoju troską matka ciuła drobne oszczędności, by synowie i Isabella mogli jeść *soupe a la bonne femme* i beztrósco biegać swą ścieżką w ogrodzie. Nie wiedział nic o długich, ostro sformułowanych listach kredytodawców do jego ojca, *le beau* Pasquier. Ten natomiast wchodził po schodach na górę, aby powiedzieć synowi dobranoc, podśpiewując cicho, jakby w domu Bussonów nie było wcale trosk.

Pamiętał uśmiech matki siedzącej przy harfie; nigdy nie widział jej ściągniętych brwi. Słyszał melodie tamtych czasów, śpiew i muzykę, ale nie znał napiętej ciszy. O pełnych niepokoju listach Ellen do Louise do Portugalii i niewielkich sum-

kach przysyłanych w odpowiedzi; o tym, że Louis-Mathurin odwiedzał niechętne firmy ze swą przenośną lampą i dostawał zamówienie to tu, to tam — o tym nie wiedział nic.

Kicky i Gygy ganiali motyle w złocistym Bois; padali bez tchu pod drzewami, obserwując, jak słońce maluje wzory na liściach, a wieczorami Ellen siadała na wprost swego męża przy okrągłym stole w *jadalni*, ze zwieszonymi ramionami, i mówiła z gderliwą nutą w głosie.

— Jestem już śmiertelnie zmęczona tym ciągłym ich myciem i szorowaniem — mówiła. — Za pierwsze pieniądze, jakie któreś z nas dostanie, pošlemy chłopców do szkoły. Chętnie zatrzymam się kilka miesięcy z małą, bez służącej, w jakiejś gospodzie pod Paryżem. Za jedną osobę z dzieckiem będzie to kosztowało niewiele. Chłopcy zaś powinni zostać umieszczeni w porządnej angielskiej szkole. Musimy znaleźć sposób, żeby to załatwić.

Mąż pocieszał ją oczywiście. Takie oszczędności nie będą potrzebne, przenośna lampa zapewni im wszystkim niezbędne pieniądze. Tak, gwarantuje szkołę dla synów — może w przyszłym roku. To już niedługo. Będą już, dzięki Ellen, dobrze rozwiniętymi, inteligentnymi chłopcami. Obaj potrafią czytać i pisać; mają poczucie piękna — Kicky w każdym razie.

— Musi być jakiś sposób dogadania się z twoją matką, by nam dała zaliczkę — sugerował. — Przecież po jej śmierci pieniądze należą się tobie. Napisałaś do niej?

— Próbowałam to omówić przed wyjazdem — odparła Ellen, znużonym tonem. — Ona uważa dożywocie za „swoje pieniądze”, jakby miała prawo robić z nimi, co chce. Nie widzę żadnego wyjścia, tylko trzeba pójść do sądu. Rozmawia ze mną tak, jakbym nic nie wiedziała o jej romansach i umowie podpisanej w 1809 roku. Czasami myślę, że ona cierpi na uwiad starczy albo uważa mnie za idiotkę. Jak tylko George wróci...

— Louise napisała do mnie z Portugalii dziś rano — powiedział Louis. — Palmella przyjeżdża do Paryża; nie czuje się dobrze. Muszę się jakoś z nim spotkać, by zaprezentować mój wynalazek. Co za szkoda, że to nie urodziny Eugene'a!

— Prezent urodzinowy nie rozwiąże naszych trudności — westchnęła żona.

— Ludzie dobrze urodzeni nigdy nie narzekają na biedę — powiedział Louis-Mathurin pogodnie.

Jednak powtarzał to już zbyt często, by brzmiało przekonująco. Ellen mogła tylko uśmiechnąć się blado i potrząsnąć głową. Pewna liczba ludzi kupiła przenośną lampę, ale reszta świata pozostała niewzruszona. Ellen mogła tylko żywić nadzieję, że z czasem sytuacja ulegnie zmianie; na razie rodzina Bussonów musi nadal żyć obietnicami, na kredyt.

Jej szwagierka Louise rozumiała ich sytuację lepiej niż ktokolwiek. Jej listy, mimo że upstrzone nabożnymi sentencjami, były dla Ellen wielką pociechą. Louise wysyłała im co pewien czas drobne sumki, które Ellen prawie wstydziła się przyjąć. Szyła także sukienki dla Isabelli i fartuszki dla chłopców. Było to miłe z jej strony i o wiele bardziej użyteczne niż dotychczasowa praktyka obdarzania Gyggy'ego *Żywotami świętych* trzy czy cztery razy do roku w Boulogne. Pani Wallace kończyła swe listy: „Wszechmogący Bóg wie, co dla nas najlepsze. Upokorzeni, mimo naszych bezsilnych sprzeciwów, możemy znaleźć pociechę w rezygnacji i nadziei” i innymi pocieszeniami tej samej natury, które Ellen pomijała. W postscriptum zaś dodawała, jakby to było bez znaczenia, że wysyła im sto franków w oddzielnej kopercie i że miała okazję wcześniej rozmawiać o wynalazku Louisa-Mathurina z niejakim baronem d'Alosta, który będzie przejeżdżał przez Paryż.

Baron zapłacił mi za zamówienie na tysiąc franków — pisał Louis do siostry z wielkim entuzjazmem po przybyciu gościa. — Jest to nadzwyczaj uprzejmy i sympatyczny człowiek.

Nasz przyjaciel diuk odwiedził moje mieszkanie na Faubourg Poissonniere, ale niestety nie zastał mnie w domu. Zostawił list-cik, że wraca do Portugalii następnego dnia, więc nie miałem przyjemności go ujrzeć.

Być może nieprzypadkowo „przyjaciel diuk” odkładał odwiedziny na ostatni dzień pobytu. Wszak znał niefortunnego wynalazcę aż nazbyt dobrze.

Wielka szkoda, że się rozminęliśmy — ciągnął Louis-Mathurin z wielkim żalem — bo miałem zamiar porozmawiać z nim o znajomym lekarzu, który zaprezentował mi pewną nadzwyczajną kurację pomagającą w epilepsji, na którą — jeśli się nie mylę — skarży się diuk. Ale skoro się tak nie stało, nie mówmy o tym więcej.

Nie muszę Ci pisać, jaki byłbym szczęśliwy, gdybym mógł być pomocny w jego uzdrowieniu. Był tak uprzejmy zostawić kilka książek dla swego chrześniaka, który był przejęty i zmartwiony, że go nie widział.

Mała zachwycona jest łańcuszkiem, a pan Kicky bardzo zadowolony ze swego albumu. Ellen i ja jesteśmy pełni podziwu dla Twojego nowego stylu pomocy... etc, etc.

Muszę jeszcze dodać słówko o prezencie diuka — tak dobrze dobranym do wieku małego Eugene — gdyby był bardziej zaawansowany w nauce. Jest to książka wzruszająca i interesująca dla dziecka, pełna sztychów, które nasze pociechy tak lubią. Równocześnie mogłaby być umieszczona na honorowym miejscu w bibliotece małej maitresse.

Wszyscy czujemy się dobrze, to samo mogę powiedzieć o rodzinie Jacquesa, od którego miałem niedawno wiadomości. Chciałbym Ci polecić pewne zadanie. Nie sprawi Ci to żadnego kłopotu poza przekazaniem go we właściwe ręce. Żałuję, że nie pokazałem swego wynalazku diukowi, bo jest on zdolny, jak sądzę, zrozumieć, jakie trudności musiałem przezwyciężyć, i docenić wagę mego osiągnięcia z każdego punktu widzenia.

Twój zawsze kochający Cię

Louis

Jestem szczęśliwy, że markiz miał tutaj dobrą pogodę. Najlepsze życzenia i pozdrowienia od całej rodziny.

Nie ma nic gorszego niż takie poszturchiwanie ze strony biednego krewniaka, gdy sam jesteś biedny, a jego zdaniem grzejesz się w blasku fortuny wpływowych przyjaciół. Biedna Louise, guwernantka w domu Palmellów, musiała spędzić wiele bezsensownych nocy z sugestiami Louisa-Mathurina pod poduszką, zzymając się na myśl o niewdzięcznym zadaniu — koniecz-

ności zaprezentowania ich diukowi i jego przyjacielom w stosownym czasie. Niepewny uśmiech na jej twarzy, przybierającej ów sztucznie promienny wyraz, zdradzał od razu petenta, który nie wierzy w powodzenie swej misji.

Czasami musiała się zastanawiać, na ile, jest pewna jej własna pozycja przy Eugenie — teraz kobiecie powyżej trzydziestki, dostojnej i dumnej z tego, że stała się oto jedną z pierwszych dam w tym kraju, podczas gdy ona, Louise, siwowłosa i dobiegająca pięćdziesiątki, pozostała mimo wszystko tylko Madame Wallace, jej starą, angielską nauczycielką. Zawsze trochę się bała diuka; był taki powściągliwy, taki chłodny. Arystokrata w każdym calu. Nie zwracał się do niej inaczej, jak tylko „madame”, chociaż mieszkała już z nimi piętnaście lat.

Niekiedy Louise zastanawiała się, czy epizod brukselski miał na to jakiś wpływ. Oczywiście nigdy nie padło słowo na ów temat, miała jednak takie odczucie. Kiedykolwiek wspominała o bracie czy kimkolwiek z rodziny przy diuku, to zanim odpowiedział, dostrzegała leciutkie, prawie niedostrzegalne wahanie, a ona kasłała nerwowo, zażenowana. To naprawdę miłe z jego strony, że zostawił wizytówkę Louisowi w Faubourg Poissonniere, nawet jeśli odłożył swą wizytę na ostatni dzień. I to że przysłał książki chrześniakowi. Dowodzi to życzliwego nastawienia Jego Wysokości.

Baronowi d'Alosta nie udało się jednak tak łatwo uciec. Louise otrzymała od niego czarujący liścik, skreślony w niezwykłym pośpiechu; d'Alosta pisał, że miał przyjemność zawrzeć znajomość z jej bratem (rozstając się w dodatku z tysiącem franków), a także z dwoma małymi bratankami i czarującą małą brataniczką, która jest żywym portretem ciotki.

Podarowali mu przepyszny bukiet kwiatów, i zapewnili, że jeśli kiedykolwiek będzie przejeżdżał przez Paryż, zawsze będzie mile widziany na rue de Passy. Louise nie wątpiła w to ani przez moment. Była pewna, że jej brat przygotowałyby jak najcieplejsze powitanie baronowi i zapełnił jego portugalski pałac przenośnymi lampami — po jednej w każdym pokoju. Jedyna wątpliwość dotyczyła tego, czy lampy będą świecić.

Biedna Louise, była tak oddana Louisowi-Mathurinowi. Jaka

szkoda, że brat nigdy nie chodził do szkoły dla wynalazców, lecz zmarnował tyle lat śpiewając w konserwatorium. Serce jej krwawiło, kiedy jego wynalazki okazywały się nic nie warte. A zdarzało się to niemal zawsze. I doprawdy cała ta czcza gadanina o węglowodorze palącym się w powietrzu zupełnie nie brzmiała przekonująco. Gdyby lampy wybuchły i kogoś poraniły — byłoby to straszne. Bardzo się o to niepokoiła.

Niepokoiła się także o diuszese, która spodziewała się kolejnego dziecka, a czuła się bardzo słaba. Eugenie nigdy nie była silna, częste porody zaś podkopały jej zdrowie. Niezdrowy i wilgotny klimat Portugalii także jej nie służył. Sama Louise cierpiała poważnie na reumatyzm.

Diuszesa urodziła chłopca 13 marca 1844 roku i Louise, która prowadziła pamiętnik, spisała relację z tego wydarzenia swym cienkim, ostrym charakterem pisma. Dziecko było wcześniakiem i w dwa dni później Eugenie zaczęła tracić siły. Jej nagła choroba i śmierć 19 marca, w dniu urodzin starej przyjaciółki, zostały opisane szczegółowo w pamiętniku:

Kiedy przyszedłem się z nią zobaczyć — pisała Louise w dniu jej śmierci — przepraszała właśnie wszystkie zgromadzone wokół siebie osoby i gdy tylko mnie ujrzała, ujęła mnie za rękę i prosiła o wybaczenie przykrości, jakie mogła mi wyrządzić. Wkrótce potem przyjęła ostatnie sakramenty z anielskim spokojem, przyłączając się do modlitw wypowiedzianych przy tej okazji. Wydawała się naprawdę szczęśliwa i pogodzona z wolą Bożą.

Gdy podeszłam ją objąć, powiedziała, że jej zazdroszczę. Wiedziała, co mam na myśli, i uśmiechnęła się; często rozmawialiśmy na temat szczęśliwej śmierci i opieki świętego Józefa w takim momencie. Potem błagała, bym modliła się za nią i napisała do jej chrześniaka (jeden z moich siostrzeńców), by też się modlił, obiecując, że zrobi to samo dla niego, gdy już będzie w niebie. Powiedziała, że byłoby jej miło, gdybym ja ze swej strony zrobiła, co mogę, dla małego Eugene na ziemi.

Po paru godzinach zaczęła majaczyć, lecz zdawała się wciąż mnie poznawać i nawet wołała mnie głośno po imieniu i prosiła o drobne przysługi. Wkrótce potem ksiądz powiedział, że chce jej

dać rozgrzeszenie. Była całkowiec gotowa i wysłuchała wszystkich modlitw za konających.

Poleciła mi często skraplać ją i łóżko wodą święconą w ostatnich chwilach, bo (jak powiedziała) pokusy diabelskie są wielkie i szczególnie należy się ich lękać w godzinie śmierci. Na pewien czas przed zgonem zaproponowałam, że natrę jej ramiona i nogi, mając nadzieję, że to przyniesie jej ulgę, bo bardzo cierpiała i potrzebowała odpoczynku. Wahala się i spytała, czy nie uważam, że byłoby to zbyt niebezpieczne. Odparłam, że nie sądzę, iż byłoby w tym coś złego, gdyż jest chora. Wtedy się zgodziła.

Powiedziała — to było wcześniej, po ostatniej spowiedzi: „Nie żał mi umierać; mam nadzieję, że pójdę do nieba, tylko obawiam się długiego pobytu w czyszcisku”. Gdy pytałam ją, czy jest całkiem pogodzona ze śmiercią, wciąż powtarzała: „Niech się dzieje woła Nieba”.

Do męża zaś rzekła: „Nade wszystko cię błagam, byś nie popełnił grzechu”.

Przypomniała mi szczęśliwe chwile spędzone razem na pensji i prosiła, bym nigdy o niej nie zapomniiała. Zawsze oddana była Błogostawionej Dziewicy. Powiedziała mi, że życzy sobie być pochowana w biało-niebieskich szatach — barwach świętej. Pod koniec nad czymś się zastanawiała i słyszałam, jak mówi półgłosem: „Zaledwie tydzień temu byłam zdrowa, tuliłam w ramionach mego małego synka i czułam się taka szczęśliwa...”

Po cichej trzygodzinnej agonii połączyła się z Bogiem, który zawsze jej towarzyszył i którego przykazania ceniła nade wszystko w życiu, sumiennie unikając rzeczy, które mogłyby Go obrazić. Modliłam się za nią z obowiązku, ale byłam przekonana, że lepiej ją poprosić o modlitwę, by Bóg Wszechmogący poprzez jej wstawiennictwo nagroził mnie cnotą pokory, którą tak bardzo pragnę posiadać i która jej zapewniła wieczystą szczęśliwość.

Tak więc mała Eugenie, diuszesa Palmella, spoczęła w wielkim, czarnym grobowcu w Lizbonie, w otoczeniu wszystkich owych starych zmarłych diuków i odeszłych w niepamięć pokoleń Palmellów. Na drzwiach katedry udrapowano ciemną purpurę; głucho, uroczyście dźwięczały dzwony. Biedna Louise

Wallace, płacząc gorzko po przyjaciółce, której nigdy już nie zobaczy, wiedziała, że ten okres jej życia skończył się na zawsze i że nie jest już dłużej w Lizbonie potrzebna.

Noworodek nie przeżył długo swej matki, a co do starszych dzieci — diuk miał wobec nich inne plany. Usługi guwernantki — damy do towarzystwa stały się zatem zbyteczne. Kiedy odczytano ostatnią wolę diuszesy, okazało się, że pozostawiła hojny zapis swej przyjaciółce, który przy rozsądnej lokacie mógłby stanowić wystarczający dochód dla Louise. Żyjąc oszczędnie, nie potrzebowałyby już pracować.

Z wielkim żalem opuszczała Portugalię, w której czuła się jak w domu przez piętnaście lat, ale ponieważ dzieci Eugenie nie były jej nigdy tak drogie, jak matka, nie miała powodu zostawać. Klimat tutejszy nigdy jej nie służył, a reumatyzm dokuczał stale i uporczywie. W następnym roku będzie miała pięćdziesiąt lat.

Pragnęła wrócić do Francji, do swego brata i jego dzieci. Chociaż nie było ani rozsądne, ani roztropne zamieszkać razem z nimi czy też narzucać im w jakiegokolwiek formie swe towarzystwo — Louise chciała być blisko nich, by ofiarować swą pomoc, jeśli zajdzie taka potrzeba, i spełnić obietnicę daną drogiej Eugenie, doglądając wychowania jej małego chrześniaka.

Wróciła do Francji pod koniec lata i od razu udała się do klasztoru w Wersalu, gdzie uprzejme siostry zaproponowały jej gościnę. Jak dobrze było znowu je zobaczyć, a przede wszystkim spotkać się z rodziną Bussonów i bratem, który mimo dziwnych kolei losu, długów i lekkomyślności był dla niej wciąż tym samym chłopcem z zadartym nosem. Uwielbiała go już przez pięćdziesiąt lat.

Zajmował się oczywiście pewnym wynalazkiem — jakąś mieszanką olejów, która miała spowodować rewolucję w przemyśle, co usiłował wyjaśnić ze szczegółami siostrze. Kiwała głową i uśmiechała się, udając, że słucha, podczas gdy on, wieczny optymista, rysował na papierze wykresy. Drogi, kochany Louis, nic się nie zmienił. Miał teraz czterdzieści siedem lat i absurdalnie młodzieńczy wygląd. Śpiewał także zachwycająco

jak zawsze, tak wzruszająco, tak tragicznie. Louise siedziała w kącie pokoju i płakała jak zwykle.

Ellen grała na harfie. Dobra, kochana Ellen. Oczywiście postarzała się nieco, zresztą tego się należało spodziewać. Ale Louise nie pamiętała o jej okrągłych plecach i spiczastym podbródku, bo była cudowną matką dla swych dzieci i wychowywała je wspaniale. Cała trójka jest rzeczywiście nadzwyczaj uzdolniona, wręcz genialna — zwłaszcza Kicky.

Taki myślący, rozsądny. Pobiegł po płaszcz, żeby ciotka się nie przeziębila, siedząc za długo w przeciagu. Napisał piękny wiersz dla matki, uroczy; Louise poprosiła go o kopię dla siebie. Gyggy także jest wyrosnięty i przystojny, może trochę zbyt hałaśliwy, ale to nic nie szkodzi — to tylko oznaka temperamentu. Pismo ma nadzwyczaj staranne i wyraźne jak na swój wiek. Diuk, jego ojciec chrzestny — powiedziała mu Louise — byłby zeń bardzo zadowolony. No i oczywiście jest jeszcze droga Isabella, pieszczoszka rodziny, mała piękność ze złotymi lokami.

— Boże, pobłogosław ich wszystkich — westchnęła Louise, gdy wracała do Wersalu po swej pierwszej wizycie, drżąc z zimna w powozie. — **Wynagródź** Ellen za przykładną opiekę, jaką ich otacza. Czas wszystko zmienia, więc proszę cię, Boże, o wynagrodzenie im ciągłych kłopotów. Dobre dni niewątpliwie są bliskie, a Ellen i Louis z pewnością znajdują bezcenną pociechę w posiadaniu tak udanych pięknych i mądrych dzieci.

9

W 1847 roku Kicky i Gyggy zostali posłani do Pension Froussard w Rond-Point na de la nouvelle avenue de Saint-Cloud. Rodzina przeniosła się więc z Passy do małego mieszkania przy rue du Bac.

Przenośna lampa wplątała Louisa-Mathurina w rozmaite komplikacje prawne: sprzedał trzecią część swego udziału w pacencie pewnemu człowiekowi o nazwisku d'Orgeval, który wkrótce zmarł. Udział ten w jakiś osobliwy sposób wrócił do Louisa-Mathurina, który z miejsca sprzedał go dżentelmenowi o nazwisku Mc Neish. (Sądząc z nazwiska powinien być on lepiej zorientowany.) Wtedy naraz pojawił się brat d'Orgevala i uznał transakcję za nielegalną.

Louis-Mathurin poczuł się wolny, pozbywszy się całego owego interesu, lamp i wszystkiego, ale jego żona stała się uboższa o pięć tysięcy franków. Tego się właśnie spodziewała od początku. Tym razem była stanowcza: więcej ani franka na wynalazki, dopóki chłopcy nie dostaną się do dobrej szkoły. Odwiedziła zatem Monsieur Froussarda i przekonała się, że chłopcy mają tu wygodny internat, dobre wyżywienie i otrzymują edukację najlepszą z tych, jakie można znaleźć w Paryżu.

Łacina, greka, angielski, niemiecki poza chemią, matematyką i fizyką — wszystkie te przedmioty należały do ogólnego programu szkolnego. Ellen z zadowoleniem słyszała także, że tylko jeden dzień w tygodniu jest wolny.

Naturalnie chłopców można było posłać do jednej z paryskich szkół publicznych i byłoby to o wiele mniej kosztowne dla biednej Ellen z jej skromnymi środkami. Ale córka Mary Anne Clarke i — zgodnie z jej niezachwianą wiarą — Pewnej Osobistości absolutnie nie godziła się, żeby jej synowie przebywali razem z synami rzeźników i piekarzy. Muszą się uczyć w przyzwoitej szkole i ciężko pracować, żeby spłacić dług wdzięczności poświęcającym się dla nich rodzicom. Muszą rozpocząć studia na Sorbonie po czterech czy pięciu latach.

Tymczasem Ellen z córeczką zamieszkają w pensjonacie, o ile mieszkanie na rue du Bac miałoby się okazać za kosztowne, Louis zaś musi koczować w swym pokoiku przy Faubourg Poissonniere. To, że obchodził pięćdziesiąte urodziny, nie spowodowało żadnej zmiany w jego nieuleczalnym optymizmie. Wciąż wierzył, iż jego statek dobieje do brzegu i wciąż spotykał się z ludźmi, którzy kogoś znali, kto znał jeszcze kogoś, kto mógłby się okazać użyteczny. Odbывały się zatem w kawiarniach małe zebrania, które co prawda nie kończyły się podjęciem żadnych szczególnych decyzji, a tylko mocnym uściskiem dłoni, tajemniczym kiwaniem głową i szelestem bardzo ważnych, na oko, dokumentów.

Louis-Mathurin maczał swe czarujące, nieudolne palce w tak wielu bezsensownych przedsięwzięciach, że prawie niemożliwe jest zidentyfikować je wszystkie dokładnie. W owym czasie nieustannie był poza Paryżem; podróżował do Tłonu, Dijon, ponownie do Brukseli; z Londynu i do Londynu.

Odkrył nową metodę zdobywania łatwych pieniędzy, o czym Ellen jeszcze nie wiedziała, a z czym krył się przed nią z rozbrajającą chytryością: spekulację. Aż dziw, że nigdy tego wcześniej nie próbował. Zaczął czytać wiadomości finansowe. Liczby stanowiły radość dla jego ścisłego umysłu, a jeden czy dwa ryzykowne posunięcia okazały się wielkim sukcesem. To cudowne uczucie, gdy się podwaja, a nawet potraja małą sumkę bez pracy. To o wiele łatwiejsze niż prośenie o pożyczkę, bo gdy pożyczzał pieniądze, nigdy nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, że wierzyciel zażąda kiedyś ich zwrotu.

Oczywiście zawarł wiele nowych przyjaźni w związku ze

swym nowym hobby i uczestniczył we wszelkiego rodzaju projektach, które poszły na marne. Czuł się jednak niezwykle uczony i ważny, podróżując do Londynu, by „obserwować rynek” dla jednego ze swych „serdecznych przyjaciół”, pewnego bystrookiego gościa, który żył z tego, że stał na palcach na skraju tłumu na giełdzie, przekazując informacje.

W każdym razie Louis-Mathurin miał zajęcie. Nie mógł zatem zabierać synów na Mare d'Auetuil, by łapać kijanki ani też nosić Isabelli na swych szerokich ramionach czy też nucić „Der Nussbaum” w salonie po obiedzie. Ellen miała do towarzystwa Louise i często odwiedzały się nawzajem. Zabierała małą do klasztoru, gdzie podziwiano ją i rozpieszczano, a Louise przyjeżdżała do Paryża i gościła u szwagierki w mieszkaniu przy rue du Bac — nie tak uroczym, jak stary, żółty dom w Passy, ale za to z prześlicznym widokiem na Issy i Vaugirard.

Rozmawiały o reumatyzmie Louise, której stan się nie poprawiał; o kłopotach zdrowotnych Louisa, który często cierpiał na niestrawność; o urodzie Isabelli. Louise opowiadała szczegółowo o wszystkich Palmellach — wujkach i ciotkach — co mówili i robili w Lizbonie. Ellen uważała to za bardzo interesujące, Palmellowie wszak byli jedną z pierwszych rodzin w Portugalii od pokoleń. Ona sama przekazywała Louise swoje poglądy na politykę i obie kiwały głowami nad losem biednego Ludwika Filipa, który musiał ratować życie, kiedy znów ogłoszono republikę. Przeważnie jednak wracały do tematu najbardziej je absorbującego — spraw dzieci.

Ellen mówiła o Kickym, a Louise o Gyggym — jako chrzestna matka chłopca czuła się zań odpowiedzialna. Obie były rozczarowane, gdy nadeszły świadectwa szkolne pisane starannym, drobnym pismem monsieur Froussarda i praca chłopców została oceniona jako *tres inegole*.

— Po tych wszystkich kłopotach, jakie z nimi miałam, teraz zmarnowali jeszcze szansę zdobycia dobrego wykształcenia — powiedziała Ellen. — Można się popłakać. Rozumiem, Gygy — on zawsze był nieznośny. Ale żeby Kicky miał z łaciny *mediocre i peu attentif en classe* z angielskiego, tego nie mogę pojąć. Zawsze był przy mnie taki pilny.

— A jeśli sprawia im trudność uczenie się razem z innymi chłopcami w klasie? — zasugerowała Louise pojednawczo. — Z początku może być to dla nich trudne. I wcale nie uważam, że Eugene jest nieznośny. Zachowuje się bez zarzutu, gdy odwiedza mnie w klasztorze.

— Tylko dlatego że dostaje tam dobry obiad — odrzekła jego matka uszczypliwie. — Wie, z której strony chleb jest posmarowany. To oczywiste, że przy tobie zachowuje się grzecznie, przecież zawsze odsyłasz go z ciastkiem czy jabłkiem, czy czymś takim.

— Ma wrażliwą naturę — powiedziała Louise. — Czasami myślę, że ty i Louis niepotrzebnie jesteście dla niego tacy surowi.

— Pewnie uważasz, że powinnam go pochwalić za to świadectwo — odparła Ellen. — Spójrz na to: Charakter — *tres leger*; zachowanie — *Peu reguliere, et souvent indaile*; pisanie — *Mediocre*; łacina — *Mediocre*. Każdy przedmiot ma albo *mediocre* albo *Peu du travail*. Jedyna rzecz, która jest *tres bonne* to jego zdrowie. Świadectwo Kicky'ego, także słabiutki, jest świetne w porównaniu z tym. Ale popatrz na uwagi końcowe: „*Du Maurier Un* — to oczywiście Kicky — uczeń nie uważa w klasie; niszczy swe naturalne zdolności naśladować błazeństwa młodszego brata”. Jak Kicky może się tak absurdalnie zachowywać! Zmarnuje cały swój talent... I na Boga, Louise, co znaczy to zdanie na temat Gygy'ego? Czyżby to była sugestia, że on ma coś nie w porządku z głową? Posłuchaj: „*Du Maurier Deux*. Rodzice tego chłopca powinni obserwować go uważnie. Być może dziecko ma dziedziczne skłonności do obłądu. Takiej tragedii należy uniknąć za wszelką cenę.”

Patrzyły na siebie z przerażeniem. Ellen była błąda jak ściana.

— Twój brat Robert — wyszeptwała. — Czy to możliwe? Słyszałaś o czymś takim wcześniej w swojej rodzinie?

Louise potrząsnęła głową. Obie pomyślały o Louisie-Mathurinie, o jego totalnej abnegacji w sprawach pieniędzy i kompletnym braku poczucia odpowiedzialności. Czy to nie wskazywało — no, może nie na obłąd — ale w każdym razie na coś osobliwego?

— Gyggy zawsze był inny — powiedziała Ellen szeptem. — Kara nigdy nie dawała żadnego rezultatu, zdawał się wcale jej nie unikać. Kłamie, czego Kicky nigdy nie robił.

— Louis-Mathurin okropnie kłamał jako dziecko — przyznała szwagierka. — I robi to nadal, zresztą wiesz sama. Nie masz mi za złe, że tak mówię?

Ellen kiwnęła głową. Wiedziała aż nazbyt dobrze! Tak często słuchała bajeczek męża, znosiła te wszystkie upiększane oszustwa, jakie wynajdywał, jak choćby z przenośną lampą — ot, tak bez powodu.

— Czy uważasz, że należałoby zaprowadzić Eugene'a do lekarza? — spytała z powagą.

— Lepiej zawierzmy Wszechmogącemu — brzmiała odpowiedź Louise. — On tylko jeden potrafi uleczyć choroby naszego ducha. Zapalę świecę na intencję Eugene'a jutro podczas mszy i będę prosić za nim do świętego Antoniego, opiekuna małych dzieci.

Tymczasem bynajmniej nie zawstydzony Gyggy bawił się z radością w sercu w ogrodzie Pension Froussard, nie przejmując się napomnieniami wychowawcy z godnym podziwu *sang-froid* i robiąc miny za jego plecami ku wielkiemu zadowoleniu kolegów. Był urodzonym komikiem i za to go kochali. Jego błazeństwa wydawały się im genialne, nawet jeśli w oczach nauczycieli sprawiały wrażenie obłędu. Czy było to w klasie, czy w ogrodzie, wybryki *du Maurier Deux* stanowiły największą rozrywkę na pensji.

Du Maurier Un nie cieszył się taką popularnością. Starał się być zabawny, ale była to tylko żalonna imitacja dokonań brata. Chłopcy odpychali go zniecierpliwieni. „Nie, chcemy *du Maurier Deux*” — wołali z nieczułą beztroską młodości. Kicky odchodził, szczęśliwy, że brat jest tak lubiany, ale też wyraźnie przygnębiony własną porażką.

Pragnął być wysokim, niezwykle silnym, najwspanialszym chłopakiem w szkole, a na swoje nieszczęście pozostał nieco niższy niż średniego wzrostu, niezbyt muskularny, a teraz gdy jego niegdyś jasne, skręcone włosy zrobiły się brązowe i proste, a rumiane policzki pobrały, nie był nawet przystojny. Zazwy-

czaj dumął w samotności i wyobrażał sobie, że jest wodzem dzielnych awanturników, wybawcą pięknych dam, bohaterem tysięcy bitew i jedynym chłopcem spośród pięciuset, który rzuci się do płonącego domu, by uratować mieszkańców.

Siedział w swej ławce, oczy miał zamknięte i nieobecne, umysł zaś pełny przygód hrabiego Monte Christo w Twierdzy d'If, gdy nagle został przeniesiony do rzeczywistości, jeszcze ze sztyletem w zębach.

— *Du Maurier Un!* — wołał dyrektor grzmącym głosem.
— *Faites attention, pour la troisieme fois!*

Wziął się w garść i z największym wysiłkiem próbował skupić na gramatyce łacińskiej, martwej i nudnej. Płatały mu się bezsensowne słowa, sięgnawszy więc po skrawek ołówka, zaczął rysować karykaturę dyrektora na okładce swojego *cahier*.

Podobieństwo było zadziwiające; chłopiec musiał zamazać rysunek, bo gdyby dyrektor go zobaczył, mógłby się poczuć urażony.

Kicky nie lubił ranić ludzkich uczuć. Nie mógł znieść rumieńca na policzkach, nagle obwisłej szczęki i prawie niewidocznego zasępienia w oku. Okrucieństwo w jakiegokolwiek formie było mu wstrętne. Nieme cierpienie zwierząt, już bardziej artykułowany ból dziecka, podnoszące się w gniewie głosy dorosłych, nawet jeśli ich nie znał, jeśli byli zaledwie przechodniymi na ulicy — wszystko to wywoływało w nim głęboki smutek, absurdalny i niezrozumiały.

Wstręt do okrucieństwa był jego drugą najsilniejszą cechą. Pierwszą zaś — umiłowanie piękna; pięknych twarzy i postaci — piękna ludzkiego. To uczucie rozwijało się w nim w miarę dorastania; stawał się coraz bardziej świadomy istnienia ukrytego wdzięku w każdym mężczyźnie i każdej kobiecie. Młoda dziewczyna, stukająca po bruku grubymi chodakami, z szalem na głowie, wysoka, prosta — aż zapierało dech w piersiach. I to wcale nie dlatego że była młoda i ładna. Czuł taką samą miłość i podziw na widok starego człowieka w niebieskiej bluzie, stojącego na nabrzeżu z fajką w zębach; jego obrzmiała, pomarszczona twarz, obwisłe bruzdy i bulwiasty nos Kicky'emu wydawały się objawieniem piękna, które można spotkać wszędzie.

Dziecko zajęte jakąś zabawką; małe, zaciśnięte usta, rzęsy rzucające cień na okrągłe policzki. Tego nie wolno było pozostawić. Próbował uchwycić obraz, robiąc szkic ołówkiem na karcie tytułowej książki, ale piękno mu się wymykało. Kobieta klęcząca nad brzegiem Sekwany, wyciskająca pranie w mętnej wodzie. Krzywizna jej pochylonych pleców była w jakiś niepojęty sposób doskonała, podobnie fałdy jej sukni. A jaką miała grację w ruchach! Ciemna gęstwina włosów spadających aż na ramiona przeszkadzała jej w pracy, strząsnęła je więc niecierpliwie, a potem owinęła wokół głowy szybkim, zwinnym ruchem i ścisnęła końce spinką.

To jest właśnie smutne, że nie można narysować ruchu, myślał Kicky. Żeby nie wiem jak się starać. Stwierdzili to już wszyscy artyści; musisz się zadowolić spoczynkiem. Stara kobieta śpiąca w fotelu: ręce złożone na kolanach, broda dotyka koronkowego kołnierzyka — tego mógł spróbować. Ale rysunek nagryzmołony na bibule jest czymś zupełnie różnym od rzeczywistej starszej pani — spokojnej i cierplivej.

Zbył te rozmyślenia wzruszeniem ramion i paru pociągnięciami narysował małego Dauveynesa — z otwartą buzią, krótko ostrzyżonymi włosami, które zawsze sterczały na czubku głowy jak szczotka do szorowania i okrągłymi, pytającymi oczami. Karykatura jest taka łatwa, piękno zaś nieuchwytnie.

Skoro Kicky nie potrafił sam być zabawny, to przynajmniej mógł rozśmieszać na papierze, nawet krytycznie nastawieni koledzy to przyznawali. Potrafił oddać wyraz ich twarzy — jak żywy. Oto przysadzisty, mały nauczyciel matematyki, postrach wszystkich uczniów. Kicky miał go już po chwili: wąskie brwi, wielki nos.

— *A moi, a moi!* — wołali chłopcy, cisnąc się wokół rysownika, każdy ciekawy własnego portretu. A Kicky wyświadczył im tę przysługę, zadowolony z nagłej popularności. Nic dziwnego, że jego szkolne świadectwa okazywały się kiepskie.

To były jednak dobre dni na Pension Froussard, pełne szalonych wybryków, beztrudkiej paplaniny, figli i sprzeczek. Kicky opisał je szczegółowo w *Marsjaninie* znacznie później, kiedy miał już lat sześćdziesiąt zamiast szesnastu. Jego bohater, Barty

Josselyn, był połączeniem jego samego i Gyggy'ego w jednej osobie. Szczęśliwe, beztrudne dni. Pływanie w basenie Passy i wokół Ule des Cygnes albo łyżwy zimą na jeziorze w Bois, a później, o zmroku, jedzenie pieczonych kasztanów. Długie włóczęgi po Paryżu w dni wolne od nauki, wzdłuż nabrzeża, w kierunku Notre Dame, gdzie siedzieli zabawni staruszkowie, łowiąc ryby z niezwykłą cierpliwością. Nigdy nic nie złapali, ale zdawało im się to wcale nie przeszkadzać. Wertowanie starych książek bez okładek, czasem z dziwnymi rycinami (*pas pour la jeune filie*) i skok przez jeden z mostów, by złapać omnibus na rue de Rivoli, a potem powrót do domu przy rue du Bac na kolację jeszcze przed powrotem do szkoły.

Soupe a la bonne femme i *fromage de Brie*, a może, jeśli to był sezon — *fraises des Bois* — ulubione danie Kicky'ego (biedny Gyggy nie prosił o nic). A kiedy skończyli, Louis-Mathurin zaczynał śpiewać i oczarowywał ich wszystkich, nawet starą Charlotte, która czekała przy stole, aż mała Isabella zostanie wysłana do pianina, by zagrała dla swych braci. Jak na dziesięcioletnie dziecko grała naprawdę dobrze.

Czasem z Wersalu przyjeżdżała ciotka Louise, jeśli reumatyzm jej pozwolił; brała Gyggy'ego do kącika i pytała, kiedy będzie jego *premierę communion*. Z pewnością to już pora. Czy Monsieur Frossard zorganizuje uroczystość i czy Louise może przyjechać odwiedzić chrześniaka w szkole.

Gyggy przybierał namaszczony wyraz twarzy i odpowiadał, że ma nadzieję, że to już wkrótce nastąpi i może jego drogi ojciec chrzestny przysłałby mu prezent z Portugalii.

Louise uznawała to za prawdopodobne, ale uprzedzała siostrzeńca, że podarkiem będzie zapewne jakaś religijna książka. Gyggy wyglądał na tak zniechęconego, że wcisnęła mu trzy franki w rękę, kiedy matka odwrócona była do nich plecami.

Wizyty Louise często zbiegały się z odwiedzinami George'a Clarke'a, gdy ten wrócił z Indii. Chłopcy podziwiali jego buty i kędzierzawe bokobrody — gdyż nadal był bardzo przystojny, chociaż miał już ponad pięćdziesiątkę — pani Wallace zaś sprawiały przyjemność jego głos i maniery, a zwłaszcza pewien ton galanterii pod jej adresem.

George opuścił wojsko, gdyż awans był mało prawdopodobny. Mówił o osiedleniu się w Anglii lub we Francji, ale nie umiał podjąć decyzji. Mary Anne czuła się szczęśliwa w Boulogne, tak więc w każdym razie aż do śmierci matki mógłby zamieszkać razem z nią. Louise było go żal: wydawał się taki samotny, bez zajęcia. Myślała, że musi to być dla niego straszny obowiązek mieszkać wspólnie z tą okropną panią Clarke, której język, jak mówiono, był jeszcze bardziej niewyparzony niż kiedykolwiek.

Mary Anne wydała mimo wszystko swe pamiętniki, które zostały przetłumaczone na francuski i opublikowane w Paryżu, co było jedynym sposobem uniknięcia wstrzymania dożywocia. Skandaliczna historia. Louise zaglądała do tej książki, Ellen natomiast nigdy nawet o niej nie wspomniała. Między matką i córką musi narastać chłód, pomyślała szwagierka. To bardzo dobrze. Nie chciała nawet myśleć o tym, że te drogie dzieci mają w żyłach tak zepsutą krew. To wielce nieprzyjemne.

Kapitan Clarke jest zupełnie niepodobny do swej matki. Taki wytworny i uprzejmy. Zdawał się poświęcić Louise niemało uwagi, pytał ją o zdanie w wielu sprawach. Co sądzi o wsi angielskiej i Anglikach, czy lubi dzieci i (niezbyt taktownie, ale bez złych intencji), czy nie uważa, że najlepszy okres do małżeństwa dla mężczyzn i kobiet to wiek przed trzydziestką.

Ellen była zadowolona, że jej brat tak sobie upodobał Louise. To pomogło jej wyjść z zamknięcia, bo już zbyt przesiąkła atmosferą klasztoru. Słyszeć ją rozprawiającą całkiem beztrako o małżeństwie, młodych ludziach i sprawach codziennych — to miła odmiana po owych wszystkich dość wąskich tematach związanych z życiem w klasztorze. Wyglądała wciąż czarująco, mimo że w Portugalii straciła swe piękne włosy (to miało chyba jakiś związek z klimatem) i była całkiem łysa pod siwą peruką. Jednak łagodny wyraz twarzy szwagierki pozostał niezmienny, taki jak jej łagodne, niebieskie oczy. Żeby Isabella była tak piękna, gdy skończy pięćdziesiąt lat!

Louise i George pasują do siebie wiekiem, dumiała Ellen, cezurując pracowicie jedną z koszul Kicky'ego. George jest starszy może o rok; nic bardziej odpowiedniego. Mogliby się razem

ustatkować. Związek ten wynagrodziłby Louise to wszystko, co straciła dwadzieścia lat temu. A George zawsze był zrównoważony, solidny i nie znosił żadnych głupstw. Naturalnie nie byłoby to romantyczne małżeństwo, ale nikt nie spodziewa się romansów po pięćdziesiątce. Poszukuje się wtedy towarzystwa i wygodnego domu. Tylko tacy powierzchowni ludzie, jak ich biedna, niemądra matka, która ustawicznie potrzebuje podnieoty i zabawy, chociaż ma już ponad siedemdziesiąt lat, myślą inaczej.

Ellen kłuta zawzięcie koszulę; zmarszczyła brwi z irytacją. Nawet jeśli tu, w Paryżu wszystko jest takie niepewne, to jednak dziękowała Bogu, że nie mieszka już w Boulogne. Co za przykład dla chłopców i Isabelli! I jeszcze ta okropna książka!

Podniosła wzrok i ujrzała, że Kicky rysuje karykaturę ciotki Louise. Zakasłała głośno i ponownie ściągnęła brwi, przybierając swój boleściwy wyraz twarzy, co zawsze odnosiło magiczny skutek. Chłopiec, poczerwieniał, odłożył papier natychmiast i sięgnął po *devoir des vacances*.

— Jeśli właśnie tym się zajmujesz w szkole, to niepotrzebnie tracimy z tatą pieniądze — odezwała się cicho Ellen.

Kicky nic nie odpowiedział i schylił głowę niżej nad książką. To byłoby okropne, gdyby mama pokazała rysunek cioci Louise, a ta zobaczyłaby, że peruka wygląda jak prawdziwa. Naturalnie nie chciał być nieuprzejmy, ale mogłaby pomyśleć, że się z niej wyśmiewa i potem wróciwszy do swego klasztoru, siedziałaby i rozmyślając o tym z przykrością w swej niewygodnej małej celi wypełnionej krucyfikami, z górującym nad nimi starym olejnym obrazem Jezusa Chrystusa, ukazującego krwawiące serce.

Resztę wieczoru przechodził katusze, jednak matka zapomniała już o rysunku i rozmyślała o tym, jaką to śliczną druhną byłaby Isabella.

Znała swą szwagierkę już tak dobrze, że nie czuła się w najmniejszym stopniu zakłopotana pytając ją, jak sądzi, kiedy George wróci do Boulogne.

— Czy nie uderzyło cię, Louise — zaczęła jak zwykle otwarcie i bez ogródek — że George poświęca ci wiele uwagi?

Louise poczerwieniała lekko i zawahała się z odpowiedzią.

— Jest rzeczywiście bardzo uprzejmy — przyznała — ale przypisuję to jego dobremu wychowaniu i ogładzie. Mężczyźni, którzy służyli w wojsku, mają w swoim obejściu coś takiego... Pamiętam, że jeden z kuzynów Palmellów był właśnie taki sam. Zwłaszcza pewnego lata w Lizbonie jego kurtuazja stała się szczególnie widoczna.

— Ale George nigdy nie należał do tych wystudiuowanych galantów, którzy wciąż prawią damom komplementy — zauważyła szwagierka. — On jest na to zbyt szczery. Prawdę mówiąc, rzadko słyszałam, żeby nawet wymienił jakieś kobiece imię. Pomyślałam, że to trochę dziwne, iż tak otwarcie zapytał cię o małżeństwo. Oczywiście wie o twoim nieszczęściu, więc na pewno nie zamierzał cię wyciągać na rozmowę na temat przeszłości. Wyglądało na to, jakby robił jakieś aluzje do przeszłości. Czy zobowiązał się do czegoś w jakiś sposób?

— Wspominał, że mężczyzna nie powinien się żenić, dopóki nie osiągnie wieku rozważności, tak jak on, żeby wiedzieć, czego chce. Mówił coś o tym, że pięćdziesiąt pięć lat to pełnia życia.

— Doprawdy? Uznałabym to za bardzo dwuznaczne.

— Mówił mi, że często czuje się samotny, odkąd opuścił swój pułk. Tyłu jego starych znajomych ożeniło się i ustatkowało, że czasem tęskni do tego samego. Ludzie w naszym wieku, powiedział, potrzebują zrozumienia i miłości. Pytał, czy się z tym zgadzam i czy nie czuję się samotna w klasztorze.

— Moja kochana Louise, ależ to właściwie oświadczyły!

— Och, Ellen, czy naprawdę tak sądzisz?

— Uważam, że to znamienne w każdym razie.

— Przyprawiłaś mnie o niepokój. Doprawdy, nigdy nie spodziewałabym się takiej zmiany. Z moim reumatyzmem i tak dalej... Niełatwo mi pomyśleć, że mogłabym przyjąć propozycję George'a.

— Nonsens, Louise. To w sam raz dla ciebie. Nie bardzo lubię twój klasztor, muszę ci to powiedzieć. A George jest taki taktowny i rozważny. Jestem pewna, że nie pozwoliłby sobie na nic niestosownego, tylko dlatego, że zostałabyś jego żoną. Miałby względy dla twojego zdrowia i upodobań.

— Och, jeśli o to chodzi, to na pewno jestem zdolna spełniać obowiązki żony jak każda inna kobieta. Przecież my wszyscy urodziliśmy się, gdy mój ojciec skończył pięćdziesiąt lat, jak wiesz. Nie żebym siebie z nim porównywała, oczywiście. Nie chcę przez to powiedzieć, że mogłabym mieć dzieci. Ale wciąż...

— Naturalnie, rozumiem doskonale, do czego zmierzasz. Jestem pewna, że George byłby delikatny we wszystkich sprawach. Z pewnością wrócił do Boulogne, żeby podjąć decyzję. On tak wolno myśli, zawsze taki był. Zupełnie inaczej niż nasza biedna matka! Może upłynąć trochę czasu, zanim coś postanowi. Nie możesz się niecierpliwić.

— To do mnie niepodobne. Mimo wszystko nie potrzebuję żadnych przygotowań. Nie jestem młodą dziewczyną, która musi mieć wyprawę. Wszystkie moje rzeczy są w dobrym stanie. Koszula nocna czy dwie. W każdym razie czasu jest dość.

— A zatem zdecydowana jesteś go przyjąć?

— Cóż, Ellen, skoro ty się odnosisz do tego z aprobatą, nie znajduję żadnego argumentu przeciw. Mam wiele szacunku dla twojego brata i wierzę, że potrafiłabym go uszczęśliwić. Nawet myślę, że byłoby to samolubne z mojej strony, gdybym odmówiła.

— Tak właśnie czuję. Dobrze, Louise, nie ma potrzeby ci mówić, jacy wszyscy będziemy szczęśliwi. Nic nie powiem Louisowi, dopóki George sam tego nie zrobi.

Mijały jednak miesiące, a szarmancki kapitan nie podejmował swej wielkiej życiowej decyzji. Wyglądało na to, że jego umysł pracował o wiele wolniej, niż sądziła siostra. A może uznał, że Louise nie dość go zachęcała.

W każdym razie George przybył do Paryża na Nowy Rok 1851 i nie uczynił nawet najmniejszej aluzji na temat małżeństwa. Był szarmancki jak zwykle — to fakt — i w sposób bardziej wystudiowane uprzejmy. Opowiedział Louise długą historię o zabijaniu węży w Indiach, co uznała za czarujące, ale nie padła żadna wzmianka na temat jego samotnego życia w Boulogne. Zastanawiała się, czy może George już nie wierzy w siebie. Spokojni mężczyźni, którzy spędzili wiele lat na odludziu,

czasami tracą głowę, gdy pojawi się uczucie. Postanowiła być przygotowana na każdą ewentualność. Mimo wszystko nie jest przecież ignorantką; była już mężatką.

Perspektywa zmiany w niedalekiej przyszłości zakłóciła nieco rytm życia Louise. Nie mogła już poświęcać swych myśli wyłącznie chrześniakowi, który wkrótce będzie miał *premiere communion*. A teraz ona go zawiedzie w najkrytyczniejszym momencie jego życia. To takie trudne dla Gygy'ego, biedny mały, być jedynym katolikiem w rodzinie. Matki i ojca w najmniejszym stopniu nie obchodziło owo wydarzenie. Louise kręciła głową na wspomnienie jego ostatniej opinii od Monsieur Froussarda: „Ten chłopiec potrzebuje zachęty i trochę dowodów miłości ze strony rodziców”. To dość niefortunne, że Ellen i Louis-Mathurin także są tak zdecydowanie surowi dla swego młodszego syna.

— Co za bzdura! — stwierdziła jego matka po przeczytaniu owej opinii. — Jakbyśmy traktowali Eugene'a inaczej niż resztę dzieci! To on nam powinien okazać trochę względów, w tym cała rzecz.

Louise pomyślała, że lepiej się nie sprzeciwiać i poszła kupić dla Gygy'ego opaskę, kamizelkę, białe spodnie i jedwab na koszulę. Skoro rodzice nie dbają, żeby był odpowiednio ubrany do komunii, to ona jako matka chrzestna musi się o to zatroszczyć. Był jej taki wdzięczny, kiedy dostał owe rzeczy; to naprawdę wzruszające.

Dziękuję Ci bardzo za mały obrazek — napisał ze szkoły. — Włożyłem go do modlitewnika i zawsze tam trzymam. Mam nadzieję, że po pierwszej komunii będę mógł przyjechać do Ciebie, do Wersalu. Jeśli kiedykolwiek pojedziesz do Lizbony odwiedzić mego chrzestnego, chciałbym, żebyś zatrzymała dla mnie miejsce na parowcu i zabrała mnie ze sobą. Jak by to było przyjemnie! To tylko moja fantazja, wiesz o tym, i nigdy się nie spełni, ale tak sobie wyobrażam.

Proszę, odpowiedz mi na list, bo tak bardzo lubię dostawać listy. Papa jest w Londynie, a mama też wspomina o wyjeździe i zabraniu ze sobą Isabelli.

Będę za nimi bardzo tęsknił, jeśli wyjadą, ale nie spodziewam się, żeby tęskniły za mną.

Pozwól mi odwiedzić Cię wkrótce w Wersalu.

*Twój kochający siostrzeniec
Eugene*

A potem drobniutkim pismem postscriptum: *Dawno już nie dostałem kieszonkowego.*

Louise przełknęła ślinę i pociągnęła nosem. Dokładnie jak jego ojciec...

Wysłała mu kamizelkę, biały krawat i wszystkie potrzebne drobiazgi, kładąc do kieszeni kamizelki dziesięć franków. Oczywiście zapomniał odpisać z podziękowaniem, w czym nawet przewyższył ojca.

Pomyślała, że może pierwsza komunія będzie miała jakiś umiarkowany wpływ na jego charakter. Wyglądał tak słodko i poważnie, w muślinowej koszuli, ze świecą w ręce. Ale pod koniec semestru, kiedy znów przyszło świadectwo ze szkoły, opinia dyrektora była gorsza niż zazwyczaj: „Uczeń zasługuje na karę z powodu lenistwa i bezmyślności. Po pierwszej komunii powinien był nadrobić zaległości, ale nie zrobił żadnego wysiłku w tym kierunku. Jest na samym końcu w klasie.”

Ellen była taka zagniewana, że ledwie mogła mówić. Dzięki Bogu Kicky rokuje pewne nadzieje; latem miał się starać o miejsce na Sorbonie, Monsieur Froussard wierzył w jego sukces na egzaminach. Kiedy otrzyma stopień naukowy, będzie studiował chemię. Od urodzenia został do tego przeznaczony i Louis-Mathurin nie chciał nawet słyszeć o innej karierze dla swego pierworodnego.

Kicky 6 marca skończył siedemnaście lat i nie wyglądał wcale na przyszłego naukowca. Zawsze chował się po kątach i czytał Alfreda de Musseta, Lamartine'a; zafascynowany był utworami lorda Byrona, zwłaszcza *Don Juanem*. Był roztargniony, marzycielski i dość sentymentalny — a więc całkiem różny od tego, jaki odnoszący sukcesy chemik być powinien. Teraz zaś, gdy głos mu się nie załamywał, zapowiadał się na prawie tak samo dobrego śpiewaka, jak ojciec. Uwielbiał muzykę i kiedyś

zebrał się na odwagę i zapytał matkę, czy nie mógłby studiować muzyki zamiast chemii. Miała bardzo poważną minę i odparła, że to by złamało serce ojcu. Kicky westchnął i porzucił tę myśl.

Nie przyszłoby mu oczywiście do głowy, żeby wrywać sobie włosy z głowy z tego powodu lub uciekać z domu, jak to zrobił ojciec w jego wieku. Młodzieniec za bardzo lubił swój dom i rodzinę, i wszystkie te rzeczy, które składają się na codzienne wspólne życie. Nie chciał tego zmieniać. Pragnął, aby czas zatrzymał się w miejscu albo nawet cofnął — byle tylko nie płynął naprzód. Dorastanie, stawanie się mężczyzną — nie dbał o to wcale.

Żeby tak zawsze mieć siedemnaście lat i żeby zawsze było lato, aby można biegać i pływać w wodzie, rozmawiać po nocach z przyjaciółmi, śmiać się i smuć bez powodu. I żeby była poezja do czytania i muzyka do słuchania każdego dnia, każdej nocy. I żadnych niesnasek, żadnego okrucieństwa, cierpienia, ran, męki, wzajemnej nienawiści. Wiedział, że powinien studiować Horacego i Cycerona, przygotowując się do egzaminu na studia, lecz zamiast tego sięgał po ołówek i rysował profil Isabelli siedzącej przy pianinie...

Tydzień przed Wielkanocą George Clarke przyjechał z Boulogne, napisawszy wprzód do siostry, że ma nowiny wielkiej wagi.

Ellen uśmiechnęła się do siebie i zaprosiła na niedzielę Louise na herbatę.

A więc wreszcie George podjął decyzję! Będzie miał sposobność oświadczyć się osobiście, o ile już nie zrobił tego listownie. Louise przybyła z Wersalu w nowym czepku, dość podkscytowana i oznajmiła, że nie otrzymała ani słowa od kapitana Clarke'a. Należało przypuszczać, że brat najpierw opowie o swej decyzji Ellen, zanim ją oznajmi stronie najbardziej zainteresowanej, którą jest ona sama.

— Nonsens — odrzekła szwagierka. George jest nieśmiały i prawdopodobnie najpierw jej chce się poradzić. Louise ma tylko spokojnie czekać, reszta należy do Ellen i George'a. Dobrze, że Louis-Mathurin znowu pojechał do Londynu w związku ze śmiercią swego biednego brata, gdyż takt nie jest jego naj-

mocniejszą stroną i mógłby wtrącić jakąś niefortunną aluzję do pierwszego małżeństwa Louise.

George zjawił się o szóstej, czerwony na twarzy i zakłopotany, i już po dwóch minutach zwrócił się do siostry, prosząc ją, by mógł wygłosić oświadczenie wielkiej wagi.

— Ależ oczywiście — odparła, rozpromieniona, patrząc znacząco na Louise, która siedziała skromnie, z oczami wbitymi w ziemię.

Szarmancki kapitan odkaslnął.

— Ja... hm... ja mam... mam zamiar się ożenić — oznajmił. — Pozwólcie sobie powiedzieć, iż uważam się za najszcześliwszego człowieka pod słońcem, że udało mi się zdobyć jej uczucie. Jest to najśodsza, najczystsza istota, jaką stworzył Bóg, a ja jestem taki szczęśliwy i zachwycony, i dumny, że... że... ja... Ellen, moja droga, brak mi słów.

— Spodziewaliśmy się tego już od jakiegoś czasu — odpowiedziała radośnie siostra. — Wierzę, że to najlepszy wybór, jakiego mogłeś dokonać.

— Poczekaj, aż ją ujrzysz! — wykrzyknął George. Szybko podszedł do drzwi i wysunął głowę na korytarz. — Georgie, moja kochana, chodź się przedstawić.

Siostra spojrzała na niego ze zdumieniem; Louise, która z początku nic nie mówiła, patrzyła jak spłoszona sarna.

Zanim miały czas coś powiedzieć czy choćby zerknąć jedna na drugą, George pojawił się ponownie, uśmiechnięty niemądrze, prowadząc za rękę spłonioną, chichoczącą dziewczynę, na oko dziewiętnastoletnią, przesadnie wystrojoną i uroczą.

— Pozwólcie przedstawić sobie pannę Georginę Lewis, przyszłą panią Clarke — wygłosił piękny kapitan. Promieniał cały szczęściem i zadowoleniem z siebie i swych pięćdziesięciu pięciu lat.

Ellen zrobiła nadludzki wysiłek, by zapanować nad własnymi emocjami. Zamieniając wyraz przerażenia w coś, co jak sobie wyobrażała, przypomina uśmiech, pospieszyła ku szczęśliwej parze.

— Jesteśmy wszyscy radzi cię poznać — oświadczyła. — Kicky, Gyggy, Isabella, chodźcie przywitać się z nową cicią.

Chłopcy z otwartymi ustami potrząsali ręką pięknego zjawiska, które zdawało się mieć tyle samo lat, co oni. Kicky w każdym razie zarumienił się z gniewu, gdy go pocałowała. Ellen nie ośmieliła się spojrzeć na Louise, gdy ta podeszła z krótkimi gratulacjami, wypowiedzianymi prawie bez tchu; rzuciła się do podawania gościom herbaty. Właśnie pojawił się świeży dzbanek. Czy panna Lewis nie zechciałaby zdjąć czepka i rozgościć się?

Panna Lewis wydała afektowany okrzyk:

— Och, droga pani du Maurier, proszę do mnie: „Georgie”.

Z tej prośby natychmiast skorzystał nieogłębny Eugene: podając jej chleb i masło wymruczał:

— Masz pięknego narzeczonego, ciotko Georgie.

Wybryk ten przełamał lody i po chwili wszyscy siedzieli przy stole, prowadząc ożywioną rozmowę. Ellen zapomniała nawet zapytać brata, skąd tak szybkie zaręczyny. Tylko Louise siedziała w milczeniu, ugniatając kawałek chleba. Jej biedne usta wykrzywione były w uśmiechu, który prawie rozdierał jej twarz na dwie części; na policzkach miała mocne, nienaturalne rumieńce.

— Spotkaliśmy się rok temu w Indiach — mówił George. Przyjechała razem z bratem do pułku. Urządziliśmy tańce z okazji jej dziewiętnastych urodzin. Oczywiście, ja tam nie zaglądałem. Młode chłopaki cisnęły się do niej jak pszczoły do miodu, prawda, Georgie?

Dziewczyna wydeła wargi i wzruszyła ramionami.

— No, w każdym razie nie zwracała na mnie uwagi. Byłem dla niej stary piernik. Później moja wyniosła, młoda dama miała jeździć konno, ale wierzchowiec poniósł i nie ma co za to go winić, prawda, Kicky? W każdym razie stary piernik sprowadził ją z powrotem. Potem wcale nie uważała mnie już za staruszka!

Odchylił się do tyłu, z rękami na biodrach, pożerając wzrokiem narzeczoną. Georgie pocałowała koniuszki palców i przesłała mu pocałunek nad stołem.

— No cóż, krótko mówiąc, staliśmy się dobrymi przyjaciółmi — ciągnął kapitan. — Była już jakaś nić porozumienia między nami, gdy opuszczaliśmy Indie. Przedstawiłem swoje

zamiary, jej brat przemawiał za mną, ale panna Georgie nie miała własnego zdania. I nic dziwnego, przecież zaledwie ukończyła dziewiętnaście lat. Wróciła do domu, do Anglii, a ja pojechałem do Boulogne. Korespondowaliśmy ze sobą. Wtajemniczyłem mamę, która zaprosiła Georgie do nas. Jest już naszym gościem od dwóch tygodni, a przedwczoraj uczyniła mnie najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem! — Łzy szczęścia popłynęły z oczu kapitana na to wspomnienie. Wyciągnął chustkę i wytarł nos.

— To prawda, twoja *angelic* mama jest naszym aniołem stróżem — powiedziała wylewnie Georgie. — Jest najśodsza istotą pod słońcem, po prostu ją ubóstwiam. Zasypała mnie prezentami, podarowała mi suknie, i wszędzie mnie zabiera w Boulogne. Wspaniale się bawimy. Lubimy te same rzeczy i jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Śmiejemy się i żartujemy ze wszystkiego, aż George jest troszeczkę zazdrosny, prawda, najdroższy?

Kapitan potrząsnął głową; wzrok miał nieprzytomny, usta rozchylone.

— Kiedy się pobierzecie? — zapytała Ellen.

— Jak tylko ta cudowna dziewczyna skompletuje wyprawę — odparł z czułością. — Wiesz, jakie są kobiety. Muszą mieć te wszystkie swoje fatalaszki i mężczyzna nie ma tu nic do gadania. Ale mama wszystkiego dogląda. Starsza pani szaleje z podniecenia, można by pomyśleć, iż to ona wychodzi za mąż. To jasne, że uwielbia Georgie.

— Ale chyba jej nie zepsuje — powiedziała Ellen.

— Zepsuć ją? Oczywiście, że ją psuje. Wszyscy będziemy ją rozpieszczać. Może zawsze robić, co chce, prawda, złotko?

Georgie zrobiła doń niewinną minę i uśmiechnęła się słodko.

— Będę ci posłuszna, najdroższy — zapewniła, trzepocząc rękami.

Naturalnie, pomyślała Ellen, napełniając gorącą wodą dzbanek. Nie na darmo urodziłaś się z takim podbródkiem, młoda damo. Mnie nie zwiedzisz. Od razu mogę poznać u kogoś zdecydowanie. Z zaciśniętymi ustami podała swej szwagierce cukiernicę.

Trudno było jednak nie polubić Georgie. Okazała się taka młoda, taka śliczna, żywa i zabawna, że wszyscy zanosili się ze śmiechu. Kicky uznał, że to najpiękniejsza istota, jaką kiedykolwiek widział. Ten profil i mała, kształtna główka! Pragnął ją narysować i zastanawiał się, czy mógłby to zrobić na obrusie, kiedy matka nie będzie widziała. Jej uroda wydała mu się oszłamiająca; ma tyle wdzięku i tak cudownie się uśmiecha przy powitaniu. I jakież to tragiczne, że poślubi takiego starca, jak wuj George, chociaż jest kochany i tak niesamowicie hojny i w ogóle, ale to nie w porządku, to nienaturalne, to wbrew wszelkim regułom piękna.

Wbrew sobie zaczął szkicować karykaturę wujka George'a na mankiecie koszuli: jego czerwone policzki, wodniste oczy, czułą, dość głupią minę. Georgie jednak obserwowała go przez ramię i aż parskała z uciechy, więc Kicky, zawstydzony, odłożył ołówek, podszedł do swej biednej ciotki Louise, posępnej i zamysłonej w kącie pokoju, usiadł koło niej i opowiedział wszystko na temat czekających go egzaminach na Sorbonę.

Wydawała się także wdzięczna za uwagę, uśmiechnęła się doń i ścisnęła mu rękę. Kicky tymczasem przyłapał się na tym, że rozważa w duchu, czy ciotka jest całkiem łysa pod peruką, czy w niej śpi, czy odkłada na noc na toaletkę. Odwrócił wzrok ze strachu, że mogłaby się domyślić, nad czym on się tak zastanawia, i poczułaby się urażona.

Wesoły śmiech ciotki Georgie zadźwięczał mu w uszach. Na Jowisza, jaka ona jest śliczna! Im częściej się śmiała i im więcej mówiła, tym cichsza i bardziej zamysłona stawała się ciotka Louise. Widocznie dokucza jej reumatyzm.

Wreszcie Louise poprosiła o sprowadzenie fiakra, aby odwiózł ją do Wersalu. Jest nieco zmęczona, tłumaczyła, i nie sypia ostatnio dobrze. Jej odejście wywołało małe poruszenie w towarzystwie. Wszyscy powstawali. Kicky, odprowadzając ciotkę na dół, słyszał, jak matka mówi coś o przenocowaniu Georgie.

— Jest bardzo sympatyczna, prawda ciociu Louise? — powiedział, owijając ją pledem i całując na pożegnanie. — Wujek George to szczęściarz.

— To raczej panna Lewis ma szczęście — odrzekła spokojnie Louise. — Zdobyła uczucie i szacunek takiego dobrego, wielkodusznego człowieka, jak kapitan Clarke.

I z tymi słowami odjechała. Siedziała sztywno i prosto, jakby kij połknęła. Okna powozu były szczelnie zamknięte. Kicky biegł w podskokach na górę po trzy stopnie na raz, by znów zobaczyć nową ciocię.

Została u nich dwa dni. Pod koniec wizyty wszyscy byli nią oczarowani; wszyscy stali się jej niewolnikami — nawet Ellen. Mówiła do przyszłej bratowej „droga Georgie” i obiecała jej kilka „naprawdę dobrych mebli, które jej samej matka dała w prezencie ślubnym”. Mimo wszystko George nie robił takiej złej partii. Rodzice Georgie byli dobrze sytuowani; bez wątplenia ich córka otrzyma niezłą pensję. Brat wydawał się taki do niej przywiązany; naprawdę przyjemnie popatrzeć, że ten drogi chłopak jest tak ogromnie szczęśliwy. Biedna Louise, ma pecha, ale musi się z tym pogodzić. Ma przecież swoją religię na pocieszenie. Ellen nic na to nie może poradzić. Tak czy inaczej, wszystko zmieni się na lepsze.

George Clarke i Georgina Lewis pobrali się w maju. Ellen pojechała na wesele do Boulogne, zabierając ze sobą Isabellę jako druhnę. Louis-Mathurin wciąż przebywał w Londynie. Interesy jego brata pozostawały w opłakanym stanie, a on naiwnie wyobrażał sobie, że uda mu się je uporządkować. Planował poprowadzić dalej biuro po Robercie i osiąść w Anglii. Spekulacje szły względnie pomyślnie, ale nie wspomniał o nich ani słówkiem żonie. Chłopcy zostali w szkole, wesele nie było dla nich w odpowiednim czasie. Kicky w każdym razie miał zdawać na Sorbonę.

Westchnął co prawda na widok matki i siostry, wybierających się w podróż. Poprosił z lekkim rumieńcem, by pozdrowiły od niego ciotkę Georgie. Wzdychał przez pół dnia na myśl o tym, że korpulentny, dobroduszny wuj George poprowadzi piękną zjawę do ołtarza, ale o siedemnastej westchnienia, cichsze już od trzech godzin, zrobiły się coraz krótsze, a o piątej po południu Kicky porzucił swą melancholię i gonił Gyggy'ego

wokół kąpieliska w Passy, zapomniawszy nawet o egzaminach czekających go następnego dnia.

Potomność straciła wskutek nieobecności Kicky'ego na weselu. Miałyby co rysować, modeli było mnóstwo. W każdym razie na pewno nie ominąły okazji naszkicowania swej „świętobilwej” babki, wraz z jej falbankami, riuszkami i ozdobnym czepkiem, wznoszącej toast za młodą parę kielichem szampana i w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat wygadującej sprośności.

Ellen czuła lekkie zakłopotanie, witając się z Mary Anne. Widziała ją może ze trzy razy w ciągu ostatnich dziewięciu lat, odkąd opuściła Boulogne. Sprzeczką o pamiętnik i dożywocie położyła kres dalszym wizytom. Była teraz zaszokowana wyglądem matki, która postarzała się już znacznie i zdawała się całkiem tracić kontrolę nad swym językiem. Trajkotała jak zgrzybiała papuga o wszystkim i o wszystkich w stanie najwyższego podniecenia. Chwaliła przesadnie urodę Isabelli, ku zakłopotaniu dziewczynki; mówiła, że załatwiła już miejsce w wojsku dla Kicky'ego, gdyż chemia to idiotyczny pomysł. (Ellen dziękowała Bogu, że go tu nie ma i że tego nie słyszy.) Sugerowała, znacząco kiwając głową i mrugając, co już zupełnie było nie na miejscu, że Louis-Mathurin nieźle się bawi w Londynie. Oświadczyła też córce, że nieważne, czy to od pochylania się nad harfą, czy nie, ale Ellen ma wyraźnie jeszcze bardziej okrągłe plecy niż przedtem.

Najwyraźniej była pod urokiem Georgie; nazywała ją „pieszczoszką” i „dziecinką”, co Ellen uważała za nieznośne. Absurdalnie zaś Georgie była teściowej szczerze oddana; podbiegała do Mary Anne co chwila i ją całowała. Obie też śmiały się i gadały przesadnie głośno.

Georgie okazała się całkiem inną dziewczyną tu, w Boulogne — jak na młodą kobietę, która dopiero co wyszła za mąż, mówiła o skandalicznych, nieprzyzwoitych rzeczach (tak przynajmniej uważała Ellen). Dziwne, że George w ogóle nie reagował. Był jednak taki zakochany i naturalnie uważał, że jego najdroższa nie mogła zrobić nic złego.

Potwierdza to moją opinię — zauważyła Ellen w liście do Louise — że matka ma szkodliwy wpływ nawet dzisiaj. Wcale

nie jestem taka pewna, czy już nie zepsuła Georginy. Nawet mój brat zdaje się zapominać o swych zasadach, kiedy się znajduje w jej towarzystwie. Wprawdzie musi pobłażać matce, ponieważ ona się starzeje, ale zdaje się nie mieć nic przeciwko jej bajdurzeniu.

Mogę zgodnie z prawdą powiedzieć, że chociaż mieszkałam z nią przez wszystkie te lata przed ślubem, to nigdy nie miała na mnie najmniejszego wpływu. Mam zbyt silny charakter. Ona zwykle popierała Louisa w jego ekstrawagancjach; sądzę, iż wiele naszych niepowodzeń spowodowała swym gadaniem — niemałą rolę odegrała także jego słabość do teściowej.

Trzymam Isabellę jak najdalej od niej, na ile jest to możliwe, ale to bardzo trudne. Obsypała ją prezentami i dziecko ma przewrócone w głowie. Będę szczęśliwa, kiedy znów znajdziemy się w Paryżu.

O ile Ellen zachowywała się z rezerwą na weselu brata, młodzianka Isabella była z pewnością największą ozdobą przyjęcia. Miała teraz dwanaście lat i wyglądała bardzo pięknie z długimi, złotymi lokami. Miała żywe usposobienie i czułe serce. W wielu sprawach podobna była do Gyggy'ego, tylko nie miała jego złej natury. Była też więcej niż trochę rozpieszczona, chociaż Ellen zaprzeczyłaby temu gwałtownie. Z pewnością była też utalentowaną pianistką: miała zachwycająco pewną rękę jak na swój wiek.

Louis-Mathurin mówił o kształceniu córki w konserwatorium, ale nie wspominał, skąd wziąć na to pieniądze. Ellen wysupłała już dość, by zapewnić jej nauczyciela raz na tydzień i sama ćwiczyła z córką trzy godziny dziennie.

Dziewczynka wystąpiła przed weselnymi gośćmi i uzyskała głośny aplauz. Naprawdę wygląda czarująco, pomyślała zadowolona matka, gdy Isabella wstawała od pianina, uśmiechając się wdzięcznie, ubrana w prostą, białą sukienkę z szarfą, z długimi lokami opadającymi jej na ramiona. Szkoda, że ma mój nos. Tylko Kicky ma zadarty nos. Ale to jeszcze może ulec zmianie, a zresztą w naszej rodzinie duży nos jest oznaką silnego charakteru, odziedziczonego po... no cóż, po Pewnej Osobistości.

— Bardzo ładnie — powiedziała do córki z dumą. — Szkoda, że papa tego nie słyszał. Chodź, usiądź tu przy mnie.

— Ale mamusiu, babcia chce mi pokazać piękne pierścionki, które dał jej dawno temu pewien pan, lord Folkestone.

— Wydaje mi się, że babcia jest teraz zajęta, skarbie. Może innym razem.

— Och, nie, mamusiu. Spójrz, macha na mnie. A ciocia Georgie powiedziała, że pokaże mi swoje koszule nocne i spódnice.

— Lepiej odpocznij chwilkę, dziecinko. Wyglądasz na zgrzaną. Chodź, pooglądamy sobie książki z biblioteczki. To moja ulubiona: *Zamki nad Loarą*. Musimy tam kiedyś zrobić sobie wycieczkę razem z chłopcami. To bardzo pouczające. Twoi przodkowie mieli tam posiadłość, wiesz o tym.

— Ależ mamusiu, chcę iść porozmawiać z ciocią Georgie!

I dziewczynka szarpnęła się niezadowolona, zostawiając matkę z zaciśniętymi ustami. Ellen przywykła do bezwarunkowego posłuszeństwa, a oto Isabella okazuje niezależność i pewność siebie ledwie po dwóch dniach pobytu w Boulogne! Miejmy nadzieję, że nie jest to oznaka pływającej i powierzchownej natury, iż mała woli oglądać pierścionki i koszule nocne niż obrazki. Obserwowała córkę kątem oka.

— Och, chciałabym mieć takie pierścionki! — wykrzyknęła Isabella. — Może jak dorosnę, spotkam takiego pana, jak lord Folkestone, babciu.

Ellen zeszywniała na swym krześle, słysząc chichot starszej pani.

— Jeśli będziesz taka śliczna jak teraz, z pewnością spotkasz. — wrzasnęła Mary Anne. — Tylko nie ufaj mu, jeżeli będzie miał zielone oczy, tyle ci powiem. Zbyt wiele będzie chciał w zamian.

— Czego będzie chciał, babciu?

Znów rozległ się chichot; Ellen wstała.

— Isabello! i— zawołała. — Chodź tu, popatrz na te śmieszne małe osiołki za oknem. Są jeszcze mniejsze od tych, na których jeździłaś w St. Cloud.

— Nie chcę patrzeć na osiołki, dziękuję, mamusiu. Babcia pokazuje mi pierścionki.

— Pewnie babcia jest już zmęczona — powiedziała Ellen nieustępliwie.

— Zmęczona? Bzdury. Dlaczego miałabym być zmęczona? — Mary Anne machnęła ręką przypominającą małpią łapkę. — To kochane dziecko mnie bawi. Nie słuchaj swej matki, dziecinko. Powinnaś kiedyś przyjechać i zostać ze mną sama. Pozwoliłabym ci nie spać przez całą noc i jeść, co chcesz. W Boulogne jest dość młodych, przystojnych chłopców dla ciebie. Założę się, że przyjaciele twoich braci zabijają się o ciebie, prawda?

— Hm, tak, niektórzy — odrzekła Isabella z wahaniem.

— Pewnie z ciebie wielka flirciara, i słusznie. Owiń ich sobie wokół palca. Niech myślą, że nie dbasz o to, czy się im podobasz, czy nie, a będą się koło ciebie kręcić jak muchy przy konfiturach. Trzymaj ich jednak na odległość: żadnych pocałunków po kątach!

— Och, babciu, wcale mi nie zależy na pocałunkach.

— Naprawdę, dziecinko? Ha, zmieni się to pewnego dnia. Do tego takie śliczne dziewczyny zostały stworzone. A Georgie to lubi, prawda?

Kolejny wybuch śmiechu i chichot panny młodej. Isabella popatrzyła na nią z ciekawością. Ellen odwróciła się, bardziej niż zazwyczaj zaciskając usta.

— Sądzę, że już pora, byś poszła spać — powiedziała do córki. — Jest już po dziewiątej. Dzieci w tym wieku potrzebują dużo snu.

— Spać? Bzdury! — wykrzyknęła babka. — Tylko jedna osoba powinna iść już spać, a jest nią Georgie. — Jutro nie będzie wcale spała!

Rozległ się ryk śmiechu zebranych gości — „hołoty” pani Clarke. Ellen z zadowoleniem spostrzegła, że jej brat ma na tyle przyzwoitości, by poczuć się zawstydzony.

— Mamo — odezwał się cicho — wystarczy już tego w obecności dziecka, a prawdę mówiąc, w naszej także. Opa-miętaj się, proszę.

Starsza dama wykonała obraźliwy gest i wystawiła język.

Ellen stanowczo ujęła Isabellę za rękę i zaprowadziła ją do łóżka. Na jedno była zdecydowana: to już jej ostatnia wizyta w Boulogne.

Następnego dnia ceremonia ślubna przebiegała bez żadnego niefortunnego incydentu. Dzięki Bogu, George powstrzymał matkę od wygłoszenia mowy.

Wyglądał przystojnie i godnie, stojąc u stóp ołtarza, nawet jeśli miał swoje pięćdziesiąt pięć lat. Natomiast zarumieniona z emocji Georgie była po prostu jak poemat. Ellen nie miała nic do zarzucenia rodzinie panny młodej — średniozamożnej burżuazji. Jednak według George'a pensja jego żony miała być skromna. Ellen podejrzewała, że wszystko nie będzie takie łatwe, zwłaszcza jeśli młoda pani Clarke okaże się tak ekstrawagancka, gdy chodzi o stroje, jak na to wygląda.

Wróciła więc do Paryża w bardzo złym humorze. Ledwie się odzywała do nieszczęsnej Isabelli, która szeroko otwierała oczy na ów nowy, fascynujący świat. Dopiero spotkanie z bladym, drżącym Kickym, który oznajmił rozpaczliwym tonem, że oblał egzamin na Sorbonę, gdyż nie udało mu się napisać pracy z łaciny — otrzeźwiło ją nieco.

Z początku Ellen nie chciała mu uwierzyć. Kicky, jej ideał, ten drogi, genialny chłopiec, który pobierał pierwsze lekcje u jej kolan, taki obiecujący — to niemożliwe! Co za hańba! Tymczasem jeden z jego przyjaciół, tępe stworzenie nie posiadające nawet połowy talentu, zdał z odznaczeniem.

Wzięła fiakra i pojechała do szkoły porozmawiać z Monsieur Froussardem, czy nie ma jakiejś pomyłki w ocenach. Zapewnił ją, prawie tak samo zdziwiony, że wiadomość jest prawdziwa i *du Maurier Un*, jeden z jego pupilków, mimo wszystko nie zdał.

— Nie wiem, co mam ci powiedzieć — wykrzyknęła po kolacji Ellen, siedząc w salonie — owym małym saloniku na rue du Bac — sam na sam z Kickym, który patrzył zgnębiony w podłogę. — Po tych wszystkich staraniach z naszej strony, po wydatkach poniesionych na twoją edukację, żeby tak zmarnować własne zdolności! Uważam, że twoja porażka spowodowana

jest lenistwem i niczym więcej. Egzamin nie był trudny. To nic innego, tylko niedbalstwo i niewdzięczność. Kto cię teraz zatrudni bez wykształcenia? Przypuszczam, że cię to bawi!

— Och, nie, mamusiu, jak możesz tak mówić! — zawołał biedny Kicky. — Najchętniej rzuciłbym się do Sekwany. To byłoby wyzwolenie.

— Jeszcze większa hańba dla nas, wspaniały pomysł. Problem w tym że ja i twój papa traktowaliśmy cię zbyt wyrozumiale od samego początku. Tak samo zresztą Gyggy'ego i Isabellę. Wszyscy troje jesteście samolubni i bezmyślni. Nigdy nie okazujecie najmniejszej nawet wdzięczności za to, co dla was zrobiliśmy.

— Ależ mamusiu, ja jestem wdzięczny, naprawdę. Nie wiem, co bym bez was zrobił. Wszystko wam zawdzięczam. Chyba nie myślisz, że chciałem oblać egzamin?

— Sama nie wiem, co myśleć, taka jestem zaskoczona i zawiedziona. Oblać łacinę? To jeden z przedmiotów najbardziej potrzebnych w zawodzie chemika. Oczywiście, wiem, co jest przyczyną. To twoje rysowanie.

— Ależ mamu, to tylko tak, dla zabawy.

— Właśnie, dla zabawy. W tym cały problem. Twoje pokolenie myśli wyłącznie o zabawie. Isabella narzeka na trzy godziny ćwiczeń w tygodniu, bo nie ma czasu na rozrywki. Ty oblałeś egzamin, bo wolisz zabawiać się ołówkiem — i to cudzym kosztem, jak zauważyłam. Nie sądzisz chyba, że nie rzuciłam okiem na tę karykaturę wujka George'a na drugi dzień, bo właśnie że rzuciłam. Bardzo by mu to pochlebiło, prawda? Drobną hołd złożony ojcu chrzestnemu, który podarował ci dwadzieścia franków na pożegnanie. Jeśli zaś chodzi o Eugene'a, to nie mam ani czasu, ani cierpliwości gniewać się na niego. Jego wady są aż nazbyt oczywiste. Dlaczego to ja mam trójkę takich samolubnych, niewdzięcznych dzieci, nie rozumiem!

— Och, mamu, proszę cię, przestań.

— No cóż, nie napiszę nic twojemu ojcu, musisz sam mu to powiedzieć. Piękna niespodzianka go czeka, gdy się spotkacie w Londynie. Jego najstarszy syn oblał egzaminy! I to po całym tym smutku i zmartwieniu, jakie miał z powodu biednego brata.

— Mamo, czy nie lepiej, żebym do niego napisał i nie jechał wcale do Londynu?

— Na pewno nie. Zostało ustalone, że pojedziesz piętnastego, więc pojedziesz piętnastego. Co papa ci tam znajdzie, nie wiem, ale to całkiem prawdopodobne, że zamieszkamy w przyszłości w Londynie. W ostatnim liście ojciec napomykał o takiej możliwości. Zdaje się, że jego perspektywy tam są lepsze niż tutaj, w Paryżu. W każdym razie byłoby to korzystne dla Isabelli. Postaram się, aby poszła do dobrej szkoły.

— A co z Gyggym, mamusiu?

— Eugene zostanie we Francji. Wasza ciotka Louise weźmie za niego odpowiedzialność. Teraz pora już spać. Miałam długi i wyczerpujący dzień; głowa mi pęka.

Pocałowała go w czoło i wyszła z pokoju, pozostawiając po sobie leciutki zapach kamfory (Ellen założyła na podróż do Boulogne swoje zimowe futro). Kicky został sam. Podszedł do okna i wychylił się, wtulając głowę w ramiona. To dopiero początek, pomyślał, tego, czego się zawsze obawiałem: startu w nowe życie, początek starzenia się. Jutro będę już mężczyzną. Dawne, beztróskie lata już się skończyły. Nigdy już nie będę znowu szczęśliwy. Już nigdy. Wcale nie chcę jechać do Londynu. Och, Boże, dlaczego wszystko zawsze się musi zmieniać? Dlaczego czas nie może stać w miejscu? Nic już nie będzie takie samo. Może będę już mieszkał w Londynie całe życie i po latach, kiedy zrobię się stary i siwy, wrócę tu znowu, a ten dom zostanie już zburzony i nikt mnie nie pozna, wszyscy będą już martwi. Wstąpię kupić słodycze do Madame Liard na rue de la Pour, a ona obsłuży mnie jak nieznanomego.

Poczuł znajome zapachy z ulicy i usłyszał tak bliskie, znajome odgłosy. Był tam stary Gaston z drewnianą nogą, konsjerż z domu naprzeciwko. Zawsze o tej porze wychodził zaczerpnąć świeżego powietrza. Fiaker stukał kołami po bruku, a dorożkarz ściągnął lejce przy wylocie ulicy, by przepuścić omnibus. Płonęły światła kawiarni i Kicky mógł dostrzec kelnera wycierającego ścierką stoły.

Powietrze było ciepłe jak na maj; wypełniały je swojskie zapachy francuskiej kawy z cykorią i pieczonego chleba. Ktoś śmiał

się w sąsiednim domu. Z oddali dobiegał stłumiony szum Paryża — odgłos, który Kicky słyszał zawsze, odkąd sięgał pamięcią w przeszłość.

Czasami podczas wakacji on i Gygy wracali późno do domu ostatnim omnibusem. Paryż widziany nocą miał jakiś tajemniczy i nieodparty urok — lampy na rogach ulic, migoczące kawiarnie, weseli przechodnie spacerujący bez celu; atmosfera optymizmu i swobody. Śmiało się bez powodu i śpiewało bez przyczyny.

A teraz musiał to wszystko zostawić i jechać do Londynu, który jest ponury, mglisty i nieprzyjazny, jak mu zawsze mówiono. Musi pożegnać się z Monsieur Froussardem i Madame, z kochaną, zabawną szkołą i chłopcami. Pójdzie po raz ostatni na spacer po nabrzeżu i wpadnie jeszcze na krótko do zielonego, spletanego gąszczu Bouis i nad Mare d'Auteuil. Gdyby tak ojciec mógł wynaleźć buteleczkę na przechowywanie woni i dźwięków, które kochał, tak aby w Londynie, w ponurych chwilach samotności mógł wyjąć korek i uwolnić zapach domu! Przez jedną krótką, magiczną chwilę poczuć Paryż! Ale Louis-Mathurin, pomimo całej swej wyobraźni, nigdy tak daleko nie zaszedł. I Kicky musiał opuścić Paryż bez żadnej pamiątki po domu, który tak kochał, prócz obrazów przechowywanych gdzieś głęboko w zakamarkach pamięci.

Czuł się jak przestępca w drodze do więzienia, gdy całował swą rodzinę na pożegnanie i ścisnął ręce starej Charlotte, która była z nimi od lat i płakała teraz otwarcie przy jego wyjeździe. Pomachał małemu Jean-Jean, synowi dozorczy z sąsiedniego domu. Spojrzał po raz ostatni na okno sypialni, którego okiennice zostały zamknięte na wieczne pożegnanie. I wiedział, że nigdy już nie wróci do małej sypialni, którą dzielił z Gygyem.

Drogi, dzielny, kochany Gygy próbował powstrzymać łzy, fiknął nawet koziołka na ulicy, by rozśmieszyć brata. Widzieli się po raz ostatni na długie, nie kończące się sześć lat; był już mężczyzną, kiedy spotkali się ponownie. Kicky odwracając się, pomachał z fiakra tej wysokiej, długonogiej postaci z czupryną kasztanowych włosów, czując się, jakby zostawiał samego siebie i żegnał się z własnym dzieciństwem.

Cierpiał niewymownie jadąc po raz ostatni ulicami Paryża. Uważał, że to okrutne i wprost niewiarygodne, że ten mężczyzna na chodniku, czytający poranną gazetę, będzie nadal wiódł swe codzienne życie: chodził do biura, jadł lunch w małej knajpce, wracał wieczorem do swego przytulnego, znajomego domu i kładł się do własnego łóżka, podczas gdy on, Kicky, znajdzie się o setki mil stąd, na obcej ziemi. Gdyby tak mogli się zamienić miejscami! *Chiffonier* wałęsał się po rynsztoku, z niedopałkiem papierosa za uchem. Później w ciągu dnia będzie odpoczywał w ciepłym słońcu, osłaniając brudną czapką twarz. Mimo że nikt o niego nie dba na świecie, jest o wiele szczęśliwszy niż Kicky Busson du Maurier, który oblał egzamin.

Całą drogę przez północną Francję i potem parowcem, który wiozł go aż do London Bridge, Kicky zastanawiał się, co ma powiedzieć ojcu. Miły, jowialny papa, który nigdy go nie skarcił, nigdy się nie złościł. Raz tylko, gdy widział, że ktoś źle potraktował zwierzę. Podszedł wówczas do owego człowieka i jednym ciosem zwałił go z nóg. Ojciec jest taki roztargniony, że może nawet zapomnieć wyjść po niego. Ale ostatnim razem, gdy był w domu, bardzo interesował się nauką Kicky'ego i powiedział, że kiedyś muszą razem pracować w laboratorium i dokonać wielkich odkryć naukowych. Jakiego dozna rozczarowania, kiedy usłyszysz te straszne nowiny! Przecież mama tak wypominała Kicky'emu hańbę porażki na egzaminach i ostrzegała, że może to wyrzucić fatalne wrażenie na ojcu. Kicky chorował ze strachu przez całą podróż, mimo że morze było gładkie jak przysłowiowy staw koło młyna.

Gdy płynęli w górę rzeki, oczywiście zaczęło padać. Bezlitosna szara mżawka z ołowianej chmury była tak przygnębiająca, że w połączeniu z chorobą morską, nostalgią i zdenerwowaniem sprawiła, iż Kicky znalazł się na dnie rozpaczy. Patrząc na brudną wodę, pełną kęp trawy, rozmokłego chleba i skórek pomarańczy, ujrzał ciemne kominy i szczyty dachów Londynu przybliżające się w wieczornej mgle.

Statek płynął wzdłuż London Bridge stękając, trzęsąc się i szcękając łańcuchami. Słychać było odrażającą, szorstką gwarę

londyńską i jakieś nieznanne odgłosy. Kicky chwiejnie zszedł po trapie na ląd — biedny, przygnębiony, z małą walizeczką w ręku. Ojciec czekał już na niego — groteskowa, zwariowana postać pod olbrzymim szkarłatnym parasolem.

Zamachał gwałtownie ręką — był oczywiście jak zawsze w świetnym nastroju. Kicky miał duszę na ramieniu. Ojciec ucałował go w oba policzki, a potem, widząc w oczach syna ociąganie i jego nieszczęśliwą, ściągniętą obawą twarz, odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

— Oblałeś — powiedział. — Nie musisz nic mówić, twoja mina mi wystarczy. Nie przejmuj się, to nie ma znaczenia. Chodźmy teraz na obiad i zapomnimy o wszystkim.

Szli razem, ramię w ramię. Serce chłopca przepełnione było miłością, wdzięcznością i ulgą. Louis-Mathurin śpiewał na całe gardło, wymachując przed oczami przechodniów, uliczników w łachmanach i poważnego londyńskiego policjanta końcem swego szkarłatnego parasola.

CZĘŚĆ
CZWARTA



10

Wharton Street 44 w Pentonville było to całkiem inne miejsce niż rue du Bac w Paryżu i Kicky zastanawiał się, czy w ogóle da radę tu wytrzymać. Matka z Isabella przyjechały na jesieni i wyglądało na to, że zamierzają osiąść w Londynie na stałe. Kicky tęsknił za Paryżem, za dawnym życiem na Pension Froussard, za swymi kolegami i Gyggym. Sądzono mu jednak było zostać studentem w laboratorium Birbecka na University College.

Zupełnie nie przejmując się porażką syna, Louis-Mathurin postanowił, że najbardziej korzystne dla chłopca byłyby dalsze dwuletnie studia, a że poznał doktora Williamsa z college'u, łatwo udało mu się to załatwić. Kicky był zniechęcony. Sądził, że ojciec, dowiedziawszy się o jego całkowitej nieprzydatności do kariery naukowej, pozwoli mu na naukę muzyki lub rysunku. Papa jednak nigdy niczego takiego nie sugerował. Jeśli zaś chodzi o mamę, to podkreślała z naciskiem, że Kicky jest najszcześniejszą osobą pod słońcem, gdyż tyle dla niego zrobiono; ma ojca, który nie tylko wybaczył mu oblanie egzaminów, ale jeszcze załatwił przyjęcie syna na dwuletni kurs w University College, gdzie ma wspaniałe szanse. Kicky nie odważył się więc na najśłabszy nawet protest ze strachu, że zniszczy rodzinną harmonię. Lepiej już było nic nie mówić, tylko starać się dać z siebie wszystko. Poza tym chłopiec miał zbyt czułe serce, by znieść myśl o zranieniu uczuć papy.

Papa był po prostu jak przzerośnięty sztubak z tym swoim ogromnym entuzjazmem i fantastycznymi pomysłami naprawienia świata. Kicky rzadko go widywał w ciągu owych czterech lat w Paryżu; Louis-Mathurin większość czasu znajdował się poza domem, a Kicky ciągle przebywał w szkole. Za to tu, w Londynie, byli razem. Chodzili często w niedziele na długie spacery do Hampstead albo do Richmond. Louis-Mathurin, z siwą, rozwianą czupryną, stawiał wielkie kroki jak długodystansowiec i wymachiwał rękami idąc.

Mówił mgliście o swoich interesach w City, które jakoby prowadził po zmarłym bracie, ale tego, co naprawdę robił w biurze, Kicky nigdy się nie dowiedział. Jego spekulacje nie pozostały długo tajemnicą. Sam nie mógł utrzymać tak ekscytującego sekretu. Żona, kiedy już minął pierwszy szok, wrzuciła ramionami z przyzwyczajenia i oczekiwała tylko nieuchronnych fatalnych następstw. Ruina i tak miała ich spotkać wcześniej czy później, ale dla dobra dzieci Ellen żywiła nadzieję, że nastąpi to później.

Domyślała się, że rzeczywiście może w tym tkwić pewna fascynacja — dostawać coś za nic, sto funtów za pięć. Rzeczywiście jest wspaniale, jeśli dokona się szczęśliwych posunięć. Dochody te umożliwiły jej posłanie Isabelli do doskonałej szkoły. Ale nie pochwałała takiej metody na życie — była niezgodna z jej zasadami. Poza tym zysk wcale nie wydawał się taki pewny. Niektóre dni przynosiły stratę, a potem przychodził rachunek na jej konto: zdawkowe pytanie, kiedy spodziewa się następnej dywidenty z Boulogne.

Kicky naturalnie nic o tym nie wiedział; spraw finansowych nigdy nie omawiano w jego obecności. Wiedział, że ojciec jest biedny. Matka podkreślała ów fakt od jego najmłodszych lat i wpoila mu przekonanie, że ekstrawagancja papy to największe zło na świecie, ale dlaczego jest biedny — nie powiedziała.

Oczywiście papa to geniusz, wielki wynalazca. Tylko że jaśkoś nikt nie słyszał o jego osiągnięciach. Kicky nie mógł nie zdawać sobie z tego sprawy jeszcze będąc w Paryżu, wśród szkolnych kolegów. Tak więc nauczył się nie poruszać owego tematu. Szczerze wierzył, że tajemnicze wynalazki ojca zostały

gdzieś na świecie docenione — może w Ameryce Południowej czy Australii. Papa był wielkim filozofem i miał swoje sympatie i antypatie w świecie antycznym. Jak wszyscy ateści posiadał większość przymiotów dobrego chrześcijanina: wielką miłość do dzieci i zwierząt, niechęć do ludzkiego cierpienia, szczodrość i gotowość pomagania innym w nieszczęściu. Jego drugi brat Jacques zmarł nagle w Hamburgu (Bussonowie nie byli długowieczni), pozostawiając żonę i troje dzieci w potrzebie. Louis-Mathurin z niezwykłą zyczliwością posłał po wdowę i jej córki i wynajął nawet dla nich apartament w pobliżu. Nieszczęśliwym trafem jednak ich przyjazd zbiegł się z niefortunnymi posunięciami spekulacyjnymi i okazało się, że poza tym niewiele może dla nich zrobić.

Wdowa, wierząc, że jej szwagier jest człowiekiem majątym, była oczywiście nieco zawiedziona. Wylewała swe żale przed Ellen, że zwiedziono ją i ściągnięto tu z Hamburga, gdzie miała przyjaciół, pozostawiając teraz bez żadnych widoków na przyszłość. Wszystko to było żenujące i w rezultacie nastąpiło oziębienie stosunków pomiędzy dwiema rodzinami. Madame Jacques wróciła do Hamburga po miesiącu czy dwóch.

Ellen opisała to Louise, oburzona:

Nie rozumiem, dlaczego od nas oczekuje się brania odpowiedzialności za rodzinę Twojego brata. On na pewno nie zrobił dla nas nic. Louis sugeruje, żebyś napisała do Palmelli, który przez wzgląd na Waszą starą przyjaźń mógłby im pomóc. Osobiście jednak w to wątpię. Poza paroma książkami na Boże Narodzenie i urodziny diuk wcale nie poczuwa się do roli ojca chrzestnego dla Eugene'a. Mogliśmy sobie oszczędzić nadawania mu imienia „Palmella”. W każdym razie zabroniłam Isabełli korespondować z jej kuzynką Josephine, bo to niewskazane, żeby dziewczęta pisały do siebie, kiedy ich rodzice się kłócą.

Wszyscy czujemy się dobrze, ale Boże Narodzenie nie jest dla nas pomyślnym okresem, ponieważ Louis pozostaje w niepewności co do wyników swych spekulacji. Gdyby tylko zdobył trochę pieniędzy, moglibyśmy je przeznaczyć na edukację Isabelli. Bardzo trudno ją nakłonić do nauki gry na fortepianie. Nie można być wielką pianistką, jeśli się nie ćwiczy trzy godziny dziennie.

Byłabyś zdziwiona jej wyglądem, gdybyś ją zobaczyła. Była ładna jako dziecko, ale teraz cera jej się popsowała. Ustawicznie bołą ją przednie zęby; obawiam się, iż je straci za dwa albo trzy lata. Wszyscy dentyści mówią, że zęby się psują od żołądka. Jaka szkoda, że nie pozwolono jej jadać obiadu o pierwszej, tak jak innym dzieciom, ale Louis-Mathurin domagał się dla kaprysu, by jadać o piątej. Jestem zrozpaczona na myśl, jak będzie musiała cierpieć ze sztucznymi zębami.

Louis czuje się o wiele lepiej, od kiedy przestał pić piwo i pije tylko rum i wodę. Martwię się na myśl, że tyle musisz robić dla Eugene'a, ale wierzę, że odpłaci Ci za Twą dobroć przykładowym zachowaniem.

List wyraźnie wskazywał na to, iż charakter Ellen bynajmniej nie złagodniał z upływem lat...

Louis-Mathurin zaś śpiewał i żartował z jeszcze większą swobodą w wieku pięćdziesięciu pięciu lat niż dwudziestu pięciu. Cieszył się jak dziecko, odwiedzając laboratorium Birbecka, gdzie pozwalało mu oglądać wszystkie flaszeczki i mikstury ustawione na półkach. Kicky, nawet teraz, miał zaledwie blade 0 nich pojęcie. Syn starał się unikać tematu swej nauki w rozmowie. Skłaniał ojca do rozmów o poezji, muzyce, sporcie — o czymkolwiek, byle nie o chemii. Louis-Mathurin dawał się zwieść i rozprawiał godzinami, podczas gdy jego syn machał sobie nogami i słuchał, myśląc, jak to przyjemnie jest nic nie robić.

Kicky przechodził teraz dość trudny okres. Nienawidził swojego otoczenia za szarą, monotonna powagę Pentonville i ponury apartament, w którym mieszkali. Nie czuł przyjemności wracając doń po długim, niemiłym dniu w laboratorium, gdzie praca była monotonna, a jego koledzy-studenci hałaśliwi i sprośni.

Jego miłość do muzyki wzrosła w dwujnasób. Prosił matkę o kilka szylingów i stał wśród tłumu w kolejce do Covent Garden albo siedział, gdy go wpuszczono, gdzieś z tyłu, z zamkniętymi oczami. Podpierając brodę rękami, chłonał muzykę, która tyle dla niego znaczyła już od najmłodszych lat, gdy leżąc w łóżeczku, słuchał śpiewu swego ojca.

Muzyka wrywała go z nieszczęsnego laboratorium — jako że nie dostrzegał żadnego piękna w szklanych probówkach — i niosła w magiczny sposób w zaczarowany świat. Wspaniałe postacie, które przechadzały się po Weronie albo Sewilli, były dla niego realne. Poruszał się wśród nich, bil się u ich boku w pojedynkach, umizgał do kobiet; powtarzał piosenki, które tamci bohaterowie śpiewali z taką swobodą i uniesieniem. Świat fantazji stał się jego światem; żył we śnie. A blady młody człowiek o szerokich barkach, który wracał do domu w Pentonville, był zaledwie cieniem.

National Gallery i British Museum umożliwiały mu jeszcze jedną formę ucieczki: w wolne popołudnia zabierał ze sobą kanapki zamiast lunchu i siedł do któregoś z nich. Całymi godzinami siedział przed jednym obrazem, napawając się jego barwą, linią i formą, dopóki obsługa nie zaczynała mu się przyglądać podejrzliwie, jakby był wariatem, który uciekł z domu dla obłąkanych. Wtedy wstawał i wychodził, ze sztuczną obojętnością nucąc pod nosem.

Czasem nadchodziła go nostalgia za Paryżem. Wtedy spacerował wzdłuż London Bridge i obserwował statki odpływające do Boulogne. Czuł się jak wygnaniec na obcej ziemi, gdy parowiec oddalał się, pozostawiając za sobą smugę dymu, unoszącego się z pękatego komina. Tęsknił za francuskim chlebem ze spieczoną, brązową skórką, za czarną kawą z cykorią i wielkimi plastrami sera *gruyere*. Pragnął znów chodzić po kocich łbach, włóczyć się po nabrzeżu, wpatrywać w biały fronton Notre Dame. A wieczorem usłyszeć raz jeszcze te nieuchwytnie odgłosy Paryża: codzienną krzątanicę, słabiutki puls radości.

Louis-Mathurin i Ellen zaczęli się już martwić o najstarszego syna. Był milczący, posępny i zamyślony. Palił też bez opamiętania, co nie służyło jego zdrowiu. Matka próbowała zrędzić, ale Kicky podnosił tylko zdziwiony, smutny wzrok i nie odpowiadał, aż zmuszona była przestać, zaniepokojona wyrazem jego twarzy. Odchodziła i żeby sobie ulżyć, beształa Isabellę za ociąganie się w ćwiczeniach na pianinie.

Ellen była rozczarowana swoimi dziećmi. Brakowało im energii i umiejętności koncentracji. Po Kickym spodziewano

się, że będzie zajmował się chemią, a on tymczasem zamiast czytać fachowe książki na ten temat, włączył się po British Museum i starał się czegoś dowiedzieć na temat drzewa genealogicznego Bussonów. To była nowa pasja, która ostatnio zaprzętała mu głowę.

Stwierdził, że Bussonowie wywodzą się z dzikiej, wilgotnej ziemi bretońskiej albo nieco głębiej położonej Maine czy Sarthe, Ellen nie wiedziała tego dokładnie. W każdym razie znalazł coś w książce w British Museum na temat *chateau* oraz starego Parca Mauriera i historia ta bardzo go pochłonęła, zdaniem Isabelli. Rodzicom powiedział niewiele. Louis-Mathurin oświadczył, że Kicky traci tylko niepotrzebnie czas; był tym nawet trochę poirytowany. *Chateau* oczywiście gdzieś tam istnieje, ale nie wydaje się, żeby ojciec kiedykolwiek w nim mieszkał. Dlaczego Kicky nie przyłoży się bardziej do nauki, zamiast ślezczyć nad starymi książkami w British Museum?

Isabella także nie była na tyle poważna, na ile by sobie tego Ellen życzyła. Z trudem brnęła przez naukę, za to ustawicznie chodziła na herbatki ze szkolnymi przyjaciółkami, z którymi trąkotała o bzdurach; bardziej interesował ją kolor nowej sukni niż ćwiczenia na pianinie. Zupełnie inaczej niż Ellen w jej wieku. Ona nie potrzebowała przyjaciół, by szukać rozrywki.

Tak więc z pewnym zadowoleniem zauważyła, że teraz, kiedy Isabella nie była już małą dziewczynką, Louis postępował z nią bardziej surowo. Nie pozwalał jej wychodzić samej i Kicky musiał odprowadzać siostrę do szkoły i przyprowadzać do domu. Louis mówił, że wierzy w dozór, i to w ścisły dozór, co dla żony było dość szokujące. Widziała oczywiście przez wszystkie te lata, kiedy byli biedniejsi niż zazwyczaj, że mąż zawsze wprowadza pewien ton pompatyczności w swoje relacje z bliźnimi. Najwyraźniej odkrycia Kicky'ego miały na niego jakiś wpływ, bo tutaj, w Pentonville, porzucił nazwisko „Busson” i podawał się za „du Mauriera”.

— Nie życzę sobie, żeby panna du Maurier chodziła w szeregu jak sierota z przytułku — obwieścił. — Jeżeli Kicky nie odbierze Isabelli ze szkoły, ja to zrobię.

I czasami, ku wielkiemu zmieszaniu córki, rzeczywiście

czekał na nią pod szkolną bramą — dziwna figura w płaskiej czapce, pod szkarłatnym parasolem.

— No proszę, kogo my tu mamy? — pytał, mierząc z góry ciemnowłose, długonogie dziewczę, uwieszone ramienia Isabeli, czerwieniącej się ze wstydu za ojca, któremu już wcześniej dwadzieścia razy przedstawiała przyjaciółkę.

— Ależ, papo — jąkała w odpowiedzi — to moja najlepsza przyjaciółka, Emma Wightwick. Nie pamiętasz?

— Panna Wightwick musi mi wybaczyć — odpowiadał z kurtuazją. — Na przyszły raz już się rozpoznamy. — Wymachując swym szkarłatnym parasolem i wciskając głębiej czapkę, kroczył szybko ulicą, a Isabella podążała za nim, zażenowana.

Gyggy naturalnie przyczyniał rodzinie ustawicznych zmartwień i niepokoju. Louise napisała z Wersalu, że rozmawiała z Monsieurem Froussardem o przyszłości chłopca. Dyrektor szkoły był z nią całkowicie szczery. Powiedział, że jej chrześniak jest niepoprawnym próżniakiem i nie nadaje się do niczego. Nie powtórzyła, że dyrektor także dodał, że chłopiec ma jakieś problemy natury psychicznej, a jego postawa prawdopodobnie spowodowana jest brakiem zrozumienia ze strony rodziców. Chłopiec potrzebował czułości i ciepła; niedbalstwo i lekkomyślność były tego konsekwencją.

Sam Gyggy, kiedy go o to zapytano, oświadczył, że pragnie tylko jednego — wstąpić do armii francuskiej. Ani ojciec, ani matka nie chcą go mieć w Anglii; on to rozumie. Zresztą nie stać by ich było na jego utrzymanie — oczywiście Kicky i Isabella mają pierwszeństwo. Dlatego niech mu pozwolą zostać żołnierzem, służyć Imperatorowi, a wtedy Kicky zwiedzi obce kraje i będzie zadowolony.

Ellen miała wątpliwości, czy Louis-Mathurin wyrazi na to zgodę. Początkowo więc między Londynem a Wersalem wymieniano bardzo ożywioną korespondencję. Louise, która miała słabość do swego chrześniaka, była przychylna jego planom. Gyggy lubił konie i otwartą przestrzeń, mógłby więc wstąpić do kawalerii. Nie widziała w tym żadnej hańby. Poza tym, jak stwierdził jego wychowawca, chłopak do niczego innego się nie nadaje. Jego ojciec zaś przeciwnie — oświadczył, że żaden Busson

du Maurier nie będzie nigdy zwykłym kawalerzystą. Dlaczego jego syn miałby się poniżać, czyścić oficerom buty i sprzątać koński nawóz, co musi robić każdy żołnierz.

Nonsens, odpowiadała Louise z niezwykłą stanowczością. Jest przecież szansa na to, że Eugene awansuje i otrzyma patent oficerski — to rzecz powszechna. A potem może nawet dojść do najwyższych zaszczytów. Jest to najlepsza droga życiowa dla chłopca. Ona ze swej strony zobowiązuje się wyznaczyć mu małą dywidendę ze swego dochodu, więc ojciec i matka nie muszą już się troszczyć o finanse.

List ten uspokoił Louisa-Mathurina i ostudził jego oburzenie. Po kilku tygodniach wyraził swą zgodę w następującej deklaracji, podpisanej i opieczętowanej w Mansion House:

Ja, niżej podpisany, Louis-Mathurin Busson du Maurier, zamieszkały przy Barge Yard nr 5 w Bucklersbury, w londyńskim City, (był to adres jego biura) oświadczam uroczyście i zgodnie z prawdą, że syn mój Alexandre Eugene Busson du Maurier urodził się w Brukseli, w Belgii, 9 lutego 1836 roku, a następnie kształcił się we Francji w szkole Monsieura Froussarda w Passy.

Uznając jego zdecydowaną chęć poświęcenia się karierze wojskowej, niniejszym wyrażam na to zgodę i daję mu pełnomocnictwa na zaciągnięcie się do służby Jego Wysokości Cesarza Francuzów.

Tak więc pogodny, beztronski i opuszczony Gyggy został kawalerzystą na dobre i złe. Wyjechał do Sarreguemines, by dołączyć tam do swego pułku, z wypchanym portfelem dzięki matce chrzestnej, w nowym mundurze opłaconym przez nią na dodatek.

Ellen wysłała mu dwie gwinee, które — jak mu napisała — uciulała z wielkim trudem. W liście do Louise pisała, że będzie się starała wysłać synowi coś od czasu do czasu, ale on nie może na to liczyć.

Jeżeli jest wytrwały — poradzi sobie doskonale, bo teraz, gdy znajduje się z dala od domu, musi polegać wyłącznie na sobie.

Wkrótce będzie zmuszony zaprzestać swych szczenięcych figli, by sumiennie uczyć się swej profesji. Przede wszystkim powinien dbać o zdrowie, bo musi być silny i wytrzymały na trudy, jakie go niewątpliwie czekają. Kicky obiecuje, że jak tylko zarobi jakieś pieniądze, to wyznaczy mu pensję. Ale wątpię, czy uda mu się kiedykolwiek tyle zarobić, żeby mógł utrzymać samego siebie, nie mówiąc już o bracie.

Biedna, przewrażliwiona, rozczarowana Ellen. Dlaczego każdy jej list nosi ślady jej własnego zawodu życiowego? To żądło w każdym z nich jest oznaką zgorzknienia. Te listy — kreślone i przekreślone, prawie niemożliwe do odcyfrowania, pisane ostrą, czarną stalówką — każdy z nich świadczy o swego rodzaju umysłowej niestrawności, jak gdyby przeżywała wciąż na nowo, z zastarzałą goryczą, wszystkie strapienia pogrzebane na dnie duszy.

To było tak, jakby miała żal do całego rodzaju ludzkiego i patrzyła na bliźnich przez czarne okulary. Louis-Mathurin był niemożliwy — to nie ulega wątpliwości. Zawiódł ją w rozmaitych sprawach: pożyczał od niej pieniądze, tracił je i znowu pożyczał; nie spełnił żadnej z wcześniejszych obietnic; niczego nie dokonał. A jednak był wciąż tym samym mężczyzną, którego pokochała dwadzieścia lat temu; który podbił ją swym czarem: śpiewał dla niej, rozweselał ją, prawił komplementy. Był zawsze wobec niej czuły, zawsze wierny.

Ekscentryczny — to prawda, może nawet trochę zwariowany, ale przecież Ellen wiedziała o tym od chwili, gdy spojrzła na nią po raz pierwszy swymi jasnoniebieskimi oczami i zaśpiewał „Serenadę” Schuberta jak nikt nigdy dotąd.

Dała mu trójkę dzieci, które nie były ani bardziej samolubne, ani bardziej bezmyślne niż potomstwo innych ludzi. Musiała jednak gderać na nie, martwić się o nie, wtrącać się w ich życie i ranić w czułe miejsca.

Jeśli Kicky mnie zawiedzie, będę zrozpaczona — pisała do Louise. — Nie ma ani inicjatywy, ani energii. Siedzi i marzy. Zawsze z ołówkiem w ręku, a ja myślę o pieniądzach wyrzuconych na jego edukację.

Czyżby było to jeszcze jedno usprawiedliwienie na papierze? Czy tkwiło w tym ukryte maleńkie ziarnko strachu? Kicky jest próżniakiem — z próżniaka wyrasta zepsuty mężczyzna, który do niczego się nie nadaje. Dyletant Gyggy już poszedł tą ścieżką. Czyżby Kicky zmierzał w tym samym kierunku? A co z Isabellą i jej próżnością? Czyżby wszystkie jej dzieci posiadały te same dziwaczne skłonności do niedbalstwa i braku zasad, przed którymi Ellen tak desperacko starała się je ustrzec?

Ze ślepego, bezrozumnego strachu przed dziedzicznością uważała swą matkę za główną przyczynę niepowodzeń potomstwa. Wspominając początek stulecia, swoje własne dzieciństwo, widziała matkę — u szczytu rozgłosu, z olśniewającym sztucznym uśmiechem, mającą za nic zasady moralne i powszechne poważanie. Jako dziecko Ellen zetknęła się i z ową pustą powierzchownością i ze splendorem, ale teraz jako dojrzała, pięćdziesięciopięcioletnia kobieta nie widziała w życiu matki nic prócz plugastwa, interesowności, lekkomyślnego hazardu. Drżała więc przed wszystkim.

Usłyszała wesoły śmiech Isabelli, a już patrzyła na nią podejrzliwie. Dowcipna uwaga Kicky'ego, nabazgrana przez niego jakaś niecna karykatura, a już w uszach jej dźwięczał głos Mary Anne: cięta odpowiedź i dosadny język.

Nie można walczyć z dziedzictwem krwi, na to nie ma rady. Pomyślała o synach i Isabelli, o ich dzieciach i dzieciach ich dzieci — jak idą przez życie ze wzruszeniem ramion; robiąc perskie oko; śpiewają całe lato, niczym ów konik polny z bajki, zapominając o nadejściu zimy, kiedy już zniknie słońce. Ujrzała swą matkę, jak wskazuje na nią z kpina: „Biedna Ellen, jest taka brzydka i ma okrągłe plecy — to dlatego, że brakuje jej poczucia humoru”. I znowu doznaje owego uczucia frustracji, daremnego gniewu, kiedy przypomni sobie te wilgotne, kpiące oczy i ów przejmujący śmiech.

Kiedy późną jesienią 1852 roku, po śniadaniu, nadszedł list od George'a, zawiadamiający ich, że matka zmarła całkiem nieoczekiwanie tej nocy i będzie pochowana nazajutrz w Boulogne — Ellen zbladła i powiedziała: „Dzięki Bogu” śmiesznym, nie-

naturalnym głosem, ledwie świadoma tego, co mówi. Potem wstała od stołu i wyszła z pokoju.

List leżał otwarty przy jej talerzu. Kicky i Isabella patrzyli na siebie zatrwożeni; czuli się dziwnie. Isabella zauważyła: „Chyba mama nie czuje się dobrze” i zerknęła niespokojnie na ojca. Louis-Mathurin, który czytał w głębokim skupieniu finansowe stronicie *The Timesa*, podniósł nieprzytomny wzrok i dopiero wtedy zauważył, że Ellen wyszła.

— Co się stało waszej matce? — zaczął, a potem, ujrawszy list George'a, pochylił się nad nim i przeczytał:

Najdroższa Ellen,

Z sercem pełnym smutku i żalu piszę ten list. Przeświadczony jestem, że zniesiesz cios ze zwykłym sobie hartem ducha. Nasza Droga Matka odeszła od nas. Umarła całkiem nieoczekiwanie w piątek w nocy i wierzę, że nie cierpiała, ale że nastąpiło to we śnie.

Za dnia była jak zazwyczaj pogodna i nawet wychodziła z Georgie i dzieckiem po południu. Przed pójściem spać skarżyła się na lekką niestrawność, ale zawsze tak było po szklaneczce porteru, więc nic sobie z tego nie robiliśmy. „Pora urządzić u nas przyjęcie” — powiedziała i pocałowała mnie i Georgie na dobranoc. Niewątpliwie były to jej ostatnie słowa.

Kiedy pokojówka weszła do jej pokoju około dwunastej, jak to było w zwyczaju, by podać Mamie syrop, ta leżała w poprzek łóżka, wciąż ubrana, i ciężko oddychała. Dziewczyna zawiadomiła nas natychmiast; poszedłem po doktora, ale to na nic się zdało. Mama nie odzyskała już przytomności. Zmarła kwadrans po trzeciej.

Georgie jest bardzo poruszona i z trudem wstrzymuje się od płaczu. Obawiam się, żeby jej żal nie wpłynął źle na naszego małego synka, który dzisiaj po raz pierwszy odmówił jedzenia.

Zanim ten list do Ciebie dotrze, moja droga, nasza Matka będzie już spoczywała w ziemi, pochowana po cichu i bez wielkich ceremonii tutaj, na angielskim cmentarzu. Przyjedziemy oczywiście do Anglii, aby porozmawiać o przyszłości. Jedną ze spraw jest kwestia osiedlenia się tutaj. Jak wiesz, jestem zabezpieczony i moja niewielka pensja wystarczy na utrzymanie żony

i dziecka. Dożywocie mamy jest teraz Twoje do końca życia. Ale więcej na ten temat, gdy się spotkamy...

Jestem wstrząśnięty tym, co się stało. Nie mogę w to uwierzyć, że już nigdy nie usłyszę Jej śmiechu ani nie będę trzymał Jej drogiej ręki. Wspomnienia z naszego dzieciństwa powracają do mnie mimo woli i wydaje się, że to było zaledwie wczoraj: stoimy oboje ramię w ramię i z okna salonu w Tavistock Place spoglądamy w dół na naszą Matkę, jak zwykłe wspaniale ubraną, wchodzącą po stopniach do powozu u boku jakiegoś dżentelmena (chyba to był sir Charles Milner). A gdy powóz się oddalał, Mama wyjrzała przez okno i uśmiechnęła się, machając do nas ręką.

Jakiegokolwiek były i będą kierowane przeciwko Niej oskarżenia, dopóki Jej imię wymienia się na kartach starych skandali — my przynajmniej, Ty i ja, wiemy, że była dobrą matką i wszystko robiła z myślą o nas.

Pozdrowienia dla Louisa i całej rodziny.

*Do zobaczenia wkrótce,
Twój kochający brat
George Noel Clarke*

Louis-Mathurin odłożył list z powrotem na stół, chwilę pomyślał, a potem zwrócił się do syna i córki:

— Wasza babcia nie żyje — powiedział i zawahał się, jakby chciał stosownie do okoliczności wygłosić małą przemowę, ale sytuacja go przerosła. Wymamrotał coś po łacinie o szybkim przemijaniu życia, a potem wyjął z kieszeni nożyczki i wyciął kolumnę z wiadomości finansowych. Popatrzył na zegar. Jeśli zaraz wyjdzie do biura, zdąży się porozumieć na giełdzie z Hattonem i powiedzieć mu, żeby zaryzykował tę lokatę mimo wszystko...

11

Dożycie wprowadziło pewną niewielką zmianę w ich życiu. Ellen kupiła nowe zasłony do salonu i zmieniła pokrycia krzeseł w jadalni. Kupiła dwa kupony materiału na suknie dla siebie i Isabelli oraz poinformowała dyrektora szkoły, że w następnym semestrze córka będzie brała dwie lekcje tygodniowo niemieckiego zamiast jednej. W te dni będzie także jadała obiady w szkole. Wyjawszy te drobne ekstrawagancje, Ellen nie posunęła się już dalej.

Louis-Mathurin wprost przeciwnie: za pieniądze otrzymane od żony wdawał się w ryzykowne spekulacje, które na szczęście do pewnego stopnia się powiodły. W każdym razie przyniosły dość pieniędzy, by mógł urządzić dla syna prywatne laboratorium, tuż obok jego biura na Barge Yard w Bucklersbury. Laboratorium wyposażone zostało w kosztowne urządzenia, miało wodę i gaz w każdym możliwym kącie, oraz wszelkie flaszeczki, wagi i preparaty chemiczne sięgające aż po sufit. Louis-Mathurin czuł się tu jak dziecko, któremu dano nową zabawkę.

Laboratorium miało być niespodzianką, ale z tajemniczych aluzji Kicky domyślił się, co szykuje dlań ojciec. Dałby wszystko na świecie, żeby móc mu po prostu powiedzieć: „Tato, Kochany tatusiu, nie sądz, że jestem niewdzięcznikiem, ale błagam, uwierz mi, marnujesz pieniądze, które są wam tak bardzo potrzebne. Nigdy nie będę chemikiem, nawet po praktyce

w University College. Nie mam do tego głowy, nie mam zdolności koncentracji. Każ mi robić cokolwiek, prócz zajmowania się chemią: mogą jechać do Australii, wstąpić do wojska jak Gyggy, śpiewać na ulicy i żebrać..."

Próbował zdobyć się na odwagę, by złożyć jakąś deklarację tego typu, ale kiedy po raz pierwszy przestąpił próg laboratorium i przekonał się, ile to wszystko kosztowało trudu i zachodu — dlatego ojciec tak rzadko ostatnio bywał w domu wieczorami — po prostu nie miał serca. Ojciec obserwował go chciwie, z twarzą rozjaśnioną uśmiechem. Kicky odwrócił się do niego, wyciągnął rękę, głęboko poruszony, i rzekł:

— Tato, nigdy nie potrafię ci się odwdziżyć za to.

Chciało mu się płakać. Ojciec wydawał się taki zadowolony, wręcz szczęśliwy, tak ogromnie dumny. Co by zrobił, gdyby wiedział, że syn nienawidzi tego laboratorium, nienawidzi probówek i wag, nienawidzi wszystkiego, co wiąże się z chemią?

Ale Louis-Mathurin niczego nie podejrzewał. Chodził po pomieszczeniu, dotykając czule, prawie pieścotliwie wszystkich urządzeń. Zaczął mówić z podnieceniem, niemal gwałtownie, o jakimś wynalazku związanym z użyźnianiem gleby, który wkrótce ofiaruje światu. Kicky będzie mu pomagał; dokonają tego razem.

Urwał w połowie, by pokazać synowi prospekt, który wydrukował w jego imieniu — jako G.L.P. Busson du Maurier — zawierający reklamę analiz rudy, minerałów itp., jakie zostaną przeprowadzone na zamówienia, jak i wszelkie inne niezbędne zadania temu towarzyszące — z wielką starannością i w trybie pilnym.

— Zobaczysz — mówił, klepiąc syna po ramieniu — zamówienia zaczną napływać masowo. Będziesz miał w czym wybierać. — Zostawił go samego w laboratorium i w doskonałym humorze udał się do swego biura, zacierając ręce.

Tak więc Kicky codziennie chodził do swojego imponującego laboratorium i czekał na zamówienia, które nie nadchodziły. Przemieniał roztwory żółte w niebieskie, by zabawić przyjaciół przychodzących, by dotrzymać mu towarzystwa; wydawał przyjęcia w porze lunchu i w porze kolacji wtedy, kiedy ojciec opuszczał biuro w interesach.

Kicky pragnął ustawić w laboratorium pianino, ale nie odważył się na takie świętokradztwo. Przemycił więc tylko harmonię i gitarę, i dawał małe, zaimprovizowane koncerty popołudniami dla jednego czy dwóch studentów medycyny, których poznał w University College. Czasami zaś również dla Isabelli i jej koleżanek ze szkoły, jeśli udało im się wymknąć spod kontroli nauczycielek.

Długonoga Emma Wightwick wpatrywała się weń z podziwem, kiedy dla niej śpiewał albo napełniał flaszeczki cieczami o fascynujących kolorach, czy wywoływał niezwykle eksplozje i jeszcze niezwyklesze zapachy. Jakie to radosne, uczuciowe dziecko, myślał Kicky. Jaka piękna będzie za rok lub dwa.

W wieku dwudziestu jeden lat życie mimo wszystko nie jest takie złe, jak można by się spodziewać. Kłopoty dojrzewania Kicky miał już za sobą. Gdyby nie fakt, że zupełnie nie nadawał się na naukowca, przyszłość nie rysowałaby się w takich ciemnych barwach. Rodzina zyskała nowego i szczodrego przyjaciela w osobie dawnego dowódcy George'a Clarke'a — niejakiego pułkownika Greville'a, który właśnie przeszedł na emeryturę i mieszkał w swej posiadłości Milford w Walii.

Louis-Mathurin poznał go po raz pierwszy wiele lat temu; pułkownik okazał zainteresowanie owymi sławetnymi przenośnymi lampami i nawet kupił jedną z nich, by użyć jej podczas manewrów. Spotkali się ponownie latem 1854 roku; Louis-Mathurin natychmiast wykorzystał okazję, by przedstawić Greville'owi swój projekt użyzniania gleby. Pułkownik był zapalonym farmerem i posiadał mnóstwo ziemi, stał się zatem łatwą ofiarą — i to tak dalece, że zainwestował pieniądze w owo przedsięwzięcie.

Był też na tyle uprzejmy, że złożył Kicky'emu pierwsze zamówienie. Próbką gleby z jego majątku w Milford została przesłana do Londynu do analizy. Kicky wykonał zamówienie ze stosowną powagą i otrzymał dziesięć funtów za swe starania.

Od razu kupił prezenty dla całej rodziny i wysłał bratu dwa funty. Gdy już wszystkich zadowolił, pozostało mu około trzydziestu szylingów, które wydał na pędzle i farby, ku wielkiemu niezadowoleniu matki. Ale ponieważ podarował Ellen

piękny i bardzo kosztowny szal, nie wypadało jej protestować, więc rozsądnie zmilczała.

Pułkownik Greville nadal pełnił rolę dobrej wróżki: w sierpniu przedstawił Kicky'ego prezesowi spółki Victoria Gold Copper Mine w południowym Molton, w hrabstwie Devon. W roku 1854 wszystkich w Anglii ogarnęła gorączka złota; krążyło mnóstwo wziętych z powietrza plotek o odkryciach na terenie całego kraju i olbrzymich fortunach powstałych w ciągu jednej nocy. Dziwna rzecz, Louis-Mathurin nie dostał owej gorączki, ale zachował nadzwyczajny spokój w ciągu całego tego okresu, co — nie zawadzi dodać — było nadzwyczaj pomyślne dla Bussonów du Maurierów.

Kicky odbył spotkanie z dyrekcją spółki w Devon i takie wywarł na niej wrażenie swym naukowym żargonem (wyszukał w słowniku kilkanaście terminów na pół godziny przed spotkaniem.), że zaoferowali mu półtorej gwinei dziennie za to, żeby pojechał do kopalni i nadzorował tam pracę, a potem w przeciągu trzech — czterech tygodni sporządził raport na temat stanu robót. Kicky z największym trudem powstrzymał się, by nie wziąć w objęcia prezesa spółki i nie ucałować go. Prawie nadludzkim wysiłkiem zdołał udawać, że suma półtorej gwinei dziennie nic dla niego nie znaczy. Z namaszczeniem odrzekł, że musi rzecz całą przemyśleć i da odpowiedź następnego dnia. Jednak potknął się o wycieraczkę, wypadając z budynku.

Wrócił na obiad do domu wielce podniecony i przekazał rodzinie ekscytującą wiadomość, przygotowując wszystkich o palpitacje serca. Półtorej gwinei dziennie była to naprawdę imponująca kwota.

— Jeśli dość długo popracujesz nad tym zadaniem, twoje wynagrodzenie wyniesie całkiem niezłą sumkę — stwierdził Louis-Mathurin. — Z kontraktu wynika, że nie jesteś ograniczony czasem. Co za okazja! Naturalnie żadnego złota nie znajdziesz, ale to i tak nie ma znaczenia.

— Szkoda, że ja też nie mogę jechać do Devonshire — westchnęła Isabella, która uważała, iż lekcje niemieckiego i włoskiego podczas wakacji to przesada.

— Kicky nie jedzie się bawić, tylko zarabiać na życie —

zgromiła ją matka. — Miejmy nadzieję, że kopalnia „Victoria” nie zapadnie się przed twoim przyjazdem.

Ów zatrzważający pomysł nigdy by nie przyszedł Kicky'emu do głowy. Napisał więc od razu odpowiedź do dyrekcji spółki, że miło mu będzie wykonać swe zadanie. Podróż do Devon zajęła mu trzy dni. Na miejscu został powitany przez inżyniera i około trzydziestu dość prostacko wyglądających górników.

Kicky poczuł się strasznie młody i niekompetentny. Żałował, że w ogóle tu przyjechał.

— Musisz pan trzymać tych ludzi na dystans — powiedział inżynier. — Pierwsza oznaka słabości i pańskie życie zamieni się w piekło. Pokaż im pan, kto tu rządzi, a będą ci jedli z ręki.

Kicky uśmiechnął się nerwowo. Nigdy w życiu nikomu nie rozkazywał...

Wcale nie wyglądał na inspektora — ze swą chudą, młodzieńczą figurą, długimi, brązowymi, falującymi włosami i szczupłą, bladą twarzą. Ku własnemu bezgranicznemu zdziwieniu bardzo dobrze porozumiał się z górnikami. A kiedy się zorientowali, że tak jak oni nie wierzy w odkrycie złota w Devon, stał się jeszcze bardziej popularny.

Z miejsca ustawił swe stosunki z górnikami na stopie koleżeńskiej, co okazało się o wiele bardziej skuteczne niż żelazna pięść, której zwolennikiem był inżynier. Po pracy mógł iść z nimi napić się do gospody, rozpytywał o ich życie i rysował im portrety ku ogólnemu zdziwieniu i radości.

Zaprzyjaźnił się też z kilkoma farmerami z sąsiedztwa. Sierpień i wrzesień były szczególnie przyjemne w Devonshire; w soboty i niedziele robili wspólnie wycieczki do okolicznych pięknych zakątków w towarzystwie uroczych sióstr farmerów. Było dużo ciasta ze śliwkami i cydru, chóralne, śpiewy pogańskie, śmiechy i powroty do domu przy księżycu.

To cudowne, że czas mijał tak szczęśliwie. Kicky słał do domu długie listy pełne zachwytów nad życiem na wsi.

To prawdziwe szczęście, że został mianowany nadzorcą kopalni złota, w której wcale owego kruszcu nie było. Pragnął, aby ów okres w jego życiu nigdy się nie skończył. Jednak z poczucia obowiązku poinformował o braku złota w Północnym

Molton. Dyrekcja spółki odparła, że musiał się pomylić i że ma kontynuować swą pracę za półtorej gwinei dziennie, dopóki złoto nie zostanie odkryte.

Tak usłużnych pracodawców rzadko można znaleźć. Kicky w pełni wykorzystał ową sytuację, spędzając poranki na destylowaniu rtęci, zaś wieczory na jodłowaniu tyrolskich melodii pod księżycem.

Jego szkicownik pełen był portretów górników, spalonych słońcem farmerów i śmiejących się panienek o cygańskich twarzach. Z pewnością młody inspektor wiódłby dalej szczęśliwe życie w Devon i mogłoby się to nawet zakończyć poślubieniem najpiękniejszej z dziewcząt i osiedleniem się w tej okolicy, gdyby nie fakt, że zlekceważeni akcjonariusze Victoria Mine napisali pełen oburzenia list do zarządu spółki, domagając się zwołania niezwłocznie walnego zebrania.

Kicky musiał pożegnać się z sielskim życiem i ucałowawszy siostry farmerów na pożegnanie i wymieniwszy uściski dłoni z zarośniętymi górnikami, wrócił do Londynu. Tam udał się na posiedzenie spółki i rozwścieczył jej zarząd swym szczerym oświadczeniem o jałowości całego przedsięwzięcia.

Czy Victoria Mine zbankrutowała, a jej akcjonariusze zostali doprowadzeni do ruiny — historia nie wspomina. W każdym razie na tym skończył się związek Kicky'ego z całą sprawą. Wrócił na Wharton Street nr 44 ani nie smutniejszy, ani nie mądrzejszy, jak to zazwyczaj bywa w takim przypadku, za to bardziej ogorzały od słońca i wiatru i trochę okraglejszy od jedzenia śmietany w Devonshire, a także o wiele weselszy, niż był- kilka miesięcy wcześniej.

Rodzinę zastał w dobrym zdrowiu: Louis-Mathurin był pełen wigoru; Ellen sypiała już lepiej (cierpiała od wielu lat na bezsenność), a Isabella wyglądała bardzo ładnie i pilniej przykładała się do muzyki. Informacje o Gyggym jak zwykle były bardzo skąpe. Lakoniczny list od jego pułkownika został przekazany przez Louise z ubolewaniem. Chłopak robił kawały od rana do wieczora i niczego nie traktował serio. Jeżeli nadal będzie tak postępował, nie ma widoku na awans. Louise nie wspomniała, że Gyggy ustawicznie zaciąga długi i za każdym

razem, gdy do niej pisze, prosi o pieniądze. Przysyłał niewątpliwie zabawne listy, zawierające opisy swych towarzyszy. Czasami nad nimi płakała, tak przypominały jej listy Louisa-Mathurina, gdy był mały. Ale kręciła głową, gdy przychodziły jego świadectwa i rachunki od dostawców, którym zalegał z zapłatą.

Wysłała bratankowi pięćset franków w książeczkę religijnej, lecz on zamiast zapłacić rachunki, wydał przyjęcie dla przyjaciół; wszyscy się popili *vin du pays*. Biedny Gygy był niepoprawny.

Ellen wysłała synowi całe strony wymówek w związku z listem pułkownika, nie dodając ani słowa otuchy. Podarł ten list na pół i odtańczył na nim kankana, a potem owinał czoło mokrym ręcznikiem i ułożył epistołę do ciotki:

Nie muszę Cię chyba prosić, byś przyjęła moje podziękowania. Jestem Ci wdzięczny za Twą niewymowną dobroć i nieoczekiwaną pomoc, jaką okazywałaś przez wszystkie te ostatnie lata jak najlepsza z matek takiemu niegodziwcowi jak ja. Do końca życia nigdy nie zapomnę Twojej bezinteresownej troskliwości. To prawdziwa przyjemność wiedzieć — pośród trudów mojej służby — że mam przynajmniej jednego kochającego mnie i myślącego o mnie rodzica.

Nieraz miałem wyrzuty sumienia za zawód, jaki Ci muszę sprawiać, nie postępując ściśle według przykazań religijnych, co nie znaczy że ich nie uznaję, ale czuję, że to dla mnie zbyt głębokie i wyczerpujące. Nie muszę Ci chyba mówić, że nigdy sobie tego nie wybaczę, iż udawałem lepszego, niż jestem naprawdę i bardziej pobożnego.

Gygy był tak poruszony własną elokwencją, że łzy mu spływały po policzkach; uważał się za najbardziej niezrozumianą i najniezszczęśliwszą istotę pod słońcem. Zakończył epistołę oddzielnymi czułymi pozdrowieniami dla wszystkich sióstr w klasztorze i dodał w postscriptum, że jego skarpety są całe w dziurach, a koszule nie nadają się do noszenia i właśnie z tego powodu pułkownik żywi do niego niechęć, bo nie prezentuje się tak dobrze jak jego koledzy.

To oszustwo obliczone na utrzymanie okazałej paczki rozweseliło go nadzwyczaj. Ocierając łzy, zapieczętował list i zaczął pogwizdywać piosenki ojca. Ujrzawszy zaś jednego z przyjaciół przechodzącego w dole przez skwer, wychylił się z okna i wylał mu na głowę dzbanek wody.

Bez wątpienia ten Busson du Maurier był z natury pozabawiony poczucia umiaru...

Tymczasem Kicky złapał odrę i stracił całą swą letnią opaleniznę. Na Boże Narodzenie został zaproszony do Milford przez wujka George'a, który w czasie gdy Kicky pracował w kopalni, został pośrednikiem w sprawach handlu nieruchomościami u swego starego znajomego, pułkownika Greville'a. Dochody byłego kapitana nie były duże, pensja zaś mikroskopijna, ale to stanowisko mu odpowiadało, zwłaszcza że miał żonę o ekstrawaganckich gustach i małego synka. Czy piękna Georgie będzie chciała zagrzebać się w Walii, to całkiem inna sprawa.

Pułkownik Greville okazał się wielkodusznym szefem i zaproponował swemu agentowi do zamieszkania własny dom — Castle House. Oczywiście należało tam jeszcze dokonać pewnych zmian, bo pułkownik był kawalerem, ale Georgie mogła się już czuć gospodynią. Zazwyczaj w Pembroke stacjonował pułkownik, a to oznaczało bale i przyjęcia, na które mogła zakładać swe piękne suknie, kupione jej niebacznie przez zaślepionego męża.

Georgie była piękniejsza niż przedtem i Kicky, ze swym czułym sercem, znalazł się całkowicie pod jej urokiem. Mógł też wreszcie ją narysować, o czym zawsze tak marzył. Podczas długich wieczorów przy kominku, kiedy wuj wyjeżdżał przedyskutować sprawy majątkowe z Greville'em, Georgie pozowała swemu siostrzeńcowi. Spoglądała powabnie spod długich rzęs, doprowadzając chłopca do stanu najwyższego podniecenia swym bezlitosnym flirtowaniem — tak że gotów był rzucić się jej do nóg i błagać, by z nim uciekła.

Och, cóż to za udręka mieć dwadzieścia jeden lat i być zakochanym bez pamięci we własnej ciotce! Georgie wysyłała go po sprawunki, wysługiwała się nim, raz uśmiechając się jak

łaskawe bóstwo, to znów marszcząc brwi. Podczas Wigilii w Castle Hall usiadła koło niego, kiedy przyszła pora śpiewania kolęd, i poufale ścisnęła mu rękę pod stołem. Kicky czuł się jak nikczemnik, kiedy wuj składał mu życzenia; ledwie mógł spojrzeć mu w oczy.

Nadszedł także ów straszny moment, kiedy wszyscy całowali się pod jemiolą; Georgie przysunęła się do Kicky'ego z błyszczącymi oczami i chciwymi ustami. Wprawdzie o niczym innym bardziej nie marzył, ale żeby tak przy wszystkich? Czy na pewno nikt nie zauważył jego płonących policzków, zdradzających karygodną tajemnicę?

Tej nocy poszedł spać zarówno zachęcony, jak i przygnębiony. Zastanawiał się, czy by nie zabić wuja w pojedynku. Na rozprawie zapewne darowano by mu życie ze względu na młody wiek i dożyłotnio zesłano by go do kolonii — do Australii czy gdzieś tam.

Widać z tego, że Kicky był romantyczny i wrażliwy jak wszyscy młodzi ludzie w jego wieku, może tylko miał jeszcze iskrę wyobraźni i pewną wzruszającą naiwność, dla niego zbawienną.

Moja droga Louise — pisała Ellen do swej szwagierki wiosną 1855 roku. — *Dostałam Twój list dwudziestego. Louis wyjechał w niedzielę rano do Amsterdamu i nie spodziewam się jego powrotu przed upływem dwóch tygodni. Nie muszę Cię zapewniać, że Twoje ostatnie wiadomości o Gyggym sprawiły mi największą radość, bo po otrzymaniu listu od pułkownika byłam już w prawdziwej rozpacz. Miejmy nadzieję, że nadał będzie się starał i nie wróci już do dawnych obyczajów.*

Przykro mi, iż Louis nie wspomniał Ci w żadnym ze swych listów, że pożyczył pieniądze od George'a, gdy byliśmy w biedzie z powodu jakiejś niefortunnej spekulacji giełdowej, i z tego to powodu nie byliśmy w stanie wystać Gygg'emu żadnej dywidenty. Dostaliśmy od George'a osiemdziesiąt funtów. Wiem, że był to dla niego kłopot i nie mając tej sumy, nie mógł zapłacić składki w swym klubie, no i oczywiście nie może już dłużej do niego należeć.

Kicky mi mówił, że w Milford czasami nie mają nawet pół korony, ale za to dostają wszystko na kredyt. Londyńscy kredytodawcy dwukrotnie już byli tam w ciągu ostatnich czterech miesięcy.

Piszę Ci to wszystko, droga Louise, żebyś nie myślała, że George jest podły lub niesprawiedliwy. Wręcz przeciwnie. Louis musi teraz znaleźć jakieś środki, żeby wysłać Gyggymu to, co niezbędne. Nie możemy wszystkiego składać na Twoje barki. Za dwa tygodnie dostanie sto trzydzieści funtów od Greville'a — wyrównanie za urządzenie do użyźniania gleby.

Przykro mi, że nie jestem w stanie nic zaoszczędzić z mojej niewielkiej dywidenty, ale zapewniam Cię, że nie pokrywa ona naszych długów za ostatnie sześć miesięcy: trzydzieści funtów. Wskutek podwójnego podatku i obniżenia stopy oprocentowania straciłam w tym roku dwadzieścia funtów. Wszystko to jest bardzo zniechęcające.

Wiem z wczorajszej gazety, że konferencja w Wiedniu nie przyniosła spodziewanych efektów i nie ma już nadziei na pokój — tak jak nie ma nadziei na korzystne spekulacje, co nie znaczy, żebyśmy kiedykolwiek dużo na nich zyskali.

Biuro w City zostało wynajęte, bo nie warto było dalej go utrzymywać. Wprawdzie jest jeszcze laboratorium, ale nie sądzę, żeby Kicky zrobił dzięki niemu fortunę. Chemia to bardzo niepewna profesja i rzadko się w tej dziedzinie dokonuje odkryć, trzeba natomiast wykonać mnóstwo wyczerpujących badań i analiz. Kicky nie zarobiłby nigdy ani szylinga, gdyby Greville nie postąpił tak pięknie, dając mu pierwsze zamówienie.

Od czasu swego powrotu z Milford Kicky zasięgał rady przyjaciół co do studiów malarskich, ponieważ zawsze dobrze rysował i ma dobry smak. Powiedzieli mu, że to ciężka praca wyrobić sobie własny styl i nazwisko w świecie artystycznym. Nie wiem, co jeszcze mógłby robić. Żeby być człowiekiem interesu, trzeba mieć do tego talent, a przykład jego ojca nie wydaje się bynajmniej zachęcający.

Kiedy Kicky był w Milford, Greville prosił George'a, by wybadał, do czego chłopak ma powołanie. Tak więc liczymy, że pułkownik jest nim zainteresowany i wesprze go, kiedy Kicky

już się na coś zdecyduje. Louis myślał, że może Greville załatwi mu posadę rządową, ale ten żyje obecnie poza swoim środowiskiem i jest zbyt dumny, by prosić o przysługę.

Przypuszczam, że Louis Ci pisał, iż moja prośba do jednego z dawnych przyjaciół matki, lorda Parmoora, nie odniosła skutku.

Nie mam wątpliwości, że gdyby matka żyła, załatwiłaby posadę dla wnuka. Ciężko jest mieć syna dwudziestoletniego bez zawodu. Biedny chłopak, wiem, że gdyby ciężko pracował, odniósłby pewien sukces. Od kiedy wrócił z Milford, zdrowie mu się polepszyło i zmężniał, ale jego życiowe perspektywy się nie zmieniły. Jestem zadowolona, że przeszedł już przez tę całą odurę. Obaj chłopcy są szczęściarzami, mając takie ciotki, które się o nich troszczą. Jestem pewna, że Gyggy zginąłby bez Twojej nieustannej życzliwości i pomocy. Naprawdę wierzę, że Gyggy odniesie sukces w wojsku, chociaż to ostatnia profesja, jaką bym wybrała dla swojego syna; jest dwunastym żołnierzem w mojej rodzinie i żaden z nich nie dorobił się fortuny...

Z Twojego listu wynika, że bierzesz eliksir dra Page'a, co dziwi mnie, bo nie bardzo rozumiem, na co on ma Ci pomóc. I to trzy łyżki. Co za olbrzymia dawka! Louis bierze go na palpacje i astmę. Z pewnością, jeśli będzie cierpliwy, odniesie z tego jakąś korzyść. Namawiam go, żeby zażywał to lekarstwo przez całe lato. Dałam Isabelli jedną dawkę, bo myślałam, że ma robaki, ale tak się rozchorowała, że nie będę tego powtarzać.

Jakże musisz być szczęśliwa w klasztorze; jak wspaniałe by było, gdybym mogła się do Ciebie przyłączyć i zabrać ze sobą Isabellę. Co za cudowne, spokojne życie! A tutaj jest tak hałaśliwie i wulgarnie; zawsze znajduje się coś, co odwraca uwagę Isabelli od lekcji. Na szczęście nauczy się czegoś w tym kwartale, bo trzymam dla niej pięć gwinei z pieniędzy na zakupy — te mogą poczekać, a biedne dziecko czekało już zbyt długo. Przerabia dopiero teraz to wszystko, czego powinna była się uczyć cztery lata temu. Ciężko jest nie mieć środków na edukację dla jedynej córki, by mogła zostać nauczycielką.

Zaczęła się uczyć niemieckiego i całkiem niezłe idzie jej z włoskim. Czyta przetłumaczoną na ten język powieść Waltera Scotta, i to całkiem płynnie, ale nie mogę jej dać do lektury dobrych włos-

kich autorów — jest na to zbyt młoda i lekkomyślna. Nie dostrzegam u niej dużych postępów w muzyce, chociaż grała już kilka sonat Beethovena od pierwszego czytania, z akompaniamentem skrzypiec, nie opuszczając ani jednej nuty. Znakomity muzyk, pan Price, uważa, że Isabella ma wielki talent, ale wymaga wsparcia ze strony naprawdę dobrego nauczyciela. Jego żona jest doskonałą pianistką, jednak ich córka nie koncertuje wcale. On mówi, że mądre kobiety nigdy nie mają mądrych córek.

Przypuszczam, że chciał przez to powiedzieć, że jestem bardzo głupia — i absolutnie się z nim zgadzam. Tyle już w życiu doznałam zawodów, że czasami wszystko ucieka mi z głowy i nie mogę sobie przypomnieć ani słówka z tego, co przeczytałam czy powiedziałam. Interesuję się polityką i tą straszną wojną, byle zapomnieć o własnych troskach. Z dzisiejszej gazety dowiedziałam się, że cesarz objął komendę nad armią angielską w Crimea! Co o tym sądzisz? To coś takiego jak entente cordiale. Po całym tym horrorze czytam, iż nasza armia cierpi na brak dobrej organizacji. Jestem zadowolona, że Gyggy jest w armii francuskiej.

Papier mi się kończy, więc muszę także kończyć tę rozprawę, która — jak się obawiam — sprawi Ci więcej kłopotu, niż ze sześć razy i ledwie mogę je utrzymać w ręku. Kicky w laboratorium kończy swój dziennik dla brata; napisze do Ciebie za kilka dni. Isabella przesyła Ci wyrazy miłości. Przyjmij także moje.

Twoja kochająca Cię

Ellen

Lato 1855 roku dobiegło końca, a Kicky wciąż nie miał stałego zajęcia. Jego praktyka w Barge Yard w Bucklersbury była farsą; nie otrzymał żadnej propozycji pracy od czasu owej przygody w kopalni w Devon rok temu...

Ciotka wciąż zapraszała go do Milford, ale gdy był tam ostatnio, tuż po Wielkanocy, zauważył pewien chłód i irytację w zachowaniu wuja, kiedy Georgie zachowywała się bardziej niż zazwyczaj kokieterjnie. Znalazł więc jakąś absurdalną wymówkę i po kilkudniowym pobycie wrócił do Londynu.

Jego namiętna cielęca miłość z okresu Bożego Narodzenia

do marca wygasła i na Wielkanoc stwierdził, że zaloty pięknej Georgie są raczej bardziej kłopotliwe niż przyjemne. Był kompletnie uleczony. Sumienie miał tak czyste, że nawet żartował na ten temat z matką i powiedział jej, iż wujek jest o niego zazdrosny.

Ubawiona całą sprawą Ellen zgodziła się z Kickym, że to zupełny nonsens, ale dodała też z lekkim prychnięciem, iż George musi być przygotowany na taką ewentualność i może winić tylko siebie, skoro zdecydował się poślubić dziesięcioletnie dziewczę, gdy sam miał już po pięćdziesiątce. Nigdy nie zaaprobowwała Georginy, a z tego, co słyszała nie tylko od syna, ale i od pułkownika Greville'a, ta młoda kobieta jest zepsuta i samolubna. Myśli tylko o strojach i głupich flirtach, natomiast gdy chodzi o zajmowanie się małym Bobbie'em, to najwyraźniej nigdy nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Ellen uważała, że małżeństwo to stanowiło wielką pomyłkę, a jej biedny brat lepiej by zrobił, gdyby poślubił Louise. Nie byłoby wtedy mowy o zazdrości, to oczywiste. Och, no cóż, może pewnego dnia ludzie zaczną jej słuchać i prosić o radę, a wtedy zaoszczędzą sobie wielu gorzkich rozczarowań. Gdyby Louis-Mathurin polegał na jej sądach w sprawach finansowych, nie żyłoby teraz w tak niepewnych warunkach.

— Jeśli kiedykolwiek miałbyś się ożenić — rzekła do syna — to mam nadzieję, że pozwolisz mi wybrać sobie żonę. Matka ma zawsze rację w takich sprawach.

— Znajdź mi zatem dziedziczkę fortuny z dziesięcioma tysiącami rocznie! — zaśmiał się Kicky i sięgnawszy po papier i ołówek, zaczął rysować idealną kobietę, która, o dziwo, wyglądała jak Wenus z Milo.

To rzeczywiście niezwykle, że biedny George Clarke stracił wreszcie cierpliwość. Stanowisko pośrednika w handlu nieruchomościami nie było zbyt odpowiednie dla niego, a towarzyska strona owego przedsięwzięcia najwyraźniej okazała się męcząca. Nie można było przecież bez końca korzystać skwapliwie z gościnności pułkownika, nie rewanżując się za to. A wydawanie przyjęć, nawet na tak niewielką skalę, pochłaniało lwią część wynagrodzenia George'a. I jeszcze trzeba dodać do tego

sprawowanie opieki nad finansami siostry oraz ciągłe pożyczki dla Louisa-Mathurina. Nawet młody Gyggy bez żenady napisał doń z Sorreguemines, domagając się pożyczki, którą jego matka zwróci z najbliższej dywidendy.

Był oddany Ellen i kochał rodzinę, ale przecież miał żonę i syna, nie mógł więc ich wszystkich utrzymywać. Wiedział, że Louis-Mathurin nie ma zamiaru oddać mu kiedykolwiek osiemdziesięciu funtów, a jeśli zacznie pożyczać pieniądze jego synowi, historia się powtórzy. Poza tym jeśli to, co mówiła Ellen, było prawdą, ten chłopak nie miał za grosz poczucia odpowiedzialności i nie wart był takiego zaufania.

Zatem szarmancki kapitan przybrał w Wielkanoc srogą minę nie bez powodu, ale naprawdę kropla się przelała, gdy zastał żonę flirtującą z jego najstarszym siostrzeńcem i imiennikiem. Młodzieniec bawił się z nią w przeplatanek przy stoliku herbacianym w salonie. Oboje śmiali się i spoglądali na siebie piorunsko poufale. Nie, na Jowisza, tego nie mógł już znieść.

— Dziecko płacze na górze w swoim pokoju — powiedział tak ostro, że oboje skoczyli na równe nogi. — Niańka mówiła mi, że nie zaglądałaś tam przez cały dzień, a chłopiec jest niespokojny od rana.

— Bobbie'emu nic nie jest — odrzekła Georgie z pogardliwym ruchem głowy. — Płacze, bo był niegrzeczny i niania dała mu klapsa.

— Gdybyś poświęcała trochę mniej czasu mojemu siostrzeńcowi, a nieco więcej mojemu synowi, życie byłoby o wiele bardziej znośne dla nas wszystkich — brzmiała odpowiedź kapitana.

Georgie miała na tyle przyzwoitości, by się zarumienić, co mąż zauważył z przyjemnością, a Kicky poderwał się i podszedł do biblioteczeki.

No cóż, przynajmniej dobrze, że poczuli się nieswojo. Już najwyższy czas; te głupoty trwały zbyt długo. George usiadł przy stoliku, rozłożył gazetę i nie odezwał się ani słowem przez cały wieczór.

Po tym właśnie incydencie Kicky wymyślił pretekst, by wrócić do Londynu. Jak to dobrze, że babcia Clarke nie żyje;

taka sytuacja byłaby po jej myśli. Młodość ma krótką pamięć, jeśli chodzi o przyjemności. Miesiąc później Kicky gościł w Norfolk u swego przyjaciela Toma Jeckella, syna protestanckiego pastora, i słuchał znakomitego śpiewu w katedrze w Norwich.

Bardzo ciężko jest mieszkać u pastora — pisał do matki. — Chłodno i głodno. W niedziele mamy zupełnie zimny obiad z piętnastominutową modlitwą przed jedzeniem oraz hymnami i modłami po jedzeniu. Nie mogę przestać myśleć o ciepłym posiłku, choćby tylko gorącym kartoflu — dodałby mi siłę, zwłaszcza że nie sądzę, aby zjedzenie gorącego kartofla było większym naruszeniem czwartego przykazania niż położenie obrusa. W katedrze doznaję pocieszenia, bo muzyka jest cudowna: śpiewa tu pewien chłopiec, którego głos sprawia mi większą przyjemność niż wszystko co dotąd słyszałem.

Tom przedstawił mi wszystkich swoich przyjaciół; robimy codziennie około dwudziestu mil kabrioletem w rączym tempie dwunastu mil na godzinę, by odwiedzić kogoś z sąsiedztwa. Ludzie są tu czarujący. Całe dni spędzamy jeżdżąc konno, pływając łódką czy nurkując, a wieczorami idziemy na tańce lub śpiewamy. Któregoś dnia byliśmy w Cambridge, jakieś siedemdziesiąt mil stąd, oczywiście pociągiem. Spotkałem tam kilku studentów — wielkich dandysów — i spędziliśmy w ich towarzystwie wieczór: kolacja, wino i śpiew.

Mam nadzieję, pomyślała Ellen, składając list, że Kicky nie zamierza stać się jednym z owych młodych ludzi, którzy myślą jedynie o zabawie. W obecnych czasach często tak się dzieje, niestety. Muszę z nim poważnie porozmawiać, kiedy wróci.

Myśl o rozrywkach najstarszego syna w Norwich uleciała jej z głowy wskutek nagłego pojawienia się Louisa-Mathurina — bardzo bladego i roztrzęsionego. Powiedział jej, że dostał nagłych bóli żołądka i że to z pewnością jest cholera.

— Ależ mój drogi, w Anglii nie spotyka się już cholery — zaprotestowała żona.

— Spotyka się — jęknął. — Przeprowadzałem badania nad pewnymi bakteriami w laboratorium dziś rano i niewątpliwie

złapałem tę infekcję. Choroba się rozniesie, zmiecie całe Pentonville, a potem zarazi pół Londynu.

— Natychmiast poślę po lekarza.

— Lekarza? A to dobre sobie! Nie życzę sobie żadnego kownika w moim domu, wiem więcej o chorobach i lekach niż wszyscy lekarze razem wzięci. Podaj mi pióro.

Rzeczywiście był upiornie blady i miał sine usta. Ellen pobiegła po papier i pióro, teraz już poważnie zaniepokojona.

— Zapiszę ci nazwy pewnych leków, które mam w laboratorium — wydyszał. — Idź tam jak najprędzej i poproś młodszego Wilkinsa, by ci je dał. To moja jedyna szansa. Czekanie nic nie da. Wszystko będzie dobrze. Połóż się do łóżka!

Głośno jęcząc, wchodził po schodach na górę. Z kuchni wyjrzała Charlotte z rękami w mące.

— Czy panu także zaszkoziła ryba? — spytała. — Wprawdzie już brzydko pachniała, ale myślałam, że to przejdzie, kiedy ją usmażę. Szkoda było marnować pieniądze.

— Ciemna kobieto — powiedział jej pracodawca surowo, ściskając poręcz schodów — jestem w szponach cholery. Mogę nie przeżyć tej nocy. Jeśli pani du Maurier zostanie rano wdową, a panna Isabella sierotą bez ojca, liczę na ciebie, że się nimi zaopiekujesz.

— Dobry Boże, na pewno nie będzie tak źle, proszę pana — powiedziała przestraszona służąca, śpiesząc ku choremu, aby mu pomóc wejść do pokoju.

— Z drogi, z drogi! — ryknął. — Jeśli mnie dotkniesz, śmiertelne bakterie cholery zaatakują także ciebie. Lepiej niech umrze jeden niż tysiące!

Słaniając się na nogach, wszedł do swego pokoju i zatrzasnął drzwi. Dał się stamtąd słyszeć przenikliwy jęk, a potem zapadła cisza. Biała jak ściana Charlotte weszła do kuchni, zupełnie zalamana. W pół godziny później wróciła z laboratorium Ellen, z rozwianym włosom, bez tchu, ściskając kurczowo w rękę cztery małe złowróżbne buteleczki z kolorowymi nalepkami.

Charlotte powlokła się do hallu, słysząc swą panią: ciężko oddychała i trzymała się za brzuch.

— Och, proszę pani, chyba mam też cholere — oznajmiła. —

Taki przeszywający ból jak dźgnięcie nożem. Jeśli to jakaś epidemia, to może trzeba powiadomić policję?

— Nonsens! — prychnęła Ellen. — To by tylko wywołało panikę. Jeśli źle się czujesz, to idź do swego pokoju i połóż się do łóżka. Pan przygotowuje lekarstwo.

— Jeżeli to ma być takie paskudztwo, jak tamto, które mi dał na nerki, to już raczej wolę cholere — oznajmiła przerażona kobieta.

— Rób, co ci każe! — padła szorstka odpowiedź.

Ellen weszła na górę do sypialni i zastała tam męża siedzącego na łóżku. Twarz miał popielatą jak szlafrok, zęby mu szczękały.

— Nastąpiło już drugie stadium choroby — oznajmił. — Objawia się konwulsjami i skurczem mięśni. Patrz, mięśnie mi całkiem zesztyniały. Kiedy szernieje mi twarz, będziesz wiedziała, że to już koniec.

— Na litość Boską, Louisie, zawołam lekarza.

— Ci durnie nic nie wiedzą o cholere. Studiowałem ją przez całe lata. Masz lekarstwa? Daj mi je szybko. I przynieś mi rondel gotowanej wody.

Na chwiejnych nogach Ellen zeszła na dół, jak jej polecił, przyniosła rondel, wodę, ręczniki — sama, bo Charlotte całkiem się załamała i była beużyteczna.

Przyglądała się z przerażeniem, jak jej mąż, niczym szalony czarnoksiężnik, miesza swą dziwną miksturę leków, która wydzielala przeraźliwą woń i miała barwę płynnego ognia.

— Jesteś pewien, że się tym nie zatrujesz? — zapytała, zebrawszy się na odwagę.

Popatrzył na nią sponad rondla.

— Jestem wariatem czy chemikiem?

Ellen nie znalazła na to odpowiedzi. Louis-Mathurin napełnił miksturą szklaneczkę i wypił. Oczy omal mu nie wyszły z orbit. Spodziewała się, że z nozdrzy buchnie mu ogień.

— Już lepiej — wydyszał. — Teraz pomóż mi się położyć. Delikatnie, ostrożnie. Może zdążyliśmy w porę. Jak moja twarz? Szerniała?

— Raczej masz wypieki. Może to z gorąca.

— Nonsens. To z gorączki, wysokiej gorączki. Mam pewnie ze czterdzieści trzy stopnie. Tego się jednak należało spodziewać. Przynieś mi trochę lodu.

— Lodu? Ale skąd?

— Skąd mogę wiedzieć? Od rzeźnika, ze sklepu rybnego, od kogokolwiek. Wielką bryłę lodu. Potem musisz ją pokruszyć, zawinać w ręcznik i przyłożyć mi do czoła.

— Dobrze, Louise, już idę.

Zamknął oczy, znowu jęcząc głucho, a Ellen wybiegła z pokoju, w dół, po schodach i wypadła na ulicę. Błagała niebiosa, żeby właściciel sklepu rybnego miał trochę lodu. Może jeśli mu powie, że to sprawa życia i śmierci... Na nieszczęście nie płacili mu już od dwóch miesięcy.

Ku zdziwieniu Ellen, sklepikarz wydawał się zakłopotany na jej widok; pocierał czoło, uśmiechając się głupawo.

— Myślałem, że pewnie pani przyjdzie — odezwał się przeproszającym tonem. — Bardzo mi przykro, naprawdę. Jest dość ciepło jak na maj i tak musiało się stać.

— Co, u licha, ma pan na myśli? — spytała, z trudem łapiąc oddech.

— No cóż, ten kawałek dorsza, który miała pani na obiad — wyjaśnił. — Pani Allan spod numeru siódmego dostała drugą część i przyszła mi się poskarżyć jakieś dwadzieścia minut temu. Bardzo mi przykro, proszę pani.

Ellen odetchnęła z ulgą. Ryba. No oczywiście, że to ryba! Sama jej nie tknęła, zjadła gotowane jajko, ale Louis-Mathurin pochłonał solidną porcję. Z pewnością Charlotte w kuchni także.

— To niewybaczalne — powiedziała do sklepikarza — żeby wciskać klientom nieświeże produkty. Niech mi pan nie mówi o upale. Ta ryba była już zepsuta, kiedy pański chłopak ją przyniósł, wie pan o tym dobrze. Proszę dopilnować, żeby to się więcej nie powtórzyło. Naturalnie nie zapłacimy panu za nieświeży towar.

I Ellen wyszła ze sklepu wielce oburzona. Sklepikarz przebierał nogami i pocierał czoło zawstydzony.

Ulga, jakiej doznała, wprawiła ją w dobry humor. Po po-

wrocie na Wharton Street nr 44 poszła prosto do kuchni i zawołała Charlotte.

— Na litość Boską, weź się w garść — powiedziała. — To wcale nie cholera, tylko ryba. Nie chciało ci się jej odnieść, a przecież widziałeś, że jest nieświeża. Najadłeś się strachu i dobrze ci tak! Doskonale wiesz, że zarządziłam na obiad baraninę. Gdyby ta ryba nie była zepsuta, kazałabym ją podać w cieście dziś na kolację. Teraz już wiem, dlaczego tak wyglądają moje tygodniowe księgi rachunkowe. Natychmiast bierz się za herbatę!

Zgnębiona Charlotte, z wypiekami na twarzy, zajęła się robotą, a Ellen pospieszyła na górę.

Louis-Mathurin leżał nieruchomo na łóżku z zamkniętymi oczami. Kiedy pochyliła się nad nim, otworzył jedno oko i jęknął słabo.

— Czuję się tak, jakbym zapadał w śpiączkę — wyszeptał. — Obawiam się, że zaczyna się już ostatnie stadium. Lepiej poślij po Isabellę.

— Każdy na twoim miejscu zapadłby w śpiączkę po połknięciu tych wszystkich leków — warknęła żona. — Łyzeczka rycyny, oto, czego ci potrzeba. Żeby tak wszystkich przerazić na śmierć tym gadaniem o cholery, kiedy nawet małe dziecko by wiedziało, że to ryba, którą zjadłeś na obiad. Właśnie wracam ze spiżarni: smród jest straszny. — Podeszła do okna i z łoskotem podniosła żaluzje. — Charlotte płacze w kuchni i oczywiście ani śladu herbaty. — Trzasnęła drzwiami od apteczki. — Jej także się przyda porcja rycyny. Przypuszczam, że mój rondel jest już do niczego. — Podniosła garnek z umywalki i z powrotem odstawiła z hałasem. — Dopiero co go odnowiłam w zeszłym tygodniu, a teraz całe dno jest porysowane. Oczywiście musisz wlewać te swoje trucizny właśnie do mojego najlepszego rondla! Czegóż innego można by się po tobie spodziewać? Boże, jak tu gorąco! Wystarczy, by wywołać apopleksję, nie mówiąc już o cholery. — Szarpnęła okno, omal nie wybijając szyby. — Ktokolwiek budował ten dom, niewielkie miał pojęcie o swym zawodzie. Nigdy jeszcze nie udało mi się otworzyć okna bez wyłamywania sobie rąk. No i jak się teraz czujesz?

Louis-Mathurin był, o ile to możliwe, jeszcze bledszy niż przedtem.

— Jestem bardzo chory — wyszeptał. — Muszę mieć ciszę, absolutną ciszę. Nie masz najmniejszego pojęcia, jak cierpię. Jeśli to ryba była nieświeża, jak mówisz, to wcale nie jestem taki pewien, czy leki, które zażyłem, nie okażą się najgorszą trucizną.

— W takim razie musisz koniecznie zażyć rycynę.

— Nie chcę rycyny. Ona podrażnia delikatną tkankę żołądka. Natychmiast odstaw tę butelkę.

— Mój drogi, przecież wiadomo, że rycyna leczy wszelkie bóleści.

— Nie zgadzam się z tym absolutnie. To zwykły środek przeczyszczający, nadaje się tylko dla psów. Kategorycznie odmawiam!

— Zatem uważam cię za wielkiego głupca.

— To mnie wcale nie wzrusza. Sam się leczyłem przez ponad pięćdziesiąt lat i orientuję się w tych sprawach lepiej niż ty. Mój ból jest już zdecydowanie mniejszy. Marzę o szklaneczce rumu i wody. Wyślij, proszę, Charlotte po butelkę.

— Nie wierzę, żeby rum...

— Czy mam się zwlec z łóżka i pójść sam?

Patrzył na nią z wyrzutem w niebieskich oczach, szare włosy zjeżyły mu się na czubku głowy. Wyglądał prawie jak Kicky. Serce jej stopniało.

— Jestem przekonana, że to ci zaszkodzi, ale skoro się domagasz, nie mam wyboru. Czy chcesz, żeby ci poprawić poduszki?

Skrzywił się, gdy waliła w poduszki za jego plecami i podwijała koc.

— Muszę powiedzieć, że nie wyglądasz wcale źle — zauważyła.

Louis uśmiechnął się łagodnie i nic nie odpowiedział.

— Mimo że ty nie chcesz rycyny, to jestem absolutnie pewna, że Charlotte ją weźmie — oświadczyła Ellen i po raz ostatni szarpnęła okno, które nie dało się otworzyć, po czym pospiesznie wyszła z pokoju.

Louis-Mathurin odczekał, aż kroki żony zabrzmiały na dole i usłyszał jej zrzędzenie w kuchni. Potem ukradkiem wysunął się z łóżka i otworzył drzwi garderoby. Z tyłu znajdowało się pudełko cienkich, czarnych cygar. Wybrał jedno i z powrotem wdrapał się na łóżko, sprawdzwszy przedtem, czy okno jest szczelnie zamknięte.

Położył się na poduszkach i uśmiechnął z zadowoleniem, zaciągając się kopcącym cygarem. Potem pogrzebał w kieszeni szlafroka i wyciągnął, dość pomięty, ostatni numer *Financial News*.

— Ludzie dobrze urodzeni nigdy nie narzekają na biedę — wymruczał.

12

Dla wszystkich było to niespodzianką, a zwłaszcza dla samego Gyggy'ego, gdy latem 1855 roku dostał awans na brygadiera. Mimo że brygadier w armii francuskiej to tylko odpowiednik kaprała w armii angielskiej, był to krok we właściwym kierunku i za rok młody człowiek mógł się spodziewać kolejnego awansu.

Jego pułk przeniósł się do Chalons. Mówiło się o tym, że Louise pojedzie tam na miesiąc lub dwa, by być blisko swego chrześniaka. Bez wątpienia Louise bardziej interesowała się nieszczęsnym Gyggym niż cała rodzina razem wzięta.

Louis-Mathurin pisywał wprawdzie do swego młodszego syna, ale rzadko. A Ellen tylko by zrządziła. Kicky przysyłał bratu pokrzepiające okrucy informacji i przemycał pieniądze, które udało mu się uciułać. Jednak cztery i pół roku oddalenia to długi okres i Gyggy niewiele dowiadywał się o swych najbliższych w Londynie, bo nie było o czym pisać. Najlepszym korespondentem chłopca stała się Isabella. Wysyłała mu haftowane przez siebie chusteczki do nosa; pisała zabawnie górnołotne, pensjonarskie listy o szkole i swoich postępach w nauce. Nieustannie też planowali, jak i kiedy znów się spotkają.

Tak dawno Cię już nie widziałem — pisał brat. — Czy wyrosłaś na ładną, wysoką pannę? Nie mogę słuchać gry na pianinie, żeby nie myśleć o Tobie. Mówiłem tutaj wszystkim chłopakom, że żaden nie ma takiej ładnej i utalentowanej siostry.

Kicky musi Ci wysłać mój portret na Twoje dwudzieste urodziny w lutym — odpowiadała. — A wtedy sam osądzisz, czy jestem ładna, czy nie. Już raz mnie narysował, ale mówi, że narysuje mnie jeszcze z profilu, bo tak lepiej wyglądam. On ma bardzo dobry gust.

Skończyłam już szkołę i chodzę teraz do college'u dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i czwartki, od dwunastej do trzeciej. Uczę się francuskiego i literatury angielskiej. Na francuskim przerabiamy dużo poezji, i trochę prozy; mamy także wykłady. Mama płaci trzydzieści szylingów za trzy miesiące, a za angielski jest taka sama cena, co w sumie wychodzi trzy funty za kwartał. W szkołę opłata wynosiła pięć funtów za kwartał, ale tam uczono nas wszystkiego. Mama mówi, że mam dużo wiadomości z przedmiotów, których uczyli mnie w szkole i ona sama. Tak że za parę lat na pewno dostanę posadę nauczycielki — to znaczy dopóki nie znajdę męża!

Uczę się teraz bardzo trudnego utworu; nazywa się to „Modlitwa Mojżesza w Egipcie” Thalberga. Jest bardzo piękny. I jeszcze jednego, aż na pięć stron.

Uspokój ciocię Louise, kiedy będziesz do niej pisał, że papa nie miał cholery. To tylko zatrucie rybą. Dostaliśmy od niej list pełen trwogi. W każdym razie już zupełnie wyzdrowiał. Mówi o wyjeździe w odwiedzinę do niej do Paryża.

Louis-Mathurin rzeczywiście pojechał do Paryża wczesną wiosną 1856 roku, ale jak się okazało, nie była to wizyta dla przyjemności. Chciał pożyczyć pieniądze. W ciągu swoich pięćdziesięciu ośmiu lat życia znajdował się już we wszelkiego rodzaju trudnościach finansowych, ale nigdy przedtem aż do owego czasu nie miał procesu sądowego. Transakcja związana z przenośnymi lampami w roku 1846 była dość podejrzana, jednak udało mu się wyjść z całej sprawy bez żadnych kłopotów czy kar pieniężnych. Tym razem wszakże wpadł na dobre i nie było już ucieczki.

Dokładnie jak i dlaczego tak się stało, nie można dziś ustalić. Przypuszczalnie jego projekt dotyczący użyźniania gleby został już wcześniej opatentowany przez kogoś innego. Ów

ktoś zwrócił uwagę na zastosowanie podobnego procesu przez nieszczęsnego Louisa-Mathurina, który był przeświadczony, że jego metoda jest oryginalna. Dobry czarodziej — pułkownik Greville — musiał albo sprzedać swój udział, albo dojść do porozumienia z wynalazcą, dość że nie został wcale wmieszany w tę sprawę. Bez wątpienia ów hojny przyjaciel pożyczył Louisowi-Mathurinowi pieniądze, gdy doszło do postępowania sądowego i udzielał mu porad, ale sam nie poniósł żadnych strat.

Poproszono o pomoc szwagra George'a, lecz na próżno. Georgie okazała się rozrzutna i nie miała najmniejszego pojęcia o oszczędnym prowadzeniu domu, czego naturalną konsekwencją było, że uczciwy kapitan został obciążony długami w Milford — u dostawców, którym żona zwlekała z zapłatą, u służby — czekającej na próżno na pensję, poza tym olbrzymie sumy szły na modniarki i krawców londyńskich.

Osiemdziesięciu funtów, które George wcześniej pożyczył Louisowi-Mathurinowi, nigdy mu nie zwrócono, co spowodowało olbrzymią lukę w jego dochodach. Kapitan Clarke ze skrupulatną uczciwością pilnował, aby wypłacano regularnie dywidendy na konto jego siostry, jako że po śmierci matki przejął rolę administratora dożywocia. Nigdy nie wziął dla siebie ani grosza. W czasie słynnego procesu w roku 1809 został zabezpieczony przez Diuka Yorku i owe dochody wystarczały dla kawalera o skromnych wymaganiach. Teraz jednak okazały się zbyt skromne, gdyż żona z dzieckiem pragnęła żyć w zbytku, a poza tym z początkiem wieku sytuacja się zmieniła i funt miał o wiele mniejszą wartość w roku 1856 niż 1809.

George napisał zatem uprzejmy i szczery list do siostry i szwagra, wyjaśniając im, dlaczego w obecnych okolicznościach zupełnie nie jest w stanie udzielić im jakiegokolwiek wsparcia finansowego.

Niepoprawny Louis-Mathurin pojechał więc do Francji, do Wersalu, by zobaczyć się z Louise. Ona na pewno coś dla niego zrobi, był o tym przekonany. I nie pomylił się: siostra dała mu, co mogła ze swoich dochodów, pozostawiając sobie tylko małą sumkę na najpilniejsze potrzeby. I chociaż cierpiała na reumatyzm i praktycznie była unieruchomiona z bólu, towarzyszy-

ła mu we wszystkich paryskich lombardach, by zaciągnąć pożyczkę.

Napisała nawet do swego starego przyjaciela, diuka Palmelli, którego nie widziała już od pewnego czasu. Objaśniła mu całą sytuację, nie zapomniawszy napomknąć o jego chrześniaku. Udana aluzja do przeszłości, jakieś drobne wspomnienie dotyczące jego zmarłej żony Eugenie, narodziny Gygy'ego w Brukseli — wszystko to musiało, jak widać, przynieść upragniony efekt, bo diuk przesłał uprzejmą odpowiedź z Lizbony i dołączył mały datek.

Louise sprzedała nawet swój stary, bardzo piękny pierścionek, który należał do matki; zastanawiała się też, czy jej skromne hobby — malowanie kwiatów — nie mogłoby przynieść jakiegoś dochodu, bo miała niemały talent. Chociaż nie wspominała o tym Louisowi, zaniósła swą niewielką kolekcję prac do handlarza obrazami w Wersalu i ku jej zdziwieniu i radości, człowiek ów kupił wiele z nich.

Wręczyła natychmiast te pieniądze bratu, nic nie wspominając o gołych ścianach swego pokoju w klasztorze, z których zdjęła obrazy. Tłumaczyła coś zawile o niespodziewanie pomyslniej inwestycji, o której całkiem zapomniała.

Louis-Mathurin wrócił więc do Londynu z wielkimi nadziejami na wygranie procesu, ale jak wszystkie rozprawy, tak i ta ciągnęła się przez całą zimę i wiosnę. Stracił wiele ze swego optymizmu i entuzjazmu, zanim sprawa została wreszcie zamknięta.

I tak, dzień po dniu, w marcu i kwietniu 1856 roku stopniowo tracił cierpliwość i odwagę. Jego zawsze pogodny nastrój i nieustanna wesołość, mimo przeciwności losu, rozwiały się niespodziewanie. Ellen, Kicky i Isabella cierpieli widząc, jak ojciec opada z sił i mizernieje niczym biedne, zranione ptaszę ze złamanym skrzydłem, które nie śpiewa już i nie lata, tylko błąka się po domu z kąta w kąt.

Jego niebieskie oczy były obecnie zasepione i zmartwione; twarz wydłużyła mu się i pobladła. Zrobił się oschły i porywczy — on, który nie wiedział, co to gniew. On, który zawsze wyglądał tak młodo, lekkomyślnie i pogodnie, niezależnie od cio-

sów złego losu, teraz nagle postarzał się zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Świat wokół niego pociemniał i stał się niezrozumiały. Ellen, która obserwowała męża z bólem i niepokojem w sercu, wciąż myślała o jego bracie Robercie i owych atakach czarnej melancholii, które stanowiły preludium do obłądzenia. Robert siedział całymi godzinami i dniami, patrząc przed siebie i nic nie mówiąc. Pamiętała, jak pewnego razu ona i Louis odwiedzili go tego roku, kiedy byli w Londynie, tuż po urodzeniu się Isabelli, i zastali siedzącego z głową ukrytą w dłoniach, mamroczącego coś do siebie. Louis czasem żartował z tego, ale Ellen nigdy nie zapomniała szoku, jakiego doznała na ów widok. Ten mężczyzna w kwiecie wieku szepczący coś i mruczący do siebie. Kiedy podniósł głowę, ujrzała w jego oczach grozę.

Wczoraj zastała Louisa-Mathurina w bardzo podobnym stanie: siedział w kącie salonu, skulony przy małym ogniu, z cieniem w oczach — nigdy go do tej pory takim nie widziała.

Nie czuł się dobrze przez całą zimę, wiedziała o tym. Pannaowały wyjątkowe chłody; gdy ktoś cierpiał na astmę, jak jej mąż, taka pogoda nie była korzystna. Przedłużające się srogie mrozy nie sprzyjały wyzdrowieniu. Tylko że Louis-Mathurin cierpiał na astmę i znosił chłody innych zim bez skargi, a nawet lubił się leczyć dziwnymi mieszankami leków. Teraz nie chciało mu się nawet iść do laboratorium, stracił zainteresowanie dla swoich zabawek. „Jestem taki zmęczony, mówił. Taki zmęczony.” I kręcił głową, bez uśmiechu, kiedy Kicky przynosił rysunek albo karykaturę, co dawniej sprawiało mu przyjemność.

Nawet Isabelli i jej pianinu kazano milczeć, bo ojciec nie mógł znieść ani szmeru, ani triumfalnego dźwięku nut.

Ellen uczyła się w owych dniach zachowywać spokój. Przy-milała się doń znad wazy z zupą, przypominającą najbardziej jak możliwe *soupe a la bonne femme* z Paryża. Nie denerwował się ani nie krzątała, nie zrzędziła, bo cień w oczach męża wciąż przypominał jej Roberta, biednego zmarłego brata, który przed śmiercią stracił rozum.

Kicky był jak najlepsza niańka. Miał łagodność i czułość dla cierpiących, których zawsze brakowało matce. Był nieskończenie

cierpliwy, czego ona nie potrafiła. Zbyt łatwo się irytowała. Często zmęczona i prawie nieprzytomna z bólu głowy, rzadko się skarżyła i nigdy się nie oszczędzała. Może byłoby lepiej dla rodziny, gdyby postępowała inaczej. Ale nie. Ludzie, którzy leżą w łóżku, to lenie symulujący chorobę; zaniedbują swoje obowiązki. Kaleki zaś są zawadą dla społeczeństwa. Zawsze trzeba czynić jakiś wysiłek. Dlatego, chociaż zgnębiona i strapiona widokiem swego biednego, wesołego Louisa, tak upadającego na duchu i chorego, gdy siedział w kąci przy kominku, wcale go nie wspierała duchowo. Okazywała mu zniecierpliwienie.

To Kicky przy nim siedział, Kicky mu czytał, Kicky wymyślał różne historyjki, aby rozbawić ojca.

W połowie kwietnia sąd wydał decyzję i Louis-Mathurin był stracony. To było jak podzwonne dla wszystkich jego nadziei.

Laboratorium zostało sprzedane wraz z jego kosztownym wyposażeniem, Isabella przerwała lekcje w college'u. Dwa pokoje na górze przy Wharton Street pod numerem 44 wynajęto lokatorom. Rodzina utrzymywała się ze skromnych dochodów Ellen i mimo to była bardzo zadłużona. George Clarke zaprosił Isabellę do Milford, co oznaczało jedną gębę mniej do wyżywienia. Kicky był wciąż bez zajęcia i nie zapowiadało się, żeby kiedykolwiek coś znalazł — zwłaszcza teraz, gdy sprzedano laboratorium.

Czasem zastanawiał się, czy mógłby zarobić parę groszy śpiewaniem na ulicy, i byłby nawet tak zrobił, gdyby nie to, że nie mógł przynieść wstydu swej matce. Ellen postanowiła wykonywać proste szycie dla sąsiadów, ale Louis-Mathurin znowu zachorował i dostał ataku astmy, więc stało się to niemożliwe; musiała go pielęgnować. Pielęgnowali go razem.

To właśnie w owym czasie Kicky dojrzał duchowo i drobne zmarszczki zmartwienia, które już nigdy potem całkiem nie znikły, uformowały mu się na czole. Pojął teraz, dlaczego ojciec cierpi, dlaczego ma te napady czarnej rozpacz. Ziarnko melancholii, która drzemała dotąd w duszy ojca przez wszystkie te lata, a ujawniała się tylko w owym chwytającym za serce, przejmującym śpiewie — teraz wzeszło i nie było już ratunku.

Pewnego dnia Kicky zapytał ojca, kiedy siedział podparty na łóżku, patrząc w niebo pustym wzrokiem:

— O czym myślisz, tatusiu?

Louis-Mathurin spojrzął na syna ponuro.

— Że życie, Kicky, jest takie smutne - *si morne* — odpowiedział z patosem. — Wszystko straciłem; odwagę i nadzieję. Zostałem sam, sam...

— Nie, tato, wszyscy jesteśmy z tobą: mama, Isabella i ja. Nigdy cię nie opuścimy.

Ale ojciec tylko potrząsnął głową, nerwowo skubiąc prześcieradło.

— Nie taką samotność mam na myśli — powiedział i zamilkł.

— Gdybyśmy zostali we Francji, nigdy by do tego nie doszło — westchnął Kicky. — Od kiedy przyjechaliśmy do Londynu, spotykają nas same trudności i zmartwienia; nic nam się nie wiezie. To już pięć lat nierównej walki. Tacy byliśmy szczęśliwi w Paryżu. Już zawsze będę nienawidził każdego wspomnienia z tego domu. Przynosi nam pecha od samego początku. Numer 44. Zapamiętam: 44 to pechowy numer. Och, Boże, dlaczego w ogóle wyjeżdżaliśmy z Paryża i zostaliśmy tutaj?

I wówczas, w takim właśnie momencie, nastąpił szczyt ich kłopotów. Gyggy napisał z Chalons, że ma długi i zostanie zdegradowany, jeśli natychmiast nie prześlą mu pieniędzy.

Po raz pierwszy Kicky odpowiedział bratu ostro, wymawiając mu jego bezmyślność i brak honoru. To nieuczciwe, pisał, wydawać pieniądze, które nie są twoje. To kradzież, tylko pod inną nazwą. Papa jest chory i pewnie umrze, a Gyggy sam musi rozwiązać własne problemy.

Co też Gyggy niniejszym uczynił, pożyczając pieniądze od kolegi, a także od ciotki — podobnie jak jego ojciec kilka miesięcy wcześniej.

Louise zatrzymała się dłużej w Chalons, mimo że miała wrócić do klasztoru w przeciągu tygodnia, niepotrzebne więc były listowne wyjaśnienia. Dała swemu chrześniakowi pieniądze, jak zawsze, i Gyggy nie został zdegradowany. Choroba Louisa-Mathurina stała się przedmiotem troski ich obojga. Gyggy natychmiast odpisał bratu, nie wspominając już o długach, ale oferując mu radę i pomoc w kłopotach.

Był czerwiec, a Louis-Mathurin chorował już od końca kwietnia.

Drogi Kicky — pisał Eugene. — Dostałem Twój list i jestem pogrążony w smutku na wieść, że stan ojca się nie poprawił. Z pewnością dostałeś list od ciotki, która jest w Chalons, w doskonałym zdrowiu, chociaż była lekko niedysponowana zaraz po przybyciu tutaj. Jeśli chodzi o mnie, to czuję się bardzo dobrze jak zawsze.

Ale wracając do ojca. Ciotka jest przekonana, że pomoc religijna byłaby dlań dobrodziejstwem, nie jako ostatnia postęga — daleko do tego — ale by ukoić jego umysł. Ciotka uważa, i ja także, że gdyby ojciec przestał się tak nieustannie zamartwiać, jak mówisz, o to i owo, to jego choroba byłaby zaledwie lekką niedyspozycją, bo wiadomo że na dolegliwości psychiczne nie skutkuje żadne lekarstwo i medycyna w takim przypadku jest bezradna.

To dość delikatna sprawa, by syn dyskutował na temat ojca, zwłaszcza dla Ciebie i dla mnie, którzy znamy poglądy ojca w tej kwestii aż za dobrze. Ale w tym przypadku zdaje mi się, że musimy odłożyć na bok uprzedzenia i mieć na uwadze tylko to, co jest najlepsze dla papy i jak go wykurować.

Tak więc, drogi Kicky, spróbuj załatwić to z mamą, jeśli myślisz, że tata nie będzie się sprzeciwiał, ale jeśli odmówi (co, mówiąc między nami, wcale by mnie nie zdziwiło), staraj się nie wspominać o moim liście ciotce, bo ona pragnie zachować jak najgłębszą tajemnicę.

Ta sugestia może brzmieć dość dziwnie, bo wychodzi od zwykłego żołnierza, ale musisz zrozumieć, że biedna ciotka zamartwia się na śmierć wieściami od Ciebie, i muszę coś zrobić, by ją uspokoić.

Jeżeli ojciec jest tak chory, jak mówisz, sądzę, że powinienem się z nim zobaczyć. W przeciągu dwóch dni już mógłbym być w Londynie. Ciotka sama mi to zasugerowała i zapłaci za mój przejazd. Wyślij mi tylko słówko, a zaraz wyruszam. Jestem pewien, że ojciec rad by mnie zobaczyć i nie byłby to dla niego wielki szok. Poza tym tak bardzo za Wami tęsknię.

Ciotka przyjechałaby także, gdyby nie to, że taka podróż to już dla niej za wiele w tym wieku. Proszę Cię, Kicky, nie odmawiaj mi. Już wkrótce minie sześć lat, od kiedy Was ostatni raz widziałem i okoliczności są szczególne. Napisz tylko „tak” na kawałku papieru i wrzuć go do skrzynki. To będzie dla mnie najłatwiejsza rzecz pod słońcem uzyskać przepustkę na wyjazd do Londynu.

Kiedy będziesz pisał, uważaj na to, co piszesz o ojcu, żebym mógł pokazać list ciotce. Ona jest bardzo wrażliwa i łatwo ją zmartwić.

Czekam na Twoją odpowiedź, a na razie przesyłam Wam wszystkim wyrazy miłości.

Eugene

List został nadany i Gygyy niecierpliwie czekał przez następny tydzień na odpowiedź. Nie przyszła. Pocieszał się, że może ojcu jest już lepiej i Kicky uważa, iż nie warto go ściągać do Anglii. Brak wiadomości to dobra wiadomość, jak mówi przysłowie.

Ciotka Louise wróciła do klasztoru, a Gygyy pozostał w koszarach w Chalons, obiecując, że do niej napisze po otrzymaniu wieści z Londynu. Ale przy Wharton Street 44 nikt nie miał czasu myśleć o czarnej owcy rodziny du Maurierów. Prawdę mówiąc, list został pospiesznie odczytany, a potem odłożony na bok. I tak było dość kłopotów i nieszczęść i bez Gygy'ego.

Niewątpliwie biedak chciałby się z nami zobaczyć, pomyślał Kicky. Nie sądzę jednak, żeby mama zgodziła się na to.

Miał absolutną rację. Najmniejsza aluzja na ten temat wystarczyła, by zaniepokoić Ellen:

— Eugene przyjeżdża do Londynu? Ależ my nie możemy sobie pozwolić na jego utrzymanie. A biorąc pod uwagę stan, w jakim jest ojciec, wątpię, czy zgodziłby się go zobaczyć. Eugene po prostu szuka pretekstu, żeby przyjechać do Londynu dla przyjemności. On wcale nie chce zobaczyć się z rodziną. Nigdy wcześniej nie okazywał wielkiego uczucia żadnemu z nas.

Była to bardzo nieżyczliwa ocena, bo Gyggy był oddany swojej rodzinie mimo lekkomyślności i beztroski. Zawsze pisał, jak bardzo za nimi tęskni i pragnie się z nimi wcześniej czy później zobaczyć.

Ale Ellen pozostała uprzedzona do swego drugiego syna. Nie mogła znieść myśli, że miałyby go z powrotem w domu teraz, kiedy jej nerwy są napięte do granic. Zatem Gyggy na próżno czekał na wezwanie.

Stan Louisa-Mathurina się nie poprawiał. Pomimo dobrej pogody wciąż miał astmę i oddychał z wielkim trudem. Oczywiście był nieznośnym pacjentem. Nie tolerował lekarzy, zawsze wierzył w samouzdrawianie, a teraz i na to nie miał siły.

Ellen i Kicky przemycali doktora ukradkiem do domu i konsultowali się z nim na schodach, bo chory nie pozwolił im przestąpić progu swej sypialni. Zdumiony lekarz starał się jak mógł przepisać lekarstwa i niezbędną kurację, ale było to zadanie niewykonalne, skoro nie wolno mu było zbadać pacjenta. Odważył się więc zasugerować, że panu du Maurier potrzebny jest specjalista od chorób umysłowych, gdyż z opisu Ellen wynikało, że stan fizyczny chorego nie jest beznadziejny. A kiedy wciągnął z niej prawdę o bracie męża i ostatnich latach jego życia, zrobił bardzo poważną minę i pokręcił głową.

— To prawdopodobnie dziedziczna skłonność do ciężkiej melancholii — powiedział. — Radzę pani zwrócić się jak najszybciej do specjalisty. Mogę postarać się o konsultację, jeśli pani zechce. Oczywiście należy być przygotowanym na... że zapewne okaże się konieczne umieszczenie go w specjalnym domu, gdzie będzie miał właściwą opiekę konieczną w jego stanie.

— Ma pan na myśli dom wariatów? — wyszeptała poblądła Ellen.

Lekarz wykonał nieokreślony gest.

— To dość ponura nazwa — odrzekł uprzejmie. — Nie sugeruję, że mąż pani to wariat, daleki jestem od tego. Ale jeśli to, jak podejrzewam, dziedziczna przypadłość w jego rodzinie, byłoby o wiele lepiej dla niego i dla was wszystkich, gdyby pozostawał pod obserwacją. Miejsce, które mam na myśli, jest jak każdy dobry dom opieki, tyle tylko że lekarze i pielęgniarki są

starannie przygotowani i przywykli do postępowania z pacjentami z rozmaitymi odchyleniami psychicznymi. Jednakowoż nie ma pośpiechu, można poczekać przynajmniej tydzień czy dwa. Proszę to sobie przemyśleć i powiadomić mnie o swej decyzji, jak tylko pani jąkaś podejmie. Co się zaś tyczy chwili obecnej, to dobrze by było, gdyby się pani udało podać mężowi to lekarstwo. Jest to nieszkodliwy środek uspokajający. Proponuję też dogadzać choremu, ile się da.

Ten dobry człowiek pożegnał się, niewiele przyczyniwszy się do pocieszenia domowników; pozostawił natomiast po sobie wielki czarny cień strachu.

Kiedy odszedł, Ellen załamała się po raz pierwszy w życiu. Kicky ukląkł przy matce i objął ją.

— Nie możemy oddać twojego ojca do domu opieki — powiedziała. — On jest jak dziecko; biedne, zdziwione dziecko. Siedzi na łóżku i patrzy w niebo. Zawsze był dzieckiem, od pierwszych dni naszego małżeństwa. Nawet ty, gdy byłeś mały, miałeś o wiele więcej poczucia odpowiedzialności niż on kiedykolwiek.

— Droga mamo, oczywiście że go nigdzie nie oddamy — rzekł Kicky. — Jeśli mu się pogorszy, będę go doglądał. On jest taki łagodny i spokojny, nigdy nie będzie dla nas kłopotliwy.

— Z tego, co mówił doktor, można by pomyśleć, że ojciec wpadnie w szal — ciągnęła. — Twój papa jest najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem. Zawsze nienawidził okrucieństwa w jakiegokolwiek postaci. Nigdy nie zapomnę, jak kiedyś dawno temu rozgniewał się i przegnał pewnego człowieka, który źle potraktował psa. Ojciec wziął zwierzę na ręce i niósł je. Bandażował mu biedną, złamaną łapę i łzy mu spływały po policzkach. Pamiętam, że cały czas okropnie przeklinał i mówił okropne rzeczy. Wydawało mi się to takie niestosowne: dokonywać aktu chrześcijańskiego miłosierdzia i równocześnie kłać. Ale to cały ojciec.

— Wyzdrowieje, mamusiu, jestem pewien.

Ellen go nie słuchała; przebiegała w myślach drobne wydarzenia z przeszłości.

— Był zawsze taki szczodry, taki niedbały i lekkomyślny,

gdy chodzi o pieniądze. Pamiętam, jak wynajął powóz do St. Cloud, zaraz po naszym ślubie, i nie miał pieniędzy, żeby zapłacić. Dawał jałmużnę żebrakom na ulicy; zawsze był dla nich taki uprzejmy: kłaniał się, zdejmował kapelusz. Czasami mu za to dokuczałam. Gdyby nie był taki bezmyślny, nie wiodłoby się nam tak jak teraz.

— Żaden z jego wynalazków się nie udał?

— Przenośna lampa przyniosła trochę pieniędzy, ale wspólnik zmarł i ojciec sprzedał interes. Już prawie o tym zapomniałam, to wydaje się tak dawno temu.

— Jacy szczęśliwi byliśmy w Paryżu, prawda, mamusiu? I stary dom z zielonymi okiennicami, i salon nad rue de la Pompe. Czy pamiętasz, jak chodziliśmy na spacer po Bois w niedziele i łowiliśmy kijanki w Mare d'Auteuil? Papa urządził nam wyścigi i Gyggy zawsze wygrywał. A pamiętasz, jak stara Annette złamała nogę i poszła do szpitala, a ty musiałaś gotować nam obiad?

— Naprawdę? Nie pamiętam, Kicky. Tyle miałam zmarwień w życiu, tyle trosk. Ta wieczna walka z ubóstwem...

— Nigdy nie wydawało mi się, że jesteśmy biedni. Zawsze było mnóstwo jedzenia. I to dobrego jedzenia. Wystarczy, że zamknę oczy, a już siedzę znowu przy obiedzie, a ty u szczytu stołu, ze staromodną fryzurą w loczki. Obok ciebie Isabella na swym wysokim stołku, a Gyggy stoi w kącie, bo był niegrzeczny. Nalewasz nam *soupe a la bonne femme* z ogromnej wazy, a tu nagle wchodzi papa w swej pelerynie narzuconej na ramiona jak *favalier*, w jedwabnym kapeluszu na głowie i zaczyna śpiewać „Serenadę” Schuberta. I to tak pięknie, że zalewam się łzami i wybiegam od stołu, wszyscy się śmieją, a najgłośniej papa! Gdybyśmy tylko mogli tam wrócić i znów zamieszkać na rue de Passy, a wszystko było tak jak dawniej...

— Czy to wszystko rzeczywiście się zdarzyło, Kicky? Już nie pamiętam. Nie pozostało mi żadne wspomnienie. Ty jedyny w rodzinie masz taką wyobraźnię. Nie sądzę, żeby Isabella tak pamiętała swoje dzieciństwo jak ty.

— Na rue de Passy Isabella była malutka, ale Gyggy będzie pamiętał. Och, mamo, byliśmy wtedy szczęśliwi, cokolwiek byś

powiedziała. To były dobre czasy. Już nigdy nie będziemy tacy szczęśliwi.

Przytulili się do siebie i trochę popłakali. Kicky poczuł, że po raz pierwszy w życiu rozumie matkę. Potem Ellen wzięła się w garść, pociągnęła nosem i powiedziała, że wstydzi się swego zachowania. Kicky westchnął i pozwolił jej odejść. Matka weszła do kuchni i zbesztła Charlotte, podczas gdy Kicky wciąż siedział na małym stołeczku obok jej pustego krzesła, pogrążony we wspomnieniach o dniach, które przeminęły.

Na górze, w swej ponurej sypialni, której okna wychodziły na kominy Pentonville, Louis-Mathurin leżał, także marząc, ale co to były za myśli i lęki, co to były za marzenia — nikt się nie dowie. Może on także żałował przeszłości i kiedy zamykał oczy, widział siebie znów jako pełnego zapału młodzieńca, gorliwego wynalazcę, który pragnie zadziwić świat. Może na nowo odczuwał ów utracony entuzjazm i wielkość tworzenia. Może, idąc śladami przeszłości, znów spacerował po bruku Paryża, po starej dzielnicy wokół rue de la Lune; znów był roześmianym chłopcem z gorącą głową, palącym się do nowych wynalazków, który rozprawiał o podróży na Księżyc.

Następnego dnia, 6 czerwca, chory zaczął oddychać nieco lżej; przełknął też trochę jarzyn i bulionu, który Charlotte ugotowała mu na obiad. Ellen zaniósła tacę na górę i pobyła z mężem przez chwilę. Wprawdzie nic nie mówił, ale uśmiechał się do niej od czasu do czasu, czego nie robił od wielu tygodni. Milczał już tak długo, nieustannie patrząc w okno, że najmniejsza zmiana w wyrazie jego twarzy była natychmiast widoczna i cenna. Po obiedzie zasnął i spał nadal aż do późnego popołudnia, kiedy Ellen zajrzała przez drzwi.

— W domu jest bardzo ciepło — powiedziała do syna. — Muszę na chwilę wyjść. Chcę odwiedzić doktora Harveya i poinformować go, że nie mamy zamiaru, przynajmniej na razie, oddawać ojca do domu opieki. Zresztą, nawet gdyby to było konieczne, nie moglibyśmy sobie na to pozwolić. Zostaniesz i popilnujesz go?

Kicky kiwnął głową. Był bardzo zajęty kopiowaniem własnego szkicu portretu Isabelli, który obiecał wysłać ciotce Louise, gdyż pisała, że jest zachwycona tym, który otrzymał Giggy.

Biedny Gyggy! Kicky czuł się jak łotr bez serca, nie wysławszy mu odpowiedzi na list. Ale co miał mu napisać? Że mama nie chce nawet słyszeć o jego przyjeździe do Londynu?

Szkicował pilnie, rysując skrupulatnie koronkę wokół szyi. W salonie — *parlour*, jak go nazywała zawsze Charlotte — było bardzo cicho. Zegar tykał nad kominkiem, prócz niego nie było słyszeć żadnego dźwięku. Zaczął właśnie padać deszcz, drobna mżawka, która Kicky'emu zawsze kojarzyła się z Pentonville, a zwłaszcza z owym dniem. Później pewnie będzie burza, a to jest tylko preludium. Zrobiło się parno i duszno. Miał nadzieję, że mama zabrała parasolkę. Nigdy nie pozwalała sobie na luksus wzięcia dorożki.

Wstał i wyrzwał przez okno. Zastanawiał się, czy nie pójść do domu lekarza, aby przyprowadzić matkę. Można by wysłać Charlotte, ona lubi spacerować. Kicky poszedł do kuchni, ale było tam pusto; zimna kolacja leżała przygotowana na tacy. Oczywiście, Charlotte miała wychodne. W takim razie on nie może wyjść z domu, bo nie byłoby komu czuwać nad ojcem. Wrócił do salonu i zasiadł do rysowania.

Mama powinna raz wziąć dorożkę albo doktor mógłby przyjść do nich do domu. Kicky przeciągnął się i ziewnął. To usypiająca praca — trudno mu było skupić się nad głową Isabeli w gorący czerwcowy wieczór. Już prawie siódma. Oparł głowę na rękach i zamknął oczy. Powróciły doń wspomnienia, jak zawsze gdy zasypiał w nieodpowiednim czasie i w niewygodnej pozycji. Śnił, że znów jest małym chłopcem w Paryżu, siedzi w łóżeczku, a w salonie papa śpiewa po obiedzie. Ta sama chwytająca za serce, trudna do zniesienia nuta tragizmu w głosie. Poczł, jak we śnie łzy spływają mu po policzkach, tak jak w owych dawnych dniach, i usłyszał samego siebie, gdy wołał przez szczeble łóżeczka: „Zaśpiewaj coś weselszego, tatusiu, coś wesołego...”

Śpiew rozbrzmiewał nadal, jakby ojciec go nie słyszał. Kicky usiadł nagle z ukłuciem niepokoju. Siedział w małym pokoju przy Wharton Street 44 w Londynie, a w sypialni na górze naprawdę śpiewał Louis-Mathurin — po raz pierwszy od wielu trudnych miesięcy.

Było w tym coś dziwnego i niesamowitego, jakby w ciszy domu zabrzmiał nagle głos anioła. Kicky skradał się na górę i przycupnął za drzwiami sypialni. Nuty płynęły słodkie, czyste i mocne jak zawsze, zupełnie jakby ojciec stał, jak często to robił, z odrzuconą głową i dłońmi splecionymi z tyłu. Kicky przekreślił gałkę u drzwi i wszedł do pokoju.

Louis-Mathurin siedział na łóżku, patrząc w otwarte okno. Nie odwrócił głowy, ale śpiewał dalej, jakby nie słyszał zgrzytu otwieranych drzwi. Śpiewał „Der Nussbaum” — swoją ulubioną pieśń. Kicky przeszedł przez pokój i ukląkł przy łóżku. Ojciec umilkł i spojrzał nań z uśmiechem.

Był bardzo blady, a jego oczy wydawały się większe niż zazwyczaj. Szary szlafrok niczym płaszcz okrywał mu ramiona. Włosy przylepiły się do czoła, wilgotne i lepkie.

— „Ich habe einen Nussbaum von der Hause” — wyszeptał i ten szept przeszedł w szmer, a szmer stał się pieśnią, a pieśń potężną pochwałą, błogosławieństwem i modlitwą. Był to ostatni hołd złożony Bogu, którego się wyparł, i ostatnia danina dla świata, w którym mu się nie powiodło.

Jego głos rósł i potężniał, gdyż czas naglił. I brzmiało to jak nagły triumf i jak krzyk egzaltacji. Potem znowu osłabł do szeptu i tak drżał przez chwilę, aż zamilkł. Pieśń dobiegła końca i zapadła cisza.

A Louis-Mathurin umarł w objęciach syna.

CZĘŚĆ
PIĄTA



13

J edynym pragnieniem du Maurierów było uciec z Wharton Street 44 jak najszybciej. Nic już ich teraz nie trzymało w Pentonville, żaden wykręt o interesach. Po pogrzebie siedzieli w małym saloniku, z suchymi oczami, spięci, w ciężkiej żałobie i rozmawiali o najbliższej przyszłości.

George Clarke też się tam znalazł oczywiście, ze stosowną powagą, nieco mniej pompatyczny niż zazwyczaj, ponieważ czuł, że Ellen szuka u niego rady jako głowy rodziny. Mimo wszystko ona nikogo więcej nie ma. Siostrzeniec Kicky ledwie przestał być chłopcem, mimo swych dwudziestu dwu lat.

Kicky wyglądał absurdalnie młodo i krucho jak na kogoś, kto miałby wziąć na swe barki ciężar odpowiedzialności za los rodziny. George bardzo wątpił, czy ten chłopak sam da sobie radę w życiu; wydawał się zbyt wielkim marzycielem. Jednak ku jego wielkiemu zdziwieniu okazało się, że siostrzeniec nie jest wcale taki nieśmiały i niedoświadczony, na jakiego wygląda. Podczas rodzinnej dyskusji głównie Kicky zabierał głos, nie Ellen. To Kicky zdecydował, że dom trzeba wynająć i zwinąć gospodarstwo. To Kicky powiedział, że Isabella będzie kontynuować naukę co najmniej przez rok, a potem może szukać posady jako guwernantka. To Kicky oświadczył, że nie ma zamiaru zostać w Londynie i szukać posady jako chemik analityk, ale postanowił studiować sztukę w Paryżu.

— Mój drogi chłopcze — odezwał się sucho wuj — może

masz pewien talent do rysowania, temu nie zaprzeczam. Zrobiłeś kilka pięknych szkiców każdemu z nas. Ale traktować to jako zawód to całkiem inna sprawa. Lata upłyną, zanim zarobisz jakieś pieniądze.

— Nic na to nie poradzę — odparł Kicky — to jedyna rzecz, na której mi zależy i jedyna, którą potrafię robić. Gdybym miał silniejszy głos, spróbowałbym śpiewać, ale to nie wchodzi w rachubę. Nawet gdybym miał głodować na mansardzie, będę się uczył rysunku w Paryżu w najlepszym studiu.

— A czy mogę cię zapytać, co proponujesz swojej matce?

— Mama przyjedzie do mnie i będzie ze mną mieszkała. Dawne mieszkanie ojca w Faubourg Poissonniere jest wciąż wolne, nie udało się go wynająć, gdy był tam na wiosnę. Nie wielki dochód mamy wystarczy na nasze utrzymanie, a jak tylko coś zarobię, to też oczywiście będę dokładał.

— Ellen, czy akceptujesz ten pomysł? — spytał brat.

— Doprawdy nie wiem, co innego moglibyśmy zrobić — odpowiedziała Ellen, jeszcze bledsza i bardziej wychudzona w swej załobie. — Kicky ma absolutną rację, nie nadaje się na chemika, pomimo tych wszystkich pieniędzy, jakie biedny Louis i ja poświęciliśmy na jego naukę. Potrafi rysować, wiemy to. Jeśli będzie wytrwały, może coś osiągnąć. Nie zostawię go w Paryżu samego. Jak wiesz, potrafimy przeżyć za grosze.

— A Isabella?

— Kicky proponuje, żeby zamieszkała u rodziców swej przyjaciółki Emmy Wightwick. To dobrzy ludzie. Wprawdzie on zajmuje się handlem i jest dość pospolity, ale nic się na to nie poradzi. Są bardzo uprzejmi i wiem, że zaopiekują się Isabella jak należy. Emma jest bardzo dobrze wychowaną dziewczyną, mam do niej całkowite zaufanie jako do towarzyszkii mojej córki.

— Rzeczywiście, tak chyba będzie najlepiej. My w Milford żyjemy dość na uboczu, ale będzie u nas mile widziana w wakacje. Czy ktoś ma jakieś wieści o Eugene?

— Nie miał jeszcze czasu odpowiedzieć na list Kicky'ego. Sądzimy, że zostanie nadal w Chalons, chociaż niewątpliwie będziemy się z nim widywali mieszkając w Paryżu. Jest jeszcze

jedno wyjście: żeby Isabella również pojechała do Francji i zamieszkały razem z Louise. Biedaczka byłaby z tego zadowolona. Mogłybyśmy żyć tanio w Wersalu.

— To, jak powiedziałaś, jest druga możliwość. A jak się czuje Madame Wallace? Proszę, pozdrów ją ode mnie, gdy się z nią zobaczysz.

— Zrobię to z pewnością. Miło jej będzie, że o nią pytałaś. Ostatnio bardzo cierpi ona na reumatyzm.

— Nie sądzę, żebym się zgodził na pobyt Isabelli i mamy w klasztorze — ponownie zabrał głos Kicky. — Te zakonnice cały czas będą próbowały je nawrócić. Nie uda im się przekabacić mamy, to wiem, ale z młodą dziewczyną to całkiem inna sprawa. Papa zawsze nienawidził tego klasztoru. Jestem pewien, że byłaby to ostatnia rzecz, którą by zaakceptował. Isabelli o wiele lepiej będzie w Londynie, w towarzystwie Emmy Wightwick.

— Nie jestem wcale taka pewna, czy chcę się rozstać z Isabella na tak długo — zaproponowała Ellen, zdziwiona i nieco rozgniewana tym przejawem determinacji ze strony zazwyczaj uległego syna. — Jeśli Louise chciałaby nas mieć w Wersalu, byłoby to najlepsze rozwiązanie.

— Nie zgadzam się z tobą — rzekł Kicky. — Byłoby to korzystne, gdybyście, ty i Isabella, rozstały się na pewien czas. Drażnicie się wzajemnie. Ty, mamo, gderasz na nią bez przerwy, wskutek czego mała robi się coraz bardziej impertynencka, usiłuje być trzpiotowata i niemądra, żeby ci dokuczyć. Wiesz przecież, że nie tylko bujam myślami w obłokach, czasami także obserwuję ludzi.

— Chyba nie jest to właściwy sposób mówienia do matki — wtrącił się wuj George.

— Wujku, papa nie żyje, a ja, jako najstarszy syn zajmuję teraz jego miejsce. Przez wiele lat dbałeś o nas nadzwyczajnie i byłeś dla nas bardzo hojny, zdaję sobie sprawę z tego ogromnego długu wdzięczności. Ale jeśli w przyszłości trzeba będzie podjąć jakieś decyzje co do dalszych losów rodziny, do mnie będzie należeć ostatnie słowo...

Wszyscy patrzyli na niego w osłupieniu. Czy ów blady młody człowiek z rozburzonymi włosami i szerokimi ramionami to ten sam łagodny, bujający w obłokach Kicky, który

zawsze szedł po linii najmniejszego oporu i nie ośmielił się odezwać, żeby nie zranić czyichś uczuć?

— Drogi chłopcze, nie mam najmniejszego zamiaru się wtrącać — powiedział George Clarke, poczerwieniawszy z irytacji i wstał z miejsca. — To naturalne, że twoja matka radzi się mnie jako swego prawnego pełnomocnika. Twój ojciec pozostawił liczne długi, o czym z pewnością wiesz, i dopóki nie zostaną spłacone, żadne z was nie dostanie ani grosza. Przypuszczam, że rozumiesz, iż waszym jedynym źródłem dochodu jest dożywocie, które przeszło po mojej matce na waszą matkę i które po jej śmierci wygaśnie. Zatem dla twojego dobra mam nadzieję, że zdobędziesz jak najszybciej niezależność jako malarz. Ellen, moja droga, muszę złapać pociąg. Ty i Isabella możecie zamieszkać u nas w domu, dopóki nie podejmiecie decyzji co do przyszłości; George, ja sam i mały Bobbie będziemy wam radzi.

Ucałował siostrę i siostrzenicę, kiwnął uroczyście głową krnąbrnemu siostrzeńcowi i, wciskając jedwabny kapelusz na siwą głowę, z wielką godnością opuścił pokój. Gdyby ktoś nie wiedział na pewno, że George Noel Clarke urodził się w roku 1794, zanim jeszcze jego matka podniosła swe zuchwałe oczy na Pewną Osobistość, mógłby uznać, że podobieństwo jest niewątpliwe... Być może kapitan Clarke żywił te same złudzenia, co jego siostra i dał się ponieść wyobraźni.

— Obawiam się, że wuj nigdy już nie przestanie być o ciebie zazdrosny — zauważyła później Ellen, patrząc na syna. — To dość oczywiste, skoro ciebie do Milford nie zaprosił.

Kicky nie odpowiadał, znowu bujał w obłokach. Patrzył w przyszłość i nie wracał już do tego, co minęło. Zapomniał nawet o swoim ojcu, który już nigdy nie zaśpiewa, lecz po wsze czasy będzie spoczywał w smutnym, małym grobie, na cmentarzu Abney Park w Stoke Newington.

Marzył, że już za miesiąc, a może nawet jeszcze wcześniej, znowu będzie chodził po paryskim bruku, rozkoszując się znajomą atmosferą.

Po kilku dniach otrzymał wiadomość od Gyggy'ego, którego list, dość dziwny, potwierdził wiele jego opinii na temat przyszłości Isabelli.

Właśnie otrzymałem Twój list — pisał brat. — Nie muszę Ci mówić, jakie na mnie wywarł wrażenie, chociaż w pewnym sensie byłem na to przygotowany.

Wcale nie żałuję, że nie znajduję się w domu, w samym centrum całego tego nieszczęścia, jak Ty, i to nie z powodu egoizmu czy braku cywilnej odwagi. Żywiłem dotąd słabą nadzieję, jak ów tonący, co chwytając się brzytwy, że piękna pogoda i Twoja opieka przywrócą ojcu siły, jeśli nawet nie całkowite zdrowie. Napisałem już do matki przełożonej w klasztorze, prosząc o przekazanie wiadomości ciotce — od razu albo stopniowo, delikatnie, według jej uznania.

Jakie masz plany, Kicky? Mimo smutku ogarnia mnie radość, że znów Was wszystkich zobaczę. Oczywiście główną troską musi być teraz przyszłość Isabelli, chociaż jeszcze za wcześnie, by o tym dyskutować. Biednej mamie trudno będzie dalej żyć w Londynie z ponurymi wspomnieniami. A może przeniosą się do Wersalu? Mama i Isabella mogłyby się tam całkiem wygodnie urządzić za dożywocie, a co do Ciebie, to mógłbyś zamieszkać w Paryżu, na swoim.

Jeżeli chodzi o mnie, nie ma najmniejszego zmartwienia. Dział tu, jutro tam, gdziekolwiek — taki jest los żołnierza. Całkiem możliwe, że zostanę wysłany do Afryki. Nic, tylko wciąż popadam w długi, gdziekolwiek jestem; lepiej będzie się stąd zmyć. Nie mów tylko ani słówka mamie. W każdym razie zobaczymy się, zanim wyjadę.

Gdyby mama i Isabella pojechały do Wersalu, to mam nadzieję, że zamieszkają same, z dala od ciotki. Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, by mieszkać z nią razem. W każdym razie nie zniósłbym myśli, że Isabella znalazła się w rękach tych wszystkich klasztornych pobożniś. Gdyby ciotka została tutaj, w Chalons, o miesiąc dłużej, doprowadziłaby mnie do obłądu. I chociaż jestem jej wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiła, to przez tę nieustanną pobożność trudno z nią długo wytrzymać.

A czy ty, staruszkule, sądzisz, że mógłbyś żyć w Paryżu na własny koszt? Jestem pewien, że tak, ale co byś właściwie robił? Jeśli chcesz sprzedawać obrazy, to mógłbyś zacząć od malowania portretów olejnych albo miniatur.

Przy okazji: ciotka może dostać kredyt w Wersalu, ile tylko zechce — tak jest tu znana. Ale tak między nami, teraz już będzie mniej wyrywna, bo przecież wszystko, co dla nas robiła, robiła przez wzgląd na naszego biednego ojca.

Mama mogłaby wynająć miły, mały, umeblowany apartament z ogrodem dla Isabelli, za czterysta czy pięćset franków. Życie nie byłoby takie drogie. Cokolwiek się stanie, błagam Cię, dopilnuj, żeby nie mieszkały razem z ciotką. Często słyszałem, jak plotkuje z matką przełożoną. Chociaż nie mam prawa tak mówić, nie zniósłbym, gdyby Isabella została katoliczką. Jestem pewien, że postąpisz właściwie. Biedaku, co za straszna odpowiedzialność! Dbaj o naszą biedną matkę i siostrę i niech Ci starczy odwagi, by sobie z tym wszystkim poradzić. Zawsze Cię uważałem za najlepszego ze wszystkich, jakich znam.

Eugene

P.S. Na litość Boską, nie mów nigdy ciotce, że tata zmarł bez ostatnich sakramentów; ona by tego nie zniósła.

Wziąwszy pod uwagę to, co Louise robiła dla swego chrześniaka od najmłodszych lat, niektóre zdania tego listu wydają się świadczyć o niewdzięczności. Ale przecież Gyggy miał dopiero dwadzieścia lat i traktował ową pomoc jako rzecz naturalną. Przesadnie religijna sześćdziesięcioletnia dziewczyna nie jest wszak idealnym kompanem dla roztrzepanego, lekkomyślnego młodego wojaka. Niewątpliwie biedna Louise była bigotką, a sztuczne, wyizolowane życie w klasztorze nie poszerzyło jej horyzontów.

W każdym razie list brata utwierdził Kicky'ego w przekonaniu, że nie należy przenosić siostry do Wersalu. Zostało więc postanowione, że Isabella zostanie w Londynie, przynajmniej na razie. Państwo Wightwickowie oświadczyli, że z największą przyjemnością się nią zaopiekują, zatem rzecz cała była już ustalona.

Likwidacja domu przy Wharton Street 44 przebiegła po-myślnie. Ellen i Isabella udały się do Milford na lipiec i sierpień, Kicky zaś wsiadł na statek do Boulogne na London Bridge, o czym marzył tak często w ciągu owych sześciu długich lat

wygnania w Pentonville. Matka dała mu dość pieniędzy na życie do września, kiedy to miała przyjechać do Paryża.

Kicky udał się do dawnego mieszkania ojca w Faubourg Poissonniere. Było małe i ciasne, na trzecim piętrze, nad tanią modystką, ale nie dbał o te wszystkie niewygody. Odczuwał tak wielką radość z powrotu do Paryża, że mógłby spać nawet w kostnicy. Znajomy zapach uderzył go w nozdrza, gdy tylko wyszedł na brzeg w Boulogne: woń cykorii i sera, białego pyłu nad kocimi łbami, tytoniu i pieczonego chleba. Bagażowy w spłowiałej niebieskiej bluzie i czapce z daszkiem, który wiozł jego rzeczy, wydał mu się starym przyjacielem, prawie krewnym. Kicky pragnął uścisnąć rękę owemu człowiekowi, zapytał go o rodzinę i ile ma dzieci — tak był podniecony powrotem do domu.

A potem zadymiony, duszny pociąg wjechał na peron w Paryżu — był tam ten sam hałas, co dawniej, to samo nieopisane zamieszanie: wszyscy krzyczeli na głos, a parowóz dyszał i parował parą; ten sam gruby handlarz sprzedawał owoce, których nikt nie kupował. Kicky zalał się łzami. Na placyku stały fiakry; konie miały absurdalne *chapeaux de paille* na łbach. Grubi *cochers* z czerwonymi policzkami spali na koźle, osłonięci kawałkiem gazety przed słońcem. Kicky zostawił bagaż w przechowalni i wskoczył do omnibusu na rogu ulicy.

Była *beure de l'apentif* i większość mieszkańców Paryża odbywała swój popołudniowy spacer na bulwarach albo siedziała na tarasach kawiarni. Kicky'emu zdawało się, że zna ich wszystkich i wszystkich ich kocha: *pere de famille*, z okrągłą twarzą, trzymał dziecko na każdym kolanie, karmiąc oboje ciężkostrawnym makaronem; ich piersiasta matka natomiast rozprawiała ze swadą o niczym ze swą sąsiadką, wymachując tłustym palcem. Chudy ksiądz w czarnej sutannie spoglądał ukradkiem wokoło znad brewiarza; brodaty patriarcha czytał od deski do deski swą wieczorną gazetę, kiwając przy tym z namaszczeniem głową, a w kącie wesołe towarzystwo grało w domino. Kicky widywał ich wszystkich albo im podobnych tysiące razy. Spotykało się tych ludzi na każdej ulicy i w każdej kawiarni. Zastanawiał się, jak mógł tak długo mieszkać w Lon-

dynie, z dala od tej przyjaznej, swojskiej atmosfery — jak to możliwe, że nie zachorował ani nie zwariował, ani też nie skończył do Tamizy.

Kilka pierwszych dni spędził na odwiedzaniu starych miejsc. Niektóre z nich zmieniły się w ciągu jego sześćdziesięcioletniej nieobecności. Na przykład Pension Froussard była teraz szkołą żeńską; sam budynek miał zostać w przeciągu roku rozebrany, aby zrobić miejsce dla większego gmachu. Sam Monsieur Froussard przebywał gdzieś w Midi, Kicky napisał do niego, ale nie otrzymał odpowiedzi. Pojawiła się także budowla w zaczerpniętym ogrodzie w sąsiedztwie ich starego domu o zielonych okiennicach, przy rue de Passy, i Kicky ledwie go rozpoznał.

Te zmiany przynębiły młodzieńca i kiedy opadł pierwszy entuzjazm, poczuł się samotny. Samotne życie w Paryżu to zupełnie co innego niż we własnym domu, z rodziną. Dawniej miał jakiś ustalony porządek dnia — posiłki o stałych porach, towarzystwo kolegów i zwyczajna krzątania; pogodna, monotonna egzystencja. Teraz był młodym, samotnym mężczyzną bez pieniędzy i zajęcia. Z lekkim ukłuciem rozczarowania stwierdził, że nie ma co ze sobą zrobić. Jego szkolni koledzy powyrastali i rozproszyli się po całej Francji. Nawet konsjerż z apartamentu przy rue du Bac już nie żył, a właściciel sklepu spożywczego przy końcu ulicy nie poznał Kicky'ego.

Czyżbym ja jeden na świecie miał długą pamięć? — myślał z goryczą. Zrobił długi spacer z Bois aż do St. Cloud i każde drzewo, każde źdźbło trawy przypominało mu przeszłość, która odeszła na zawsze. Była tam długa aleja, gdzie papa urządzał im obu wyścigi. Nadal sterczał tam korzeń, o który się potykali nieostrożni biegacze; on także się potknął, gdy miał osiem lat. Może inni chłopcy także się tu ścigają.

Była i polana, gdzie urządzili sobie piknik z okazji urodzin mamy, a Isabellę uządłiła pszczoła. Ujrzał nagle okrągłą, dziecienną buzię siostry skrzywioną do płaczu. Gyggy zrobił z dziecinnie fikołków, żeby rozśmieszyć małą, a po tym wyczynie wymiotował pod drzewem. „Za dużo ciasta ze śliwkami”, oznajmiła mama surowo, ale Kicky wiedział, że to od fikołków. Szedł tak znajomymi ścieżkami: błąd, chudy, młody mężczyzna

0 szerokich, przygarbionych ramionach, z rękami w kieszeniach, i zastanawiał się, co się stało z owym chłopcem. Zdawało mu się, że tamten biegnie przy nim niczym mały duch.

Oczywiście złożył obowiązkową wizytę ciotce Louise. Płakała nad nim, całowała go i mówiła, że bardzo przypomina jej ojca. Wyglądała o wiele starszej i dość smutno. Po raz pierwszy uderzyło go to, jak samotne wiodła życie. Była przygarbiona i usztywniona przez reumatyzm, a peruka rzucała się w oczy o wiele bardziej niż kiedyś. Kicky poprosił ciotkę o rady w związku z malowaniem — od czego najlepiej zacząć. Wiedział, że sama z powodzeniem rysowała kiedyś kwiaty. Louise poradziła mu, żeby postarał się o pozwolenie kopiowania dzieł w Luwrze.

Kupił więc ogromne płótna i otrzymał studencką przepustkę. Wziął się za jeden z najtrudniejszych obiektów w Luwrze — grupę aniołów niosących do nieba świętą. Oczywiście zrobił najgorszą kopię pod słońcem, a ludzie podchodzili, zaglądali mu przez ramię i robili obraźliwe uwagi.

Ogromnie zniechęcony, opuścił budynek i poszedł do kawiarni się napić, paląc przy tym niezliczoną ilość papierosów. A kiedy wrócił do pustego domu w Faubourg Poissonniere, kto rozwalił się na jego łóżku w butach z ostrogami, jeśli nie niezrównany Gyggy, który właśnie przyjechał z Chalons *en permission!*

Kicky od razu zapomniał o malowaniu. Poszli razem, ramię w ramię, na znakomity obiad po franku od osoby. Po namyśle kupili bilety na balkon do Opery Komicznej. Jak dobrze było znowu zobaczyć Gyggy'ego. I na Jowisza, jak on urósł, jaki z niego kochany, piękny chłopak, prawdziwy pożeracz serc w mundurze! Wszystkie dziewczęta nań zerkały. Pełen radości i swawoli jak zwykle, rozśmieszał brata do rozpuku. Ale powiedzonka miał wprost niewiarygodne, używał mnóstwa slangowych określeń i Kicky ledwie mógł go zrozumieć, bo oczywiście rozmawiali po francusku.

Gyggy prawie zupełnie zapomniał angielskiego i stał się typowym zawodowym żołnierzem. Kicky miał spore obawy, że matka będzie się go jeszcze bardziej wstydziła. Dobrze, że nie

przyjechał na pogrzeb, bo z pewnością zdjąłby mundur na taką ceremonię, jeśli było to dozwolone, i przywdział cylinder i surdut, w czym wyglądałby okropnie — zupełnie jak portier albo właściciel zakładu pogrzebowego i z pewnością nie sprawiałby wrażenia dżentelmena.

Biedny, roztrzepany, beztroski Gyggy! Trudno jest być kapralem w armii francuskiej i nie załatywać sianem, stajnią i koszarami. W każdym razie jest przednim kompanem, a mieli co wspominać i o czym opowiadać po upływie tych długich sześciu lat.

Powiedział, że z łatwością dostał *permission* na przyjazd do Paryża, a teraz, gdy Kicky się tu osiedlił i mama przyjeżdża w przyszłym miesiącu, zaczną się często widywać i będzie jak za dawnych czasów.

Kiedy Gyggy wrócił do Chalons po trzech dniach spędzonych w Paryżu, Kicky przestał już czuć się samotny. Radosny i szczęśliwy, gotów był zabrać się sumiennie do malowania. W tej szczęśliwej chwili spotkał kogoś, kogo poznał na University College w Londynie i kto przyjechał do Paryża z tym samym celem, co on — żeby studiować malarstwo.

Znajomy ów zaprowadził Kicky'ego do studia Gleyre'a na rue Notre-Dame des Poitrons St. Michel. Kicky został studentem, wraz z jakimiś trzydziestoma czy czterdziestoma innymi młodymi ludźmi. Płacił dziesięć franków miesięcznie studentowi-seniorowi za prawo korzystania ze studia i modeli, dodając do tego kwotę na „poczęstunki” — ciasto i poncz rumowy, co w sumie wynosiło trzydzieści — czterdzieści franków. Sam Monsieur Gleyre przychodził raz w tygodniu i poświęcał każdemu studentowi kilka minut — czasem dziesięć czy dwanaście najbardziej obiecującym. Te piątkowe poranki były wielkimi chwilami w życiu młodych adeptów sztuki; każdy w napięciu i podnieceniu oczekiwał, że właśnie dziś wielki człowiek go wyróżni.

Gleyre był uczniem Delaroche'a, a studio hołdowało tradycji klasycznej: liczyła się linia i forma, kolor zaś grał mniejszą rolę w porównaniu z dokładnością rysunku. Kicky pracował pilnie, na ogół pierwszy przychodził i ostatni wychodził. Kiedy

pod koniec września przyjechała matka, zastała go pełnego entuzjazmu do nowego zajęcia. Ściany mieszkania oblepione były aktami i nagimi torsami we wszystkich możliwych pozycjach.

Kicky zapuścił małe wąsiki i nosił dość długie włosy. Był bledszy i chudszy niż zazwyczaj, palił dużo, o wiele za dużo, co mu nie wychodziło na zdrowie — a biały popiół z cienkich, czarnych cygar obsypywał jego aksamitną marynarkę.

Miał licznych kolegów rozmaitej narodowości; wszyscy zachowywali się miło i poufale wobec niego, zwracali się doń „Kicky” i prosili, by śpiewał, rysował karykatury albo się z nimi boksował czy pływał po Sekwanie.

Ellen była zdziwiona, widząc syna otoczonego tylu młodymi ludźmi; wcześniej w Londynie nie wydawał się zbyt towarzyski. Czuła macierzyńską dumę, że jest tak popularny. Wydawał się szczęśliwy i zadowolony; nie miał już tego zmartwionego, napiętego wyrazu twarzy, jak w Pentonville, kiedy to obawiała się o jego przyszłość. Bez wątpienia znalazł wreszcie swe powołanie. Szkoda tylko, że tyle pieniędzy zostało niepotrzebnie zmarnowanych na jego naukę chemii.

Kicky wychodził do studia codziennie rano po śniadaniu i pracował tam do dwunastej. U Gleyre'a studiowali ludzie w różnym wieku: od siwowłosych sześćdziesięciolatków, którzy kopiowali starych mistrzów przez całe życie z niezwykłą starannością i precyzją, nigdy nie posuwając się naprzód — po dziewiętnastolatków, którzy przychodzili po prostu dla zabawy. Wielu oczywiście traktowało swą pracę poważnie i ci pracowali naprawdę ciężko, a potem zdobywali sławę zarówno w Anglii, jak i Francji. O dwunastej robiono przerwę na ciastka i poncz. Był to zawsze czas kawałów i żartów wszelkiego rodzaju, zabawy i kpiny. Hałas panował wtedy okropny. Zawsze dochodziło do bójki początkowo między dwoma przeciwnikami, zakończonej ogólną bijatyką wszystkich studentów. Farby, pędzle i sztalugi latały w powietrzu, łamano krzesła, a podium dla modeli było zdobywane łzami i krwią.

Nowego ucznia traktowano bez litości; musiał okazywać respekt i posłuszeństwo wszystkim, gdyż inaczej wynoszono go na podwórko i wsadzano pod pompę. Szczęściem Kicky'emu

na wkupne kazano zaśpiewać, co zrobił z takim wdziękiem i czarem, że zyskał głośny aplauz i bisował. Później traktowany był już z najwyższym szacunkiem.

Kicky czuł się, jakby jego egzystencja w Londynie należała do kogoś zupełnie innego; ponury deszcz w Pentonville, obskurny dom przy Wharton Street 44 i laboratorium na Barge Yard odeszły w przeszłość.

Jakże odległe wydawało się teraz Milford, wuj George i piękna Georgie. Ze śmiechem i wzruszeniem ramion słuchał, jak opowiadała o nich mama, co często robiła. Wujek wciąż był o Kicky'ego zazdrosny; zawsze robił surową i nieprzychylną minę, kiedy ktoś wymieniał jego imię. Georgie natomiast zaniedbywała haniebnie swego synka; Ellen nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała ją wchodzącą do pokoju dziecinnego w ciągu tych całych trzech miesięcy, gdy były z Isabella w Milford. Biedne dziecko wyciągało do niej rączki i prosiło, by się z nim pobawić, bo „mamusia nigdy tego nie robi”. A jaki tam luksus! Na pewno George'a na to nie stać. Gdy w Penbroke był bal, Georgie okazała się najlepiej ubraną kobietą na sali, a zjawiło się tam osiemset osób!

Mama gawędziła i zrządziła, krytykując wszystko i wszystkich. Wyglądała zupełnie jak czarownica ze swym spiczastym podbródkiem. A Kicky rysował z wyobraźni główki pięknej, młodej kobiety w swoim szkicowniku, pokrywając dywan białym popiołem z cygara.

Większość jego przyjaciół wynajmowała pokoje w Hotelu Corneille obok teatru Odeon — w wielkim, zniszczonym budynku z prawie osiemdziesięcioma apartamentami. Kiedy matka pojechała z wizytą do ciotki, Kicky przyłączył się do swych kompanów i ucztowali do wczesnych godzin porannych.

Do jego najlepszych przyjaciół należeli Tom Armstrong, o dwa lata starszy, który malował już od kilku lat, oraz Szkot Lamont — szorstki, z kostycznym poczuciem humoru. Dalej następował Rowley, świetnie zbudowany olbrzym, o czułym sercu dziecka, którego doprowadzało do wściekłości, gdy ktoś obraził jego kolegów. Byli też Poynter i Aleco Ionides oraz ponury, lekko zwariowany Jimmy Whistler, z długimi, ciemnymi lokami, wielki pozer — nawet jak na owe czasy.

Radosne, szczęśliwe dni w Dzielnicy Łacińskiej zostały opisane przez Kicky'ego ponad trzydzieści lat później w powieści *Trilby*. Rowley to w książce Taffy, a Lamont — Laird. Tom Armstrong, najlepszy przyjaciel, nie występował tam wcale i kiedy powieść się ukazała, udawał bardzo obrażonego. Główny bohater, Mały Billee, miał wiele cech psychicznych autora, ale w żadnym razie nie był jego portretem. Podobny był natomiast faktycznie do artysty Freda Walkera, który nigdy nie należał do paryskiej grupy, Kicky poznał go wiele lat później w Londynie. Słynna pracownia, w powieści dzielona przez trzech przyjaciół: Taffy'ego, Lairda i Małego Billee, istniała naprawdę przy rue Notre-Dame des Champs pod numerem 53. Tom Armstrong, Poynter, Lamont i Kicky objęli ją w posiadanie od Nowego Roku 1857. Kicky i Lamont korzystali ze studia Gleyre'a rano, a po południu szli do własnego, gdzie czekali już pozostali przyjaciele. Armstrong i Lamont sypiali tu, a Kicky oczywiście mieszkał razem z matką w Faubourg Poissonniere.

Pani Vinot, konsjerżka, ukazana jest w *Trilby* jako Madame Vinard. Kicky zadał sobie niewiele trudu, żeby zmienić nazwisko. Zrobił z niej w książce wielką postać.

O tytułowej Trilby mówiono zawsze, że jest to czysty wytwór wyobraźni. Z pewnością ani Armstrong, ani Lamont, gdy po latach ich o to pytano, nie przypominali sobie żadnego pierwowzoru tej postaci, który by odpowiadał jej opisowi w książce. Jednak Felix Moscheles, późniejszy przyjaciel Kicky'ego, z którym był w bardzo zażyłych stosunkach w Antwerpii, w rok czy dwa po Dzielnicy Łacińskiej, bardzo żywo wspominał zachwycającą, czarującą córkę właściciela trafiki z Malines, Carry, której obaj młodzieńcy byli oddanymi wielbicielami. Ona z pewnością ma coś wspólnego z Trilby. I, co bardziej prawdopodobne, jej obraz zachował się w pamięci Kicky'ego, który, pisząc swą powieść, odgrzebał go, nadał mu blask, upiększył i tchnął weń własny czar. I tak narodziła się Trilby — irlandzka olbrzymka w wojskowym płaszczu, z rozburzonymi włosami i uroczymi stopami w męskich trzewikach.

Czy Carry z Malines, ukazana jako Trilby, paliła cygara

i śpiewała jak bogini — tego Felix Moscheles nie powiedział. W owym czasie obaj on i Kicky, zajmowali się hipnozą, co sprawiło, że Kicky stworzył postać mistrza Svengalego. Można jednak bez obaw przyjąć, że ani Trilby, ani jej realny pierwowzór nie przestąpiły progu pracowni przy rue Notre-Dame des Champs, która była przeznaczona wyłącznie dla mężczyzn: znajdowały się tu nawet florety do szermierki i rękawice bokserskie. Rowley przychodził ze swego mieszkania na północnym brzegu Sekwany i ćwiczył cichutko z hantlami, podczas gdy inni pracowali. Po czwartej czy piątej pędzle i sztalugi odkładano na bok i wówczas boksowali się i uprawiali szermierkę, a Kicky grał na wypożyczonym pianinie. Wprawdzie umiał grać tylko jednym palcem, ale śpiewał słodkim tenorem, jak ojciec; gdy przyjaciele zmęczeni się boksowaniem, gromadzili się wokół niego, żeby posłuchać.

Wstępowali do nich inni koledzy — palili, pili, rozsiadłszy się na podłodze, a kiedy Kicky już dość się naśpiewał jak na jeden wieczór, ktoś inny zajmował jego miejsce, on zaś sięgał po szkicownik i szybko rysował ich portrety z głowami odrzuconymi do tyłu i z otwartymi ustami. Wzdychał trochę nad niedorzeczną popularnością owych szkiców i żałował, że nie odnosi takich sukcesów w malarstwie olejnym, jak w karykaturze.

Przyjaciele nazywali się Bractwem Naszey Pani Pól i Łąk; Kicky porobił wszystkim mikroskopijne rysunekzki piórkiem i atramentem, które przyczepiono do ściany obok floretów i rękawic bokserskich. Lamont — albo „Tammie”, jak go zawsze nazywano — ukazany został śpiący na łóżku ze stosem poduszek pod głową; zgarbiony Tom Armstrong spacerował z laską kulejąc, bo dopiero co wyzdrowiał po ataku gościa stawowego. Brodaty Poynter kołysał się przy pianinie w rytm „Ah! che la morte” z „Trovatore”, a Aleco Ionides malował fajkę, zaś sardoniczny Jimmy Whistler, z tłustymi włosami, uśmiechał się cynicznie do siebie, opierając nogi o gzymś kominka.

Siebie samego Kicky przedstawił na wysokim stołku, przy sztaludze — w pozycji, w której rzadko go widywano, zdaniem przyjaciół; jasnobrązowe włosy opadają mu na twarz i zamiast palić jak zwykle cygaro, trzyma fajkę.

Było to próżniacze, miłe i zabawne życie; zdawało się, iż nie wymaga żadnego wysiłku. Czasami gotowali sobie obiad w studiu — kotlety smażyli na patelni umieszczonej na górnej powierzchni pieca. Kicky, którego wysyłano, by kupić żywność, zawsze czegoś zapomniał, pogubił kartofle na ulicy lub też stłukł butelkę z winem.

Przeważnie jednak jadali w małej kafejce na rue de Vaugirard, w pobliżu Odeonu. Jej właściciel nie zwracał uwagi na hałas, jaki robili. Pili *vin a seize* (po szesnaście sous za litr); dużo było śpiewów i śmiechu, aż wreszcie, ziewając, wracali do łóżek po północy, szczęśliwi bez powodu. Cudowne Boże Narodzenie, ze wspólną kolacją w pracowni, zostało opisane w całości w *Trilby*, prawie bez upiększeń, łącznie z tym, jak przyjaciele wysłali do Anglii zamówienie na kosz dobrych wiktuałów, a paczka przyszła dopiero o dziewiątej wieczorem, kiedy to już wszyscy umierali z głodu. W pracowni nie było ani kawałka miejsca, całe pomieszczenie zapełnione było studentami. Gyggy też tam się znajdował, oczywiście, *en permission*, i jak zawsze, był duszą towarzystwa.

Co to było za przyjęcie! Indyk i szynka, parówki i *pate de foie gras* i galaretki, i *patisseries*, a najlepsze i najdroższe ze wszystkiego było angielskie piwo butelkowe. Po kolacji każdy występował. Rowley pokazywał ćwiczenia z hantlami, Tammie Lamont — taniec z mieczem, a nieposkromiony Gyggy rujnował dom tańcząc kankana. Hałas był ogłuszający, zwłaszcza gdy zaczęto odgrywać walkę kogutów. Pojawił się *Sergent de ville* protestując, że słyhać ich po drugiej stronie rzeki i nikt nie może spać. Namówiono go do wypicia drinka, a potem czegoś mocniejszego i zanim się zorientował, co się dzieje, był tak wstawiony jak cała reszta; siedział na podłodze, walcząc jako kogut z Gyggym.

Zabawa trwała do ósmej rano. Kicky był tak zmęczony, że na Champs-de-Mars w drodze do domu, zasnął z kapeluszem zsuniętym na tył głowy, zgubiwszy swój kołnierzyk i krawat.

Szczęśliwie się złożyło, że matka spędzała święta z ciotką Louise w Wersalu! Jej powitanie byłoby z pewnością dość chłodne, gdyby otworzywszy drzwi, ujrzała swego zrównowa-

żonego i obowiązkowego syna zaczerwienionego i chwiejącego się na nogach.

Kicky bawił się lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Wciąż śpiewał, dopóki nie runął na łóżko na twarz:

*Fi! de ces vins d'Espagne,
lis ne sont pas faits pour nous.
C'est le vin a quatre sous
Qui nous sert de Champagne...*

14

Całą zimę i wiosnę Kicky spędził pracowicie w studiu Gleyre'a, doszedł jednak do wniosku, że nie robi wystarczających postępów.

Życie w Paryżu było cudowne — w gruncie rzeczy zbyt cudowne, żeby je tracić na sumienną pracę; spędzane z przyjaciółmi długie, radosne popołudnia i wieczory w pracowni nie sprzyjały poważnym studiom. Za dużo było śpiewu i muzyki, za dużo szermierki i boksu oraz pustej paplaniny. Kicky dobrze wiedział, że jeśli chce coś w życiu osiągnąć, musi zerwać z ową atmosferą łatwizny i lenistwa. Wielu kolegów z tej dzielnicy, którzy, tak jak on, zaczęli z zapałem, po czterech czy pięciu latach nie posunęło się ani o krok do przodu właśnie z powodu owego rozprężenia. Nosili długie włosy, dłuższe nawet niż potrzeba, nie dbali specjalnie o mycie czy czyszczenie paznokci, a ich aksamitne marynarki były kiepskiej jakości i zakurzone. Trzymali się w grupkach po czterech czy pięciu, więcej czasu spędzali w kawiarniach niż w studiu, a chociaż wszyscy rozprawiali o „sztuce”, nikt nigdy nie widział ich prac poza niechlujnymi szkicami na kawiarnianych obrusach. Łatwo było stać się jednym z nich.

Pod koniec kwietnia Kicky wziął się w garść i postanowił to zmienić.

Ktoś mu powiedział o akademii w Antwerpii, w owym czasie pod dyrekcją De Keyseña, gdzie nauczycielem malarstwa był

dobrze znany wielu angielskim i amerykańskim miłośnikom sztuki Van Lerijs. Nauczano tam w sposób rozsądny i praktyczny, nie tak jak w *ateliers* Gleyre'a. Kolor uważany był za ważniejszy od formy. Kicky czuł się już nieco znudzony tradycją Gleyre'a, uznał więc akademię za właściwe miejsce dla siebie. Przedyskutowali ten projekt z matką, która nie wyraziła sprzeciwu wobec perspektywy zmiany mieszkania. W Antwerpii można żyć równie tanio, jak w Paryżu, a nawet taniej. Wiele rzeczy ją interesowało: obrazy, budowle, kościoły. Louis-Mathurin, biedaczysko, podróżował tam wiele razy w interesach i zawsze wychwalał to miasto.

Zaproponowała, żeby Kicky pojechał najpierw sam, by spróbować życia na własną rękę, i przekonał się, czy mu się tam spodoba i czy będzie chciał tam mieszkać. Ona tymczasem uda się do Anglii, do Milford, spotka się z George'em w sprawach finansowych i zobaczy się z Isabella. Mogłaby tam nawet zostać ze trzy miesiące, latem w Milford jest cudownie.

Tak więc na początku maja Kicky udał się do Antwerpii i został studentem tamtejszej akademii. Pracował o wiele ciężiej niż w Paryżu, wstawał wczesnym rankiem i malował od szóstej do ósmej, potem jadł śniadanie i wypijał filiżankę kawy i znowu pracował od dziewiątej do dwunastej. Tani obiad w jednej z małych knajpek i znowu praca po południu — przeważnie kopiowanie mistrzów z galerii.

Wieczorem chodził na spacer wzdłuż nabrzeża albo fortów, palił olbrzymie ilości cienkich, czarnych cygar, w końcu zaś kładł się do łóżka i czytał przed snem.

Z początku tęsknił za przyjaciółmi z rue Notre-Dame des Champs i trzymał się na uboczu, ale niebawem zaprzyjaźnił się ze studentem z akademii, który przypadkiem również był dawnym uczniem Gleyre'a. Nazywał się Felix Moscheles. Był pół-Niemcem pół-Rosjaninem, prawdziwy kosmopolita. Oprócz tego, że malował, był również świetnym muzykiem. Niesforne, ciemne loki przeważnie związywał opaską, zrobioną szydełkiem, i nosił obszerną robotniczą bluzę we wszystkich kolorach tęczy, na której z tyłu nagryzmolił rozmaite obce słowa.

Jego powierzchowność zafascynowała Kicky'ego, który miał zawsze w pogotowiu ołówki do rysowania karykatur. Już podczas ich pierwszej rozmowy Moscheles dostrzegł błysk uznania w oku nowego kolegi i zauważył, że tamten rysuje coś na obwolutie książki. Wyrwał mu rysunek z rąk i ujrzał swoją podobiznę, mocno przerysowaną i bardzo zabawną. Od tej chwili zostali przyjaciółmi.

Karykaturą Kicky zajmował się oczywiście tylko dla zabawy, pracą na serio było malarstwo olejne. Niecierpliwy z natury, zabrał się z zapałem do malowania grupy naturalnej wielkości: matki-wieśniaczki z dzieckiem w ramionach. Dzieło to zdradzało pewien talent autora, który miał ambicję, by malować arcydzieła i tematy wymagające olbrzymich płócien. Kicky czuł się jednak zniechęcony, nie robiąc tak szybkich postępów, jak jeden czy dwóch innych studentów — choćby Alma-Tadema czy Heyermans.

Był jednak przeświadczony, że jeśli będzie pracował wystarczająco pilnie, jego pracowitość zostanie wynagrodzona. Wstawał więc jeszcze wcześniej i kładł się spać później, nie oszczędzając się wcale.

Stał się bledszy i szczuplejszy niż w Paryżu, jadł niewiele i palił za dużo. Mieszkając sam w dusznym, małym pokoiku nad placem targowym, nie miał oczywiście pojęcia, jak należy o siebie dbać; odżywiał się niewłaściwie i o nieodpowiednich porach. A kiedy kładł się do łóżka o późnej godzinie, dawno po północy, nie mógł zasnąć przez kuranty, które zegar wydzwaniał co kwadrans. Lato było niezwykle upalne, Antwerpia w sierpniu nie była przyjemnym miejscem.

Gdyby zrobił sobie wakacje albo gdyby była z nim matka, prawdopodobnie nie doszłoby do tragedii. Gdyby nie podejmował tak intensywnego wysiłku, uniknąłby strasznego ciosu, jaki spadł nań z nienaacka.

Kicky nie zdawał sobie sprawy, że jest przemęczony, nie uświadamiał sobie, iż ustawił poprzeczkę za wysoko. I tego właśnie sierpniowego poranka, kiedy wybrał się jak zwykle do akademii, był może szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu. Nie miał żadnych zmartwień; otrzymał od matki dość pieniędzy,

by nie żyć w ubóstwie; znalazł wielu przyjaciół i uwielbiał swoją pracę.

Pełen był ufności we własne siły, podobnie jak jego ojciec przed trzydziestu laty na początku swej drogi. Miał taką samą wiarę w siebie, tę samą ufność w potęgę, której nie nazywał Bogiem, ale która była połączeniem prawdy i sprawiedliwości. Podobnie jak Louis-Mathurin, nie wyznawał żadnej religii. Kościół to tylko piękna budowla, interesująca jako muzeum sztuki, a nie miejsce kultu.

Modlitwa wydawała mu się czymś niezrozumiałym. Było coś służalczego w klęczeniu i proszeniu o łaskę. Jedyna dopuszczalna modlitwa to prośba o odwagę albo umiejętność rezygnacji, bo była skierowana do wewnątrz i odwoływała się do tego, co w nas najlepsze.

Gdy Kicky był mały, ciotka Louise próbowała go nakłonić do modlitwy przed posiłkami, ale odmówił twierdząc, że nie ma za co dziękować Bogu, skoro tylu jest chłopców, którzy nie mają co jeść. Oczywiście należałoby się z nimi podzielić, ale uznał, że jest zbyt samolubny, żeby to zrobić.

Jedynym grzechem jest okrucieństwo, a prawdomówność i dobroć są najwyższymi cnotami. To bardzo proste credo wystarczało mu w życiu.

v

Tak żarliwy ateista jak Kicky powinien być silny i dzielny, kiedy nadchodzą kłopoty, a on nie miał obu tych cech. Był wrażliwy, trwożliwy i młody. Dlatego okazał się bezbronny, gdy ugodził go cios.

Tego ranka siedział wraz z innymi studentami, malując z natury głowę starego człowieka, kiedy nagle zorientował się, że źle widzi: głowa mężczyzny zmalała do rozmiarów szpilki. Kicky zasłonił ręką lewe oko i obraz wrócił do normalnych rozmiarów, ale kiedy zamknął prawe oko i spojrzał w stronę modelu tylko lewym, nie widział w ogóle nic — nawet kolegów siedzących obok.

Czekał nieruchomo przez pięć minut czując, że robi mu się słabo. Pot wystąpił mu na czoło, dłonie stały się wilgotne. Zmęczenie ostatnich kilku tygodni, te bóle głowy, które nachodziły go nocą, odpędzając sen — teraz zrozumiał, co to

wszystko znaczy i co mu zagraża. Traci wzrok. Nie widzi już na lewe oko.

Musiał zrobić się blady i zapewne wyglądał dziwnie, bo Van Lerijs, nauczyciel, podszedł i zapytał, co się stało i czy czasem nie jest chory.

Kicky wymruczał jakieś przeprosiny, a potem zebrał swoje rzeczy, wstał i wyszedł ze studia. Spacerował godzinami wzdłuż nabrzeża w dusznym skwarze dnia. Nic ani nikogo nie widząc, patrzył przed siebie i tylko jedna myśl przebiegała mu przez głowę: „Tracę wzrok. Już nigdy nie będę mógł malować.”

Była już piąta, gdy wrócił do domu znużony i nieszcześliwy. Miał się spotkać z Moschelesem i jeszcze dwoma innymi kolegami w kawiarni, ale nie był w stanie tam iść. Siedział na łóżku, patrząc przed siebie na pustą ścianę. Potem postanowił udać się do Van Lerijsa i poprosić go o radę. Odrzucił cygaro, wstał i wyszedł. Odwiedził nauczyciela w jego prywatnym mieszkaniu.

Van Lerijs okazał mu wiele sympatii i zrozumienia. Podał adres najlepszego okulisty w Belgii i radził zaraz do niego napisać i poprosić o konsultację. Może to całkiem błaha sprawa, a nie jakaś poważna choroba. Nie wolno mu się martwić. Oczywiście muszą wypocząć. Niewątpliwie za jakiś tydzień Kicky wróci do akademii.

Kicky wyszedł, podniesiony na duchu. Odnalazł w kawiarni kolegów, którzy obstąpili go, poklepując po ramieniu i nalewając drinki. Bliski łez, Kicky pomyślał, że niezależnie od tego, jak będzie z jego wzrokiem, przyjaźń to jedyna rzecz, jaka się liczy.

Po trzech dniach dostał wiadomość od okulisty, który wyznaczył mu wizytę. Pojechał do Louvain, bardzo zdenerwowany, z trzęsącymi się kolanami.

Wielki człowiek wykonał rozmaite badania tajemniczymi przyrządami, aż w końcu oznajmił mu, że nie ma się czym przejmować. To tylko przekrwienie siatkówki. Zalecił jakieś krople do wpuszczania do oka rano i wieczorem i poradził, by pacjent wyjechał na parę tygodni nad morze, a pod koniec miesiąca będzie zdrowy.

Wziął olbrzymie honorarium — całe oszczędności biednego

Kicky'ego z ostatniego miesiąca — i życzył mu pomyślności. Doznawszy wielkiej ulgi, młodzieniec poszedł do najbliższej drogerii, kupił lekarstwo oraz niebieskie okulary. Postanowił jechać do Blankenberghe — wioski położonej nad morzem, niedaleko Ostendy.

Przebywał tam przez miesiąc. Bujał w obłokach, nie odzywając się do nikogo, i przyglądał się szczęśliwym rodzinom mieszczańskim na dorocznych wakacjach. Chociaż zakrapiał lekarstwo do oka rano i wieczorem, jak mu zalecił okulista, i nosił niebieskie okulary, nie odczuwał żadnej poprawy, a raczej nawet lekkie pogorszenie.

Wrócił do Antwerpii pod koniec miesiąca w nadzwyczaj ponurym nastroju i znowu skonsultował się z okulistą. Tym razem lekarz stwierdził lekkie odklejenie siatkówki. Kicky musi porzucić myśl o powrocie do pracy i poświęcić się kuracji. Musi się konsultować z lekarzem co najmniej raz na tydzień, używać nadal kropli i robić okłady w domu, a także przejść na dietę. Należy pogodzić się z myślą, że w mniejszym czy większym stopniu, zostanie inwalidą w najbliższej przyszłości.

Kicky natychmiast napisał do matki w Milford i przekazał jej te wieści. W dzień czy dwa po otrzymaniu listu Ellen przyjechała do Belgii.

Przeżazona była wyglądem syna. W kwietniu zostawiła go szczęśliwego, zadowolonego, w doskonałym zdrowiu, myślącego o wstąpieniu do akademii w Antwerpii, a teraz, we wrześniu, zaledwie w pięć miesięcy później był chudy, bladej jak duch, wymizerowany — kłębek nerwów. A co najgorsze, prawie całkiem ślepy na jedno oko.

Oczywiście obwiniąta siebie. Nigdy by się tak nie stało gdyby to ona nim się zajmowała. Wszystko to wynikło z nie-dbalstwa. Gadała, piekliła się, awanturowała, a Kicky znosił jej zrzędenie z bladym uśmiechem; był zbyt przygnębiony, by się sprzeciwiać. Natychmiast zaczęła szukać mieszkania w rozsądnej odległości od okulisty i niedaleko Antwerpii. Znalazła apartament w sennym, dość ponurym miasteczku Malines, godzinę jazdy pociągiem z Antwerpii.

Mieszkanie składało się z salonu, sypialni dla niej i Isabelli,

która miała przyjechać później, oraz sypialni dla Kicky'ego. Opłata wynosiła trzydzieści siedem franków miesięcznie. *Femme-de-menage*, która mieszkała naprzeciwko, przychodziła codziennie „robić dla nich”. Ellen płaciła jej sześć franków miesięcznie, bez wyżywienia, chociaż służąca bez wątpienia wyjadała wszystkie resztki, jak pisała Ellen w liście do Louise. Te kobiety wszystkie są takie, kradną na prawo i lewo. Jednakże żyło się tu o wiele taniej niż w Antwerpii i powietrze było dobre. A Kicky będzie się mógł spotykać z przyjaciółmi, kiedy tylko zapragnie.

Nie był u okulisty, odkąd ostatnio do Ciebie pisałam — zwierzała się w liście do szwagierki — bo nie ma żadnej poprawy, ale musi już iść w przyszły piątek, czy będzie lepiej czy nie. Pójdę z nim zaprotestować przeciwko zapisywaniu mu tych wszystkich leków. Lepiej już stracić oko, wciąż mu powtarzam, niż zrujnować sobie zdrowie, tak jak on to nieustannie robi. Jeśli zaś chodzi o jego pracę, to porzuciłam już wszelką nadzieję, że Kicky kiedykolwiek znów będzie malował.

Nie mówiła tego synowi, ale on myślał tak samo, wyczuwał także litość w głosie i wyrazie twarzy przyjaciół, chociaż udawali wesołość, żartowali i snuli plany związane z jego powrotem do akademii.

Najbardziej w owym czasie Kicky lękał się współczucia. Chciał, by go traktowano tak, jakby nic się nie stało. Mimo głębokiej rozpacz, nie okazywał swych uczuć kolegom. Kiedy Felix Moscheles albo jeden czy dwóch innych przyjaciół jeździli do Malines, zastawali go w świetnym humorze; gawędził, plótł głupstwa i kpił ze swej tragedii, rysował własne karykatury z przepaską na oku i laską, kuśtykającego nad rynsztokiem w poszukiwaniu odpadków.

Był wzruszająco szczęśliwy na ich widok i oczywiście chłonał wieści o akademii. Kiedy przychodziła pora złapania pociągu powrotnego do Antwerpii, odprowadzał gości aż do stacji i stał tam, oparty plecami o barierkę, póki ostatni wagon nie zniknął. Wydawał się taki samotny i opuszczony, gdy tak stał

ze zwieszonymi ramionami, lekko przygarbiony, w ciemnych okularach osłaniających oczy. Przyjaciele, współczując mu głęboko, klęli i bluźnili; domyślali się bezmiaru jego cierpienia, wobec którego czuli się bezsilni.

A Kicky, przygnębiony, wracał samotnie do domu cichymi ulicami Malines, gdzie trawa porastała kocie łby, a jedynymi mieszkańcami byli księża o ponurych twarzach. Było to miasto kościołów. Kicky'emu wydawało się, że na każdej ulicy znajduje się kościół. Jeszcze nigdy nie udało mu się minąć żadnego, żeby nie zobaczyć przed nim karawanu z parą czarnych koni w łopoczących na wietrze pióropuszech. Nieliczne kawiarnie miały wygląd pełen pokory i nikogo nie kusiły. Cała okolica zaś była nieciekawa i monotonna. Chodziło się całe mile i żaden ptak nie wzniósł się w niebo, żeby rozprostować skrzydła. Drogi obramowane były po obu stronach topolami i ciągnęły się bez końca donikąd. Niebo wiecznie pozostawało zachmurzone, wiał wschodni wiatr.

Gdyby Ellen przeszukała całą mapę Europy, nie znalazłaby bardziej przygnębiającego miejsca na przystań dla swego ślepnącego syna.

Wieczorami, po skromnej kolacji, siadali w pogrążonym w ciemnościach kąciku ponurego, małego salonu, a Ellen czytała głośno — przeważnie powieści Thackeraya i George'a Eliota w wydaniu Tauchnitza. Kicky palił swe czarne cygaro, w wyobraźni rysując postać pięknej Beatrix, jak schodzi po schodach, z zapaloną świecą nad głową, w *Esmondzie*.

Mijały długie zimowe miesiące. Na Boże Narodzenie przyjechała Isabella — bardzo ładna i szczupła, dość nieśmiała, niezbyt swobodna wobec studentów z Antwerpii, którzy odwiedzali jej brata. Ale kiedy siadała do pianina, zapominała o nieśmiałości. Tom Armstrong, który wpadł z krótką wizytą z Paryża, stracił dla niej głowę i wyjeżdżał niechętnie. Był jednak zaledwie bardzo młodym studentem sztuki, Ellen zatem nie przywiązywała wielkiej wagi do tej cielejącej miłości. Również Isabella nie okazywała, że ją odzwajemnia.

Szkoda, że jest taka nieśmiała i skrepowana wobec płci przeciwnej — wdychała jej matka. — Jest biedna, więc może się

zdać tylko na swój czar. Obawiam się, że będzie miała trudności ze znalezieniem męża.

To w liście do Louise, kiedy Isabella wróciła już do Anglii.

Do końca roku skończy naukę i będzie czas najwyższy zdecydować o jej przyszłości. Wightwickowie są bardzo uprzejmi, na razie więc jest zabezpieczona.

Życie w Malines toczyło się tak jak przedtem. Kicky'emu robiono okłady na chore oko i zakładano opatrunki. Odczuwał znaczny ból, więc spróbował szczęścia u innego okulisty. Ten powiedział pacjentowi, że jego poprzednik jest szarlatanem i na niczym się nie zna, jednak on sam go wyleczy. Przez kilka tygodni Kicky w to wierzył i sądził, że jest poprawa, ale niestety poczuł się jeszcze gorzej niż dotychczas i w przypływie rozpaczycy wrócił do pierwszego lekarza.

Tej wiosny wiały najzimniejsze wiatry; jedynymi ludźmi w Malines były starsze panie i księża. Kicky rysował w wyobraźni głowy młodych kobiet i tęsknił za prawdziwą dziewczyną z krwi i kości. Za kimś o miękkich dłoniach i łagodnym głose.

Najbliższa ideału wydawała się Octavie, której on i Moscheles nadali przezwisko „Carry”. Sprzedawała tabakę w małym sklepiku w pobliżu jednego z kościołów. Jej ojciec był organistą, który zostawił żonę prawie bez pieniędzy. Dziewczyna miała dziewiętnaście czy dwadzieścia lat, szopę brązowych włosów i niebieskie, ciekawe spojrzenie. Obaj, Kicky i Felix, przysięgli jej wierność.

Kiedy nie miał nic lepszego do roboty — a niewiele mógł zdziałać w owym nieszczęsnym roku 1858 — chodził do trafik i siedząc na ladzie i machając nogami, rysował Carry. Czasem jej śpiewał, czasami z nią tylko rozmawiał. Cokolwiek robił, dziewczyna szeroko otwierała oczy i uśmiechała się do niego; była bezceremonialna, otwarta i obojętna w owym cudownym stylu bohemy. Moscheles przyjeżdżał w weekendy i obaj prowadzili gwałtowne dyskusje na temat tego, którego z nich woli Carry, ale nigdy nie zapadła ostateczna konkluzja.

Moscheles z pasją i entuzjazmem zajął się hipnozą. Urządzał nawet seanse przed publicznością i mruczał dziwaczne zaklęcia, inscenizując rozmaite eksperymenty. Udało mu się raz spowodować, aby mały flamandzki głuptas uwierzył, iż je pudding, podczas gdy w rzeczywistości był to klucz do drzwi — tych w saloniku na zapleczu trafiki, gdzie czarująca Carry sprzedawała cygara wielkiemu panu z Malines. Kicky był pod wrażeniem i sam zapragnął uczyć się magii, ale Moscheles twierdził, że to dar szatana.

Próbowali hipnotyzować Carry, lecz bez żadnego efektu; dziewczyna tylko się śmiała i wyglądała jeszcze bardziej ponętnie niż zazwyczaj.

W owym czasie szkicownik Kicky'ego pełen był portretów Carry. Pisał także wiersze — zupełne bzdury — o sobie i Felixie rywalizujących o jej względy i o tym, jak ona poślubia jednego z nich, kochając równocześnie drugiego.

Carry rzeczywiście musiała być pierwowzorem postaci Trilby, co do tego nie ma wątpliwości. Miała takie samo poczucie koleżeństwa, ten sam chłopiący czar, cechowała ją ta sama zabawna, płochliwa rezerwa. Kicky wchłonał ją, nie zdając sobie z tego sprawy, tak jak wchłonał zabawę w hipnozę w tym samym czasie, i obie rzeczy stały się gdzieś na dnie jego pamięci jednością. Zapomniał o wszystkim w ciągu owych prawie czterdziestu lat, a potem napisał *Trilby* i w wieku sześćdziesięciu lat zrobił furorę.

Carry i Felix Moscheles byli jedynymi ludźmi, którzy uczynili mu znośnym ponury rok 1858. Później, po latach, Kicky uznał go za najnieszczęśliwszy okres w swoim życiu. Nawet jałowe dni w Pentonville wydawały się w porównaniu z nim jaśniejsze. Wówczas przynajmniej był zdrowy i miał dobry wzrok. Teraz okazało się, że nie ma nadziei na uratowanie lewego oka: odkleiła się siatkówka. Tuż przed Bożym Narodzeniem okulista orzekł, że istnieje prawdopodobieństwo, iż prawe oko zostanie również zaatakowane. Kicky nie czuł się na siłach znieść tego strasznego ciosu.

Widział siebie bezradnego, z rozpostartymi rękami, prowadzonego niczym małe dziecko. Mógł dożyć późnego wieku i stać

się ciężarem dla krewnych i przyjaciół. Zastanawiał się, kto będzie się nim zajmował po śmierci matki. Może Isabella poświęci dla niego własne życie i stanie się biedną, zgorzkniałą starą panną, szukającą pociechy w religii, tak jak ciotka Louise. Zamieszkają na stałe gdzieś w małym miasteczku, jak Malines, bo nie będzie ich stać na nic więcej.

A lata będą płynęły i wyzwolenie nigdy nie nastąpi.

Zdawało mu się, że jedyna możliwość, jaka mu pozostała, to zabić się teraz, aby nie cierpieć już bardziej i nie stać się ciężarem dla innych. Przez całą drogę powrotną do Malines, w wolno jadącym pociągu, obmyślał swój plan. Wiedział, skąd wziąć cyjanek potasu: jeden z lokatorów ich domu był fotografem-amatorem i miał ów środek. Jeśli rozpuści się trochę w odrobinie wody, byłby to bardzo prosty sposób odejścia z tego świata. I czysty — nie to, co skok z dachu czy rzucenie się pod pociąg.

Jedna czy dwie osoby by go żałowały — pewnie Moscheles i Tom Armstrong, i może jeszcze biedna Carry. Matka miałaby z początku złamane serce, ale wkrótce by się z tego podniosła. Tyle w nim pokładała nadziei, że odniesie sukces jako wybitny malarz, a tymczasem był niczym. Jako bezużyteczny ślepiec, nie mógłby zarobić ani grosza, a byłby od niej zależny na każdym kroku, nawet przy przechodzeniu z pokoju do pokoju.

Wysiadając z pociągu, czuł się zgorzkniały i bardzo stary. O wiele starszy niż był. Szedł ponurymi ulicami Malines, żegnając się z nimi w myślach bez żalu. Wkrótce straci świadomość. Nie martwiło go całkowite unicestwienie, gdyż oznaczało brak bólu. Otworzył sobie drzwi i wszedł do domu. Miał nadzieję, że wślizgnie się do sypialni niepostrzeżenie, ale matka słysząc jego kroki, zawołała go do salonu.

— Dobre wieści od Isabelli — powiedziała. — Wierzę, że rzeczywiście może coś być w tym, co pisze. W każdym razie warto spróbować.

Siedziała przy kominku, czytając list przy dopiero co zapalonej lampie. Kicky czekał w półmroku w drzwiach.

— Posłuchaj — ciągnęła. — Isabella pisze, że pani Wightwick pewnego dnia w pociągu — pewnie wracała z Folkestone —

wdała się w pogawędkę z jakąś damą, która właśnie wracała z wizyty u słynnego niemieckiego okulisty z małej wioski w pobliżu Dusseldorfu nad Renem. Owa dama powiedziała jej, że jest to najlepszy okulista na świecie i że przyjeżdżają do niego po poradę chorzy z Indii, Ameryki, Londynu, Paryża — z całego świata. Był u niego nawet Rotszyld i świętej pamięci biskup Londynu. Ona sama została całkowicie wyleczona dzięki jego kuracji, chociaż nie mówiła, co jej dolegało. Tego lata przybyło doń dwa tysiące pacjentów; większość z nich to Anglicy. To tylko pół dnia podróży z Dusseldorfu i co więcej, w samym Dusseldorfie jest świetna szkoła malarstwa. No, co o tym sądzisz?

Spojrzała na syna z triumfem. Kicky wszedł do pokoju i ukląkł obok niej na podłodze. Dotknął listu Isabelli jak cześć drogocennego; było to cofnięcie w ostatniej chwili wyroku śmierci.

— Oczywiście nie możemy udawać się w taką podróż bez konsultacji z wujem George'em — mówiła dalej Ellen. — Nie sądzę jednak, żeby w takim przypadku odmówił nam zaliczki. Z pewnością wyleczył się już z tej swojej bzdurnej zazdrości.

Jakaś miniatura spadła jej z kolan.

— Co to jest? — spytał Kicky, podnosząc obrazek i obracając go w palcach.

— Portret Emmy Wightwick, który Isabella dołączyła do listu. Pisze, że podobieństwo jest zadziwiające. Muszę przyznać, że Emma wyrosła na piękną pannę, zupełnie niepodobną do swoich rodziców.

Kicky trzymał miniaturę w dłoni. Z owalnej ramy spoglądała nań śliczna twarz: delikatna i szczupła, z lekko wystającym podbródkiem. Dwoje ogromnych, ciemnych oczu patrzyło rozumnie, poważnie i spokojnie, a równocześnie z taką słodyczą i łagodnością, że zapominało się o ich mądrości, a myślało jedynie o czułości. W zestawieniu z jasną cerą wydawały się prawie czarne. Twarz obramowana była gęstymi, czarnymi włosami, spiętymi na czubku głowy i odsłaniającymi małe uszy.

Kicky przypomniał sobie długonogą pensjonarkę wymachującą tornistrem z książkami, wysoką i prostą jak chłopak, która

z chłopięcą, przyjazną ciekawością dotykała szczupłą, brązową rączką szkiełek i mikstur w jego laboratorium. Ile mogła mieć lat? Dwanaście czy coś koło tego. Teraz musi mieć około osiemnastu. Jest już dorosła; z pewnością wielu adoratorów przesiaduje w saloniku jej matki.

Odłożył miniaturę na krzesło, ale oczy dziewczyny wciąż spoglądały nań z ciekawością, jakby robiły mu wyrzuty i ganiły go za tchórzostwo. Wchodził do tego pokoju z mocnym postanowieniem, że tej nocy się zabije, a tym samym uwolni świat od swej bezużytecznej egzystencji. A teraz oto owa stanowcza decyzja uległa zachwianiu nie tyle z powodu listu od Isabelli i odkrycia okulisty-cudotwórcy z Dusseldorfu — bo Kicky nie wierzył już w lekarzy — ale na widok twarzy tej dziewczyny, która patrzyła nań z ufnością i wdziękiem. Zaskoczyła go jej godność. Przypomniwał sobie, że zawsze tkwiła w zakamarkach jego pamięci, w sercu, już jako dwunastoletnia dziewczynka.

15

Wiosną 1859 roku w rodzinie du Maurierów nastąpiło wiele zmian. Pierwszą było wstąpienie Gyggy'ego do szkoły kawalerii w Saumur; dwuletnią naukę tutaj uważano za wielki zaszczyt. Istniała nadzieja, że zacznie wreszcie traktować życie serio, w każdym razie nie prosił ostatnio o pieniądze, chociaż niewątpliwie sakiewka ciotki Louise zawsze pozostawała dla niego otwarta.

A był już taki okres, tuż po tym jak lewe oko Kicky'ego odmówiło posłuszeństwa, kiedy Gyggy ze zwykłym sobie brakiem taktu, w najmniej odpowiednim momencie napisał, że znowu ma długi i nawet prosił matkę o pomoc. List, jaki otrzymał w odpowiedzi, nie był zachęcający. W gruncie rzeczy przeraził lekkoducha tak bardzo, że nie odzywał się już później przez kilka miesięcy. Jedyne wiadomości o Kickym i jego niespodziewanym nieszczęściu czerpał od ciotki Louise.

Przyjęcie Gyggy'ego do szkoły kawalerii do tego stopnia przywróciło go do łask, że matka wspominała o nim w rozmowach, nadmieniając niedbale, że jej drugi syn dobrze sobie radzi we francuskiej armii. Nie ma potrzeby dodawać, że wciąż był tylko kapralem i raz czy dwa stracił szansę na awans ze względu na złe zachowanie.

Isabella także zmieniła miejsce pobytu, gdyż otrzymała posadę guwernantki u dużej rodziny z mnóstwem dzieci, na wsi koło Windsoru. Jej pracodawcą był zamożny przedsiębiorca

budowlany. Wszyscy zachowywali się bardzo uprzejmie i traktowali ją z szacunkiem, co prawdopodobnie miało związek z brzmieniem jej nazwiska. Panna Isabella Busson du Maurier — to bardzo dużo jak na guwernantkę.

To za dużo dla kogokolwiek. Zatem właścicielka owych nazwisk opuściła „Busson” i uprościła imię na „Isobel”, ku niezadowoleniu swej rodziny. Teraz już nawet w połowie nie była tak oryginalna. Ale właściwie to jej sprawa. Nazwała się „Isobel” i Isobel miała już pozostać w przyszłości. Wightwickowie czuli się nieszczęśliwi, rozstając się z wychowanką, a Emmie tak było nudno bez jej towarzystwa, że rodzice musieli ją wysłać z wizytą.

Ostatni rok upłynął bardzo przyjemnie dla dziewcząt. Nauka w szkole się skończyła, a pan Wightwick był człowiekiem towarzyskim i lubił rozrywki. Zabierał dziewczęta na bale, koncerty i przyjęcia, na których dobrze się bawiły. Za dobrze, uznała Ellen, dowiedziawszy się o owych przyjęciach z listów Isobel. Wyglądało na to, że Wightwickowie nigdy nie spędzali wieczorów w domu. Nie jest to wcale dobry przykład dla młodych dziewcząt. Ulżyło jej, kiedy znaleziono Isobel posadę guwernantki. A wszystko dzięki uprzejmości pułkownika Greville'a! Był to prawdziwy przyjaciel domu. Nawet jeśli George narzekał na sytuację w Milford, Ellen była pewna, że nie ma w tym winy pułkownika.

W każdym razie Isobel pojechała do Windsoru wczesną wiosną i przysłała Kicky'emu bardzo zabawną relację z pierwszego wieczoru.

Jej chlebowoza zabrał ją od Wightwicków wytwornym faetonem, zaprzężonym w dwa wspaniałe konie. Emma nie powinna się niepokoić, uprzedzała Isobel, jeśli kiedyś przyjedzie po nią karawanem. Została zatem umieszczona wygodnie z tyłu i konie ruszyły rączym kłusem, przy lamentach Wightwicków.

Przedsiębiorca budowlany opowiadał dużo o jej przyszłym domu, który nazywał się „Biały Dwór”, Isobel spodziewała się więc czegoś w rodzaju pałacu, a okazało się, że jest nieduża, pobielana wapnem willa, na dodatek okropnie umeblowana. Isobel, zdrętwiała i skostniała od jazdy, została wprowadzona

do środka i przedstawiona pani domu — uprzejmej, szczerzej i macierzyńskiej niewieście, zupełnie przytłoczonej doniosłością faktu posiadania „panny Buson du Mure” jako guwernantki. Podopieczna Isobel, Milly, dziewczynka siedemnastoletnia, i Tom, dziewięcioletni chłopak wydawali się sympatyczni i przyjacielscy. Guwernantkę zaniepokoił nieco fakt, że dwoje pozostałych dzieci, dziewczynki — jedenastoletnia i siedmioletnia, są suchotniczkami i wcale nie mają lekcji.

Po obfitym podwieczorku, składającym się z herbaty, szynki i jajek, Isobel poproszono, żeby coś zagrała i zaśpiewała, z czego wywiązała się doskonale zdaniem obojga chlebobawców.

Traktowali ją cały czas z wielkim respektem, co było dość krępujące. Pan domu wstawał z fotela i ustępował jej miejsca, jego żona zaś prosiła usilnie, by myła twarz w maślanecy, żeby sobie nie zepsuć tak cudownej cery twardą wodą.

Oboje mają bzika na moim punkcie — pisała Isobel do brata — więc traktuję to mycie w maślanecy jako obowiązek. Ich uprzejmość jest przytłaczająca, ale padam jej ofiarą, bo owa dama jest strasznie gadułą i ciągle mówi podczas lekcji muzyki swej córki.

Powiedziała mi, że znają cały elegancki świat w Anglii, nie wspominając już o zagranicznych rodzinach królewskich. To dość szczególne, ale ich salon nie jest nawet w połowie tak miły jak nasz przy Wharton Street 44. Zapomniałam Ci powiedzieć, że dzieci mnie uwielbiają i nigdy nie zostawiają samej. Milly lubi mnie prawie tak samo jak Emma. Nie wątpię, że utylam po tym wszystkim, czym mnie tu karmią, nie mówiąc już o szklaneczce portera w porze lunchu i kolacji!

Nic na to nie poradzę, że jestem tym wszystkim trochę rozczarowana — ludźmi i stylem tego domu, chociaż pocieszam się faktem, że zarabiam gwineę tygodniowo.

Ellen zmarszczyła brwi, kiedy Kicky pokazał jej ten list. Wcale nie była pewna, czy pochwała taki ton. Frywolne i źle napisane. Zupełnie nieodpowiedni dla rozsądnej, poważnej, młodej kobiety. Była przeświadczona, że ci ludzie są dla Isobel

uprzejmi, ale wyglądało na to, że nie ma tam szansy nawiązania odpowiednich znajomości: jej chlebodawcy są, jacy są. Wydaje się, niestety, że to sklepikarze. Pułkownik Greville mógł okazać więcej przezorności. Oczywiście pan Wightwick także ma sklep na Bond Street, wszyscy to wiedzą; to niepokojące, że Isobel jest tak zaprzyjaźniona z Emmą. Ale w dzisiejszych czasach wszystko się zmieniło i trudno powiedzieć, kto jest z towarzystwa, a kto nie.

— Nie podoba mi się, że twoja siostra przebywa w domu, w którym są suchoty — oświadczyła Ellen. — Nigdy nie miała dobrego zdrowia. Dziwię się, iż pułkownik Greville polecił jej taką pracę.

— Żebracy nie mają wyboru, mamusi — zauważył Kicky.

— Z pewnością nie upadliśmy jeszcze tak nisko — odparła Ellen, urażona. — Isobel zawsze może mieszkać ze mną, dopóki nie wyjdzie za mąż. A jeśli spotka ją najgorsze i nie znajdzie sobie męża, może zarabiać na życie graniem. Rozmawiałam kiedyś o tym z ciotką Louise. Była trochę zaszokowana, ale w końcu uznała, że występowanie publicznie jest tak samo godne szacunku, jak nauczanie. Powiedziałam, że Isobel niekoniecznie musi występować; może dawać lekcje. Tak czy owak, zobaczymy. Skoro nie zależy jej na zostaniu u tych ludzi, będę się starała zabrać ją do nas. Zapewne łatwiej jej będzie znaleźć odpowiedniego męża, kiedy pojedziemy do Dusseldorfu.

Kicky wcale nie był tego taki pewny. Z tego, co słyszał, w Dusseldorfie można napotkać ubogich studentów sztuki, takich jak on sam i jego przyjaciele, oraz trywialnych niemieckich księży, którzy spędzają całe dni na jedzeniu, piciu i zabawach. Nie należy się raczej spodziewać, że i jedni i drudzy czekają, aby móc się oświadczyć młodym, ubogim angielskim damom.

Od Bożego Narodzenia nie nastąpiła żadna większa zmiana, jeśli chodzi o jego oczy — ani na lepsze, ani na gorsze. Jednak wiele osób opowiadało o cudownym niemieckim okuliście, że teraz nawet Kicky zaczął w niego wierzyć.

Wuj George, z którym się skonsultowano, był łaskaw przyspieszyć wypłatę kwartalnej dywidendy. Droga ciotka Louise z niezawodną hojnością wysłała im małe kieszonkowe na podróż.

Tak więc późną wiosną Kicky wraz z matką pożegnali senne, ponure Malines, z jego rzędem zakurzonych topoli i księżmi o smutnych obliczach, i udali się w stronę Dusseldorfu nad Renem.

Ledwie dotarli na miejsce i wysiedli z pociągu, Kicky poczuł, że będzie tu szczęśliwy. W atmosferze tego miasta była jakaś pogodna wesołość, która od razu uderzyła mu do głowy. Na każdej ulicy znajdowała się mała, wesoła knajpka; każda oryginalna na swój sposób i przyjazna, jak we Francji. Były też piwiarnie w ogródkach. Wszędzie tańczono i śpiewano.

Były tam wzgórza i lasy, i przede wszystkim — srebrny Ren, błyszczący wśród drzew.

Zatrzymali się na nocleg w niewielkim, tanim hoteliku. Następnego dnia Kicky udał się do położonego nieopodal Grafath, na konsultację do sławnego okulisty, podczas gdy Ellen szukała mieszkania do wynajęcia.

Grafrath była to mała atrakcyjna wioska, zawdzięczająca swe powodzenie znanemu na całym świecie okuliście, który urządził tam sobie gabinet. Na miejscu Kicky zastał wielu Anglików i Amerykanów, którzy już byli albo mieli być na konsultacji u słynnego lekarza-cudotwórcy. Kicky przyjechał o dziesiątej, ale nie został przyjęty przed czwartą po południu. Był pod wrażeniem tego człowieka — szybkie dłonie, bezpośredni sposób bycia i biegłość w swej sztuce.

Okulista powiedział mu szczerze, że lewe oko jest już stracone na zawsze, lecz stan zapalny minie i ból ustąpi. Jeśli zaś chodzi o prawe, to nie ma powodu, żeby nie miało mu służyć do końca życia pod warunkiem, że będzie o nie dbał. Sześć do dziewięciu miesięcy kuracji w Grafrath — i Kicky będzie całym innym człowiekiem!

Najważniejsze ze wszystkiego było jednak to, że lekarz pozwolił mu zacząć malować. Nic nie stoi na przeszkodzie, uznał. Dopóki jest dobre światło i nie za wiele godzin dziennie. Będzie to nawet z korzyścią dla pacjenta, jeśli czymś się zajmie. W Dusseldorfie działa dobra szkoła malarstwa. „Ja sam zamówię u pana portret” — powiedział ów cudowny mały człowieczek.

Kicky wracał więc do Dusseldorfu wniebowzięty.

Ellen znalazła mieszkanie na Schadowstrasse 84, na drugim piętrze, przyjemne i czyste, ale cena po Malines wydawała się ogromna, nawet jeśli wliczona w nią była obsługa. Posiłki przysyłano z pobliskiej restauracji za rogiem. Gospodynią była Angielka, wdowa po oficerze marynarki, lokatorzy także okazali się Anglikami. To niezbyt dobrze, pomyślała Ellen, która chciała szlifować swój niemiecki, a teraz, z tymi wszystkimi Anglikami dookoła, nie miała z kim mówić w tym języku. Jednakże po początkowych narzekaniach, które nieuchronnie towarzyszyły każdej ich przeprowadzce, uspokoiła się w końcu.

Kicky natomiast cieszył się ze wszystkiego. Właśnie zaczął się sezon i miasto było takie pogodne, wesołe i zabawne po drętym Malines. Okulista dodał mu pewności siebie i już nie prześladował go lęk, że straci prawe oko. Zaprzyjaźnił się z innymi pacjentami, którzy przyjechali do Grafrath, przeważnie Anglikami, i tak jakoś, sam nie wiedząc kiedy, włączył się w nurt życia towarzyskiego, ocierając się o niemieckich książąt krwi i podejrzanym hrabiów, baronów, zubożałych kapitanów żyjących z renty, emerytowanych admirałów i pułkowników wszelkiej maści. Niektórzy z nich przyjechali tu na kurację, zaś inni dlatego, że Dusseldorf był modny w owym czasie. Niemal wszyscy uznawali Kicky'ego za czarującego, wspaniałego młodzieńca i bardzo utalentowanego rysownika.

Ich siostry i córki także uważały, że jest czarujący. Ten chudy, blady, prawie ślepy młody mężczyzna miał w sobie coś romantycznego; rysował pełne uroku, pochlebne portrety, mówił równie dobrze po angielsku, co po francusku, a przede wszystkim — śpiewał tak zachwycająco i z takim uczuciem.

Naprawdę miło spędzili to lato w Dusseldorfie — wycieczki do lasu i nad Ren, pikniki i przejażdżki przy księżycu, to i owo, aż dziw, że nikt nie stracił głowy.

Kicky wysyłał siostrze tak wspaniałe relacje, że Isobel doszła do wniosku, iż żywot guwernantki w domu przedsiębiorcy budowlanego jest naprawdę nudny. Tak nudny, że obawiała się zrujnować sobie zdrowie. Dom był niski, powietrze wilgotne, no i skoro dwójka dzieci cierpiała na suchoty, to i ona z pew-

nością się ich nabawi — pisała do Dusseldorfu z taką emfazą, że Ellen zarządziła natychmiastową ewakuację, z zastrzeżeniem, iż córka pozostała część lata spędzi z wujem George'em w Milford i przyjedzie do nich na jesieni. Było to dokładnie to, czego pragnęła Isobel. Pożegnała się z chlebobawcami bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Pod koniec lata Kicky czuł się już na tyle dobrze, że zaczął znowu malować. Pracownię z pięknym widokiem na Spertzen Garten dzielił ze Szwedem Hunzikenem. Wracał do domu codziennie na obiad o pierwszej, co psuło mu rozkład dnia, ale Ellen zażądała, by się właściwie odżywiał, więc był posłuszny. Życie w pracowni toczyło się wesoło i przypominało szczęśliwe dni paryskie. Kicky i Hunziken stali się doskonałymi przyjaciółmi: pracowali, **śpiewali**, palili i kłócili się od świtu do zmierzchu. Kiedy robiło się za ciemno, by pracować, przychodziło kilku kolegów, tak jak na rue Notre-Dame du Champs. Po dyskusji i ocenie prac Kicky'ego i Szweda całe towarzystwo ruszało na kolację do gospody i tam dalej rozprawiano o sztuce.

Modelom trzeba było sporo zapłacić, często więc przyjaciel, który nie miał akurat nic lepszego do roboty, zgłaszał się na ochotnika do pozowania. Kicky miał zatem dużo pracy i nosił się nawet z zamiarem wzięcia zimą udziału w wystawie.

Gdyby mu się powiodło, mógłby otrzymać zamówienie na portret, a jedno zamówienie pociąga za sobą następne. Gdyby zarobił chociaż dziesięć funtów, to już byłoby coś; mógłby mieć swój udział w wydatkach na życie i leczenie. Fatalnie znosił swą całkowitą zależność od skromnych dochodów matki.

Ellen bała się nawet pomyśleć, co by zrobili bez tego błogosławionego dożywocia. To były ich jedyne pieniądze na życie. Mimo ich haniebnego pochodzenia, mówiła sobie Ellen z zaciśniętymi ustami, stanowiły jedyny ratunek przed nędzą i głodem dla całej rodziny. Finanse George'a znowu były w opłakanym stanie — najwyraźniej w Milford często odbywały się przyjęcia. W dodatku on sam był ciężko chory — siedem tygodni w łóżku z zapaleniem płuc, tak że kiedy jesienią Isobel miała już przyjechać do Dusseldorfu, nie mógł pokryć kosztów jej podróży.

Ellen liczyła na to, że w końcu zapłaci, ale nie, nie mógł sobie na to pozwolić. Zmuszona więc była sama postać córce piętnaście funtów z październikowej dywidendy. Dziwiła się, że pułkownik Greville nie zaproponował, iż wyłoży ową sumę, przecież tak dobrze znał ich sytuację. Według Isobel nigdy nie zrobił najmniejszej nawet aluzji do tej podróży i na kilka dni przed wyjazdem dziewczyny do Niemiec spokojnie udał się do Brighton. A przecież jako kawaler mógł sobie na to pozwolić. Zawsze był taki czarujący wobec Isobel, że aż Ellen zastanawiała się czasami... Ale teraz nawet nie warto już o tym myśleć. Gdyby taki pomysł przyszedł mu do głowy, napomknąłby coś wcześniej.

Isobel wreszcie przyjechała — pisała Ellen do Louise w połowie października. — *Jestem zadowolona widząc w niej ogromną zmianę na korzyść w porównaniu z ostatnim pobytem. Pomyśl tylko: prawie dwa lata rozłąki! Cerę ma znacznie lepszą, jest rosta i postawna — nawet zbyt postawna jak na swój wzrost.*

Zdrowie zawsze miała delikatne, toteż widzę, że nigdy nie będzie mogła znosić trudów bycia guwernantką. Poza tym jest na to zbyt mało wykształcona. Nie, gdyby musiała polegać na własnych siłach, to powinna zwrócić się ku muzyce. Jej gra mnie zachwyca. Interpretacja jest naprawdę cudowna, chociaż Isobel nie ma za dużo praktyki. Jestem jednak całkowicie przekonana, że nie znajdzie się w całym Dusseldorfie lepszego nauczyciela niż ona. Zagrała mi bardzo trudny utwór na piętnaście stron z nut. Zapisałam ją do wypożyczalni muzycznej i ma teraz dwa nowe utwory dziennie.

Często ostatnio bywała w towarzystwie, w Milford i gdzie indziej. Maniery ma swobodne i wytworne, a co najważniejsze — umysł czysty jak wówczas, gdy po raz pierwszy wyszła spod skrzydeł matki. Mam do niej pełne zaufanie, nawet jeśli przebywa w otoczeniu wszystkich tych oficerów, a są to najwięksi w świecie flirciarze. Tak więc jest za co Bogu dziękować. Ciesz się dobrym zdrowiem i ma zdrowe zasady moralne, czegoż więcej może chcieć matka!

Rzeczywiście, czego? Poza znalezieniem jej męża. Czas pokaże, czy Isobel się poszczęści. Jej matka żywiła jednak pewne obawy. Przednie zęby dziewczyny nie wyglądały zbyt pięknie, Ellen obawiała się, że córka może je stracić — a i tak wystarczająco trudno wyjść za mąż, gdy ma się ładne zęby, a co dopiero ze sztucznymi!

Dziewczyna natomiast rzuciła się w wir uciech towarzyskich, nie myśląc wcale o przyszłości. Wkrótce na jej cześć wznosili toasty szarmanccy niemieccy książęta i ubodzy hrabiowie, z których żaden zdawał się nie zwracać uwagi na owe nieszczęsne zęby. Kicky nadal ciężko pracował cztery czy pięć godzin i nie czuł się zmęczony. Stan jego prawego oka się poprawił. Jak mówił okulista, w lewym wzroku już nie odzyskał.

Felix Moscheles wpadł kiedyś z krótką wizytą; siedzieli do późna, pili reńskie wino ze smukłych, zielonych szklaneczek, palili cygara i rozmawiali o biednej Carry, pozostawionej samej w ponurym Malines. Kicky przyznał się, że zaczął o niej pisać powieść, ale nie ma czasu dokończyć. Może to właśnie był pierwszy szkic *Trilby* i leży do dzisiaj gdzieś na dnie szuflady domu w Dusseldorfie...

Carry się zmieniła, mówił Felix potrząsając głową; obawiał się, że stacza się coraz niżej. A wszystko dlatego, że była zakonchana w jednym z nich, ale w którym — tego się nigdy nie dowiedzą. Kicky zaproponował, że wykona serię rysunków, na których przedstawi Felixa, jak wspiera Carry na ciernistej drodze życia. Nawet zaczął jeden czy dwa, ku zachwytowi przyjaciela, ale podobnie jak załączek powieści *Trilby*, tak i te szkice nigdy nie zostały dokończone. W Dusseldorfie zbyt wiele było atrakcji, by pamiętać o biednej Carry.

Isobel zaprzyjaźniła się z dwiema pannami Lewis, córkami generała Lewisa. Wkrótce stało się oczywiste, że starsza panna Lewis ceni sobie towarzystwo jej brata bardziej od innych. Kicky miał zawsze słabość do ładnych buzi, a panna Lewis była niezaprzeczalnie ładna, jak również bardzo wysoka — jeszcze jeden plus. Tak więc po skończonej pracy, odłożwszy pędzle i farby do jutra, Kicky chodził do Lewisów z matką i siostrą. Było tam trochę śpiewania i poczęstunek, i trochę porozumiewawczych spojrzeń między nim i panną Lewis.

Nie bardzo to ładne z jego strony, bo w najmniejszym stopniu nie czuł się w niej zakochany, a ona, biedaczka, brała to wszystko *au sérieux* i spodziewała się oświadczyń w każdej chwili.

Boże Narodzenie stało się pierwszym gwarnym, radosnym wydarzeniem od czasu owych wyjątkowych świąt w Dzielnicy Łacińskiej. Niemieccy książęta dołączyli do przyjęcia wieczornego, nadskakując Isobel, i Ellen cieszyła się, że jej dzieci są tak popularne i lubiane, ale była to radość połączona z nutką żalu, gdyż niemieccy książęta nie zaliczali się do tych mężczyzn, którzy się żenią.

Kolejny Nowy Rok — 1860. Kicky, wracając do domu po odśpiewaniu duetu ze starszą panną Lewis, nagle uprzytomnił sobie, że w marcu skończy dwadzieścia sześć lat, a wciąż nie jest bliższy sławy ani fortuny niż sześć lat temu.

Jaka czeka go przyszłość? Czy nie pora wreszcie zacząć poważnie myśleć o życiu? Okulista powiedział mu, że zachowa prawe oko, pod warunkiem, że będzie o nie dbał, więc nie miał po co dłużej pozostawać w Grafrath. Należało opuścić Dusseldorf, zanim stanie się próżniakiem i flirciarzem jak niemieccy książęta, i spróbować zarabiać na chleb rysowaniem. Zaczynał już pojmować, że nigdy nie będzie malarzem; nie robił większych postępów.

Omawiał tę sprawę z Tomem Armstrongiem, który właśnie wrócił z Algierii i któremu zaproponował spędzenie kilku miesięcy w Dusseldorfie przed powrotem do Londynu.

— Wiesz, stary — powiedział Kicky — pierwsze studia, jakie malowałem w Antwerpii, to Tycjan w porównaniu z tymi olejnymi paskudztwami, które produkują dzisiaj. Jeszcze trzy miesiące i koniec! Czy to z powodu braku jednego oka nie widzę efektu kolorystycznego, tak jak nie potrafię strącić korka z butelki?

— Powinieneś się zająć ilustracjami — namawiał go przyjaciel. — Jestem przekonany, że to twoje prawdziwe *metier*. Spójrz na to. — Przerzucił stary numer *Almanachu Puncha*. — Co sądzisz o tych rysunkach Charlesa Keene'a i Johna Leecha? Obaj są w zespole *Puncha*. Czy coś takiego nie odpowiadałoby ci bardziej niż to, co robisz teraz?

Kicky nie odpowiedział; zafascynowany przeglądał *Puncha*.

— Dlaczego nikt mi wcześniej nie mówił o tej gazecie? — zapytał podekscytowany. — To najlepsza rzecz, jaką widziałem. Na Jowisza, jak ci faceci rysują! Potrafię tak samo dobrze jak oni!

— Wierzę, że potrafisz, jeśli weźmiesz się za to, zamiast dalej malować. Wracajmy, Kicky, na wiosnę do Londynu i weźmy się wspólnie do rysowania. Marnujesz się w Dusseldorfie.

— Nigdy nie będę mógł iść w ślady Keene'a i Leecha — westchnął Kicky. — Nie jestem wcale zabawny, potrafię się tylko wygłupiać. Elegancki świat snobów, lokaje i ich chlebowdawcy, wszystkie te skarykaturowane postaci z *Puncha* są mi absolutnie nieznane. Nigdy nie obracałem się w wielkim towarzystwie, jak wiesz.

— Wkrótce będziesz się obracał, jeśli wrócimy do Londynu. Mogę cię wprowadzić, stary. Za trzy miesiące znajdziesz się wśród londyńskiej śmietanki.

— Widzisz mnie tam? Jedyne środowisko, jakie znam, to bohema, ta artystyczno-kosmopolityczno-kontynentalna masoneria. Angielska socjeta nie dba o nią w ogóle, nie interesuje się takimi, jak ty czy ja i cała reszta, którzy palą, popijają wieczorami kawę w kawiarniach i rozprawiają o odwiecznych problemach. Jestem niepoprawnym leniem, Tom, i na zawsze nim zostanę. Lubię takie próżniacze życie, towarzystwo równie leniwych jak ja angielskich dziewcząt — bo to wszystko jest cholernie łatwe i nie wymaga żadnego wysiłku.

— Zgnilizna, Kicky. Nie wierzę ci. Masz wielką ochotę stąd się wydostać i robić coś prawdziwego. Weź się w garść, stary, i oderwij się od tego wszystkiego.

— Tak uważasz? Nie mogę się zdecydować. Chodźmy do kawiarni spotkać się z kumplami.

Wstał, przeciągnął się i parsknął śmiechem na widok poczciwej miny przyjaciela. Niemądry, stary Tom, pewno nie ma o nim zbyt dobrej opinii. Poszli do kawiarni na rogu, ramię o ramię. Kicky śpiewał „Vin a Quatre Sous”, dziwiąc się, dlaczego nie jest tak szczęśliwy jak zazwyczaj.

W lokalu znajdowało się już sześciu czy siedmiu „kumpli”, którzy wzniesli okrzyki powitalne na cześć Kicky'ego. Był tam Best — nowy, serdeczny przyjaciel, i młody Bancroft, syn amerykańskiego historyka — Kicky ogromnie go polubił; był taki mądry, głęboki i szczery, i taki niepodobny do niego. Rozpoczęto śpiewy, rozmowy i żarty; toczyły się żarliwe spory na temat zasług angielskich pisarzy — Kingsleya i Carlyle'a.

Tę spokojną część spotkania zakłóciło hałaśliwe przybycie rudowłosego Szweda, z którym Kicky dzielił pracownię. Jego wejście zostało obwieszczane wywracaniem krzeseł i stołów, tłuczeniem szklanek i piskami całowanych dziewcząt. Nie liczył się z nikim i niczym, potrafił złapać jakiegoś, Bogu ducha winnego, zacnego, szarego „robaka”, popijającego sobie piwo w kąciku, i przerzucić go przez ramię wśród ryków radości wszystkich zebranych.

Wszystko to bardzo pięknie, pomyślał Tom Armstrong. Przyjemnie jest spędzać tak dzień po dniu, ale to prowadzi do nikąd.

Pomyślał o tych wszystkich szkicach i rysunkach, jakie oglądał w pracowni: każdy świadczył o niespospolitym talencie autora i żaden nie został ukończony.

— Czy kiedykolwiek coś skończyłem prócz cygar? — śmiał się Kicky; siadał do pianina i brzdąkał na nim jednym palcem.

Dał się nieść fali i jeśli pozwoli sobie na to dłużej, nie będzie w stanie niczego dokonać. Przydałoby mu się trochę siły woli i determinacji matki, myślał Tom. To Tatar, nie kobieta! Wszędzie wściubia nos, a wzrok ma sokoli. Nie zostawi go nawet na pięć minut sam na sam z Isobel...

Minęły jesień i zima, a Kicky nie dokonał niczego. Zaczął serię ilustracji do „Królewskiej idylli”, ale jak sam mówił, gdzie, u diabła, znaleźć w Dusseldorfie modele Lancelota i Ginewry?

Armstrong wciąż go namawiał do wyjazdu do Anglii, dokąd sam się wybierał w maju, ale Kicky wciąż nie mógł się zdecydować.

Wyglądało na to, jakby czekał, aż ktoś podejmie decyzję za niego. Brakowało mu inicjatywy. Nawet nie poradził się matki. Nie chciał wracać do Londynu; on i siostra mogą żyć tu o wiele

oszczędniej na Kontynencie. Tak więc projekt wciąż wisiał w powietrzu.

I oto tuż po Wielkanocy Kicky postanowił jechać do Anglii, na dobre i na złe. Decyzja owa dość osobliwie zbiegła się z faktem, że przyjaciele Isobel, Wightwickowie, którzy przebywali z wizytą w Dusseldorfie, mieli wracać do domu z początkiem maja.

Emma najpierw onieśmiałała trochę Kicky'ego. Była jeszcze piękniejsza niż na miniaturze, którą wciąż nosił w kieszonce kamizelki jak talizman, o czym nikt nie wiedział. Stała się wysoką, dorosłą kobietą; nie mógł już jej dokuczać jak wówczas, gdy była pensjonarką z mysim ogonkiem. Ale była również tak poważna, łagodna i czarująca, że niebawem zapomniał o nieśmiałości: pokazywał jej szkice, a nawet opowiadał o swych ambicjach — o czym do tej pory wiedział jedynie Tom.

O panie Lewis zupełnie zapomniał. Sprawilo to pewien kłopot siostrze i matce, które widywały się z Lewisami codziennie i zmuszone były przeproszać za niego, tłumacząc, że ciężko pracuje. Były zażenowane, gdy raz natknęły się na Kicky'ego później, po południu, gdy przechadzał się z Emmą i jej matką w ogrodach miejskich. Panna Lewis zrobiła się jasnorożowa i oznajmiła, że musi natychmiast wracać do domu.

Było to bardzo znamienne i Ellen zaczęła się nawet zastanawiać, czy jej syn przypadkiem nie zobowiązał się do czegoś. Ona i Isobel czuły się bardzo niezręcznie. To rzeczywiście bardzo uprzejmie ze strony Kicky'ego, że pokazuje Wightwickom uroki Dusseldorfu, ale dlaczego robi to sam. Mógłby przecież zabrać całe towarzystwo, włączając w to Lewisów.

Isobel sugerowała, że Kicky'ego pociąga Emma, co było oczywiście absolutną bzdurą. Przecież to jeszcze prawie dziecko. Miła, dobrze wychowana dziewczynka, ale absolutnie nie w jego typie. Co za głupi pomysł! Nie, Kicky jest nietaktowny i bezmyślny. Powinien najpierw poradzić się matki. Trzeba z nim o tym porozmawiać.

Zrobiła to, ale syn okazał się dziwnie obojętny. Wzruszył ramionami, kiedy robiła mu wyrzuty z powodu panny Lewis. Odparł, że nigdy o niej poważnie nie myślał, więc jak mógłby

jej coś obiecywać! Gdyby jednak z tego powodu miały wynikać jakieś kłopoty, będzie lepiej, jeśli się wyniesie z Dusseldorfu.

Rozmawiał poważnie z Tomem, który uznał, że to znakomita okazja, by przenieść się do Londynu. Gdyby go ktoś wprowadził do gazety jako ilustratora, mogłoby to oznaczać początek kariery. Może nawet zostałby współpracownikiem takiego pisma, jak *Punch*. Jeśli mama pożyczy mu dziesięć funtów, Kicky gwarantuje, że odda je w ciągu trzech miesięcy. Znajdzie sobie w Londynie tani pokój i będzie pracował do upadłego. Prawdę mówiąc, Wightwickowie proponowali, że go ze sobą zabiorą — wspomnieli im o swym projekcie — ale im odmówił. W każdym razie pani Wightwick uprzejmie obiecała zapraszać go na posiłki i mieć na niego oko.

Ellen najpierw nie wiedziała, co powiedzieć. Nie była pewna, czy to dobry pomysł. Pani Wightwick oczywiście ma bardzo dobre chęci, ale nie zastąpi Kicky'emu matki. Z drugiej strony widziała, że syn nie robi postępów, a teraz, gdy jego oczy nie wymagały już takich starań, marnuje tu tylko czas i pieniądze. Gdyby tak mógł utrzymać się sam, byłaby to wielka ulga — mogłaby więcej dać Isobel. Przecież to biedne dziecko powinno się ładnie ubierać, kiedy gdzieś wychodzi, bo jeśli nie będzie wychodzić, to jak znajdzie męża?

Jeśli chodzi o Gyggy'ego, nikt nie spodziewał się od niego pomocy. Sam zaledwie może się utrzymać w Saumur, więc nigdy nie przyczyni się do zapewnienia lepszej przyszłości siostrze. Ale jeśli Kicky odniesie sukces w Anglii, to bez wątpienia wesprze swoją rodzinę. O ile się nie ożeni. Byłby jednak skończonym głupcem, gdyby to zrobił, nie mając zapewnionej przyszłości. Mówił, że nie dba o pannę Lewis, ale z pewnością okazywał jej zainteresowanie. W ostatnich tygodniach dziewczyna wydaje się bardzo nieszczęśliwa, kiedy Kicky zajął się tymi Wightwickami. Oczywiście to niby nic takiego, ale zawsze...

Och, Boże, jak trudno być matką. Nic, tylko same kłopoty od świtu do zmierzchu. Louise jest w o wiele lepszej sytuacji mimo swej samotności.

— Musisz sam decydować o sobie — powiedziała Ellen, już po tym, jak się nachmurzyła i nazrędziła. — Pożyczę ci dzie-

się funtów, ale musisz żyć oszczędnie. Ja z Isobel możemy żyć tanio — równie dobrze tu, jak gdzie indziej. Przynajmniej na razie, dopóki się nie przekonamy, czy ci się powiodło, czy nie.

Teraz, kiedy decyzja już została podjęta, Kicky odczuł wielką ulgę. W Dusseldorfie panowała taka stagnacja, zaś wyjazd do Londynu oznaczał, że albo będzie musiał coś zrobić, albo zginie. Jeśli zginie, nie będzie to miało wielkiego znaczenia. Ale jeśli czegoś dokona — o, to całkiem inna sprawa. Pierwsza rzecz, jaką robi, to zwróci te dziesięć funtów, które pożyczył od matki.

Niecierpliwie czekał na wyjazd. Znow był maj, Dusseldorf i Grafrath zapełniały się na sezon. Te same znajome twarze"widywało się w ogrodach, restauracjach i na koncertach. W ubiegłym roku bawiło go to, a teraz czuł coś stęchłego w tej atmosferze, jakąś powierzchowność i monotonię. Wszystko było wymuszone, płytkie i nieszczerze. Dziwił się, jak mógł tolerować tych wszystkich niemieckich książąt albo choćby w najmniejszym stopniu uznawać ich za zabawnych. Byli otyli i gnuśni. Jakie krzykliwe są te kobiety w porównaniu z Emmą: nawet jeśli ona jest jeszcze prawie smarkułą, to żadna inna w Dusseldorfie, łącznie z panną Lewis, do niej się nie umywa.

Było mu jednak przykro, że panna Lewis patrzyła na niego z takim wyrzutem; czuł się jak skończony drań. Do licha, przecież nigdy jej nic nie powiedział! Jeszcze by można pomyśleć, że są zaręczeni. Diabelnie niezręczna sytuacja. Tom się z nim zgadzał. „Wymknij się zręcznie, namawiał, to jedyna rzecz, jaką należy zrobić w takich okolicznościach.” „Drodzy przyjaciele, mam nadzieję, że kiedyś spotkamy się w Londynie. Ta zima w Dusseldorfie była cudowna.” A potem z wdziękiem zniknąć.

Zatem nastąpiły pożegnania. Dość krępująca była ta ostatnia wizyta w przeddzień wyjazdu, a poczuli się jeszcze bardziej zakłopotani, kiedy młodsza panna Lewis powitała jego i Toma dość sztywno i oświadczyła, że siostra leży w łóżku z powodu migreny i nie może zejść. Ułatwiło to pożegnanie, ale sytuacja była niedwuznaczna. Kicky zastanawiał się później, czy nie należało domagać się widzenia z nią i oświadczyć się z czystej uprzejmości. Nie mógł znieść myśli, że kogoś zranił.

— Delikatność posunięta zbyt daleko, stary — sprzeciwił się przyjaciel i zabrał go na ostatniego drinka do kawiarni.

Ellen oczywiście trzymała syna pół nocy na „kilkuminutowej” rozmowie o jego zdrowiu i trybie życia; co powinien robić, a czego unikać za wszelką cenę. Nawet panna młoda w przededniu ślubu nie otrzymałaby bardziej sumiennych i wyczerpujących porad.

Kicky uśmiechał się, mówił „tak” i „nie”, i pocałował matkę w policzek. O wiele łatwiej było mu to wszystko znosić, gdy zastanawiał się, czy to niewdzięczność z jego strony, iż czuje się tak zadowolony, mając w perspektywie samodzielne życie w Londynie. Będzie sam i niezależny, bez tego ciągłego krzyżowego ognia pytań, które stanowiło lwią część rodzinnego życia.

Wcale nie będzie czuł się samotny; są przecież stary Tom i kilku przyjaciół, którzy pracowali z nim razem w Paryżu — wśród nich Tammie, Poynter i Jimmy Whistler. Wszyscy oni wybierali się teraz do Anglii — ci, którzy chcieli coś osiągnąć. Podobnie jak Kicky, doszli do wniosku, że Paryż czy Antwerpia to miejsca dobre do studiowania, ale żeby wyrobić sobie nazwisko i stać się kimś — należy jechać do Londynu.

Nadszedł poranek. Skończyły się pożegnania. Isobel otrzymała zakaz tak bezwstydnego flirtowania z niemieckimi księżętami, a starsza pani została zbesztana za łzę w kąciku oka. A potem Kicky, Tom Armstrong, pani Wightwick i Emma wsiedli na mały parowiec, który ich zabrał Renem do Rotterdamu.

Powietrze było ciepłe i świeże, pachniało latem. Czuło się w nim jakieś obietnice, jakieś oczekiwania. Kicky'emu zrobiło się lekko na sercu. Zdjął ciemne szkła, które nosił już od ponad dwóch lat, i schował do kieszeni. Bezpiecznie schowane w kopercie, leżało tam dziesięć funtów, które dała mu matka ze swego dożywocia. Cała jego przyszłość zależała od tego, jaki z nich zrobi użytek. Wydobył je i skrupulatnie przeliczył.

Emma obserwowała go z kąta pokładu. Jest za chudy, pomyślała kręcąc głową, za chudy i za blady. Wcale nie ma rumieńców. Była pewna, że Kicky zupełnie nie umie dbać o siebie. Te wszystkie cygara, które palił, absolutnie nie idą mu na zdro-

wie. Westchnęła i przeniosła wzrok na wciąż zmieniający się widok na rzecę. Wprawdzie to nie jej sprawa, ale szkoda, że Kicky nie ma kogoś, kto by się o niego troszczył: przemywał mu oczy, cerował skarpetki, podawał lekarstwo...

Kicky schował pieniądze z powrotem do koperty. To naprawdę ładnie ze strony mamy. Przecież jedyne, co ona ma na świecie, to owa niewystarczająca, a tak zawsze wyczekiwana skromna dywidenda co kwartał. Nawet nie wiedział dokładnie, skąd pochodziły te pieniądze. Miały jakiś związek z babką, która zmarła w Boulogne.

Jakże niecna musiała z niej być kobieta! Mama prawie nie wymienia jej imienia. Ale gdyby nie żyła tak, jak żyła; gdyby nie miała urody połączonej ze sprytem, Kicky nie stałby teraz na pokładzie parowca z dziesięcioma funtami w kieszeni. Zamierzał zbić fortunę — i to wszystko dzięki babce. Zaśmiał się i sięgnął do kieszeni kamizelki po swój drogocenny ołówek.

Przyszłość już go nie przerażała. Odniesie sukces! Papie się to nie udało, bo papa wciąż śnił na jawie. Jemu się powiedzie. Zacisnął zęby z determinacją, której Louis-Mathurin nigdy nie posiadał. Energia jego syna pochodziła z innego źródła. Płynęła w jego żyłach, tak jak płynęła w żyłach pewnej kobiety siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat temu. Młodej, sprytniej kobiety z zadartym nosem i trzepoczącymi rzęsami. Gdy miała dwadzieścia sześć lat, mocno trzymała swój mały świeatek w bezwzględnych, rozkosznych paluszkach. Teraz jej wnuk, w tym samym wieku, puszcza się na niepewne wody. Chce zdobyć sławę, rysując karykatury tej samej socjety, którą jego babka wodziła na sznurku na początku stulecia.

Kicky zaczął szybko szkicować na odwrocie bezcennej koperty. Tym razem nie była to karykatura. Szkicował profil Emmy, stojącej na pokładzie, z twarzą wzniesioną ku niebu.

CZĘŚĆ
SZÓSTA



16

Pierwsze, co Kicky zrobił po przybyciu do Londynu, to spotkał się ze swymi starymi przyjaciółmi z Paryża. Jimmy Whistler zaproponował mu wspólne użytkowanie pracowni (w dość opłakanym stanie) przy Newman Street 70. Busson z ochotą przystał na tę propozycję.

Pomieszczenie było długie i wąskie, z oknem wychodzącym na tyły budynku. Pośrodku wisiała zasłona, dzieląca pracownię na dwie części. Mniejsza nazywana była sypialnią.

Trudno byłoby znaleźć ciaśniejszą i bardziej niewygodną kwatere, ale Kicky nigdy nie dbał o wygody, a Jimmy był przednim kompanem. Okazał się niestrudzonym gawędziarzem i nie pozwalał przyjacielowi spać aż do rana. Opowiadał mu wszystkie swoje romantyczne przygody, które z pewnością mogły być zabawne i dowcipne od dziesiątej do północy, ale stawały się nudne, gdy ciągnęły się do trzeciej lub czwartej nad ranem.

Jimmy Whistler radził sobie całkiem nieźle. Miał już jeden obraz w akademii — ku wielkiej zazdrości przyjaciół, z których większość wciąż nosiła swoje obrazy w teczce pod pachą i szukała kontaktu z wpływowymi handlarzami. Pracownia przy Newman Street wkrótce stała się ulubionym miejscem spotkań; Poynter, Ionides, Lamont wraz z resztą kolegów przychodzili na pogawędki, popalić i uprawiać szermierkę. Charles Keene z *Puncha* został wprowadzony do tego grona

przez Toma Armstronga i od razu się wśród nich zadomowił; palił okropną glinianą fajkę i ryczał ze śmiechu z dowcipów niestrudzonego Jimmy'ego, który potrafił mówić i malować jednocześnie.

Wszyscy jadali w małej restauracyjce przy Castle Street w pobliżu Cavendish Square; była to raczej gospoda uczęszczana przez kamerdynerów i lokajów na wychodnym. W niedzielę Aleco Ionides zapraszał większość kolegów do domu swoich rodziców w Tulse Hill, gdzie odbywały się niezłe przyjęcia i spotykało się „obietujących młodych ludzi” — poetów, malarzy, muzyków i całą resztę. Tom Jeckell, przyjaciel Kicky'ego z Pentonville, był teraz architektem. Busson zaczął się uważać za najszczęśliwszego z ludzi, mając tak wielu oddanych przyjaciół.

Praca szła mu powoli, ale coraz lepiej. Ilustrował opowiadania w odcinkach w rozmaitych tygodnikach. Dzięki Keene'owi Tom Armstrong zaprotegował go wydawcy *Puncha* — Markowi Lemonowi. Ów wielki człowiek był łaskaw dać du Maurierowi na próbę kilka inicjałów do zrobienia. Próba się powiodła, i od czasu do czasu Kicky posyłał do *Puncha* małe prace, które przyjmowano łaskawie.

W tym czasie wystartowała nowa gazeta *Once A Week* i Kicky, jako jeden z pierwszych artystów, zaczął z nią współpracować. Także magazyn *Cornhill* przyjmował jego szkice, tak że rzadko pozostawał bez zajęcia. Niebawem mógł już zwrócić dziesięć funtów, które pożyczył od matki. Mimo to musiał żyć bardzo oszczędnie, bo nie miał pewności, czy zawsze znajdzie pracę. Parę razy było już z nim tak krucho, że nie miał za co kupić płynu do przemywania oczu.

Jak każdy przebijający się młody artysta przeżywał chwile zwątpienia, kiedy wydawca *Once A Week* odmówił nagle przyjęcia rysunku, który Kicky uznał za bardzo dobry. Ta niespodziewana odmowa nieco rozwiąła jego pychę, jakiej nabrał wskutek pochwał i komplementów przyjaciół w ciągu tych ostatnich miesięcy. Ale nastrój mu się poprawił, kiedy Jimmy Whistler zaczął rozplływać się nad jego pracą dla *Puncha* — nota bene studium Emmy siedzącej w ogrodzie.

— Mój d..d..drogi Kicky, t...t...to jest po prostu osz...sz..oszałamiające! To jest tak piękne jak jeden z moich...psia...psiakości! — Co było zaiste wielką pochwałą.

Później, kiedy jedli obiad w restauracji przy Pall Mail, Jimmy znów zachwycał się obrazem i zaczął porównywać Kicky'ego z Leechem i Millaisem:

— Wiesz, Kicky, twoje prace dla *Puncha* i *Once A Week* były b...b...bardzo zręczne, bez wątpienia, można się było tego spodziewać po tak u...u...talentowanym facecie jak ty, ale ten rysunek to zupełnie coś innego. To ma wartość dzieła sztuki.

Busson poczuł się tak podniesiony na duchu, że napisał o wszystkim do matki i siostry w Dusseldorfie.

Jeśli mój wzrok nadal będzie taki dobry, jak teraz, pewnego dnia zostanę wielkim artystą. Jeszcze nie poczułem odpowiedniej weny. Nie chcę rysować dla „Puncha” w utarty sposób. Nie mam talentu komicznego i oczywiście Leech jest niedościgniony w swoim stylu. Ale kiedy odnajdę własny styl, wtedy ja będę niedościgniony!

W liście do Isobel pisał już bardziej otwarcie na tematy osobiste:

Pytałaś mnie o stan mego tak niestałego umysłu. No cóż, uwielbiam Emmę; namalowałem ją, ale cóż z tego zażytek, gdy nie mam grosza? A jej rodzina? Zastanawiam się, czy bardzo mnie lubi, droga ślicznotka. Jest żarliwą neofitką, jeśli chodzi o podziw dla tych obrazów, książek i muzyki, które i ja podziwiam. Żebyś widziała ową pogardliwą minę, z jaką mówi o tych, co nie mają tak wyrafinowanego smaku (qu'elle n'a que depuis trois mois)! Jest bardzo zabawna.

Jak sądzisz, komu przyszedł do głowy pomysł przyjazdu do miasta i kto domaga się oprowadzania po Londynie od obiecującego młodego siostrzeńca? Ciotce Georgie! Nie mógłbym jej chyba przedstawić Emmie...

Georgie przyjechała do Londynu bez żadnego interesu, podczas gdy jej biedny mąż leżał chory w Milford. Pojawiła się

przy Newman Street jak błyskawica — piękna i kokieteryjna jak zawsze. Kicky wydał na cześć ciotki przyjęcie, ale żaden z jego przyjaciół się nią nie zainteresował. Rzeczywiście wydawała się bardzo prowincjonalna i była przesadnie wystrojona; gdy poszli na kolację, usprawiedliwiła się, że nie założyła rękawiczek.

Jimmy rzucił jej jedno spojrzenie i nie odezwał się do niej ani słowem przez cały wieczór.

Na szczęście Georgie była zbyt zadowolona z siebie, by zauważyć afront. Wyobrażała sobie, że robi furorę w kręgu bohemy i spoglądając na przyjaciół siostrzeńca spod długich rzęs, plotła trzy po trzy. Jej maniery, jej pozy doprowadzały wszystkich do szału i — gdyby o tym wiedziała! — stanowiły niewyczerpane źródło dowcipów w najbliższych tygodniach.

Kicky jak zawsze miał miękkie serce. Ściągnął na siebie nie mały kłopot, wprowadzając ją do kręgu swoich przyjaciół. Chociaż darzył ją teraz prawdziwie kuzynowskim uczuciem, rumienił się na myśl o swej cielejącej miłości sprzed sześciu lat: wszakże wówczas mało nie stracił przez nią głowy. Odczuł wielką ulgę, kiedy Georgina wyniosła się wreszcie z powrotem do Milford, do swego chorego męża, a on mógł w spokoju jadać obiady z Wightwickami i obserwować profil Emmy nad stołem w jadalni.

Sami Wightwickowie zachowywali się dość sztucznie i stale kłócili się ze sobą. Ledwie tylko starszy pan otworzył usta, już jego żona kategorycznie zaprzeczała temu, co powiedział. Emma, chłodna i opanowana, była urodzonym rozjemcą; wiedziała, jak uspokoić rodziców i przywrócić normalną atmosferę.

Po obiedzie stary Wightwick zasypiał nad szklaneczką porteru, a jego żona kiwała się w fotelu, młodzi mieli zatem dla siebie kącik w salonie i mogli rozmawiać bez przeszkód. Czasem Emma czytała Kicky'emu na głos, kiedy był zmęczony po pracy. Młodzieniec pojął wówczas, jak mogłoby być miło i spokojnie we własnym domu, gdyby się pobrali. Za godzinę wstanie, sięgnie po płaszcz i wróci zimnymi ulicami do pustej, małej kłitki przy Newman Street. Dobrze jest mieć przyjaciół, a Jimmy to zabawny facet, ale na Boga, jak inaczej byłoby mu

we własnym domu, choćby niedużym, ale gdzie panowałyby spokojny, systematyczny, niezmienny porządek dnia, z kimś takim, jak Emma, która by klęczała obok niego z policzkiem przytulonym do jego policzka, kiedy byłby zmęczony albo nie w humorze.

Kochał szelest jej sukni i miękki, niski głos, i ten słodki zapach lawendy, co wcale nie był zapachem, ale prawie nieodłączną częścią niej samej. Do licha, co za pożytek z takiego myślenia! Ledwie mógł utrzymać siebie, a cóż dopiero żonę! Gdyby mógł mieć pewność, że zawsze dostanie pracę i nigdy nie będzie w długach, a jego prawe oko go nie zawiedzie! Pewnego dnia zanieś swoje rysunki do *Puncha*, a Mark Lemon powie mu, że jeśli pójdzie tak dalej, to zostanie przyjęty do zespołu pisma na wiele lat. Wyjdzie z redakcji z pół tuzinem zleceń i będzie tańczył kankana na środku ulicy.

I wówczas, chyba z tydzień później, przyszło niepowodzenie. *Once A Week* zredukował liczbę jego ilustracji, *Cornhill* nie zamawiał na razie żadnych prac, a nowa gazeta *London Society* zaangażowała już znakomitego, młodego rysownika Freda Walkera, który miał styl bardzo podobny do stylu Kicky'ego, ale nieskończenie lepszy. Walker był kochanym, niedużym facetem, chodził zawsze wymuskany i schludny, i Kicky polubił go od razu. Ale Fred nie musiał mieć zamówień, żeby uniknąć głodu, i nie marzył o poślubieniu najlepszej dziewczyny pod słońcem.

Kicky mieszkał już w Londynie prawie rok. Zrobił wielkie postępy w tym czasie, jednak wciąż był daleki od nazwania się człowiekiem sukcesu. Na wiosnę 1861 roku wydarzyła się cała seria nieszczęść. Najpierw ucierpiała rodzina Wightwicków, których interes nagle podupadł na wiele lat. Ci starzy ludzie znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji i zmuszeni byli przenieść się do małego domku i zaprzestać wydawania przyjęć.

Ten fakt na czas nieokreślony odsuwał wszelką myśl o małżeństwie.

Potem Ellen napisała z Dusseldorfu, że Gygy znowu ma kłopoty — jak zwykle długi — i jeśli nie zostaną spłacone, zostanie o tym poinformowany pułkownik. Kicky wysłał bratu

drogocenne pięć funtów, na co go nie było stać, i otrzymał w odpowiedzi wesoły list, pomijający zupełnie kwestię długów i pożyczki.

W kwietniu zmarł biedny George Clarke w Milford, zostawiając bezradną i oszołomioną Georgie z małym synkiem i jeszcze mniejszymi pieniędzmi. Jego śmierć była prawdziwym ciosem dla Ellen. Napisała natychmiast do Louise, żeby jej przekazać złe wieści:

Wiem, co czujesz w związku z tą bolesną sprawą. Mój biedny brat cierpiał straszliwie: puchły mu nogi i miał trudności w oddychaniu. Ale umierał spokojnie i, miło mi to powiedzieć, z religijnymi uczuciami. Jego ostatnie słowa to: „Powiedz Ellen, że jestem szczęśliwy”. Jego cierpienia psychiczne, tak jak i fizyczne, już się skończyły. Wiem, że dręczył się własną sytuacją, chociaż był dobry i uczciwy. Czuł się zagrzebany w Milford; mówił mi to, gdy tam byłam. Gdyby nie żona i dziecko, zgłosiłby się do służby w jakimś obcym kraju — zachował rangę kapitana.

Co stanie się z Georgie i małym, tego nie wiem. Jej ojciec jest w Indiach, ale matka mieszka w Brighton, jak sądzę. Jest pewne, że niewiele dla niej zrobią. Mają bardzo skromne środki, z tego co słyszałam, a jej matka potrafi wydać sto gwinei na balową suknię, ale nie pokryje kosztów podróży córki z Milford. Widzimy zatem, czego się spodziewać. Sądzę, że Georgie chciałaby przyjechać do nas, do Dusseldorfu, ale nie wiem tego na pewno. Nie sądzę, żeby to było wskazane dla edukacji jej syna, a ja nie jestem taka pewna, czy chciałabym ją jako towarzyszkę dla Isobel. Poza tym uważam, że na dłuższą metę wszystkie wydatki spadłyby na mnie, a na to, jak wiesz, nie mogę sobie pozwolić.

Wystarczy, jeśli zdołam ubrać Isobel. Wychodzi tak często i jest najbardziej popularną dziewczyną w Dusseldorfie. Ci niemieccy książęta szaleją za nią, szkoda że są bez grosza przy duszy. Ja oczywiście nie mogę często urządzać przyjęć, ale księżę Holstein czasem bywa u nas na herbacie. Kiedyś przyszedł niespodziewanie i zastał mnie z krawcową Isobel, całą spowitą w białe muśliny, a pokój pokryty był strzępami nici i skrawkami materiału. Jednakże on jest tak dobrze wychowany, że nie czułam się

ani trochę zmieszana. Powiedział mi, że jest duża szansa na poślubienie przez jego siostrzenicę (dziedziczkę tronu Danii) księcia Walii. Ma dopiero siedemnaście lat i już jest piękną.

Gdyby tak Isobel miała trochę pieniędzy, mogłaby z łatwością wyjść za mąż! To znaczy gdyby poznała jakiegoś bogatego Anglika. Ale, niestety, bogaci Anglicy nie przyjeżdżają do Dusseldorfu! Obawiam się, że straci urodę, a potem już w ogóle nie będzie miała szansy. Kicky pyta o nią w listach, a któregoś dnia pewien dżentelmen chciał wiedzieć czy ona jest siostrą tego młodego, obiecującego artysty z „Puncha”.

Wygląda na to, że Kicky związał się z Emmą Wightwick. To wprawdzie wspaniała dziewczyna, ale nie mogę powiedzieć, że mi się ten związek podoba. Teraz, kiedy jej rodzina straciła tyle pieniędzy, niewiele mogą dla niej zrobić. W każdym razie Kicky jest zmienny jak wiatr. W zeszłym roku była to panna Lewis. Sądzę, że ta wciąż o nim myśli.

Ale cała ta gadanina nie przywróci życia mojemu biednemu bratu. Wciąż myślę o nim i o jego rozbitym domu. Gdyby mnie tak coś się stało, co byłoby z Isobel? Ciągłe się dręczę tą myślą. Napisz i poradź mi, Louise.

A może Ty byś uregulowała ten mały dług Eugene'a, bo ja naprawdę nie mam żadnych oszczędności w tej chwili. Nie sypiemy już cukru do herbaty, a ja nie biorę do ust wina. Wyglądam jak stary szkielet, a taka jestem słaba...

Louise, która od dawna odmawiała sobie wszelkiego luksusu dla dobra Eugene'a i nie używała już cukru od dziesięciu lat, wysiała zaraz pieniądze siostrzeńcowi. I chociaż była złożona reumatyzmem i nie wychodziła prawie wcale z pokoju, zdołała zwlec się po schodach na dół i pójść do kościoła, aby zapalić świeczkę za duszę George'a Clarke'a, o którym zawsze myślała z czułością jako o ewentualnym...

Tymczasem owdowiała Georgie stanowiła źródło prawdziwego niepokoju dla du Maurierów. W liście Ellen do syna pełno było uwag o bratowej; Kicky miał się dowiedzieć, co rodzina ciotki ma zamiar dla niej zrobić. Kicky, zajęty serią rysunków dla *Puncha*, został w to wciągnięty wbrew swej

woli. Musiał pojechać do Brighton i zobaczyć się z nieszczęsną ciotką.

Była chudsza i ubrana na czarno (beret miała bardzo twarzowy), ale wcale nie tak zrozpaczona, jak się spodziewał, chociaż wciąż miętosiła w dłoni idiotyczną jedwabną chusteczkę. Wściekała się na swych rodziców, że nie zapewnili jej środków na życie w Londynie. Zdecydowana była jechać z powrotem do Indii, do swego brata. Bobbie — rzuciła niedbale — mógłby pójść do szkoły wojskowej. Bobbie, wystraszony ośmioletni chłopak, spoglądał nieśmiało spod rzęs na swego kuzyna i nic nie mówił.

Kicky nie wiedział, co jej doradzić. Dość pochopnie zaproponował więc cioci Georgie i małemu Bobbie'emu spędzenie paru miesięcy w Dusseldorfie przed ostateczną decyzją co do Indii. Georgie podchwyciła ów pomysł. To by uspokoiło jej stargane nerwy — ale to Kicky musi ją tam odwiedzić, powiedział, trzepocząc rzęsami. Kicky oświadczył z miejsca, że nie może sobie na to pozwolić. Nonsens, nalegała ciotka, ona zapłaci za podróż. Kicky zarumienił się i był bardzo zmieszany.

To prawda że Georgie nie powinna podróżować sama bez opieki. On także chciałby się zobaczyć z matką i siostrą po dwunastu miesiącach rozłąki. „Zobaczymy, co powie mama” — odrzekł, zachowując rezerwę. Georgie obdarzyła go promiennym uśmiechem, a potem, przypomniawszy sobie, że jest wdową, zgarbiła się i przyłożyła chusteczkę do oczu. Wyglądała tak bezbrinnie i tak uczciwie, że Kicky zabrałby ją na Antypody, gdyby tego zażądała.

Wrócił do Londynu, dziwiąc się, że tak bardzo zaangażował się w plan wyjazdu do Dusseldorfu. Przypomniał sobie, że rodzina Lewisów przebywa tam wciąż w pełnym składzie, a zdaniem Isobel najstarsza panna Lewis nie wyleczyła złamanego serca i nadal spodziewa się oświadczyn Kicky'ego.

Co za niezręczna sytuacja! Nie mógł pojechać do Dusseldorfu, dopóki oni tam są.

Żeby zapomnieć o swych kłopotach, poszedł na lunch do Wightwicków, a potem zabrał Emmę na popołudniowe przed-

stawienie „Ruy Blasa”*. Dzień był piękny. Po przedstawieniu zdecydowali się wrócić do domu spacerkiem przez Regent Street. Emma wyglądała piękniej niż kiedykolwiek i okazała Kicky'emu tyle współczucia z powodu jego zmartwień, że serce mu topniało i nogi miał jak z waty, gdy patrzył na ukochaną. Była tak godna uwielbienia, że nie mógł już dłużej panować nad uczuciami i oświadczył jej się na ulicy.

— Jesteś pewien, że się nie rozmyślisz? — spytała poważnie.

— Nigdy, nigdy — odparł Kicky, gotów paść przed dziewczyną na kolana na chodniku.

— A więc dobrze, zgadzam się.

W tym momencie przejechał obok dwukołowy powozik i ochlapał ich błotem od stóp do głów.

Kicky zastanawiał się, czy nie powinien był wybrać bardziej romantycznego miejsca na oświadczyzny, ale Emma śmiała się z niego. Zrozumiał, że teraz już nic więcej się nie liczy na świecie. Wracali, trzymając się za ręce, by przekazać nowinę rodzicom Emmy. Oboje rzucili się córce z płaczem na szyję, zapewniając, że było to jedynym pragnieniem ich życia.

Oczywiście wszyscy się zgodzili, że narzeczeństwo musi trwać długo, bo na razie Kicky nie byłby w stanie utrzymać żony. Upłyną więc co najmniej dwa lata, zanim będą mogli pomyśleć o ślubie. Perspektywa czekania tak długo nie zniechęcała jednak szczęśliwej pary; zbyt byli zachwyceni swoim statusem narzeczonych, by się martwić o przyszłość.

Następnego dnia Kicky napisał do matki, przekazując jej pomyślną wiadomość. Ku jego zdziwieniu, Ellen przyjęła wieść o zaręczynach zdumiewająco dobrze.

To oczywiste że jeszcze przez wiele lat nie będziesz mógł myśleć o ślubie, ale co do zaręczyn — masz moje błogosławieństwo. Znaie się już od siedmiu lat. Pamiętam, że Twój biedny ojciec uważał ją za bardzo rozsądną dziewczynę, już gdy miała czternaście lat. Myślę, że nie mogłeś wybrać lepiej. Zawsze była po-

* Dramat Wiktora Hugo z 1838 r. (przyp. red.).

śluszną swoim rodzicom, dobra i usłużna dla matki, gdy ta zachorowała, pełna zrozumienia dla kłopotów i ubóstwa rodziców i nigdy nie myślała o sobie. Dobra córka będzie dobrą żoną. Zda się poza Tobą świata nie widzieć, a ja z macierzyńską próżnością mogę powiedzieć: Nic dziwnego, szansa poślubienia człowieka, który fascynuje wszystkich, gdziekolwiek się pojawi; który przewyższa wszystkich jej znajomych i krewnych — to dla niej wielkie szczęście.

Mam nadzieję, że pan Wightwick zachowa się wielkodusznie, kiedy przyjdzie pora. Po sprawiedliwości powinien córce przyznać co najmniej czterdzieści funtów rocznie, a także dać jej ubrania iumeblować dla Was mieszkanie. Ale Anglicy przeważnie pozostawiają takie sprawy mężowi, wiem to dobrze.

Było to lepsze podejście do tej sprawy, niż Kicky się spodziewał, chociaż nie powstrzymałby go nawet potok wymówek. Starsza pani ma tak zdecydowane sądy — gdyby poczuła do Emmy niechęć, nic by jej nie powstrzymało. Oczywiście nigdy nie przełknie tych rodziców, Kicky był tego pewien. Starzy Wightwickowie będą mu wypominani po wsze czasy. Ale biedny pan Wightwick jest takim nieszkodliwym facetem. Nawet jeśli nie znalazł się na szczycie piramidy, czy to ma jakieś znaczenie? Do diabła, przecież dzisiaj wielu ludzi zajmuje się handlem.

A kim są właściwie du Maurierowie? Oczywiście Kicky wiedział, o co chodzi; mama miała bzika na punkcie krwi królewskiej, która jakoby płynęła w jej żyłach. Nie mogła o tym zapomnieć. Kicky nie widział w owym fakcie żadnego powodu do dumy, niewłaściwa strona kołdry i to wszystko. Poza tym nie ma żadnego dowodu. Próbował dowiedzieć się kiedyś czegoś w owej kwestii od wujka George'a, ale ten zamknął się jak ostryga.

Mama jest zbyt optymistyczna w swoich nadziejach na pensję dla Emmy od rodziców — Kicky niczego się po nich nie spodziewał, znając sytuację. Dlatego musiał pracować ciężiej niż kiedykolwiek w życiu, żeby móc utrzymać żonę. Na szczęście *Punch* kupił ostatnio większość jego prac, a w *Cornhill* i *Once A Week* znowu zamieszczali rysunki.

W dodatku ta ostatnia gazeta przyjęła jego tekst. W wolnych chwilach Kicky napisał relację o swej przygodzie w kopalni w Devon i zilustrował ją. W *Once A Week* zapłacili mu za to dwadzieścia funtów. Jeśli więc kiedyś oko odmówiłoby mu posłuszeństwa, będzie mógł żyć z pisania.

Szukał swojego starego rękopisu o Carry i Malines, ale znalazł tylko kilka pojedynczych stron — reszta musiała zaginać w Dusseldorfie. Przypomniał sobie, co mógł, znacznie przerobił całość i przeniósł akcję do Paryża; wprowadził tam również stare środowisko bohemy. Był to tak naprawdę szkic o dniach paryskich, mający około dwudziestu czterech stron.

Kicky wysłał tekst do *Cornhill* ale go nie przyjęli, a dla *Once A Week* był za długi. Porzucił więc pomysł opublikowania swego wspomnienia i odłożył je do szuflady, razem z nie dokończonymi rysunkami.

Może pewnego dnia zrobi z tego powieść...

List od siostry upewnił go, że rodzina Lewisów wyjechała (stary pan Lewis był poważnie chory). Kicky pogodził się zatem z myślą o podróży do Dusseldorfu i w lipcu eskortował ciotkę Georginę z małym Bobbie'em do Niemiec. Ellen stwierdziła, że syn jest blady, ale wygląda dobrze; najwyraźniej służyła mu angielska kuchnia.

Jednak po dwóch dniach pobytu w domu wydawał się już bardzo zmęczony; tyle było dyskusji i pogawędek po rocznej nieobecności, że siedzieli nocami, rozmawiając aż do trzeciej nad ranem, co w połączeniu z marnym jedzeniem, jakie miał w Dusseldorfie, spowodowało, że pobyt tutaj mu nie służył. Anglia z pewnością to naprawi. Kicky zrobił się o wiele poważniejszy i mówił o swej pracy z entuzjazmem. Wydawał się **bardzo** oddany Emmie i lubił jej rodzinę. Ellen miała nadzieję, że syn jeszcze nie należy do nich całkowicie.

Nic na to nie mogła poradzić, że uważała z jego strony za pomyłkę tak szybkie zaręczyny. Najwyraźniej pan Wightwick nie mógł sobie pozwolić na pensję dla córki, a to znaczyło, że wszystkie wydatki spadną na Kicky'ego. Ellen powiedziała później do Isobel, że Kicky najpierw powinien mieć na względzie dobro rodziny.

Wiedział wszak, że matka i siostra żyją w niedostatku i nie mogą sobie pozwolić na żaden luksus. A teraz on za pewien czas zamierza się ożenić i utrzymywać żonę, kiedy powinien zająć się nimi dwiema. Jeśli zarobi jakieś pieniądze, to bez wątpienia wszystkie pójdą na Emmę i ich dzieci; matka i siostra nie odniosą z jego sukcesu żadnych korzyści.

Oczywiście nic mu o tym nie mówiła, ale musiał zauważyć lekkie zaciśnięcie warg i pociągnięcie nosem, kiedy wspominało się o małżeństwie. Bezpieczniej zatem było nic nie mówić na ten temat, tylko o pracy, i pod koniec tygodnia wracać do Londynu do stęsknionej Emmy. Kicky miał pewne wątpliwości, czy ciotka Georgie i mama zdołają żyć w zgodzie i zdecydowany był się oddalić, żeby go w nic nie wplątały. Plotki z Dusseldorfu zdawały się takie błahe, a mama i Isobel nie potrafiły mówić o niczym więcej.

Co za ograniczona, duszna atmosfera w porównaniu z Londynem! Kicky czuł się szczęśliwy, że się od niej uwolnił. W Anglii był zupełnie innym człowiekiem; zaczął od ćwiczeń hantlami i jedzenia kotletów baraniach na śniadanie.

Miał dużo przyjaciół — a poza tym rodzina Ionidesów w Tulse Hill wydawała takie interesujące przyjęcia. Został przedstawiony mecenasowi literatury i sztuki, niejakiemu Arthurowi Lewisowi (nie był on spokrewniony z Lewisami z Dusseldorfu), którego towarzyskie wieczorki muzyczne znajdowały się na ustach całego światka artystycznego Londynu.

Arthur Lewis poślubił potem aktorkę Kate Terry, siostrę Ellen Terry, ale wówczas był jeszcze kawalerem. Zapałał ogromną sympatią do Kicky'ego i dał mu *carte blanche* co do przyprowadzania przyjaciół na swe muzyczne przyjęcia. To u niego Kicky poznał Franka Sandysa i Vala Prinsepa (obaj stali się jego bliskimi przyjaciółmi) i małego Freda Walkera, swojego rywala, i Millaisa, pięknego jak grecki bóg, i wielkiego Wattsa.

Kicky lubił ich wszystkich, a oni odwzajemniali mu się sympatią. Stał się już jednak wystarczająco mądry, by się nie przyłączać do małych klik, które były bardziej hermetyczne niż przysłowiowe złodziejskie szajki. Jimmy Whistler okazał się dość wymagającym współlokatorem, wobec czego Kicky prze-

niósł się do innej pracowni, przy Berners Street, pozostawiając Jimmy'ego pod opieką dwóch nowych kolegów: Fantina Latoura i Legrosa. To trio tworzyło mały krąg wraz z poetami: Rossettim, Swinbourne'em i George'em Meredithem.

— Wszyscy oni to poczciwi, starzy kumple — zwierzał się Kicky Tomowi Armstrongowi. — Ale mówiąc między nami, lepiej zostawić ich samym sobie. Jak wszystkie towarzystwa wzajemnej adoracji, żywią wzniosłą pogardę dla każdego spoza ich kręgu. A ja jestem przekonany, że żeby dokonać czegoś wielkiego, trzeba być wiernym sobie i oczywiście ciężko pracować, a przede wszystkim mało o tym mówić.

Z powyższą opinią Armstrong zgadzał się absolutnie; cieszył się, mając na względzie dobro przyjaciela, że ten nosi obecnie włosy krótsze niż kiedyś i że rozstał się z aksamitną marynarką, i przezornie nie wspominał nawet, iż niektórzy z owych poczciwych kumpli przechadzali się z liliami w dłoniach i cudzymi żonami u boku. Emma stała się aniołem stróżem Kicky'ego, co do tego nie ma wątpliwości. Gdyby nie jej wpływ, byłby zupełnie innym człowiekiem. Pracował zatem niestrudzenie, ponieważ chciał się ustatkować i ożenić, uważał więc, aby się w nic nie wplątać.

Kontakty ze znakomitościami świata artystycznego wcale nie uderzyły mu do głowy, wprost przeciwnie — rozwijały w nim poczucie humoru i zmysł satyryczny. Ci Leightonowie i Millaisowie byli tak zadufani w sobie — całkiem słusznie, bo przecież to wielcy ludzie i ich nazwiska przejdą do historii — ale, na Jowisza, czemu nie potrafią się z siebie śmiać, lub powiedzieć sobie: „Co ja właściwie znaczę?”

Val Prinsep był świetnym kawalerzem i pierwszorzędnym kompanem: wielki jak byk, ważył sto kilogramów i miał ponad metr dziewięćdziesiąt w pończochach. Kicky żywił pewną słabość do olbrzymów. Watts był romatykiem. Zaprosił kiedyś Kicky'ego na obiad do Little Holland House; Kicky, ubrany na wieczorowo, zastał swego gospodarza w starym żakiecie do malowania, bamboszach, bez kołnierzyka i krawata. Przygotował dobry obiad, ale sam jadł tylko grzanki z masłem.

Burne-Jones również tam był i Kicky zaprzyjaźnił się z nim

od razu. Anioł nie człowiek! Taki delikatny i dobrze wychowany. I co za kolorysta!

Millais i jego żona bywali honorowymi gośćmi na przyjęciach. Millais, zbyt piękny, żeby być prawdziwy, stał się beniaminkiem socjety, co trochę onieśmiało Kicky'ego. Jego małżonka, eks-żona Ruskina, wydała mu się nieefektowna. Zupełnie *passee*, powiedział później Kicky do Toma, dziwiąc się, dlaczego Millais z nią uciekł.

— Ktoś mi mówił, że Ruskin był za to niesamowicie mu wdzięczny, i wcale się nie dziwię — stwierdził.

Na wszystkich owych spotkaniach Kicky był zawsze bardzo pożądanym gościem jako śpiewak-amator i zawsze proszono go o występ. Nie miał tremy; śpiewał swobodnie, z wielką łatwością, jak kiedyś jego ojciec. Prawdopodobnie sprawiał widzowi większą przyjemność niż jakiś profesjonalista o gardłowym głosie. Były to udane wieczory i cieszył się nimi. Ale tak naprawdę pragnął wyłącznie ożenić się z Emmą, zamiast jechać o czwartej nad ranem do swego mieszkania przy Berners Street dorożką z rudowłosym Szwedem, zbyt odrażająco pijanym, by mógł być zabawny.

Zdarzyło się to po jednym z przyjęć: Kicky, wróciwszy do domu, zastał obłądny list od Gyggy'ego, napisany w ogromnym pośpiechu z Compiègne, gdzie służył po Saumur. Jakiś przyjaciel miał go wykupić z wojska, bo on, Gyggy, był zdegustowany takim życiem. Co Kicky sądził o tym, żeby brat przyjechał do niego, do Londynu, i zamieszkał razem z nim?

Doprawdy ten Gyggy był niepoprawny! Ale posunął się już za daleko. Żołnierka to jedyny zawód, o którym miał jakie takie pojęcie, a i to niewielkie. Tymczasem teraz chciał oto zmarnować swe szanse i iść do cywila bez grosza przy duszy!

Następny dzień przyniósł rozgorączkowaną kartę pocztową od Isobel. Ona także dostała wiadomość od brata, opowiadającego tę samą historię i grożącego im przyjazdem do Dusseldorfu.

Jedyny sposób, by go powstrzymać, to zobaczyć się z nim osobiście — pisała siostra. — Wyjeżdżam jutro rano pociągiem.

Mama jest wstrząśnięta, ale źle się czuje, więc lepiej, żebym to ja pojechała. Wrócę za kilka dni.

Co za wrzawa i zamieszanie! Niemądry, nietaktowny stary dureń! Co on, u diabła, będzie robił po opuszczeniu wojska?

— Gdyby był twoim bratem — powiedział Kicky do narzeczonej — umiałybyś go przywołać do porządku.

Właśnie pokazywał jej obrazy w National Gallery. Dziewczyna nie odpowiedziała jednak od razu.

— Wiesz — odezwała się nagle zupełnie bez związku — właśnie przed chwilą spotkałam pannę Lewis z Dusseldorfu, która spojrzała na mnie dziwnie, a potem jeszcze raz popatrzyła na nas oboje i wyszła z sali. To zastanawiające.

— A czy naprawdę to ona? — spytał Kicky, robiąc się czerwony na twarzy. — Musiałaś się pomylić.

— Och, nie. Jestem zupełnie pewna, że to panna Lewis — obstawała przy swoim Emma. — Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie chciała się z nami spotkać.

Co za fatalny pech, pomyślał Kicky, wiedząc, że panna Lewis ma bardzo dobry wzrok i długą pamięć. To wyjście z sali było najwyraźniej zamierzone. Niezręczna sytuacja!

— Sądziłam, że byliście dobrymi przyjaciółmi — drażyła temat Emma.

— Zupełnie nie rozumiem — skłamał Kicky. — Chodź, popatrzymy na Van Dycka. — Co będzie, jeśli znowu się spotkają? Nie uspokoił się, dopóki obrazy galerii nie zostały za nimi i nie wsiedli do omnibusu, by wrócić do domu.

— Czy nie sądzisz, że panna Lewis mnie niejubi? — spytała narzeczone, znów powracając do fatalnego spotkania i patrząc Kicky'emu prosto w oczy.

— Ależ, kochanie, to absurd — odrzekł i ziewnął, co było wyraźną oznaką zakłopotania.

— Może ona miała lekką skłonność do ciebie? — domyśliła się Emma.

— Śmieszne — wymigiwał się Kicky. — Nic nas ze sobą nie łączyło.

— Ona jest bardzo ładna.

— Niektórzy może tak uważają, ale na pewno nie ja — odparł szczerze. — Nigdy nie dostrzegłem w niej niczego, czym by się można zachwycać. Moim zdaniem jest za chuda, a jej cera nawet się nie da porównać z twoją. Do diabła z panną Lewis!

Ten wybuch był trochę podejrzany. Emma milczała. Milczała przez całą drogę powrotną, a potem wymówiła się bólem głowy i poszła wcześniej do łóżka, zostawiając narzeczonego, by sam pił porto ze starym Wightwickiem.

Kicky przeklinał National Gallery i wszystkie znajdujące się tam dzieła. Dlaczego, och, dlaczego on nie ma dwóch tysięcy rocznego dochodu i stałego zajęcia, i obojga zdrowych oczu? Mógłby wówczas poprosić Emmę, by wzięła z nim ślub naza-jutrz, i skończyć z tym życiem w niepewności.

Zaczęła się dla niego niespokojna, bezsenna noc.

17

Ellen du Maurier była w fatalnym nastroju. Czuła się źle z powodu ohydneho niemieckiego jedzenia, kuchnia tutejsza wyraźnie jej nie służyła. Kilka dni temu zjadła trochę wieprzowiny, co spowodowało bardzo nieprzyjemne dolegliwości. Nowe mieszkanie w Dusseldorfie było niewygodne, a na dodatek gospodyni stale okradała swe lokatorki.

Rodzina Lewisów wróciła do Anglii — biedny stary Lewis zmarł — a Ellen nie zależało na towarzystwie innych tutejszych Anglików.

Teraz znów Eugene nastraszył je obie groźbą opuszczenia wojska. Chociaż Isobel wybrała się do Compiegne, by mu przemówić do rozsądku (zagraniczna podróż to znowu wielki wydatek) i udało jej się przekonać brata, żeby nie wracał do domu, to Ellen wiedziała, że wcale nie jest takie pewne, czy Gygy dotrzyma obietnicy i nie pojawi się u nich lada chwila.

Jeśli chodzi o Georgie, to Ellen była zde gustowana jej zachowaniem. Jeśli tak postępują dzisiejsze młode wdowy, to jest zadowolona, że urodziła się pod koniec ubiegłego stulecia. Georgie była dość szokującą towarzyszką dla Isobel. Obie nic innego nie robiły, tylko chichotały od rana do zmierzchu i gadały o młodych oficerach i niemieckich księżętach. Georgie robiła z siebie widowisko. Wydała już ze trzydzieści gwinei na suknie wieczorowe, a twierdziła, że nie stać ją na edukację syna. Miała nawet czelność zasugerować pułkownikowi Greville'owi,

by jej pomagał. Absurd, uznała Ellen. Pułkownik był dla nich hojny za życia George'a i nie ma żadnego powodu, by go jeszcze obarczać kłopotami wdowy po nim. A ten niezbyt odpowiedni styl jej życia — błyskotki i suknie wieczorowe — nie zyskał sympatii starszego dżentelmena.

Ellen domyślała się, o co chodzi Georgie. Bratowa robiła jakieś aluzje co do swego udziału w dożywociu.

— Droga pani Clarke — odezwała się któregoś dnia — ja nigdy o nic nie prosiłam. Czy dożywocie zostało zapisane tylko pani, czy również i George'owi?

Słyszana rzecz?! Ellen aż się trzęsła z gniewu. Tyle niewdzięczności za to, że oddała wszystkie swoje srebra i kosztowności, które dostała od matki, w prezencie ślubnym Georginie w roku 1851!

Skoro była taka biedna, to dlaczego nie pojechała do własnych krewnych? Miała wszak bogatego, starego dziadka i mnóstwo ciotek; niewątpliwie któreś z nich opłaciłoby naukę Bobbie'ego w szkole.

Nie tylko Georgie była próżną, wyrachowaną egoistką, ale Bobbie także stał się złodziejaszkiem i niepoprawnym małym kłamczuchem. Słodsze dziecko w wieku trzech lat można by ze świecą szukać, ale teraz, jako ośmiolatek, znalazł się na prostej drodze do kryminału. Gospodyni skarżyła się, że zginęły jej z sakiewki pieniądze, i winnym okazał się Bobbie. Co za straszna hańba!

Dzieciak oczywiście został ukarany, ale Georgie ze spokojem twierdziła, że chłopak kradł zawsze, od małego, a ona nie wiedziała, jak temu zapobiec. Ellen ostrzegała bratową, że sprowadzi na siebie wstyd i biedę jeśli nie zacznie odpowiednio wychowywać dziecka, ale to było bezcelowe. Jedyne, co zrobiła, to posłała małego do szkoły — taniej niemieckiej szkółki, gdzie z pewnością nabierze on jeszcze gorszych zwyczajów. Ellen czuła, co Georgie knuje: po prostu chciała zostawić chłopca pod jej opieką, aby sama mogła wyjechać — nawet i do Indii, byle tylko uwolnić się od odpowiedzialności. Ale ten piękny plan jej się nie uda. Ellen postanowiła wyjechać z Dusseldorfu

i zamieszkać raczej w jakiejś małej, zapadłej wiosce, niż miałyby się troszczyć o bratanka.

Georgie była sprytna i podstępna. Rozповідаła niemiec-
kim księżętom, jak źle ją traktuje szwagierka; Ellen wiedziała
o tym aż nadto dobrze. Ostatnim razem, gdy ksiązę Holsteinu
przyszedł do nich na herbatę, ledwie się do niej odezwał, za to
cały czas zajmował się Georgie. Zupełnie niezwykle jak na nie-
go zachowanie.

Po przyjeździe Georginy Dusseldorf wydawał się zupełnie
innym miastem. Nawet Isobel się zmieniła; stała się głupia
i frywolna. Zależało jej wyłącznie na towarzystwie młodych
ludzi. Ellen próbowała skłonić córkę do lektury, by kształtowa-
ła swój umysł; tłumaczyła jej, że uczyć się trzeba przez całe
życie aż do grobu, ale dziewczyna jej nie słuchała. Nie znosiła
samotności, bawiło ją jedynie przebywanie wśród ludzi. Kiedy
Ellen była młoda, nabrała zwyczaju wystarczania sama sobie;
nigdy nie znała słowa nuda. Isobel ma zupełnie inny charakter,
tym gorzej dla niej.

Dopóki nie wyjdzie za męża, będzie wiodła puste, bezuży-
teczne życie. Londyn, matka była o tym przekonana, to jedyna
szansa znalezienia męża. Anglicy czasem żenią się bez pieni-
dzy, ale nie w Niemczech. Skoro jednak nie można sobie po-
zwolić, by mieszkać w Londynie, a Kicky nie ma swojego do-
mu, by je zaprosić — muszą tu obie wegetować, bez nadziei na
lepsze życie.

To pewne, że Georgina nigdy nie przedstawi Isobel kogoś
wartego zainteresowania; wszystkich ciekawszych mężczyzn
trzymała dla siebie. Aż dziw, że dziewczyna tak lubiła swą
ciotkę, ta para była nierozłączna. Wszystkie owe przyjęcia nie
służyły jednak zdrowiu córki. Stała się anemiczna i chuda, nie
tak ładna jak kiedyś. Przednie zęby psuły się jej gwałtownie.
A równie łatwo znaleźć dobrego dentystę w Dusseldorfie, co
igłę w stogu siana. Wszyscy ci Niemcy mają słabe zęby. To
sprawa wody.

Ellen miała uczucie, jakby wisiał nad nią miecz Damoklesa.
Co z Kickym, którego egzystencja w Londynie zależała prze-
cież od stanu jego jedynego oka? A Gygy w Compiegne,

zapewne znowu popełnia jakieś okropności? I co będzie z Isabel z psującymi się zębami i bez męża? Doprawdy całe jej życie to jedno wielkie zmartwienie, od świtu do zmierzchu!

Biedny Kicky w Anglii miał własne kłopoty. Pracował tak ciężko dla tego jednego jedyne go celu: zarobić dość pieniędzy na utrzymanie Emmy. Wiosną 1862 roku stał się tak nerwowy i słaby, że zmuszony był pójść do lekarza. Prawdopodobnie jego mózg został w jakiś dziwny sposób podrażniony przez wątrobę, co spowodowało bezsenność i silną depresję. Nie mógł nic jeść, a własna praca wydawała mu się nagle banalna i bezwartościowa. Czuł, że nigdy nie osiągnie sukcesu, nigdy nie zarobi pieniędzy na utrzymanie żony i że jego przyszłość jest skazana na nieuniknioną porażkę.

Z Dusseldorfu przychodziła regularna poczta, zawsze pełna tych samych skarg na sytuację materialną i pytań, czy Kicky nie mógłby im trochę pomóc. Tymczasem Emma wyglądała na strapioną, a kiedy ją wypytywał, wyznała, że źle układa się między ojcem i matką, którzy kłócą się od rana do wieczora. Marzyła tylko o jednym: żeby Kicky wreszcie się z nią ożenił i zabrał ją z tego domu.

Spiętrzenie zmartwień niemal pogrzyżyło go w rozpacz. Lekarz przepisał mu silny lek wzmacniający, który jedynie pogłębił ten zły stan. Wreszcie chory wyrwał się ze szponów medyka i pojechał do Brighton, by zmienić klimat.

Udręki i tortury, jakie znosiłem, nie dadzą się porównać z niczym, czego doświadczyłem do tej pory — pisał do Toma Armstronga. — Zapewne wynikają z przepracowania, niepokoju, braku powietrza i ćwiczeń fizycznych, z nieodpowiedniego wyżywienia i godnej pochwały czystości moralnej. Piję teraz tran i biorę piętnaście gramów chininy dziennie i zatrwająco stan mego umysłu zmienił się w cudownie prozaiczne rwanie w stawie łokciowym i katar.

Wszystko to tłumaczy, dlaczego nie widziałeś ostatnio nic mego w gazetach. Rzeczywiście poprzedni miesiąc był fatalny: żadnej pracy, za to mnóstwo wydatków.

Teraz, kiedy znów jestem sobą, wierzę, że zrobię znaczne postępy w pracy. Małżeństwo, jak powiada lekarz, okazałoby się najlepszym lekarstwem. Emma była wstrząśnięta moim fatalnym stanem. Pojechałem do Brighton, żeby jej oszczędzić bólu. W Wielki Piątek próbowałem rysować dla „London News” i wszystko było już gotowe, kiedy naraz poczułem taki przyływ cierpienia i szaleństwa, że wszystko zniszczyłem. Poszedłem do Hendona, specjalisty. Zdaje się, że padłem przed nim na kolana, czy coś takiego, i płakałem. Po co mamy, u diabła, wątrobę? Zapewnił mnie, że mój umysł jest zupełnie zdrowy, ale znajduję się na skraju załamania nerwowego.

„Punch” i „Once A Week” dopytują się troskliwie o moje zdrowie i zalecają mi rozwagę, żebym się nie przepracowywał, będąc w takim kiepskim stanie. Wszyscy robią postępy oprócz mnie. Jimmy Whistler i Fred Walker, i cała reszta, a Leighton zrobił kilka naprawdę świetnych rzeczy. Gdybym mógł się ożenić, pracowałbym więcej i lepiej; wyleczyłbym się z nudy i zmartwień; żył z najukochańszym, najmiłszym stworzeniem pod słońcem. Gdyby wiedziała, że do Ciebie piszę, kazałaby Cię z pewnością pozdrowić...

Wczesnym latem Kicky na tyle wyzdrowiał, by pojechać w odwiedziny do Dusseldorfu. Ale wciąż miał nerwy w złym stanie i Ellen była wstrząśnięta jego wyglądem. Jej drogi chłopiec — taki chudy i blade. Pracuje po dziewięć godzin dziennie, żeby się ożenić z Emmą i zabrać ją z tego nieszczęśliwego domu! Ellen miała zamiar poprosić syna o jakieś pieniądze na domowe wydatki, ale teraz postanowiła nigdy nie prosić go ani o grosz. Nie miała serca przysparzać mu jeszcze zmartwień.

Nie mogła się jednak powstrzymać od skarg na Georgie i jej skandaliczne postępowanie. A tu jeszcze na dole leży Bobbie z ospą, a Isobel dotąd nikogo nie spotkała i traci szanse. Tak dawno już to w sobie dusiła, że nie mogła już się dłużej powstrzymywać.

— Isobel przyjedzie do Londynu i zamieszka z nami, kiedy się pobierzemy — pocieszał ją Kicky. — Może spotka kogoś w Anglii.

Ale matka zacisnęła usta i wzruszyła ramionami. Nie sądzi, żeby syn był w stanie utrzymać siostrę, tak jak i żonę.

— Och, mamusiu najdroższa, nie martw się na zapas — powiedział Kicky z rozpaczą. — W końcu się wszystko ułoży. Dopóki oko mi służy, nikt z nas nie będzie głodował.

— Znowu dostałam list od Eugene'a — nie ustępowała Ellen. — Chce pożyczyć pięć tysięcy franków. Nigdy w życiu nie miałam pięciu tysięcy franków!

— Wysłałem mu trzy funty w zeszłym tygodniu — odrzekł Kicky ze znużeniem. — Odpisał mi, że żadne z nas nic dla niego nie zrobiło, więc wyjeżdża do Meksyku, czy Bóg jeden wie gdzie.

— Wszystko sam na siebie sprowadził przez własne wybryki i niefrasobliwość — powiedziała matka. — Gdyby pracował w swoim zawodzie, byłby teraz porucznikiem. Dziś już za późno. Nic z niego nie będzie.

— Gdybym był bogaty... — zaczął Kicky.

— Gdybyś był bogaty, to twoja matka i siostra żyłyby w komforcie — dokończyła Ellen.

Kicky milczał. Pomyślał o cierpliwej Emmie czekającej na jego powrót w Londynie.

— Przydałaby się nam dzisiaj nawet najskromniejsza suma — ciągnęła matka. — Odżywiamy się tak marnie, wina nawet nie bierzemy do ust, jak wiesz, chociaż często mi go brakuje. Isabel tak jest osłabiona z powodu braku wina i złego odżywiania, że nie może się należycie uczyć gry na pianinie, nie mówiąc o tym, że nie stać nas na nauczyciela, od kiedy skończyła dwanaście lat. Jeśli chodzi o ubranie, to nie mam żadnego. Mamy kilka nie zapłaconych rachunków w Dusseldorfie. Jednak, mój drogi chłopcze, nie myślę o niczym innym, jak tylko o twojej pomyslniej przyszłości. Jeśli małżeństwo ma ci przywrócić ducha, cóż, żeń się, skoro tak postanowiłeś. Mam tylko nadzieję, że temu podołasz.

— Emma jest bardzo oszczędna — wtrącił szybko Kicky.

— No tak, ale musisz pamiętać, że to jedynaczka, przyzwyczajona do drobnych wygód, o które dotąd dbała jej matka. Czy pan Wightwick już postanowił, co jej da?

— Sądzę, że wystarczy, jeśli da mi swoją córkę, mamó.

— Drogi synu, nie mam nic przeciwko Emmie, to wspaniała dziewczyna, chociaż jeśli chodzi o intelekt, z pewnością ci nie dorównuje. Ale uważać starego Wightwicka za wspaniałomyślnego, podczas gdy to ty właśnie jesteś wspaniałomyślny... Mógłbyś zrobić taką dobrą partię! Weźmy na przykład starszą pannę Lewis. A kiedy pomyślę o tysiącach córek rozmaitych dżentelmenów, pięknych i dobrze ułożonych, które nie mogą sobie znaleźć mężów, oburza mnie, że właśnie Wightwickowie zostali tak wyróżnieni i nie dadzą ci w zamian ani grosza!

— Posłuchaj no, stara damo, czy wiesz, co wczoraj wieczorem w tym domu powiedział mi o tobie pastor?

— Co za tupet! Powiedz, będę ci zobowiązana.

— Powiedział tak: pani du Maurier nie może się pogodzić z myślą o małżeństwie syna, ale nie znam takiej matki, która by mogła.

— Ten pastor jest wyjątkowo niemiłym człowiekiem. Jest zły na mnie, odkąd Isobel odmówiła pójścia z nim na herbatę i wybrała koncert z Georgie oraz dwoma młodymi księżętami. On uważa, że to moja wina.

— A czy nie ma racji?

— Powiedziałam jedynie twojej siostrze, że herbata w towarzystwie młodego pastora bez grosza przy duszy, który nie ma możliwości zamieszkania w Anglii, nic jej nie da. Ale koncert z niemieckim księciem, kto wie...

Kicky zaśmiał się i poklepał ją po ręce.

— Gdy chodzi o moją siostrę, jesteś niepoprawną starą rajfurką. Chciałbym, żebyś była taka w stosunku do mnie. Ale nic nie szkodzi, mamó. Kiedy weźmiesz na kolana pierwszego wnuka, pogodzisz się z tym.

— Kiedy ja byłam młoda, o takich sprawach nie mówiło się przed ślubem.

— A ja rysowałam już nawet portrety dzieci: z dużymi niebieskimi oczami i loczkami jak aniołki.

— Chyba nie pokazywałaś ich Emmie?

— Oczywiście, że tak. Powiesiła je w swoim pokoju.

— Zatem im szybciej się ożenisz, tym lepiej — orzekła zrezygnowana Ellen.

Kicky wrócił więc do Londynu w lepszym nastroju i pojechał na dwa tygodnie do Ramsgate z Emmą i jej rodzicami. Wydawało się, że są do siebie lepiej nastawieni niż zazwyczaj; może to morskie powietrze wpłynęło korzystnie na ich humory. Atmosfera była wolna od zwykłego napięcia.

Emma wyglądała cudownie, i nawet trochę przytyła, odzyskując swą wcześniejszą wagę. Kicky zdecydowany był bezwzględnie ożenić się na początku przyszłego roku, jeśli tylko wyteży siły i zdobędzie pieniądze. Wightwickowie upierali się, że musi mieć co najmniej dwieście funtów w banku, zanim pozwolą córce wyjść za niego. Przy odrobinie szczęścia powinien był zebrać taką sumę do wiosny. *Punch* dawał mu mnóstwo roboty: w ciągu jednego tygodnia miał do narysowania siedem inicjałów i dwa szkice. Zastanawiał się, czy stać by go było na odwagę, by prosić wydawcę Marka Lemona, żeby już zawsze dawał mu zamówienia co tydzień, bo chciałby się ożenić. Dwa inicjały i jeden szkic w każdym numerze pisma przyniosłyby mu dość pieniędzy na wynajęcie mieszkania i utrzymanie ich obojga. Poza tym były przecież jeszcze inne gazety: *Once A Week*, *Cornhill* i *London Society*.

Mark Lemon okazał się ludzki. Był zadowolony z postępów młodego artysty, który tworzył tak utalentowane dzieła, mając tylko jedno oko, i zgodził się zrobić dla niego, tylko co się da. Napomknął też, że jeśli Kicky będzie robił tak szybkie postępy, jak dotąd, to może zostać przyjęty do zespołu *Puncha*, gdy tylko zwolni się jakieś miejsce. To przeszło najśmielsze oczekiwania młodego człowieka. Wyjąkał podziękowanie i wyszedł chwiejnym krokiem, z rozpaloną głową.

Poszedł prosto do domu Wightwicków i powiedział im o propozycji Lemona. Teraz już naprawdę nie było powodu, dla którego on i Emma nie mieliby się pobrać na Nowy Rok. Stary Wightwick wytarł głośno nos, a jego żona zrobiła smutną minę, ale Emma wzięła spokojnie i stanowczo narzeczonego pod rękę i przyznała mu rację. Żadne z nich nie chce już dłużej

czekać. W każdym razie nie istnieje już problem przyszłości i Kicky musi tylko wyznaczyć datę.

Wightwickowie nie mogli się przeciwstawiać determinacji młodych — sprawa została przesądzona.

Kolejne miesiące upłynęły szybko. Kicky ciężko pracował na ich przyszłość, a Emma uczyła się prowadzenia domu.

Znaleźli mieszkanie na Great Russell Street, naprzeciwko British Museum, na drugim piętrze, częściowo umeblowane, z dodatkowym pokojem na pracownię; trzeci stycznia został niezobowiązująco ustalony jako data ślubu. Gdy ów dzień się zbliżał, Kicky czuł się prawie jak przestępca odbierający jedyne dziecko rodzicom. Z wyrazu ich twarzy wynikało, że szykują się na pogrzeb. Atmosfera w domu była ciężka, przygnębiająca, ale Kicky i Emma wędrowali przez łązy w kaloszach i otwierali parasole.

— Przysięgam, że będę najbardziej oddanym zięciem pod słońcem — mówił Kicky do Toma Armstronga. — Ale *maman belle-mere* i ja nie mamy ze sobą nic wspólnego, zatem zadanie to nie będzie łatwe ani przyjemne. Jeśli jednak będziemy się rzadziej widywać, wszystko pójdzie dobrze.

Matka i Isobel nie mogły przyjechać do Anglii na uroczystość (wydatek był zbyt duży), Kicky miał jednak nadzieję, że zabierze młodą żonę do nich na wiosnę. A jeśli będzie ciężko pracował i wszystko pójdzie dobrze, to za kilka lat będzie mógł sobie pozwolić, żeby je sprowadzić do Londynu.

Wesele wyprawiono skromne, z jednym czy dwoma bliskimi przyjaciółmi. Oczywiście na drużbę został wybrany Tom Armstrong. Zaproszono Poyntera, Toma Jeckella i Billa Henleya, z którym Kicky dzielił mieszkanie po opuszczeniu Whistlera. Starzy Wightwickowie reprezentowali stronę panny młodej w kościele, z parą kuzynów i obiema pannami Lewis.

Ślub wyznaczono na rano, a potem miał być lunch u Wightwicków. Później Kicky i Emma mieli popłynąć statkiem do Boulogne na jednodniowy miesiąc miodowy.

— Jeszcze tylko tydzień — powiedział Kicky w Boże Narodzenie. — Jestem tak podekscytowany, że nie mogę utrzymać ołówka.

Prezenty nadchodziły jeden za drugim: serwis obiadowy, serwis do herbaty, serwis do deseru; platery i obrusy; srebrne filiżanki i solidna sofa. Było również pianino, na którym Kicky mógł brzdąkać jednym palcem i śpiewać „Vin a Quatre Sous”, kiedy przyjdą na obiad przyjaciele.

Stary Wightwick ofiarował jednak córce czterdzieści funtów rocznie na ubrania, ale Emma zapowiedziała przysłętemu mężowi, że nie wyda tych pieniędzy na siebie. Ojciec podarował im także umeblowanie sypialni oraz zasłony i dywany, tak że Ellen w Niemczech nie mogła narzekać na brak hojności z jego strony.

Wielki dzień wreszcie nadszedł. Ku rozczarowaniu państwa młodych, Tom Armstrong nie mógł być obecny z powodu choroby. Dawny wielbiciel Isobel, Douglas Fisher, został więc družbą. W kościele było siedemnaście osób, a szlochły pani Wightwick rozbrzmiewały aż po stropy. Może to i dobrze, że nie było Ellen, by dotrzymywać jej kroku.

Kicky nie widział nikogo prócz Emmy. A kiedy ujął jej dłoń i podniosła nań zza welonu poważny wzrok, wiedział, że te dwadzieścia dziewięć lat, które minęły, wcale się nie liczą; zostały zagrzebane i zapomniane. Teraz dopiero wszystko się zaczyna. Nigdy już nie zazna samotności ani ubóstwa. Skończyły się złe dni i jego kłopoty. Czasem poczuje się zawiedziony czy zmartwiony, będą go trapić drobne rozterki duchowe, a kwestie egzystencjalne nadal pozostaną nie do rozwiązania. Ale jakkolwiek będzie przygnębiony czy pełen obaw — ona zawsze pozostanie u jego boku, by trzymać go za rękę, tak jak teraz.

Miał to być związek aż do śmierci; nigdy się nie rozstaną, nie spędzą bez siebie ani jednej nocy.

Praca, którą wykonał do tej pory, była banalna i nic nie warta. Wiedział, że teraz dopiero zaczną się sukcesy. Nigdy nie zostanie malarzem — to oczywiste. Nigdy nie stworzy wielkiego dzieła dla potomności. Będzie natomiast odtwarzał życie codzienne, dzień po dniu, będzie ukazywał ducha epoki wiktoriańskiej, w której żyje.

Rysunkami tymi ozdabiał będzie stronicę *Puncha* aż do śmierci a czytelnicy będą się z nich śmiali i je kochali. Jego

satyra ukazująca społeczeństwo jest łagodna, żartobliwa. Gospodyni domowa i jej gafy. Snob i nadęty, ekstrawagancki poeta, postaci mężczyzn i kobiet są takie kruche, takie ludzkie, a z powodu swych słabostek jeszcze bardziej sympatyczne. Dzieci i ich niezdarne, rozkoszne niedorzeczności — to dzieci w ogóle, niezależnie od epoki.

Przez ponad trzydzieści lat zachwycał swym talentem i tym wykreowanym małym światkiem. Ziarno geniuszu, które na próżno starało się przebić u ojca, teraz wzeszło i wydało plon.

W Emmie znalazł wspaniąłą towarzyszkę, właściwe dopełnienie swojej natury. Jakiegokolwiek w jego charakterze znajdowały się lekkomyślność, gorycz czy słabość, teraz, po ślubie, odeszły i nigdy już nie wróciły. Nie miał w całym świecie ani jednego nieprzyjaciela, co było chyba największą zasługą jego postępowania.

Kiedy osiągnął absolutny sukces, nie zepsuło go to; przyjął ów fakt z pokorą, czuł się nawet trochę zdziwiony. „Po co tyle hałasu o takiego faceta jak ja” — mówił. Kręcił głową i marszczył brwi, nucąc pod nosem. Histeryczne pochwały dla jego powieści *Trilby* nawet go przeraziły. To trywialne, w niezbyt dobrym tonie. Był przekonany, że książka nie zasługuje na takie zachwyty. Są ludzie, co piszą list każdą pocztą, ale tak naprawdę to mogliby sobie oszczędzić kłopotu. To nadzwyczaj uprzejme z ich strony, że zapraszają go na obiad, ale woli raczej zjeść posiłek spokojnie w domu, z rodziną i w wesołym towarzystwie kilku kolegów.

Pomyślną stroną sukcesu było to, że mógł zapewnić byt swym dzieciom i wnukom. Żadne z nich nie zazna niedostatku czy biedy, tak jak on. Zadał o to, żeby starczyło dla wszystkich — dalekich kuzynów, synów bratanka i wszystkich rozsianych po świecie członków rodziny Bussonów.

Zabawna rzecz: fortuna, jaką zbudował i z której tak wielu z krewnych skorzystało, wyrosła z owych pierwszych dziesięciu funtów, które dała Kicky'emu na drogę matka — dziesięciu funtów z jej dożywocia. Wywalczyła je Mary Anne swą determinacją i sprytem. Jeden podpis w roku 1809 zdecydował o losie wielu nie narodzonych jeszcze mężczyzn i kobiet. Dość

plugawy i bez skrupułów targ między diukiem a jego metresa poruszył — tysiącami niewidzialnych nici w świetle — tańczące marionetki; niektóre ucieszył, inne znużył; wszystkie skwitowały to wzruszeniem ramion i cieniem uśmiechu na ustach.

Wszyscy du Maurierowie mają wspólne cechy — nawet ci z najodleglejszych gałęzi rodu, aż do trzeciego czy czwartego pokolenia, którzy już nie noszą tego nazwiska. Wahają się na krawędzi między nieuleczalnym optymizmem a całkowitą rozpaczą. Śmieją się niepohamowanie i płaczą bez powodu. Oszczędność nie jest ich najmocniejszą stroną, roztrwaniają bowiem wszystko to, co posiadają, tak jak to robił Louis-Mathurin jeszcze przed ich urodzeniem. Mają także cierpki język, co dziwnie przypomina Ellen Clarke.

Jedno czy dwoje z nich było rozpustnikami. Uśmiech Mary Anne przemykał się przez ich oblicza z zadartymi nosami jak cień przeszłości.

Słowem, przyjemnie na nich popatrzeć i dadzą się lubić. Mają wielkie serca i puste sakiewki. Ich poczucie humoru jest lekko wykrzywione i ma posmak satyryczny.

Kłamią z wdziękiem i pewnością siebie, jak to robił przed nimi Gygy. I łatwo im się to wybacza. Umierają w średnim wieku, często w cierpieniach. I szybko odchodzą w zapomnienie. Ale zostawiają po sobie delikatny **aromat**, który unosi się w powietrzu niczym szept.

Kicky był z nich najmądrzejszy, najmiłszy i najlepszy. Jego historia została już opowiedziana. Czy matka pogodziła się z jego małżeństwem i traktowała synową ze spokojem i wyrozumiałością? Zrobiła nawet więcej: przyjechała do Londynu po narodzinach ich drugiego dziecka i mieszkała w pobliżu aż do śmierci w 1870 roku. Kicky odwiedzał ją codziennie. Oczywiście gderała jak zawsze. Uznała, że dzieci są okropnie rozpущzone — zwłaszcza Trixie, pierworodna. Uważała, że Emma mogłaby lepiej zarządzać domem i nie płacić tak dużo za żywność — i jeszcze wiele, wiele innych spraw. Daleka była jednakże od tego, żeby się wtrącać. Przekonała się bowiem, że pani du Maurier to zupełnie nie to samo, co niedoświadczona panna Wightwick. Zadowolona była, iż Kicky radzi sobie tak dobrze,

jednak żonaty syn to nie to samo, co kawaler, i nie ma co gde-
rać, że cały czas poświęca swojej rodzinie.

W naszym wieku, droga Louise — pisała do szwagierki — nie zawiera się już nowych związków, więc możemy się tylko troszczyć o naszych bliskich. Już niewielu z nas pozostało. Bóg jeden wie, kiedy Ty i ja się znów spotkamy.

Nigdy się już nie spotkali. Louise, zupełnie obezwładniona przez reumatyzm, nie mogła już nawet pisać. Pozostał jej rok czy dwa lata życia. Zeszła ze świata w światobliwej atmosferze klasztoru, który znała tak dobrze.

Kiedy zmarła Ellen, dość nagle, w wieku siedemdziesięciu trzech lat, syn narysował jej portret. Twarz zmarłej jest surowa, nawet w tym stanie spoczynku, pod jedwabnym czepkiem; rzymski nos nadaje jej wojowniczy wyraz. To twarz szlachetna, wolna od małostkowości i nienawiści: widać te cechy musiały być dość powierzchowne i teraz, gdy przyszła śmierć, zniknęły, jakby ich wcale nie było. Wyglądała niczym prawdziwa matka rodu. W jej rysach nie ma ani śladu wesołej, niefrasobliwej Mary Anne, która ją urodziła. Nie widać żadnego podobieństwa między nimi; jedyną cechą odziedziczoną przez Ellen po matce był ostry język.

Kim był jej ojciec, nikt się nie dowie. Łatwo sobie wyobrazić mężczyznę z zasadami, inteligentnego albo o ciasnym umyśle, który nie miał łatwego usposobienia. Jak powiedział ktoś owego dnia w roku 1809, gdy obrzucano ich błotem, ojciec Ellen mógł być diukiem albo śmieciarzem. Najprawdopodobniej jednak był uczciwym kupcem z klasy średniej, uwiedzionym przez Mary Anne w przypływie kaprysu.

Ellen została pochowana obok Louisa-Mathurina na cmentarzu w Abney Park. Ich grobowiec, zaniedbany od ubiegłego wieku, zostanie odrestaurowany w innym czasie.

A co stało się z uroczą Isobel? Czy znalazła męża? Znalazła wreszcie, po dłuższym czasie, ale nie był to Tom Armstrong, jak można by przypuszczać. Poślubiła Clementa Scotta, krytyka teatralnego, ale czułaby się szczęśliwsza, gdyby pozostała

panną. Ich związek nie był spokojny; drobne zmarszczki ze zmartwienia pojawiły się na jej twarzy, kiedy dzieci były jeszcze całkiem małe. Chyba zostawiła serce w Dusseldorfie, a może też istniał ktoś w jej życiu, kto się liczył, ale nie został wybrany. Ale jak wszystkie wiktoriańskie kobiety dzielnie ukrywała smutki pod kamienną twarzą. Miała dwóch synów i dwie córki.

Niedobry, niepohamowany Gyggy opuścił wojsko w roku 1867 i ożenił się z Francuzką. Przyjechał do Anglii i z uśmiechem poprosił brata, żeby mu znalazł zajęcie. Kicky, który tymczasem stał się typowym Anglikiem i członkiem londyńskiej socjety, nie był nawet w najmniejszym stopniu speszony obecnością tego eks-kaprała, który się źle ubierał, nosił okropne buty i chciał wiedzieć, ilu lordów starszy brat zalicza do swych przyjaciół.

Kicky oczywiście pożyczył mu pieniądze i pozwolił u siebie zamieszkać, kiedy tylko Eugene zechce. Rozmawiali o Paryżu i wspominali dzieciństwo ze śmiechem i łzami. A potem Gyggy zmieniał jedną posadę po drugiej, co dotąd robi wielu du Maurierów — bez żadnego celu i z niewielkim pożytkiem. Najdłuższy okres jego aktywności to kilkuletnia praca w zawodzie komiwojażera. Jego żona Marie obdarzyła go dwiema córkami i synem. Syn wziął przykład z ojca i był buntownikiem od samego początku. Uciekł z domu jeszcze w wieku kilkunastu lat i nigdy już nie wrócił. Gospodarował gdzieś na farmie w głębi Kanady.

Gyggy i Isobel zmarli w rok po sobie i zostali pochowani w Saltash w Kornwalii.

Co się zaś tyczy pięknej, frywolnej Georgie, to wcale nie skończyła źle, jak jej przepowiadali krewni. Ani też nie poślubiła żadnego z niemieckich książąt. Zadziwiła wszystkich — swych przyjaciół i rodzinę — „odnajdując Boga" i wstępując do... Armii Zbawienia. Złotowłosa syrena, trzepocząca rzęsami w obecności przedstawicieli pruskich rodów książęcych, która spowodowała, że nawet serce jej łagodnego siostrzeńca zaczęło żywiej bić, przywdziała staromodny kapelus, wzięła zbiór hymnów do ręki i wznosiła głos ku chwale Pana na rogach ulic. „Czy chcesz być zbawiony? — pytała nie spodziewającego się

niczego przechodnia, a ten zamiast spierać się z tą groźną opo-
nentką, wyrażał pospiesznie zgodę i wymykał się z jej palców.

Georgie przeżyła wszystkich swoich współczesnych i ich
dzieci; zmarła mając dziewięćdziesiąt pięć lat czy w równie po-
deszłym wieku. Przeżyła Wielką Wojnę i ani włos jej nie spadł
z głowy. Bobbie, jej syn, stał się dość nadętym i próżnym osob-
nikiem. Ożenił się późno, podobnie jak ojciec.

Clarke'owie po dziś dzień szczycą się swoimi rzymskimi
nosami. Istnieją jedna czy dwie rozchodzące się gałęzie du
Maurierów, ale niestety, wbrew ich złudzeniom, z najprostsze-
go nawet porównania dat, wynika, że ich praprababka Mary
Anne nie spotkała Jego Wysokości Diuka Yorku przed rokiem
1803, kiedy to jej syn George miał co najmniej dziewięć lat,
a Ellen — sześć.

George był to *bona fide* Clarke, ale Ellen, gdy się pofolguje
wyobraźni, mogła być kimkolwiek.

Postaci owe zniknęły z pamięci, tak jak z tych stron, pięć-
dziesiąt i sto lat temu. Niektóre z nich były komiczne, inne
trochę tragiczne, i wszystkie miały jakieś wady — ale byli ży-
wymi, prawdziwymi ludźmi jak każdy z nas, w świecie, który
dzisiaj jest naszym światem.

Czy nieśmiertelność jest prawdą czy fikcją stworzoną przez
człowieka, by okpić strach — nikt z nas tego się nie dowie. Ale
jest to pocieszenie. Dość wyobrazić sobie, że kiedy umrzemy,
zostawimy po sobie jakiś ślad, jak ślad statku na wodzie;
wspomnienie, że kiedyś szliśmy tą drogą.

Ślady stóp na piasku i dłoni na ścianie. Kwiaty włożone
między kartki książki, wyblakłe i zeschnięte, które zachowały
zwietrzały zapach. Listy, pomarszczone i pożółkłe ze starości,
których treść przemawia do czytelnika z żywotną siłą, jakby
zostały napisane wczoraj. I mnóstwo duchów — nie widm
o bladych twarzach, szcękających łańcuchami, nie bezgłowych
upiorów skrzypiących drzwiami w opuszczonych domach, ale
widm przeszłości, nie bardziej przerażających niż wyblakłe fo-
tografie w rodzinnym albumie.

Kto mocno kochał, czuł głęboko, wydeptał jakąś ścieżkę
w szczęściu czy bólu — pozostawi po sobie ślad na zawsze.

Pozostanie echo dla tych, co chcą słyszeć, i wizje dla tych, co śnią. W powietrzu zalegają zapachy i szepty tych lat, co przeminęły. Kiedy wrzawa codzienności urośnie do grzmotu w naszych uszach, a napięcie współczesnego życia stanie się ciężarem nie do zniesienia, jak miło wyłączyć ów dźwięk i wizję, i pogрузić się w cichym, widmowym świetle, co podaża o krok od twego własnego.

Słysząc wtedy turkot malowanych kół i powóz toczy się szerokim, białym traktem do Richmond. Mary Anne usadowiła się wygodnie na swym miejscu, z parasolką chroniącą ją przed słońcem, a lord Folkestone obserwuje ją spod ciężkich powiek, z podbródkiem opartym na lasce. Ona obrzuca go stekiem wyzwisk za to, że upił się poprzedniej nocy przy stole. Używa rysztockowych słów (uszy stangreta poróżowiały, bo pani ma głos donośny), ale lord nie przejmuje się tym. Nigdy dotąd nie widział jej tak pięknej: jej zuchwałe oczy lśnią, lok wymyka się spod śmiesznego czepka.

Pozwala się jej wygadać, a potem stara się ją uspokoić, przytaczając historyjkę, którą usłyszał rano od White'a. Mary Anne po chwili zapomina o gniewie. Marszczy zadarty nos, a jej śmiech toczy się po drodze — rozkoszny w swej czystej wulgarności, szczery, prawdziwy, prostacki śmiech tego ideału urodzonej w dzielnicy nędzy kobiety, zawsze trzeźwo stąpającej po ziemi. Żółty powóz znika w oddali w chmurze kurzu, ale śmiech pozostaje.

Błada dziewczynka czeka na powrót matki w oknie sypialni; ma lekko przygarbione plecy; na jej małej brzydkiej twarzączce maluje się dezaprobata.

Wokół domu w Westbourne Place panuje atmosfera oburzenia. Jakby można było ukryć rozpustną przeszłość za jedwabnymi zasłonami!

Może o północy każdy, kto słucha uważnie, usłyszy brzęk tłuczonych dwudziestu kielichów do wina, które roztrzaskują się na kawałki, spadając na podłogę.

W Paryżu, gdzie do dzisiaj gazeciarze wołają: *L'Intransigeant* o szóstej rano, a tramwaje i autobusy dzwonią w drodze przez miasto — znajduje się wąska, brukowana uliczka, zwana

rue de la Lune. W mieszkaniu nie da się zauważyć niczego szczególnego, zwłaszcza w godzinach szczytu, ale może o bardzo wczesnej porze, zanim dozorczy wychodzą polewać ulice, panuje tam cisza, która nie różni się od owej ciszy sprzed stu lat. Louise Busson udaje się na poranną mszę. Gładkie, jasne włosy ma rozdzielone pośrodku, serce jej bije trochę szybciej niż zazwyczaj w nadziei, że po powrocie zastanie list od Godfrey'a Wallace'a.

Wygląda młodo i niedojrzale — prawie tak jak Isobel w trzydzieści lat później, chociaż w wyrazie jej twarzy jest więcej powagi.

Ogrody Królewskie przemierza barczysta postać o szalonych niebieskich oczach i płomiennych włosach. To Louis-Mathurin. Nie kładł się wcale tej nocy, spacerował ulicami do północy, wpadłszy na pomysł nowego wynalazku. Czasem mówi coś głośno do siebie, czasem marszczy brwi. I naraz, kiedy już uznał, że problem został rozwiązany, strzela palcami i śmieje się beztrudnie. A potem, odrzucając do tyłu głowę, śpiewa z czystej radości życia, ponieważ jest młody, a w kieszeni ma pożyczony sto franków.

Ciężkie czasy nastały teraz dla owych duchów we współczesnym Paryżu: ich ślady są niszczone; domy, które kiedyś do nich należały, zostają zamienione w biura i sklepy.

Eugenie de Palmella nie wygląda z okna pensji przy rue Nueve St. Etienne, bo nie ma już tego budynku. Jej potomkowie żyją do dzisiaj w Portugalii pośród wielkiej arystokracji, ale wątpliwe, żeby kiedykolwiek słyszeli o rodzinie du Maurierów, chociaż Louise była najstarszą przyjaciółką ich prababki.

Po domu przy rue de Passy też nie ma śladu. Kicky próbował go odnaleźć w 1887 roku. Otoczono go zaczarowanym ogrodem, a jego ukochane Mare d'Auteuil w Bois stało się sztucznym jeziorem z koszmarnymi małymi wiejskimi mostkami o groteskowych łukach, psującymi jego naturalną symetrię. Nawet szkoła, gdzie Monsieur Froussard besztął Gygy'ego za jego *caractere leger*, a Kicky tak się starał bez powodzenia być zabawny, została zburzona.

Pewnego dnia miło będzie odwiedzić Malines — senne miasteczko kościołów; pospacerować jego ponurymi, prostymi ulicami, którymi spacerował Kicky, kiedy po raz pierwszy spadło na niego nieszczęście. I pojechać na wschód, do Dusseldorfu, zobaczyć pozostałości dawnych miejsc uciech i zabaw. Mogą być tam jeszcze kawiarnie, gdzie frywolna Georgina stuknęła się kieliszkiem z niemieckimi książętami, a Isobel siedziała obok z nosem na kwintę.

Należałoby żywić nadzieję, że Ellen nie pozostawiła swych zmartwień i trosk w salonie domu, który wynajmowały, I że inne matki ściągające do wesołego Dusseldorfu ze swymi niezamężnymi córkami nie nabrały od niej zwyczaju narzekania i zamartwiania się, a ich horyzont nie uległ ograniczeniu do rzeszy młodzieńców nadających się na mężów, którzy sprytnie balansują na granicy zażyłości, ale nigdy nie dają się złapać.

Czy Kicky zachował się niewłaściwie wobec starszej panny Lewis — pytanie to pozostaje bez odpowiedzi. Przysięgał, że sumienie ma czyste. Po roku nie miało to już znaczenia, bowiem ożenił się z nią pewien ziemianin; została panią majątku w Walii, co odpowiadało jej bardziej, niż gdyby wyszła za męża za ubogiego artystę z jednym okiem.

Domy i ogrody mogą ulec zniszczeniu, a miasta stać się ryczącymi potworami, ale przynajmniej morze jest niezmienne. Po nim błąkają się duchy. Kicky i jego potomkowie wahają się ze swymi charakterami między Anglią i Francją, jak wszystkie hybrydy, które mają w sobie krew dwóch narodowości. Ostatni obrazek w albumie wspomnień oglądany jest najczęściej: przedstawia parowiec płynący do Boulogne, a na jego pokładzie stoją dwie postacie z twarzami zwróconymi do Francji. To Emma i Kicky rozpoczynają właśnie miesiąc miodowy. On śpiewa jedną z pieśni swojego ojca.

DRZEWO GENEALOGICZNE RODZINY DU MAURIERÓW

MARY ANNE CLARKE (metresa Diuka Yorku)
(ur. 1776?)

MATHURIN-ROBERT BUSSON DU MAURIER małż. MARIE BRUAIRE
(ur. 1749)

